

III tom serii
"Między wierszami"

tammara webber
autorka bestsellerowej serii "Tak blisko"

Dobrze
ci tak!

tammara webber

*dobrze
ci tak*

Tłumaczenie
Grzegorz Komerski



Tytuł oryginału: *Good for you*

Redakcja: Paweł Gabryś-Kurowski

Korekta: Elżbieta Śmigielska

Skład i łamanie: Ekart

Projekt okładki: Joanna Wasilewska

Zdjęcie na okładce: Kitja Kitja / Shutterstock.com

Copyright © 2011 by Tammara Webber

Polish language translation copyright © 2017 by Wydawnictwo Jaguar Sp.
z o.o.

ISBN 978-83-7686-559-1

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2017

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

snapchat:jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2017

Skład wersji elektronicznej: Tomasz Szymański

The logo for 'virtualo' features the word in a bold, lowercase, sans-serif font. The letters 'v' and 'i' are blue, while the remaining letters 'r', 't', 'u', 'a', 'l', 'o' are black.

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 1

Reid

Kiedy odzyskałem przytomność, przez głowę przemknęły mi dwie myśli. Pierwsza brzmiała: – „Kurde, znowu wylądowałem w szpitalu” „druga: – „Co z porsche? Przecież mam je dopiero od tygodnia!”.

– O! Widzę, że się ocknąłeś. – To mój ojciec. W stwierdzeniu oczywistych oczywistości jest prawdziwym mistrzem.

– Kochanie, tak bardzo się cieszę, że jesteś cały. Nie masz nawet pojęcia. – Czuję na dłoni ciepłą rękę i odwracam głowę w stronę, z której dobiega głos mamy. Tatę, jak zwykle, ignoruję. To u mnie naturalne. Im bardziej ostentacyjnie, tym lepiej.

Na widok opuchniętych i zaczerwienionych oczu matki moje zadowolenie gwałtownie znika. Mama z całych sił zaciska usta, daremnie próbując powstrzymać drżenie warg. Tym razem – niestety – jej histeryczna reakcja nie wynika z przesadnej nadopiekuńczości. O ile mnie pamięć nie zawodzi, wypłem kilka drinków za dużo, po czym wpakowałem się swoim porszakiem prosto w ścianę jakiegoś domu. A tego rodzaju wyczynu żadna matka na świecie nie przyjęłaby ze stoickim spokojem.

– Co z samochodem? – pytam, żeby odwrócić uwagę od własnej osoby. Bez skutku.

– Co z samochodem...? Ty pytasz, co z samochodem...? – Brwi ojca strzelają ku górze, niemal sięgając pogłębiających się zakoli. – To cię właśnie teraz najbardziej interesuje? Zdajesz sobie w ogóle sprawę, co narobiłeś? Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak poważne szkody spowodowałeś? O wpływie tego wyglupu na twoją karierę nawet nie wspomnę...

Czy naprawdę nie mógłby po prostu powiedzieć, że ten cholerny wóz nadaje się już tylko do kasacji?

– Mark... – dolna warga mamy nie przestaje dygotać – przecież najważniejsze, że Reid przeżył. Z całą resztą jakoś sobie poradzimy.

Ciekawe, czy mówiąc „poradzimy sobie” miała na myśli coś w rodzaju operacji wyrostka robaczkowego, przez którą zeszłej jesieni musiałem przerwać zdjęcia do ostatniego filmu, czy raczej sytuację podobną do tej, kiedy policja zgarnęła mnie z imprezy, na której wszyscy palili trawkę, ale mnie upiekło się z powodu braku dowodów.

– Poradzimy? – powtarza wzburzony ojciec. Podrywa wiszącą na oparciu krzesła kurtkę i rusza do drzwi. – Reid, psiaakrew, nie wiem, czy z tobą ktokolwiek

byłby sobie w stanie poradzić. Już od dawna masz w nosie wszystkich dokoła. A teraz w dodatku beztrzesko narażasz własne życie. Coś ty sobie w ogóle myślał?

Nie odpowiadam. Mam przeczucie, że nie poprawię mu humoru, tłumacząc, iż cały problem sprowadza się do tego, że wcale nie myślałem.

Dori

– No dobra, dzieciaki. Jeszcze raz, od początku. – Próbuję sprawić, by moje słowa brzmiały zachęcająco. Nie jest to łatwe, gdyż przez cały czas muszę się drzeć na całe gardło.

Gdyby spytać w sondażu o zagadnienia najtrudniejsze do opanowania, padłyby przewidywalne odpowiedzi: język chiński, fizyka molekularna, takie tam. Ale spróbujcie opanować hordę osiemnaściorga pięciolatek; spróbujcie ich nakłonić do ćwiczenia wzniosłej pieśni, mającej uświetnić zakończenie kursu wakacyjnej szkoły parafialnej. W dodatku chodzi tu o pięciolatek, którzy myślami taplają się już w basenie, co im obiecałam w nagrodę za dobre sprawowanie.

– Panno Dori? – Ktoś szarpie mnie za nogawkę dżinsowych rybaczek. Rosalinda. Dziewczynka, z której ust słowa „panno Doooooriiiii!” słyszę codziennie przynajmniej kilkanaście razy.

– Słucham, Rosa? – Zanim moje słowa mają szansę wybrzmieć, siedemnastka pięciolatek zrywa się z krzeseł. Rozpychając się łokciami, stają przy oknie i tęsknie wyglądają na basen. Dzień jest piękny. Woda skrzy się pod bezchmurnym czerwcowym niebem.

– Ja muszę do łazienki!

O rany, znowu?! Jej pęcherz musi mieć pojemność kieliszka.

– Nie wytrzymasz jeszcze minutki, kochanie? Już prawie skończyliśmy...

Powietrze w sali rozcina przeraźliwy pisk. Jonathan w jednej dłoni trzyma nożyczki, w drugiej ściska warkocz Keishy.

– Jonathan! Puść w tej chwili! – Widząc komicznie przerażoną minę chłopczyka, przygryzam z całej siły wargę. Nie mogę się w tej chwili roześmiać. To nie jest zabawne, tłumaczę sobie. To. Nie. Jest. Zabawne. Jonathan robi wielkie oczy i patrzy kolejno na nożyczki i warkocz.

– Ale co mam puścić?

Marszczę czoło.

– Proponuję, żebyś zaczął od Keishy.

Ocalona dziewczynka gna w te pędy do koleżanek, które natychmiast otaczają ją ciasnym wianuszkim, obrzucając Jonathana pełnymi potępienia

spojrzeniami. Nigdy nie miałam tak oddanych przyjaciółek – prawdziwa babska mafia.

– Panno Dori! – kwili Rosa i szarpie mnie jeszcze mocniej niż przed chwilą. Łapię ją za rękę, by przypadkiem nie ściągnęła mi spodni. Wtedy już w życiu nie zdołałabym tej trzódki opanować.

– Chwileczkę, Rosa. – Delikatnie ściskam dłoń dziewczynki. – Jonathan! – dodaję surowo. – Oddaj mi te nożyczki.

Chłopiec wbija wzrok w płaczące się po podłodze sznurówki adidasów i podchodzi najwolniej, jak potrafi.

– Skąd je wzięłeś?

Chłopczyk podaje mi nożyczki oburącz, jakby wręczał dar angielskiej królowej. Nie daję się nabrać na tę udawaną skruchę i wymownie unoszę brew.

Jonathan ryzykuje i zerka mi prosto w oczy.

– Z biurka pani K. – mamrocze, po czym znów zwiesza głowę.

Filomena Kowalczyk – zatrudniona w naszym kościele sekretarka. Mimo że mieszka w Stanach od jakichś stu lat, wciąż mówi z silnym polskim akcentem. Na jej biurku niezmiennie czeka pękaty słój z cukierkami, a ona sama równie niezmiennie nosi skrzypiące ortopedyczne buty, spełniające identyczną funkcję jak dzwonek na kociej obroży. O tym, że pani K. nadciąga, maluchy wiedzą na dobre pięć minut przed pojawieniem się staruszki. Na policzku Jonathana widnieje czekoladowa smuga, więc domyślałam się, że zanim umknął z nożyczkami, sięgnął do słoja.

– Czy wolno bez pozwolenia zabierać rzeczy z biurka pani K.? – Mierzę go pełnym zawodu wzrokiem.

Chłopczyk kręci głową.

– A myślisz, że pastor Doug uznałby przywłaszczanie cudzej własności za dobre sprawowanie?

Olbrzymie czarne oczy panicznie wpijają się w moje. Brawo mały, zgadłeś. Twój basen stanął właśnie pod wielkim znakiem zapytania.

– Ale, panno Dori! – protestuje Jonathan. – Przecież nie obciąłem tego...

– O warkoczyku Keishy pomówimy sobie za chwilę. Na razie rozmawiamy o tym, że zabrałeś nożyczki pani K.

– Ja oddam, naprawdę! – W oczach chłopczyka stają łzy. – Prze... przepraszam!

– Przepraszasz tylko dlatego, że cię nakryłam – rzucam i Jonathan wybucha rzewnym płaczem. No, rany boskie!

– Panno Dori!!! – Rosa zawodzi coraz głośniejsze. Stoi, obejmując się ciasno ramionami, raz po raz unosi nogę i z całych sił zaciska uda.

Z ciężkim westchnieniem uznaję się za pokonaną. Dzisiejsza próba dobiegła właśnie końca.

– No dobrze, słuchajcie mnie wszyscy! Ustawiamy się grzecznie w pary i idziemy do toalety.

– Ja pierwsza! Ja pierwsza! – rzuca Rosa, zamykając moją dłoń w zabójczym uścisku. Kiedy wysuwamy się na czoło pochodu, podskakuje obok mnie na jednej nodze.

– Jonathan! Chodź, też pójdiesz ze mną.

Chłopczyk ociera piąstką zapłakane oczy, bierze mnie za drugą rękę i wychodzę z klasy, prowadząc za sobą osiemnaście kaczątek.

Za kilka tygodni wyjeżdżam do misji w Ekwadorze. Brzmi to może mocno egzotycznie, ale będę się tam zajmować w zasadzie tym samym co w kraju. Tyle że po hiszpańsku.

Rozdział 2

Reid

Krawat rozluźniam natychmiast, gdy tylko odwracam się do drzwi sali rozpraw. Myślę tylko o tym, by pozbyć się z włosów tego cholernego żelu, przez który wyglądam jak jeden z przygłupich prawników z kancelarii ojca.

– Zawiąż go z powrotem! – warczy tata. Idzie obok, wyprężony jak struna. Naturalnie wciąż uważa, że jestem winny, mimo że prokurator przystał na naszą propozycję ugody – przynajmniej w pewnym sensie.

Przez pół sekundy zastanawiam się, czy go nie olać, lecz zaraz potem słyszę głos – mniej dyktatorski, przyznaję – swojego menedżera.

– Reid, na zewnątrz czekają dziennikarze. *School Pride* trafił właśnie na ekrany. To nie najlepszy moment na zgrywanie buntownika. I tak przepadło ci kilka kontraktów reklamowych. Twój wizerunek ucierpiał dość poważnie i nie powinieneś sprawiać niekorzystnego wrażenia. Pamiętaj, że wywinąłeś się stosunkowo tanim kosztem. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent zwykłych ludzi trafiłoby w takiej sytuacji za kratki.

– Stosunkowo tanim kosztem?! – zazwyczaj na George’a nie fukam, ale z tą oceną po prostu nie mogę się zgodzić. Warunki, pod jakimi sędzia przystał na zawarcie ugody, są zgoła absurdalne.

– Tak, Reid. Zrozumiałby to każdy, kto ma choć pół mózgu – wtrąca tata. Subtelność nigdy nie należała do jego największych zalet. – I załóż wreszcie ten cholerny krawat!

Zgrzytając zębami, z powrotem zapinam górne guziki białej koszuli (Armani) i zaplatam stonowany krawat (Hermes) w perfekcyjny węzeł (klasyczny pół-windsor). Jak tak dalej pójdzie, stracę uzębienie zanim dobieję trzydziestki.

Przyjaciele pytają, czemu się po prostu od ojca nie uwolnię. Mam w końcu dziewiętnaście lat i jestem dorosły w każdym – w tym prawnym – sensie (wciąż tylko nie mogę legalnie kupować alkoholu, co jest diabelnie uciążliwe). Jestem prawdziwą, hollywoodzką gwiazdą. Mam własnego menadżera, agenta, a nawet faceta od PR-u. Chociaż tym ostatnim może się teraz zająć jakaś kobieta – obawiam się, że tata mógł wylać Larry’ego, który w zeszłym tygodniu nie zadziałał dość sprawnie, przez co straciliśmy te reklamy. W tym właśnie szkopał. Ojciec dba o wszystko. Jest po prostu nadprezesem mojego życia, a ja stanowią produkt, który jego firma sprzedaje. Prowadzi całą moją karierę, zarządza finansami i czuwa nad kwestiami prawnymi. Ja z kolei, nie muszę robić właściwie nic – wystarczy, jeśli od czasu do czasu pojawię się na castingu, kołaudacji czy premierze. Bywa też, że

wystąpię w telewizyjnej reklamie. Ja i ojciec. Nie przepadamy za sobą, ale jedno wiem na pewno – ten człowiek nigdy mnie nie okantuje.

Menedżer miał rację. Na schodach sądu zebrał się spory tłumek dziennikarzy, czekają, aż wygłoszę oświadczenie. Na jego treść nie miałem najmniejszego wpływu. George wręczył mi tekst wczoraj wieczorem, gdy tata z moim obrońcą – nazwiska nie potrafię sobie przypomnieć, zresztą guzik mnie obchodzi, którego ze swoich przydupasów wytypował ojciec – roztrząsali szczegóły strategii przygotowanej na poranną rozprawę. Tak czy inaczej, nadeszła pora na mój oskarowy występ, czas odegrać skruszoną gwiazdę.

Tata, zgodnie z planem, kryje się za moimi plecami. George i młody karierowicz stają po bokach. Przywołuję na twarz stosownie pokorną minę.

– W pierwszej kolejności chciałbym z tego miejsca przeprosić wszystkich swoich fanów. Zawiodłem was. Żałuję tego i jest mi bardzo przykro. Zapewniam, że ten nieszczęsny incydent był wynikiem chwilowej nieuwagi i nic podobnego już nigdy się nie wydarzy.

Ktoś podtyka mi mikrofon pod sam nos.

– Wybierasz się na odwyk?

Do widocznych w moich oczach wyrzutów sumienia dorzucam szczyptę wstydu.

– Wysoki sąd uznał, że w chwili obecnej nie jest to konieczne. Zamierzam jednak co do joty dotrzymać warunków ugody i, jak wspomniałem, tego rodzaju sytuacja już się nie powtórzy.

W tym momencie okazuje się, że reporter jednej z lokalnych hiszpańskojęzycznych stacji telewizyjnych ma wszczepiony wewnętrzny wykrywacz ściemy.

– To wszystko piękne słowa, ale co ze zniszczonym przez ciebie domem i co z rodziną, którą pozbawiłeś dachu nad głową?

Nie przeginaj, kretynie, gotuję się w duchu. – Zniszczyłem tylko jeden pokój. W dodatku był akurat pusty i nikomu nic się nie stało.

– Właściciel nieruchomości otrzyma należyte odszkodowanie – odpowiadam. – Szczegóły rekompensaty pozostaną między zainteresowanymi stronami, ale zapewniam, iż doszło do pełnego porozumienia.

– Czyli po prostu spłaci ich twój ojciec?

Co jest, do diabła? Strasznie upierdliwy koleś. Może to jakiś ich krewny, czy ktoś?

– Nie, proszę pana. – Patrzę dziennikarzowi prosto w oczy, normalnie *mano a mano*. – Osobiście spowodowałem ten wypadek i osobiście odpowiadam za wypłatę odszkodowania.

– Nie widzisz nic zdrożnego w nazywaniu „wypadkiem” sytuacji, w której niepełnoletni chłopak, mając we krwi ponad dwukrotnie więcej alkoholu niż

dopuszczają przepisy, pędzi na oślep przez osiedle mieszkaniowe ważącym tonę pojazdem?

– No cóż, chcę...

– Właścicielem uszkodzonego budynku jest firma deweloperska – przerywa mi. – A co z lokatorami? Z ciężko pracującymi ludźmi, którzy ten dom wynajmowali? Ta rodzina nie była ubezpieczona, a teraz straciła część dobytku, którego nie będzie w stanie odkupić. O tym, że ci ludzie są teraz bezdomni, nie wspominam. Pytam więc raz jeszcze, co z nimi?

Wolne żarty. Korci mnie, żeby porządnie gościowi przywalić. Tak bardzo, że mimowolnie zaciskam pięść.

Młody przydupas ojca uznaje, że to odpowiedni moment, by wkroczyć i rozwinąć skrzydła swojej kariery. Być może widzi już siebie jako przyszłego współnika.

– Jako prawny pełnomocnik pana Alexandra zapewniam, że mój klient bierze pełną odpowiedzialność za swoje działania i zamierza naprawić wszelkie zaistniałe szkody zawiązką.

Przecież przed chwilą sam to powiedziałem, nie?

I co to, cholera, za teksty oawiązce?

Dori

Kiedy tata zaczyna odmawiać modlitwę, zapadam w zadumę. Nie chcę go urazić, więc przez cały czas siedzę z zamkniętymi oczami, ale dzieje się wtedy to co zawsze, gdy mam sporo na głowie. Mój umysł korzysta z pierwszej chwili wytchnienia i gorączkowo przebiega szczegóły najważniejszych spraw.

Próby z dziećmiakami z parafii będą musiały poczekać do przyszłego tygodnia. Teraz muszę się pilnie zająć nowym projektem charytatywnej organizacji Habitat, w której pomagam jako wolontariuszka. Wszystko przez pewnego egoistę i kretyna, który wjechał swoim durnym sportowym wozem prosto do salonu ubogiej rodziny. To właśnie dla nich budujemy nowy dom. Nie rozumiem takich ludzi – osób które nie widzą świata poza czubkiem własnego nosa. Zajmują tylko miejsce na Ziemi i zużywają tlen, w żaden sposób nie przykładając się do wspólnego dobra.

Ten chłopak jest całkowitym przeciwieństwem ludzi pokroju mojego taty – pastora Douga, jak nazywają go sąsiedzi i parafianie. Kiedy mu się poskarżyłam, stwierdził, że Bogu nie spodobałyby się moje uprzedzenia wobec Reida Alexandra.

– Bóg ma swoje zamysły i plany wobec nas wszystkich, nawet wobec niego – usłyszałam.

Taaak, jasne.

Ech, znowu marudzę.

Tak więc kilka najbliższych dni wypełni mi praca dla Habitatu. Na szczęście, w powstającym domu została już tylko wykończeniówka. Niestety, wciąż nie zainstalowaliśmy klimatyzacji, a ostatnio w mieście zrobiło się duszno i gorąco. Nie powinnam narzekać, większość mieszkańców Los Angeles żyje bez klimatyzacji przez okrągły rok. Ja mieszkam wygodnie, aczkolwiek mój rodzinny dom pozbawiony jest takich luksusów jak wielki telewizor czy stylowe, nowoczesne meble. Mama świetnie radzi sobie z pędzlem, a zasłony i obrusy pomysłowo zszyła z kupionych na bazarze sari. Plamy w rogach dywanów i pęknięcia ścian sprytnie zamaskowała doniczkowymi kwiatami.

Zanim nadejdzie jesień i zacznę studia na uniwersytecie w Berkeley, muszę jeszcze załatwić kilka innych spraw: odebrać karty z wynikami egzaminów i dyplom maturalny, wpłacić kaucję za akademik. Niemal wszyscy znajomi mocno się dziwią, że zdecydowałam się studiować pomoc społeczną i nie poszłam do wyższej szkoły muzycznej. Często słyszę, że mam piękny głos, ale kariera piosenkarki wydaje mi się okropnie niepraktyczna. Zdecydowanie wolę zajmować się konkretnymi.

Jedyną osobą, która potrafiła to pojąć, okazał się tata. Swoją drogą, słuch odziedziczyłam właśnie po nim. Mama i Deborah – moja starsza siostra – są głuche jak pnie. Z drugiej strony, posiadają wiele pożytecznych, praktycznych talentów. Mama jest położną i pomaga przyszłym matkom, przede wszystkim z ubogich środowisk. Deb natomiast niedawno rozpoczęła specjalizację w jednym ze szpitali w Indianie – kiedy ją ukończy, zostanie pełnoprawnym pediatrą. Tata i ja musieliśmy wymyślić sobie bardziej kreatywne sposoby na przysłużenie się światu.

W tym roku, jak już od kilku lat, pomagam przy letnim programie edukacyjnym, prowadzonym przez naszą parafię z myślą o mieszkańcach pobliskich, dotkniętych biedą dzielnic. Furgonetka co rano zwozi dzieciaki do naszego kościoła, dzięki czemu ich rodzice mogą udać się do pracy, nie zamartwiając się o pociechy. Podopieczni zostają u nas na cały dzień, co oznacza, że musimy organizować im wiele różnych zajęć. Na pomysł budowy basenu wpadła mama. Część członków parafialnej komisji budżetowej miała poważne opory przed zatwierdzeniem tak kosztownej inwestycji, ale mama przekonała ich, tłumacząc, że basen przyda się nie tylko w trakcie letnich zajęć, lecz także przy okazji rodzinnych pikników i comiesięcznych chrztów. Tata często powtarza, że mama potrafiłaby namówić Szatana, by upiekł za nią bożonarodzeniowe ciasta.

– ...amen – kończy ojciec i otwieram oczy, odpędzając z myśli wizję rogatego diabła w przyprószonym mąką fartuchu.

– Dori, tata ma wiadomości, które mogą cię zainteresować – obwieszcza mama zagadkowo, podając mi miskę tłuczonych ziemniaków. Oboje bacznie mi się

przyglądają. Dziwne.

Ojciec chrząka.

– Tuż przed twoim powrotem do domu, dzwoniła do ciebie Roberta. Domyślam się, że nie zna numeru twojej komórki.

Roberta, szefowa projektu w Habitacie, za nic nie jest w stanie pojąć, że normalnych ludzi można dzięki tym sprytnym, nowoczesnym telefonom złapać bez problemu. Własną komórkę nosi bez przerwy w torebce, w dodatku wyłączoną. Boi się, że gdyby miała włączoną na stałe, aparat wyładowałby się akurat wtedy, kiedy ktoś ją napadnie i będzie musiała zadzwonić po pomoc. A w jaki sposób zamierza powstrzymać złoczyńcę na tak długo, by włączyć komórkę i wybrać numer? Nie, tego pytania nigdy nie odważyłam się zadać.

– Jutro dołączysz do was nowy wolontariusz. Roberta chce, żebyś pomogła mu się zaaklimatyzować i pokazała co i jak.

Marszczę czoło. Wolontariuszy, naturalnie, nigdy zbyt wielu, ale sama wiadomość nie wydaje się szczególnie ważna czy niezwykła. Dlaczego więc rodzice robią takie przedziwne miny?

– Okej. Żaden problem. – Czekaając na cios, przekazuję ziemniaki tacie. – Mam nadzieję, że ten ktoś zna się na elektryce?

– Hmm, wątpię.

Nie dodaje nic więcej, więc po chwili milczenia ponaglęm:

– Tato, wykrztuś to wreszcie. Wiesz, kawa na ławę.

Ojciec nie patrzy mi w oczy, naprawdę jest niecodziennie tajemniczy.

– Widzisz, nie wykluczone, że go znasz. Raczej nie osobiście, ale mogłaś o nim słyszeć.

Dobry Boże, zaczynają mnie już męczyć.

– Aha, czyli muszę zgadywać? – wzdycham. – Czy to ktoś z kościoła? A może ze szkoły?

– Reid Alexander. – Mama nie wytrzymuje napięcia.

– Co?!

Tata próbuje mnie przekonać za pomocą logicznych argumentów.

– Okazuje się, że osobisty udział w pracy nad domem dla państwa Diego jest jednym z warunków ugody, jaką zawarł w sądzie.

O, nie! Nie, nie i jeszcze raz nie! Wykluczone!

– Chwileczkę, czyli on wcale nie jest wolontariuszem? Pojawi się na budowie z wyroku sądu, dobrze rozumiem?

Chyba nie wyobrażają sobie, że będę niańczyć jakiegoś egoistycznego, rozpustnego kolesia z Hollywood? W dodatku najprawdopodobniej jest alkoholikiem.

– Roberta wspomniała, że ma nadzieję... Jako że jesteście praktycznie rówieśnikami... Że mogłabyś go, jakby to... Wziąć go pod... hmm...

– ...pod swoje skrzydła? – Krzywię się niezadowolona. – Błagam, powiedz, że chodzi tylko o jeden dzień, najwyżej dwa...

Tata wzrusza ramionami i sięga po widelec.

– O tym musisz już porozmawiać z Robertą. Ja jestem tylko posłańcem.

Na moment przymykam oczy i myślę. Reid Alexander na budowie. To przecież absurd. Kompletna strata czasu. Chciałam jutro wyłożyć kafelkami prysznic. Nie ma mowy, żebym pozwoliła mu przy tym pomagać. Ta robota wymaga wprawy i doświadczenia. Ja miałam kiedy się otrząsać, ale on? Wątpię, by potrafił odróżnić glazurę od terakoty.

– Dlaczego ja?

Odpowiedź ojca słyszę w myślach, zanim jeszcze zdążył otworzyć usta.

– Nie wiem, kochanie. Ale nic się nie dzieje bez powodu. – Poklepuje mnie po dłoni. – Musimy po prostu cierpliwie poczekać. Z czasem wszystko stanie się jasne.

Jak za każdym razem, gdy słyszę od niego podobne mądrości, gryzę się w język i nie mówię tego, co powiedziałabym, gdybym mogła zdobyć się na szczerość. Nie wierzę, że na świecie wszystko ma swój powód. Tak, jestem wierząca, ale z tego nie wynika, że jestem ślepa. Wierzę, że ludzie dokonują niekiedy błędnych wyborów. Wierzę, że złe rzeczy spotykają nawet dobrych ludzi. Wierzę, że w świecie istnieje mnóstwo zła. Zła, jakiego nigdy nie zrozumie i nie przestanie zwalczać. Ale myślę też, że gdybym przynajmniej na sekundę uwierzyła, iż choć część okropności z jakimi codziennie się stykamy, ma swój sens, nie zdołałabym tej świadomości znieść.

Rozdział 3

Reid

– No proszę, wstałeś. Obiecujący początek. – Ojciec wchodzi do kuchni i stawia teczkę na granitowym blacie.

Nawet nie próbuję reagować. Podpuszcza mnie w ten sposób, odkąd sięgam pamięcią. Zajęło mi to jakiś czas, lecz w końcu nauczyłem się nie chwytać przynęty i nie pozwalać mu dowodzić, jak bardzo jest inteligentny. Opór nie miałby sensu. Ostatecznie, ojcu płacą za toczenie słownych potyczek, a – sądząc po metrażu naszego domu, kroju jego szytych na miarę jedwabnych garniturów i markach stojących w garażu samochodów – jest w tym naprawdę świetny.

Fakt, że w moim zawodzie zarabiam więcej niż on, musi mu mocno doskwierać. Oczywiście ojciec nie ma bladego pojęcia, jak ciężka jest praca na planie, ale to akurat się nie liczy. Niech sobie myśli, że praktycznie przez cały czas się obijam. Tym mocniej się przez to wkurza, a mnie to bardzo pasuje.

– Zaparzyłem nawet kawę. – Wskazuję wypełniony do połowy ekspres, kawa jest jeszcze ciepła.

Tata przelewa ją sobie do termicznego kubka i zakręca pokrywkę.

– Mama już wstała?

– Nie wiem, nie widziałem jej.

– Tylko pamiętaj, że prawo jazdy masz zawieszona na pół roku – przypomina. – Żeby dojechać do pracy, będziesz musiał zadzwonić po limuzynę. – Słowo „praca” wymawia z wyraźnym przekąsem, we wszystkich pozostałych pobrzmiwa niekłamanie zadowolenie.

– Ale ja myślałem, że mnie podrzucisz...? – Mrugam swoimi dużymi, ciemnoniebieskimi oczyma. Ojciec otwiera usta, lecz milczy, a ja tymczasem staram się zachować powagę. – Nie, tato, żartowałem. Już dzwoniłem. Szofer podjedzie za dziesięć minut.

– Ach... – Zaciska usta i krzywi się. – W takim razie w porządku.

Nie jestem pewien, czy jego zaskoczenie powinno mnie bawić, czy może jednak drażnić.

Kiedy wręczam kierowcy adres budowy, ten wpatruje się w kartkę dobrą chwilę, po czym spogląda na mnie. Jest szczerze skonsternowany.

– Tak, bracie, wszystko się zgadza – mówię, zgadując, o co zaraz zapyta. – Po prostu dowieź mnie na miejsce, okej?

– Tak jest, panie Alexander – odpowiada, otwierając drzwiczki czarnego mercedesa.

Kiedy wyjeżdżamy za bramę, przychodzi mi do głowy, że w okolicy, w której mam przepracować okrągły miesiąc, ten samochód będzie się cholernie rzucać w oczy. Niewiele bym zmienił, nawet gdybym pojechał zwyczajną taksówką. Żeby wtopić się w otoczenie, musiałbym w charakterze szofera wynająć jakiegoś gangstera jeżdżącego tuningowanym chevroletem.

Po drodze wertuję kilka scenariuszy, które podesłał mi niedawno George. To moje ewentualne przyszłe filmy. Żaden jednak nie zachęcił mnie na tyle, bym doznał chociaż do drugiej strony. Jeszcze rok temu dwa z nich uznałbym pewnie za niezłe, ale teraz wydaje mi się, że nigdy w życiu nie czytałem większych bzdur. Podejrzewam, że za tę zmianę mojego podejścia odpowiada Emma, moja partnerka w *School Pride*. Jesienią powiedziała mi, że wolałaby grać w poważnych filmach, a nie w popularnych produkcjach, które niemal na starcie mają zagwarantowany status wielkiego przeboju. Sam w sumie nie rozumiem, dlaczego tak bardzo wzięłem jej słowa do siebie.

Emma jest pierwszą od lat dziewczyną, której mimo usilnych zabiegów nie udało mi się zdobyć za pierwszym razem. Szanse na drugie podejście spieprzyłem natomiast osobiście, i to wręcz koncertowo – kiedy natknąłem się na opór, zacząłem się prowadzić z innymi pannami. Gdy spotkaliśmy się przy okazji premiery, była już z inną gwiazdą naszego filmu, Grahamem. Grahamem, na którym zależało z kolei Brooke, mojej byłej. I Brooke zaproponowała mi zawiązanie istic diabelskiego spisku: wymyśliła, że uwiedzie Grahama, co miało pchnąć zrozpaczoną Emmę prosto w moje ramiona.

Graham nie uległ urokom Brooke, lecz wskutek jej kombinacji Emma nabrała przekonania, że jednak ją zdradził. Była rozbita. Krucha. Miałem ją jak na widelcu, lecz nie byłem w stanie tej sytuacji wykorzystać. Jedną z nielicznych zasad, jakich trzymam się w kontaktach z dziewczynami brzmi: jeśli musisz kłamać, by zaciągnąć ją do łóżka, stajesz się po prostu oszustem. A zwycięstwo dzięki oszustwu nie jest zwycięstwem prawdziwym.

Potem, przez pewien czas, poważnie się nad sobą zastanawiałem. Całe szczęście ten stan nie utrzymał się zbyt długo. Wyrwałem się z niego po wypadku, kiedy odbyłem kilka obowiązkowych sesji ze wskazanym przez sąd psychoterapeutą, który zasugerował, że być może próbowałem się zabić. Zaśmiałem mu się prosto w twarz. Bo w końcu, jeśli nawet kogoś nie obchodzi, czy żyje czy nie, to jeszcze wcale nie znaczy, że ma tendencje samobójcze. Prawda?

– Proszę pana – rozlega się głos szofera. – Jesteśmy na miejscu. O ile rzeczywiście tutaj miałem pana przywieźć.

Za przyciemnioną szybą samochodu rozciąga się morze identycznych, parterowych domków – wyblakła farba na odrapanych ścianach, zakratowane

drzwi i okna. Budynki stoją ledwie kilka stóp jeden od drugiego, otoczone więdnącymi, niezadbanyymi palmami i rzadkimi kępami krzewów. Przed sobą mam częściowo ukończony dom, oddalony dosłownie o dwa kroki od krawężnika – podobnie zresztą jak cała reszta. Niechlujnie wymalowany numer widnieje na opartym o frontową ścianę kawałku sklejk. Owszem, pasuje do adresu z sądowego nakazu.

– Tak, to tutaj. Przyjedź po mnie o trzeciej. Najlepiej bądź trochę wcześniej. Z oczywistych powodów nie chciałbym czekać zbyt długo – w normalnych okolicznościach nie chciałbym tej okolicy odwiedzić choćby przejazdem, a tymczasem muszę pomagać w budowie kolejnej bawdziewnej chaty. Do dupy.

– Dobrze, proszę pana. Podjadę za kwadrans piętnasta.

Na mój widok zamiera wszelka aktywność. Wszyscy jak jeden mąż gapią się na kolesia, który postanowił wybrać się na przejażdżkę do niebezpiecznej dzielnicy mercedesem z szoferem. Kurde, faktycznie mogłem to lepiej rozegrać.

Gdy wysiadam na nieukończony podjazd, na powitanie wychodzi mi dziewczyna. Oczywiście „powitanie” jest tu, powiedzmy, eufemizmem. Panna mierzy mnie wybitnie niechętnym spojrzeniem. Ma ściągnięte brwi i minę, jakiej osobiście staram się nikomu nie pokazywać, nawet gdy jestem mocno wpieniony.

Na ocenę jej wyglądu mam około dwudziestu sekund. Cały proces zajmuje mi dziesięć. Ubrana jest w za dużą, spłowiałą koszulkę z logo M.A.D.D. – społecznej kampanii przeciwko jeździe po alkoholu. Przypadek? Nie sądzę. Przez rozmiar tego worka nie widzę, jak duże ma piersi, ani jakiego kształtu. Trudno również stwierdzić, co z talią. Z mojego doświadczenia wynika, że dziewczyny, które posiadają choć jedną z tych zalet, zawsze wybierają strój, który przynajmniej delikatnie je uwydatnia. A ten namiot może co najwyżej ukrywać wady. Jej szorty są niemodne do tego stopnia, iż szczerze wątpię, czy kiedykolwiek ktoś nosił podobne. Ciężkie, ochlapane cętkami farby, skórzane buciory są mocno znoszone i porysowane. Co ciekawe, ten akurat element wcale nie psuje wrażenia. Mimo że dziewczyna wygląda jak budowlaniec, nogi stanowią najbardziej interesującą częścią jej ciała. Łydki ma idealnie zarysowane, a przy tym silne i umięśnione. Większość moich znajomych pańienek – aktoreczki, laski z dobrego towarzystwa – stawia na długie i chude nogi. Ja jednak często mam ochotę właśnie na takie jak u nieznajomej. Jest opalona – w każdym razie dotyk słońca widać na odsłoniętych partiach skóry. I nie jest to opalenizna z solariów przy Rodeo Drive, tylko prawdziwa. Wiem, bo na jej nadgarstku widać jaśniejszy pasek. Pewnie nosi zegarek. Nie spotkałem jeszcze ani jednej panny, która wychodziłaby z domu bez miliona filtrów przeciwsłonecznych.

Włosy – szatynka, taki ogólnokrajowy odcień, odgarnięte z twarzy i związane w koński ogon. Rozpuszczone spłynęłyby jej pewnie sporo poniżej ramion. O ile kiedykolwiek je rozpuszcza.

Twarz – bez zaskoczenia. Zero makijażu. Nie dostrzegam najmniejszej plamki różu, ani śladu błyszczczyka. Oczy ciemne, nawet bardzo ciemne. Policzki i grzbiet nosa obsypane są rzadkimi piegami – moje znajome już dawno zdecydowałyby się je wypalić, wybielić, czy co one tam robią.

I wreszcie – usta. Podobnie jak nogi, również stanowią osobliwość – pełne, kształtne wargi. Widać to nawet w tej chwili, kiedy je zaciska, zmieniając w surową, prostą kreskę.

Wciskam dłonie w kieszenie dżinsów, przystaję kilka kroków za krawężnikiem i czekam.

– Pan Alexander, jak sądzę? – pyta dziewczyna, nie zatrzymując się.

Potakuję skinieniem, dodając kolejny punkt do listy jej zalet: brzmienie głosu. Chętnie usłyszałbym jak śpiewa, mimo że modulacja jasno wskazuje, iż chciałaby, żeby pod moją osobą rozstała się ziemia.

Nogi, usta, głos. Jeśli którakolwiek z tych zalet okaże się zbyt pociągająca, kilka zawołanych przytyków powinno na tyle obniżyć jej samoocenę, żeby się ode mnie odwaliła. Chociaż ta akurat taktyka rzadko pozwala pozbyć się ich na dobre. Dziewczyny czują irracjonalny pociąg do dupków. Nie zamierzam być wobec niej okrutny, ale nie będę się przecież zajmować jakąś nużącą samarytanką o wiecznie krwawiącym sercu. Odpracuję po prostu swoje i wyniosę się stąd do diabła.

Dori

Mercedes? Serio? Jezusie, jak ja nie mam na to ochoty.

Momentu przybycia jego wysokości nie dało się przegapić. Wszyscy jak jeden mąż przerwali zajęcia i zagapili się na celebrytę i jego, ostentacyjnie kłujący w oczy, samochód. Cały dom, jeszcze przed momentem rozbrzmiewający rozmowami, odgłosami śmiechu i wspólnej pracy, nagle zamilkł. Zapanowała cisza, wzmocniona tylko stłumionymi cmoknięciami. Zamarły młotki, pędzle zawisły w powietrzu. Naprawdę nie pojmuję, w jaki sposób tego rodzaju przerwy – a zanoszą się na nie codziennie – mają pomóc naszej sprawie. Ale nikt mnie przecież nie pytał.

Ubrał się odpowiednio – dżinsy, koszulka, robocze obuwie. Odnoszę jednak nieodparte wrażenie, że jego spodnie kosztowały więcej niż moja najlepsza sukienka. Niewykluczone, iż podobnie ma się sprawa z koszulką, na której widnieje nieznane mi logo. Cóż, w dyskontach pewnie tej marki nie sprzedają.

Ledwie wyszłam mu na spotkanie, obrzucił mnie od stóp do głów przeciągłym oceniającym spojrzeniem – mogłam się tego spodziewać – i zrobił

zniechęconą minę. Większość dziewcząt poczułaby się obrażona, a przynajmniej niezadowolona, mnie jednak ulżyło. Zainteresowanie Reida Alexandra nie jest mi do niczego potrzebne. Gdybym miała cokolwiek do powiedzenia, wołałabym, żeby odbył swoje prace społeczne gdzie indziej. Sędzia uznał jednak, że powinien pomóc w budowie domu dla rodziny, którą pozbawił dachu nad głową, i trudno z taką logiką dyskutować.

Stojąc z rękoma w kieszeniach, przyglądał mi się z doskonałą obojętnością – jakby zupełnie nie dbał o to, co się stało i co się wydarzy w przyszłości. I nagle ogarnęło mnie niewytłumaczalne poczucie głębokiego żalu. Odniosłam wrażenie, że na świecie nie ma postaci bardziej tragicznej od tego chłopaka. Śmieszne.

– Pan Alexander, jak sądzę? – upewniłam się, na co odpowiedział zdawkowym skinieniem. Nie chcąc zdradzić się z myślami, odwróciłam się. Twarz pokerzysty? – to ponad moje możliwości. Najczęściej nie ma w ogóle takiej potrzeby, zwłaszcza że staram się nie kłamać. Po prostu nie widzę w tym sensu. Niemniej wobec człowieka pokroju Reida Alexandra niemądrze byłoby zdradzać się z jakąkolwiek słabością. Ostatecznie mieszkam w Los Angeles i chociaż nie obracam się w jego kręgach – nawet nie w tej samej galaktyce – dobrze ten typ znam: beztroski, zepsuty i skupiony wyłącznie na sobie. Nie zaufam mu i nie przekona mnie nawet ta jego anielska twarz.

Zerkam przez ramię. Wciąż ani drgnął.

– Proszę za mną – rzucam, nie zwalniając, i mam nadzieję, że jednak się ruszył. Nikt mi nie powiedział, co robić, jeśli nie zechce mnie słuchać.

Wreszcie dolatuje mnie zza pleców chrząst żwiru, co wskazuje, że postanowił przynajmniej wejść do środka. Wypuszczam wstrzymywany oddech. Po raz kolejny powtarzam sobie w duchu, że przecież to tylko kilka krótkich tygodni i na pewno dam sobie radę. Kiedy Roberta przyznała, że umowę z sądem zawarła na okrągły miesiąc, miałam ochotę wrzeszczeć. Będę go miała na głowie przez całe trzy i pół tygodnia, jakie zostały do mojego wyjazdu do Ekwadoru.

Kiedy idziemy przez dom, pozostali wolontariusze, oszołomieni obecnością gwiazdy, gapią się weń jak w obrazek. Pracę przerywają nawet dojrzały mężczyźni, aczkolwiek kobiety zachowują się jeszcze gorzej – wyglądzają ubrania, poprawiają fryzury – litości! Można pomyśleć, że nigdy w życiu nie widziały ładnej buźki. Tak, to pierwsze, co muszę mu oddać i z czym będę się musiała uporać – jest naprawdę piękny.

Oglądałam okładki kolorowych magazynów i plakaty w pokojach koleżanek. Widziałam jego podobiznę na plecach dziewczęciolatek uczęszczających na organizowane w naszym kościele zajęcia. Na litość Boską, przecież z góry wiedziałam, że jest przystojny. Prawda wygląda jednak tak, iż określenie „przystojny” nie oddaje do końca rzeczywistości. Mama nazwałaby kolor jego włosów popielatym blondem, a tata dodałby, że są odrobinę zbyt długie. Oczy ma

ciemnoniebieskie – do tej pory żyłam w przekonaniu, iż to zasługa grafików i Photoshopa. Pod względem fizycznym jest pociągający do tego stopnia, że chyba uwzględnię w modlitwach wszystkie dziewczyny, na które zwróci kiedykolwiek uwagę. Pomoc Najwyższego będzie im naprawdę bardzo potrzebna. Cieszę się, że ocenił mnie tak szybko i tak nieprzychylnie.

– Chciałam dzisiaj wyłożyć kafelkami prysznic, ale to dość skomplikowane zajęcie. Skończyłoby się na tym, że musiałbyś mi się beczynn timer przyglądać. Pomyślałam więc, że zaczniemy od malowania. – Wchodzimy do największej sypialni. Ściany i sufit wciąż nie są ukończone. Zaprawę i grunt położyłam w zeszłym tygodniu. Wykładziny jeszcze nie ma, więc nie muszę się obawiać, że Reid zniszczy mi podłogę.

– Sufit pomaluję sama. To bardziej...

– Skomplikowane? – wtrąca, rzucając mi rozbawione spojrzenie.

Nabieram powietrza. Powoli, głęboko. Znosi się na wyjątkowo długie trzy i pół tygodnia.

Rozdział 4

Reid

– Hmm, masz jakieś imię, czy może powinienem się do ciebie zwracać „kierowniczko”?

„Jak się prawidłowo przedstawiać, czyli etykieta dla początkujących”. Koniuszki uszu dziewczyny oblewają się różem – ale tylko koniuszki.

– Przepraszam. – Podchodzi do mnie i wyciąga rękę. – Mam na imię Dori.

Ściskam jej dłoń, nieco zaniepokojony faktem, że połączenie jej idealnego głosu i miękkiego dotyku wywołuje we mnie efekt podobny do lekkiego porażenia prądem.

– Ja jestem Reid. Panem Alexandrem nazywają mnie tylko podwładni.

Zrozumiała w lot. Mruga, a zaróżowione uszy ciemnieją o kilka dodatkowych odcieni. Przemyka mi przez myśl, że ten miesiąc może się okazać jeszcze zabawniejszy niż myślałem. O każdym celnym trafieniu wyraźnie poinformuje mnie widoczny różowy sygnał. Tym bardziej, że ona na pewno nigdy nie rozpuszcza włosów.

Dori chrząka i wskazuje na stertę gratów, spiętrzoną wokół stojącej na środku pokoju drabiny.

– No dobrze, Reid. Tutaj mamy farbę, wałki, pędzle i tym podobne. Malowałeś już kiedyś?

Moment, ona tak poważnie?

– Na pewno nie pokoje.

Nawet nie drgnęła jej powieka.

– W takim razie nauczysz się czegoś nowego. – Wyławia z kieszeni niewielkie, metalowe narzędzie i kuca nad puszkami z farbą. Staram się nie gapić na linie mięśni, wyraźnie zarysowane od cholewek butów aż po nogawki spodni.

– Wątpię, bym w najbliższej przyszłości poczuł palącą potrzebę malowania swojego domu – odpieram, wstrząśnięty wizją tak jawnej straty czasu, jaką byłoby osobiste wykonywanie fizycznej pracy. Zawsze przecież mogę zapłacić kilka centów jakimś nielegalnym imigrantom, którzy ochoczo mnie wyręcą.

Dori otwiera puszkę, unosi pokrywkę, po czym uśmiecha się do zawartej wewnątrz błękitnej mazi. Odkłada wieczko na bok.

– A jeśli dostaniesz rolę wymagającą umiejętności malowania – mówi, nie podnosząc wzroku – i nie będziesz wiedział, jak to zrobić? Dzięki mnie już za niecały tydzień będziesz mógł zagrać malarza śpiewająco.

Moja ocena jej zdolności manipulacji gwałtownie rośnie o kilka stopni. Dori

okazuje się niebezpieczna.

Czyli nauczycie mnie malować „śpiewająco”... To przecież nie może być trudne.

Rozprowadzam wałkiem farbę po końcowym niepomalowanym fragmencie ostatniej ściany. Bicepsy i mięśnie ramion palą mnie żywym ogniem (przynajmniej nie zaniedbam tutaj rzeźby). Dori tymczasem dopieszcza moją robotę pędzlem – maluje miejsca przy samym suficie, których wałek nie mógłby osiągnąć bez uderzania w powałę. Przekonałem się o tym w dość przykry sposób.

Okna są otwarte – inaczej podusilibyśmy się w oparach farby – lecz powietrze praktycznie stoi, a lato wciąż nabiera mocy. Idealny dzień, żeby wyskoczyć na plażę. Albo gdziekolwiek indziej. Byle dalej stąd.

– Cholernie gorąco. – Odkładam wałek na podstawkę i przyglądam się pokrytym niebieskimi plamami dłoniom. Błękit mam na paznokciach, pod nimi, na przedramionach i na żółtej koszulce od Prady. Na szczęście nie założyłem ulubionej. Cóż, chyba nic się nie stanie, jeśli ubrudzę ją trochę bardziej.

Ściągam koszulkę przez głowę, wycieram nią twarz i odrzucam na stos malarskich płacht. Stojąca na drabinie Dori zamiera i gapi się na mnie. Ścieżka błękitu spływa jej po pędzlu, po drewnianej rączce i dalej, na dłoń. Gdy rzucam jej wymowne spojrzenie i unoszę brew, natychmiast patrzy na pędzel i wkłada go do płytkiego, zawieszzonego na drabinie pojemnika.

Sięgam po ścierkę, wchodzę na drabinę za dziewczyną, ujmuję jej nadgarstek i lekko osuszam strużkę farby. Masakrycznie ją to krępuje.

– Wiesz, to jednoosobowa drabina – rzuca i odbiera mi szmatkę.

Wzruszam ramionami i zeskakuję na podłogę.

– Aha. Proszę bardzo. – Jej nogi, gładkie i nieskazitelne, mam na wysokości oczu. Opieram się pokusie, by musnąć palcem miękkie miejsce pod kolanem. Prawdopodobnie spadłaby z drabiny – wtedy miałbym szansę ją złapać – a potem zaczęłaby wrzeszczeć.

Kurde, stary, weź się w garść.

– Dziękuję. – Z zaróżowionymi ponownie uszami zdejmuję z drabiny pojemnik z pędzlem. Nadal unika mojego wzroku.

Jestem tutaj dopiero pół dnia i już dwa razy udzieliłem jej lekcji dobrych manier. Coś takiego musi boleć.

Kiedy pytam, czy ten pokój mamy już z głowy, Dori schodzi rakiem z drabiny i, przytrzymując przybory, przechyla głowę na bok, jakby próbowała wyczuć, czy się zgrywam, czy mówię poważnie.

– Nie. Teraz zrobimy sobie przerwę. Zjemy coś, a farba tymczasem wyschnie i będziemy mogli położyć drugą warstwę.

– Jaja sobie robisz! – rzucam. – Chcesz powiedzieć, że musimy to wszystko pomalować jeszcze raz?

Dziewczyna zaciska zęby, lecz w okamgnieniu bierze się w garść.

– Tak. Kiedy wrócimy, sam zrozumiesz dlaczego – tłumaczy cierpliwie, z nadzwyczajnym hartem ducha.

Obie te cechy są mi z gruntu obce.

– Dobra. Wszystko jedno. I tak muszę tu spędzić cały miesiąc. W sumie mogę tę samą ścianę malować i pięćdziesiąt razy.

Wargi Dori zaciskają się w wąską kreskę, prycha pod nosem, zerka na mnie i prędko odwraca wzrok.

– Czy mógłbyś założyć koszulkę? Proszę.

Nie mogę się nie uśmiechnąć.

– A co? Mój tors ci przeszkadza?

Teatralnie wywraca oczyma, a ja staram się nie roześmiać.

– Dla mnie możesz sobie chodzić nago jak święty turecki. Ale dzisiaj pomaga nam też kilku emerytów i są wśród nich ludzie, którzy uważają, że mężczyzna nie powinien wychodzić z domu bez kapelusza. Wątpię, by byli zachwyceni, widząc cię bez koszulki. Ale jasne, zrobisz jak ci wygodnie.

Wychodząc z pokoju, podrywam koszulkę z podłogi i wciągam ją na grzbiet.

– Nago jak święty turecki? Oj, nie wiem, Dori, nie wiem. Wiesz, dopiero się poznaliśmy...

Nie odpowiada, lecz jej uszy znów oblewa różowy rumieniec. Punkt dla mnie.

Dori

Nie wierzę. Zaproponowałam Reidowi Alexandrowi, by paradował w mojej obecności nago. Jakbym nie wiedziała, że po takiej uwadze nie powstrzyma się od komentarza.

Spodziewałam się, że trudno go będzie zmotywować i jeszcze trudniej uczyć, a jednak słuchał (choć z miną świadcząca o krańcowym znudzeniu) i zazwyczaj postępował według moich wskazówek. Początkowo musiałam pozwolić, by robił wszystko po swojemu. Najwyraźniej należy do wyznawców zasady „Jak się nie przewrócisz, to się nie nauczysz” (on? co za niespodzianka!). Nie uwierzył, kiedy powiedziałam, że nie wolno nabierać na wałek zbyt dużo farby. Nie zaufał, gdy mówiłam, że przy pierwszym przejściu lepiej malować łukami niż w linii prostej. Nie posłuchał, kiedy powiedziałam, żeby nie przysuwał wałka zbyt blisko sufitu.

Pod pierwszą ścianą, przy której pracował, cała podłoga uwalana jest farbą. Musiałam też pokazać mu kilka wilgotnych zgrubień i kazać je wyrównać, nim zaschną. Oczywiście nie obyło się bez dwóch niebieskich plam na białym suficie i dwóch kolejnych na listwie podłogowej – uparł się, że dojedzie wałkiem do samego końca. Pewna poprawa nastąpiła przy ścianie numer dwa, jeszcze lepiej wyglądała trzecia, a ostatnia wyszła mu niemal idealnie. Właściwie to zaczynałam się już odprężyć. Ale wtedy ściągnął koszulkę...

Męskie torsy nie wywierały na mnie większego wrażenia przez całe osiemnaście lat życia, ale, Chryste Panie, nigdy jeszcze nie zostałam skonfrontowana z taką klatą. Pierś Reida wygląda jak wycięta z reklamy wody kolońskiej, męskich strojów kąpielowych, tudzież domowego sprzętu do ćwiczeń – perfekcyjna skóra opinająca nieziemsko wyrzeźbione mięśnie. Na całe szczęście arogancja tego chłopaka odstręcza mnie do tego stopnia, że bez problemu poprosiłam, by się ubrał.

Podobnie jak rankiem, rozmowy urywają się, gdy tylko wychodzimy z Reidem na przyszyły trawnik za domem (darń trzeba jeszcze położyć). Mniej więcej dwadzieścia osób siedzi na odwróconych wiadrach i rozstawionych na betonowym ganku składanych krzeselkach. Na kolanach trzymają papierowe talerzyki z tamale i tacosami. Niektórzy z nich pojawiają się tu codziennie – szczególnie kierownicy zespołów, na przykład Roberta. Inni wpadają z doskoku – studenci, wolontariusze z parafii, klubów ogrodniczych czy pracownicy okolicznych firm, wspierających w ten sposób charytatywne inicjatywy.

Podchodzę do kranu i myję ręce. Reid robi to samo, po czym ochlapuje wodą twarz i przeczesuje wilgotnymi dłońmi włosy. Przez cały czas zachowuje się tak, jakby nikt na niego nie patrzył. Kiedy podchodzimy do stolika, na którym czeka poczęstunek, sprawia wrażenie człowieka, który uważa, iż nie ma nic dziwnego w tym, że hollywoodzka gwiazda sięga po tani papierowy talerzyk, a ktoś wskazuje jej plastikowe sztucce i lodówkę z butelkami wody.

Siadam na progu i ostrożnie ustawiam talerz na kolanach. Reid zajmuje miejsce obok. Wszyscy wciąż się na niego gapią, chociaż niektórzy wracają już do przerwanych rozmów.

– No dobra. Powiedz mi, co ty tutaj właściwie robisz? – pyta. – Domyślam się, że nie aresztowano cię za jazdę po kielichu i nikt cię nie przyłapał ze skrzętem.

– No... Nie – odpowiadam. – Ja tu pracuję. Pomagam.

Wpatruje się we mnie i nie jestem pewna, czy widzę w jego oczach zdziwienie, czy kpinę.

– Czyli robisz to przez cały czas?

– Co robię?

Reid milknie i wiedzie spojrzeniem po reszcie wolontariuszy, ocenia ich z niezmienną miną. Ja tymczasem przyglądam się jego profilowi, czekając na

dalszy ciąg rozmowy. Ma najdłuższe rzęsy, jakie widziałam u faceta, a jego wilgotne włosy – pociemniałe w tej chwili od wody – zawijają się na końcówkach wokół uszu i na karku, muskając kołnierzyk ubrudzonej farbą koszulki.

– Sam nie wiem – wzrusza w końcu ramionami. – Zastanawiam się po prostu, czy masz czas na cokolwiek innego, skoro przychodzisz tu codziennie – tłumaczy, odgryzając połowę taco.

Tacy jak on nigdy nie rozumieją ludzi podobnych do mnie. Równie dobrze moglibyśmy należeć do dwóch różnych gatunków.

– Widzisz, ja nie mam w zwyczaju się upijać. Nie palę trawy, nie szlajam się po klubach. Nie wskakuję też do łóżka wszystkiemu, co nie ucieka na drzewo, więc zostaje mi sporo czasu na inne zajęcia. – Omójboszzz! Czy ja naprawdę to powiedziałam?

Reid śmieje się cicho i spogląda na moją skwaszoną twarz. Te ciemnobłękitne oczy w czarnej oprawie gęstych rzęs wyglądają wprost powalająco.

– Pozwól, że zgadnę. W poniedziałki chadzasz na spotkania kółka miłośników literatury, we wtorki całą rodziną grywacie w gry planszowe, środy poświęcasz na czytanie Biblii, a w czwartki spotykasz się ze znajomymi i szyjecie kołdry dla domów starców. Ciepło?

Wstaję bez słowa i wracam do domu. To nie pierwszy raz, kiedy ktoś drwi z mojego sposobu życia, lecz z jakiegoś powodu – być może dlatego, że dziwnie się czuję, słysząc to akurat w tym miejscu – dziś przygnębiło mnie to bardziej niż zwykle.

– Zaczekaj! – rzuca Reid. Sama nie rozumiejąc dlaczego, zatrzymuję się i czekam na przeprosiny. – Nie wiem jeszcze, kiedy karmisz bezdomnych!

Nie oglądając się za siebie, znikam za drzwiami. Jego chichot wciąż rozbrzmiewa mi w uszach.

Rozdział 5

Reid

Kurde, serio, zachowałem się jak skończony kretyn. Jak na osobę w tak małym stopniu przejętą towarzystwem celebryty, okazała się w miarę fajna. Do chwili, gdy wyjechała z tą listą moich niecnych rozrywek, którym, prawdę mówiąc, chętnie się oddaję. Ale, Jezu... Czy to naprawdę powód, żeby się tak wywyższać?

Kiedy rozmowy cichną i ludzie wracają do przerwanych zajęć, wstaję. Ci, którzy nie zniknęli jeszcze w środku, rzucają w moim kierunku ukradkowe spojrzenia. Przyglądają się, gdy wyrzucam do kosza talerzyk i sztucce, patrzą, kiedy dopijam wodę i wpycham pustą butelkę do pojemnika na plastikowe odpady.

– Panie Alexander? – odzywa się ktoś. No proszę, to ta cała Roberta. – Jak panu idzie?

– Super.

– Ach, to świetnie! – uśmiecha się, nie zwracając uwagi na mój sarkastyczny ton. – Dorcas należy do naszych najbardziej oddanych wolontariuszek. To prawdziwa duma fundacji. Być może nauczy pana czegoś nowego!

– Aha – odpowiadam i też się uśmiecham, pozwalając mózgowi przepracować informację. *Dorcas*? Kto przy zdrowych zmysłach nazwałby córkę Dorcas? I przy okazji, paniusiu, w dniu, w którym laska o tym imieniu nauczy mnie czegoś nowego, znajdę dostatecznie wysoki budynek, wejdę na dach i bez wahania skoczę.

Wracam do sypialni i zastaję Dori ze słuchawkami w uszach. Na pasku jej rybaczek wisi antyczny model iPod'a, przewód ukryła pod koszulką. Sprzęt, którym malowała rano sufit, czeka zebrany w jednym miejscu. Na mój widok naciska pauzę i, nie zdejmując słuchawek, oświadcza:

– Wiesz, co masz robić. Ja pójdę tam obok i zajmę się sufitem. Chyba że potrzebujesz wskazówek?

Na usta ciśnie mi się co najmniej tuzin bardzo bezpośrednich odpowiedzi. Gryzę się w język.

– Jakoś sobie poradzę.

Dziewczyna kiwa głową.

Kiedy podchodzi do drzwi, dodaje:

– Dorcas, zanim wyjdę, będziesz musiała podpisać mi papiery.

Spina ramiona, lecz nie zatrzymuje się. Kiedy wychodzi z pokoju, jej uszy płoną szkarłatem. Muszę zacisnąć usta, by nie parsknąć śmiechem. Tak łatwo ją wyprowadzić z równowagi.

O piętnastej wszystkie ściany są już pomalowane. Minutę później Dori staje w drzwiach. W dłoni ściska długopis. Sięgam do tylnej kieszeni po kartę pracy i podaję jej. Z wyjątkiem dwóch niebieskich maźnięć na suficie, tuż ponad pierwszą ścianą (okazuje się, że miała rację, z wałkiem trzeba uważać), sypialnia wygląda całkiem nieźle. Dori podpisuje bez słowa komentarza – Dorcas Cantrell – i wręcza mi papier z powrotem.

Dziękuję jej, pewien, że marzy tylko o tym, by odwrócić się na pięcie i wyjść bez pożegnania, lecz, skarcona wcześniej, nie podejmuje ryzyka.

– Do zobaczenia – rzuca. Słyszając jej śpiewny głos, czuję lekki skurcz żołądka. Podnoszę wzrok, lecz Dori już nie ma.

Samochód już czeka przy krawężniku. Ledwie pojawiając się na podjeździe – spocony i upstrzony plamami niebieskiej farby – szofer przekręca kluczyk w stacyjce. Na pewno martwi się stanem, w jakim zostawię skórzaną tapicerkę mercedesa, lecz mówi tylko: „Dzień dobry, panie Alexander”, otwiera drzwi i czeka. Przez tę pieprzoną ugodę muszę odpracować społecznie dwadzieścia dni. Pierwszy dzień za mną, dziewiętnaście do odhaczenia. Na planie w Vancouver mam się stawić w połowie sierpnia. Nawet chwili wytchnienia!

Dori

Dwie godziny po zniknięciu Reida tata odbiera mnie z budowy. Wpłatamy się w sznur samochodów. Ojciec postukuje palcami o kierownicę. Zanim dotrzemy do domu, musimy przejechać kawałek autostradą, więc dla ukojenia nerwów włącza stację radiową z muzyką klasyczną. Nadają właśnie Bacha, koncert na dwoje skrzypiec. Opieram głowę o zagłówek i przymykam oczy. Tak bardzo się cieszę, że nie muszę dziś sama prowadzić. Nie cierpię autostrad w tym mieście. Mama powtarza, że kiedy po nich jeżdżę, wstępuje we mnie diabeł. Biorąc pod uwagę zachowanie innych kierowców, mam wrażenie, że wcale nie jestem wyjątkiem.

– No to opowiadaj. Jak dzisiaj poszło? – Tata próbuje podstęp, lecz jak zwykle wychodzi mu to marnie. Sam fakt, że odczekał kilka minut, świadczy o tym, że udaje. I co ja mam mu powiedzieć? Że Reid okazał się równie zepsuty i arogancki jak się spodziewałam? Że jest uparty, lecz pojętny, a w dodatku tak przystojny, że to właściwie zbrodnia?

– W porządku. – Nie potrafię ukryć irytacji.

– Kochanie, przecież na własne oczy widziałem, jak własnoręcznie przerobiłaś dwudziestkę małych urwipołciów na chór aniołków. – Poklepuje mnie po kolanie. – Wątpię, by teraz było ci trudniej.

– Widzisz, aniołki przynajmniej bały się mnie.

Tata wybucha śmiechem.

– Dori, wiesz przecież, że dzieci cię kochają.

– Właśnie o to chodzi. Miłość i strach. Dwa filary motywacji.

W godzinach szczytu autostrada 110 zamienia się w parking. Samochód prawie stoi w miejscu. Szybciej byłoby piechotą. Unoszę powiekę. Przez przednią szybę widać tył półciężarówki, po bokach stoją inne unieruchomione wozy.

– Czyli zamierzasz stosować tę strategię również w przypadku pana Alexandra?

Irytuje mnie, że tata nazywa go w ten sposób. Poza tym, dziewczyna jak ja w życiu nie wzbudzi w człowieku pokroju Reida miłości ani strachu.

– Nie mam pojęcia, w jaki sposób mogłabym go nakłonić, żeby zrobił coś, czego sam nie zechce.

– Jak to? Nie chciał dzisiaj pracować? – Tata marszczy czoło.

Przypomina mi się przerażona mina Reida, kiedy usłyszał, że trzeba położyć drugą warstwę farby. Tłumię parsknięcie.

– Nie. Pomalował cały pokój. Z moją pomocą.

Przygotowana zawczasu łazienka wciąż czeka. Jutro spróbuję wreszcie położyć te kafelki. Pod koniec dnia Reid radził sobie nieźle, więc być może rano nie będzie wymagał stałego nadzoru.

– Cóż, skoro nie zgrywał primadonny i rzeczywiście pracował, to już chyba pewien sukces.

Przymykam oczy, kołyszę głową do przodu i do tyłu. Staram się rozruszać mięśnie karku, obolałe po dniu malowania sufitów.

– Na koniec musiałam mu podpisać dokument. Wiesz, takie potwierdzenie, że się stawiał i pomagał. Podejrzewam, że gdyby próbował się migać, napytałby sobie biedy.

W głośnikach wciąż słychać Bacha. Rozpoczyna się kulminacyjna część koncertu, więc oboje na kilka minut milkniemy. Muzyka jest dla nas najdoskonalszą formą wyrażania uczuć. Prawdziwie natchnione utwory są w stanie doprowadzić mnie do łez, zapierają dech w piersi. A już nic nie sprawia mi takiej satysfakcji jak oddziaływanie na ludzi poprzez śpiew.

– A jakie masz plany na wieczór? Impreza do białego rana? Nielegalne wyścigi samochodowe? Randka ze śniadaniem? – Ojciec śmieje się z własnego żarciku. Wiem, że nie chciał ze mnie zakpić. Traktuje mnie jak niepoprawnie grzeczną córeczkę. Myślę sobie czasami, że jestem jedyną w dziejach Kalifornii dziewczyną, którą tata zachęca, by częściej balowała.

– Skąd wiedziałeś? Właśnie takie miałam plany.

– Czyli nadal widzisz się z... – Tata pstryka na palcach, próbuje sobie przypomnieć imię.

– Nickiem?

– Właśnie.

– Widzisz, między nami nigdy nie było nic poważnego.

Nick jest moim szkolnym kolegą. Poznałam go bliżej, ponieważ łączy nas zamiłowanie do wszelkiego rodzaju akcji dobroczynnych. Innymi słowy, jest moją męską wersją. Odkąd na początku liceum przeniósł się do naszej klasy, wszyscy starali się nas zeswatać. I faktycznie, kilka razy się umówiliśmy. Nadal zresztą, od czasu do czasu, spędzamy ze sobą wolne popołudnia. Jest bardzo miły i całkiem przystojny, ale bez problemu potrafię przeżyć kilka dni nie poświęcając mu ani jednej myśli. Więc nie poświęcam.

– A czy on o tym wie?

– Jezuu, tato! Przestań! – To takie zabawne, że ojciec interesuje się moimi sercowymi perypetiami. Tudzież ich brakiem. – Dogadujemy się. Jest sympatyczny. Zabawny. Przyjemnie się z nim rozmawia – tak, Nick stanowi całkowite przeciwieństwo Reida. Zaraz, dlaczego przyszedł mi do głowy właśnie Reid?

– Ajajaj! – rzuca tata. – Klasyczny przypadek braku chemii?

– Co?!

– Sympatyczny, zabawny, dobry kompan do rozmów. Zupełnie, jakbyś mówiła o mnie! – Zerka w prawo, żeby zmienić pas. Przy okazji puszcza do mnie oczko.

– No wiesz co? – śmieję się. – Nie jesteś jeszcze taki najgorszy.

Tata udaje, że podziwia w lusterku swoje odbicie, stroi przy tym śmieszne miny.

– Na szczęście nie musisz się z niczym spieszyć.

– Wcale nie zamierzam.

Mam osiemnaście lat, więc ojciec ma rację – naprawdę nic mnie nie goni. Nie przyznaję się jednak, jak bardzo chciałabym poczuć z kimś prawdziwą więź – bliskość tego rodzaju, jaka łączy jego i mamę. Na pierwszy rzut oka widać między nimi przede wszystkim szacunek i zaufanie, lecz ja dobrze wiem, że pod powierzchnią wrze gorąca namiętność. Nie przyznaję się też, jak bardzo się boję, że nigdy podobnego uczucia nie doświadczę. Nie mówię tacie, że zdarza mi się myśleć, iż wszystko co w życiu robię, robię po to, by stać się godną tak pięknej miłości.

Rozdział 6

Reid

Mama wychodzi do przedpokoju, z drinkiem w dłoni.

– Reid, a to co znowu!? – Unosi rąbek mojej koszulki i krzywi się z niesmakiem. Cofa dłoń i wyciera ją o siebie, jakbym poplamił się nie farbą, a psimi odchodami.

– Przecież to tylko farba. W dodatku już zaschnięta. – Ściągam T-shirt przez głowę, wymijam matkę i idę ku krętym, marmurowym schodom.

– A czy choć trochę tej farby trafiło na ściany? – Okazuje się, że talent do zjadliwych uwag jest w naszej rodzinie dziedziczny. U mnie ten gen uaktywnił się ze zdwojoną siłą.

– Żebyś wiedziała. Wezmę prysznic. O której kolacja? – wołam z półpiętra.

– Immaculada zapowiadała, że na siódmą.

– W takim razie jeszcze się zdrzemnę. Potem wychodzę, a jestem padnięty.

Nie czekam na odpowiedź. Nie mam pojęcia, czym mama wypełni sobie wieczór, zwłaszcza jeżeli taty nie będzie w domu – a zwykle go nie ma. Pewnie skończy się na jeszcze jednym drinku. Albo i trzech.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że skasowałeś swoją nową dziewięćsetjedenastkę. – John redukuje przed zakrętem bieg swojego jaguara (serii XJ). – Serio stary, normalnie masakra.

Moje tygodniowe porsche 911 GT2 RS było rzeczywiście cudne. A z tamtej feralnej nocy nie pamiętam nawet momentu, kiedy siadałem za kierownicą. W sumie powinienem się cieszyć, że akurat nie zabrałem z klubu żadnej dziewczyny – impet zderzenia zmiażdżył cały prawy bok samochodu.

Kurde, przecież nie chciałem snuć dzisiaj wieczorem żadnych rozważań na trzeźwo.

– Więc jak? Kupujesz nowy wózek?

– Teraz nie ma sensu. Zatrzymali mi prawko na pół roku. – Sześć miesięcy, cholera. Co gorsza, sędzia nie zaliczył na poczet kary okresu, jaki minął od wypadku do wydania wyroku. Zakaz prowadzenia zaczął obowiązywać dopiero po zawarciu ugody. Czekam więc jeszcze długie pięć miesięcy, dwa tygodnie i cztery dni motoryzacyjnej abstynencji.

– No i co z tego? – Skonsternowany John marszczy czoło.

Jasne, w sumie nie powinienem był oczekiwać, iż mój najlepszy przyjaciel

załapie, że nie chcę prowadzić bez ważnego prawa jazdy. Pojęcie konsekwencji dla Johna po prostu nie istnieje. Jest przy tym największym farciarzem, jakiego znam – cokolwiek nabroi, uchodzi mu na sucho. Niekiedy to aż dziwne. Nie mówiąc o tym, że rażąco, cholernie niesprawiedliwe.

– Muszę na jakiś czas przystopować. Najpierw wpadka z trawką, a teraz jeszcze ta stłuczka i przymusowe prace społeczne.

– Ale przecież w sprawie ziola zarzuty wycofali, nie?

– Tak. Tyle że wiesz, kiedy człowiek stoi przed sędzią... Po prostu ma się wtedy wrażenie, że koleś wie o wszystkim, co kiedykolwiek zrobiłeś.

– Łooo... – John należy do tych gości, którzy często robią wrażenie, jakby byli nieustannie nawaleni. W rzeczywistości jest jednak w miarę bystry – chyba że akurat zdarzy mu się naprawdę nawalić, co w jego przypadku równa się zwykle niemal totalnemu zgonowi.

Jedziemy do Beverly Hills na imprezę u jakiejś panny. John twierdzi, że laska – dziedziczka sporej fortuny – od pewnego czasu bez powodzenia próbuje rozwinąć w Hollywood aktorską karierę. Rezydencje, które po drodze mijamy, właściwie nie różnią się od domu moich rodziców – wprost ociekają luksusem. Bez powodzenia, jasne.

– Myślisz, że będą tam jakieś chętne? – Nie marzę o niczym innym, jak upić się w sztok, wyhaczyć seksowną, równie jak ja narąbaną, pełnoletnią laskę i znaleźć zaciszny pokój. Żadnych brązowych włosów, żadnych brązowych oczu. Zero nadzoru, kierownictwa i dobrych rad. Zero sarkazmu. I zero gadania.

– O, stary! Wpływamy właśnie na prawdziwy ocean możliwości.

– Git. – Oczyma wyobraźni widzę już tę wysoką, długonogą, niebieskooką blondynkę z wielkimi piersiami.

Mieszkamy przecież w Los Angeles. A w tym mieście można w laskach przebierać jak w ulęgałkach.

Dori

Dzień trzeci nie potoczył się zgodnie z moimi wyobrażeniami. Drugi, naturalnie, też nie. Po pierwsze, Reid przyszedł spóźniony się o całą godzinę i w dodatku na potężnym kacu. Z początku próbował swój stan ukryć (myślał, że wystarczy założyć ciemne okulary? serio?), ale fakt, iż osobiście nie bawi mnie alkohol ani narkotyki, wcale nie oznacza, że nie potrafię rozpoznać pijanego czy naćpanego. Mieszkańcy dzielnic, w których pracuję, mają dostęp do szerokiego wachlarza sposobów na przytłumienie gorczy szarej codzienności. Ważne miejsce w owym wachlarzu zajmują właśnie substancje, które w rzeczywistości jedynie

przesłaniają prawdziwe problemy.

Szczerze mówiąc, jego lekko nabiegłe krwią oczy i całkowity brak energii – w połączeniu z opieszałością i jeszcze bardziej opornym nastawieniem niż pierwszego dnia – niemal wyprowadziły mnie z równowagi. Miałam po prostu ochotę wpakować go z powrotem na tylne siedzenie tej luksusowej limuzyny i odesłać do domu. Ale cóż, muszę nad takimi odruchami panować. Jaki byłby ze mnie pracownik socjalny, gdybym nie umiała poskromić własnych emocji? W przyszłości będę się przecież stykać z ludźmi o jeszcze słabszych charakterach. Choć w tej chwili niełatwo mi to sobie wyobrazić.

W dodatku Reid okazał się chodzącym wykroczeniem przeciwko przepisom BHP. Nie było mowy, bym mogła zostawić go sam na sam z wałkiem. O toksycznych oparach farby nie wspomnę. Strach myśleć, jak mogłyby na niego wpłynąć, zwłaszcza, że od początku nie był w najlepszej formie. Wszelką pracę przy użyciu narzędzi – zwłaszcza elektrycznych – musiałam więc wykluczyć. Jedynym zajęciem, jakie zdołałam dla niego wymyślić, było układanie darni za domem. Wydawało mi się, że wyświadczę mu w ten sposób przysługę – nie dość, że mógł przebywać na świeżym powietrzu (na tyle świeżym, na ile to w L.A. możliwe), to nie musiał zdejmować tych swoich okularów i nie groziło mu, że przebije sobie przypadkiem rękę.

Oczywiście, ponieważ odprawiłam Reida, po raz kolejny musiałam odłożyć układanie kafelków i sama zabrać się do malowania. Ktoś przecież musi to zrobić, zanim przywiozą nam wykładziny. Zdeterminowana, by zająć się wreszcie konkretną robotą, zostawiłam Reida z Frankiem, który kieruje wszystkimi pracami w ogrodzie.

Tuż przed przerwą na lunch wróciłam, by sprawdzić, jak sobie radzi i czy Frank nie miał z nim zbyt wielkiego utrapienia. Podwórko było wyłożone trawą mniej więcej w połowie, a Reid stał oparty wygodnie o stylisko ubijaka i gawędził w najlepsze z prześliczną dziewczyną w króciutkich, dzinsowych szortach i różowej bluzeczce na ramiączkach. Sądząc po stojącej u jej stóp turystycznej lodówce, panienka powinna właśnie rozdawać butelki z wodą. Kiedy się odwróciła, rozpoznałam w niej Gabrielle Diego, córkę przyszłych właścicieli tego domu – ludzi, do których salonu Reid wjechał samochodem.

Cała jej pięcioosobowa rodzina tłoczy się teraz przez niego w motelu, a ona wpatruje się w niego z taką miną, jakby miała ochotę, by rozbijał sportowe wozy o jej dom choćby codziennie!

Zauważyła, że stoję w drzwiach, musnęła ramię Reida i powiedziała coś, co sprawiło, że zerknął w moją stronę. Popatrzyliśmy sobie w oczy. Nie odrywając ode mnie wzroku, pociągnął głęboki łyk z butelki, nachylił się ku Gabrielle i szepnął jej coś na ucho. Gdy parsknęli śmiechem, miarka się przebrała. Energicznym krokiem wróciłam do środka i położyłam w sypialni dziewczyny

drugą warstwę farby. Następnie zagruntowałam ściany pokoju jej braci – nie zrobiłam sobie nawet chwili przerwy. Kiedy wreszcie przyjechał po mnie tata, mięśnie grzbietu dosłownie błagały mnie o zmiłowanie. Papiery Reida musiał podpisać Frank; ponownie spotkałam go dopiero dziś rano.

Zdołaliśmy skończyć sypialnię rodziców i łazienkę. Poza obowiązkowym zestawem pytań i odpowiedzi nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Lunch zjadł w towarzystwie Gabrielle, co przepelniło mnie dziwnie nieprzyjemnym uczuciem. Na koniec, składając w wyznaczonym miejscu podpis potwierdzający, że Reid przepracował trzeci dzień kary, oświadczyłam:

– Wiesz, nie przychodzisz tu w celach towarzyskich. Twoim zadaniem jest wziąć udział w budowie domu dla Diegów. Być może uda ci się przy tym wyrobić większą wrażliwość społeczną. Ta praca ma ci w tym pomóc.

Reid rozdziawia szeroko usta, po czym wygłasza kąśliwą uwagę na temat mojego „... (tu wstawić słowo na p) humanitaryzmu” i tego, że wcale nie potrzebuje niczyjej pomocy, a nawet gdyby potrzebował, nie wybrałby mnie.

Zamiast trzymać język na wodzy, odpowiadam, że nie podałamby mu szklanki wody, nawet gdyby zapłonął żywym ogniem. Dodaję też, że nie musi się obawiać, iż będę próbowała mu pomagać, ponieważ już wiele lat temu doszłam do wniosku, że nie wszystkie osobniki są warte wysiłku.

– Ach, tak? Czyli twoim zdaniem ktoś taki jak ja nie jest godzien dostąpić odkupienia? – uśmiecha się złośliwie.

Odwracam wzrok od jego rozanielonej, zadowolonej twarzy, sięgam po kielnię i zaczynam łukowatymi ruchami układać zaprawę na ścianie prysznica.

– Moim zdaniem na beznadziejne przypadki po prostu szkoda czasu.

Reid odpowiada śmiechem.

– Skąd pewność, że jestem beznadziejnym przypadkiem?

Nie zaszczytam go nawet przelotnym spojrzeniem.

– Może stąd, że po prostu nie widzę nawet światełka w tunelu. – Przyciskam kafelek do ściany, sięgam po następną płytkę i układam ją tuż przy pierwszej. – Weźmy choćby twój niewyparzony język albo brak jakichkolwiek zasad moralnych, albo chroniczną niezdolność do poważnego traktowania cudzych potrzeb i niepowodzeń. Powiedz serio, czy według ciebie cokolwiek na świecie stanowi jakąś prawdziwą wartość? Taką nie tylko dla ciebie samego?

– Przecież przychodzę tutaj, w sam środek rojącej się od gangsterów dzielnicy. Na ochotnika wykonuję prace fizyczne...

– Na ochotnika? Prace fizyczne? Że co proszę?! – obruszam się, nie komentując nawet jego typowej dla celebrytów pogardy dla mieszkańców uboższych części miasta. – Po pierwsze, trafiłeś do nas z nakazu sądu, a po drugie, przez pół dnia robisz mniej więcej tyle, ile my do momentu, kiedy raczysz się łaskawie pojawić. Znikasz stąd, gdy tylko mija wyznaczona godzina, a czasem

przestajesz pracować nawet wcześniej, bo coś cię nagle rozprasza. Coś lub ktoś! – W rzeczywistości pracował ciężiej, niż się spodziewałam, ale ta jego postawa, jego protekcjonalny stosunek do otoczenia sprawił, że nie miałam zamiaru tego przyznawać.

– Ach, tu cię boli! Bo zwróciłem uwagę na atrakcyjną dziewczynę, tak? Zazdrosna?

Prycham niewyraźnie i kręcę zdecydowanie głową.

– Skąd! W życiu! Odrażający jesteś!

Znów wybuch śmiechu.

– Odrażający? To dość mocne sfor...

– Nie. Wierz mi. Nie dość mocne. A teraz wybaczone, czekają na mnie prawdziwe, konstruktywne zajęcia...

– Jak to możliwe, że osoba z takim altruistycznym światopoglądem jak twój, przyznaje sobie prawo do oceniania, kto jest beznadziejny, a kto ma przed sobą perspektywę? – Reid nie daje się zbyć. Coś w doborze słów i grobowym spokoju jego głosu zmusza mnie do podniesienia wzroku. Stoi nade mną, jest naprawdę wysoki.

Powoli podnoszę się z klęczek. Dzieli nas przynajmniej osiem cali wzrostu i niecałe dwie stopy odległości. Łazienka jest ciasna. Ale ja się tego chłopaka nie boję. Doskonale rozumiem, co stoi za jego aroganckim oburzeniem. Do tego stopnia przywykłam, że dostaje wszystko, czego tylko zapragnie, iż nie jest w stanie pogodzić się z porażką. Mówiąc poważnie: być może tkwi w nim coś wartościowego, ale nie ma to żadnego znaczenia, bo on sam nigdy się do tego nie przyzna. Teraz już wiem, dlaczego przy naszym pierwszym spotkaniu poczułam falę dziwnej melancholii.

– Sam to powiedziałaś, Reid. Ty po prostu nie chcesz pomocy, więc wszelkie wysiłki byłyby z góry skazane na porażkę. Nawet gdybym chciała ci pomagać. A nie chcę – mówię równie spokojnie jak on, z tą jednak różnicą, że mój gniew już wygasł, podczas gdy od niego wciąż bucha niczym letni żar z nad rozgrzanego chodnika.

– Panie Alexander, samochód czeka. – W drzwiach staje Roberta.

– Dzięki – rzuca chłopak, nie odrywając ode mnie spojrzenia.

Kucam i ponownie zanurzam kielnię w zaprawie. Rozsmarowuję na ścianie następną porcję szarej mazi i zaczynam ją wygładzać. Tak, jestem świadoma, że Reid wciąż stoi tuż obok, ale nie mam zamiaru poświęcać temu koleśowi nawet sekundy uwagi. Jeśli o mnie chodzi, może sobie tak sterczeć, dopóki nogi nie odmówią mu posłuszeństwa.

– Czyli zbawiasz tylko tych, którzy spełniają z góry założone kryteria? Takie sukcesy są chyba niewiele warte, co? Powiem więcej, jesteś obłudna i dyskryminujesz ludzi. – Odwraca się i wychodzi. Chwilę potem trzaskają

frontowe drzwi.

I w ten sposób dobiega końca dzień numer trzy. Święty Józefie, jednak będzie gorzej, niż myślałam.

Nie chciałam sprowokować takiej sytuacji. Naprawdę. Po prostu w towarzystwie Reida, zupełnie jak na autostradzie, wstępuje we mnie diabeł.

Jutro czeka nas montaż listw podłogowych, zakładanie drzwi i wieszanie szafek w łazience. Bardzo bym chciała uporać się wreszcie z tymi kafelkami pod prysznicem, ale to zadanie wymaga precyzji i nie powinnam go wykonywać roztrzęsiona. Płytki powinny leżeć idealnie równo. Oddycham głęboko – raz i drugi. Tata przyjedzie za jakąś godzinę lub dwie, mam więc sporo czasu, by zapomnieć o Reidzie i zająć się prysznicem.

Wciąż dręczy mnie jedna insynuacja, choć nie jestem pewna, czy on sam rozumie, co powiedział. Kiedy stwierdziłam, że jego przypadek jest beznadziejny, odplącił się, nazywając mnie hipokrytką. Dlatego że z góry skreśliłam go z listy osób wartych pomocy – zaraz po tym, jak sam wypalił, iż żadnej pomocy wcale nie chce.

Nie lubię zmieniać zdania, ale to przecież nie oznacza, iż jestem do tego niezdolna. Dlatego wciąż się zastanawiam – czy Reid Alexander po prostu starał się wygrać słowną potyczkę, czy może dał mi właśnie do zrozumienia, że potrzebuje pomocy w walce z samym sobą?

Rozdział 7

Reid

„Odrażający”. Bezprecedensowa ocena Dori uderzyła mnie tak niespodziewanie, że nie mam bladego pojęcia, co o tym myśleć. Gdyby podobne słowa padły z ust kogokolwiek innego, nie przejąłbym się ani trochę. Uznałbym, że to zwykły przejaw uprzedzeń i zawiści – naturalna reakcja większości na moją młodość, sławę, bogactwo i uprzywilejowaną pozycję. Mam wrażenie, że w tej kategorii słyszałem już wszystko. Poza tym tak nieuzasadniona wrogość spotyka mnie jedynie podczas rozstań z przypadkowymi dziewczynami, które z jakiegoś powodu niebywale się dziwią, że nie zakochuję się w nich po jednej wspólnej nocy.

Czy to możliwe, by Dori była mi tak niechętna, dlatego że nawet nie spróbowałem się dobrać do tych jej niemodnych spodni? Dotąd sądziłem, że należy do gatunku lasek, które bezwzględnie wymagają szacunku (mimo że potrafi przyjąć na klatę niemałą dawkę kpin, które, co ciekawe, spływają po niej jak woda po kaczce). Jest przy tym – nie licząc George’a – najbardziej cierpliwą osobą, jaką w życiu poznałem. Toleruje praktycznie wszystko, co robię, nawet godzinne spóźnienia i koszmarnego kaca. Może to jej pokręcony sposób na okazanie zainteresowania? Czyżby pod tymi gigantycznymi koszulkami kryła się jednak dziewczyna, która pragnie męskiej uwagi jak wszystkie inne?

Z drugiej strony, niewykluczone, że gdybym zrobił cokolwiek w tym kierunku, w moich aktach, obok jazdy pod wpływem, pojawiłby się zarzut o molestowanie seksualne.

Zostały mi trzy tygodnie i dwa dni. Ale przecież zdarzało mi się ciężiej pracować na planach filmowych. Z powodzeniem zniosłem mnóstwo absurdalnie nieprofesjonalnych fochów filmowych partnerek, przetrwałem tyranie reżyserów, przy których Dori wydaje się łagodna jak baranek. Tak, jeszcze tylko trzy i pół tygodnia, a potem wrócę wreszcie do normalnego życia.

John zaraz mnie wkurzy. Razem z kilkoma kumplami postanowili, że dziś wieczorem koniecznie muszą wyskoczyć na miasto. Ponieważ wszystkie dostępne imprezy zapowiadają się nędznie, postanowili zahaczyć o kilka klubów. A jako że żaden z nas nie skończył jeszcze dwudziestu jeden lat, chcą bym wybrał się z nimi – moja obecność praktycznie gwarantuje bezproblemowy wstęp, w dodatku traktują nas potem jak VIP-ów.

Zwykle nie mam z tym problemu. Jak to mówią, służę uprzejmie. Dzisiaj

jednak po prostu padam na pysk – a w dodatku wlałem już w siebie dwa szoty, musiałem jakoś ochłoniąć po scysji z Dorcas. Hałas, ludzie i paparazzi? Nie, dziękuję, postoję. Mam ochotę posiedzieć w domu, pogapić się bezmyślnie w telewizor i zasnąć z pilotem w rękę, a jutro wstać i pojechać wynajętą limuzyną do tego żalospnego, nieukończonego domu, który pomagam budować. Boże – chyba nigdy w życiu nie czułem równie nietypowej potrzeby.

John jednak nie chce o tym słyszeć.

– Ej, no...! Brachu, tak na dwie godzinki. Niby dlaczego nie? – Zachowuje się jak namolny bachor. Egocentryczny, przerośnięty, dziewiętnastoletni bachor.

– Dlatego, że jestem wyczerpany. Cała skóra mnie pali od słońca, a jutro znów muszę wstać prawie w środku nocy. Ale ciebie to, oczywiście, nie interesuje.

– Jest lato!

– I co z tego?

– Pora imprezować, nie hibernować!

– John, mieszkamy w Los Angeles. Tu nigdy nie ma dobrej pory na hibernację. Zresztą, wszystko jedno. Jestem, kurde, skonany. W piątek dokądś wyskoczmy.

– No dobra – wzdycha wyraźnie przybity. – Ale jeśli do piątku zanudzę się na śmierć, będzie na ciebie.

– No to do piątku. – Lepsza puenta nie przychodzi mi do głowy.

Rozłączam się. W telefonie czeka masa nieprzeczytanych SMS-ów. Wszyscy znajomi chcą ode mnie właściwie tego samego. Zapraszają na imprezy, proszą żebym ich wkręcił na czyjaś domówkę lub żebym pojechał z nimi na miasto. Wszystkich dręczy śmiertelna nuda. I każdy myśli wyłącznie o zabawie, która pozwala skutecznie przed nudą uciec.

Sprawdzam SMS-y, przeglądam listę nieodebranych połączeń. Kiedy mam już pewność, że nie próbował się ze mną skontaktować George, rzucam telefon na stolik przy łóżku i włączam telewizor. Zaraz potem wyłączam go i zaczynam przechadzać się po pokoju, grzechocząc kostkami lodu w szklaneczce.

Jestem niespokojny, a to przecież stan zupełnie mi obcy. W normalnych okolicznościach, gdy tylko coś zaczyna mnie dręczyć, po prostu wychodzę. Nigdy nie łączę w tę i z powrotem, niczym bandzior po celi. Dlaczego właściwie siedzę w domu? Żeby nie mieć jutro kaca? Bo to nie spodobałoby się Dorcas? A co mnie, do cholery, obchodzi, co się tej pannie spodoba? Na litość Boską, przecież ona pewnie siedzi teraz na chacie i szydełkuje.

Łapię komórkę i dzwonię do Johna, który przyjeżdża tak szybko, że nie mam kiedy się rozmyślić. Przed dwoma dniami próbowałem znaleźć dokładne przeciwieństwo Dorcas Cantrell, lecz to wcale nie przegnało jej demona z mojej głowy. Dzisiaj więc poszukam jej bliźniaczki, mimo że w lokalach, które odwiedzamy, graniczy to z cudem. A kiedy już ją znajdę, niech mnie cholera, jeśli

jeszcze przed ranem nie zacznij mnie błagać, bym wziął ją pod ścianą w toalecie.

Dori

– Hej, młoda. W końcu kiedy lecisz do Ekwadoru? – Deb jest pewnie skrajnie wykończona, ale dla mnie zawsze potrafi znaleźć czas. Podejrzewam, że po lekturze moich ostatnich SMS-ów domyśliła się, że coś mnie dręczy. Bezbłędnie wyczuwa moje zdenerwowanie. Zupełnie, jakby łączyło nas jakieś duchowe WiFi.

– Za dwadzieścia dni.

– Odliczasz już dni? – W jej słowach słyszę uśmiech. – Tak bardzo tęsknisz za Quito czy tak marnie się czujesz w L.A.?

– Jedno i drugie.

– Mhm. Doszły mnie słuchy, że Habitat nawiedza ostatnio pewien celebryta. Ciężko wzdycham i wyciągam się na łóżku.

– Nie rozmawiajmy o nim.

Deb parska śmiechem.

– No przestań. Nawet słówka nie powiesz? Hmm... – zawieszają głos.

– No co?

– Dori, kiedy się urodziłaś, miałam już osiem lat. Myślę więc, że znam cię całkiem dobrze. Skoro nie chcesz o nim pogadać, to znaczy, że głęboko załazł ci za skórę.

– W nim nie ma nic głębokiego, możesz mi wierzyć. Jest tak płytki i próżny, jak to sobie pewnie wyobrażasz – odpowiadam stanowczo zbyt szybko.

– Dobra, dobra. Tak się tylko droczę. – Deb zawsze jest taka miła. Jest tą osobą w moim życiu, która daje mi najwięcej radości i jednocześnie wywołuje we mnie najsilniejsze wyrzuty sumienia. Ja cieszę się kochającą i wspierającą mnie rodziną, pieniędzy zawsze wystarcza mi na zaspokojenie najważniejszych potrzeb – jedzenie, ubrania, książki – a tymczasem inni żyją w biedzie i samotności, chorują lub cierpią, gdyż brakuje im czegoś istotnego. Ten ostatni wniosek z jakiegoś powodu przypomina mi o Reidzie, co jest raczej absurdalne. On dostaje przecież wszystko, czego dusza zapagnie, a nawet więcej, i nie ma absolutnie żadnej wymówki, jeśli chodzi o narzucanie się ze swoim egocentryzmem ludziom, którzy nie mieli aż tyle szczęścia.

Odpycham od siebie te myśli i pytam Deb o jej specjalizację. Po czterech latach szkoły średniej i kolejnych czterech na akademii medycznej została wreszcie panią doktor Deborah Cantrell. Teraz, aby spełnić swoje marzenie i stać się pełnoprawnym lekarzem pediatrą, musi przez najbliższe trzy lata pracować jak wariatka, zarabiając ledwie na utrzymanie i spłatę studenckiego kredytu.

– Nie masz pojęcia, ilu uzależnionych zgłasza się na pogotowie tylko po to, żeby zdobyć jakieś silne prochy – wzdycha z frustracją. – Rozpaczliwie potrzebują się odurzyć, więc przychodzą i zmyślają. Doszło do tego, że doświadczeni lekarze z góry zakładają, że oszustem jest każdy, kto w opisie objawów podaje „ból”. Mają nawet specjalną listę recydywistów.

Próbuję sobie wyobrazić siostrę w takim świecie. Deb z jej społecznym idealizmem i żarliwą ambicją niesienia ludziom pomocy.

– Może właśnie ciebie tam brakowało? Może okażesz się antidotum na ich pesymizm?

– Cóż, tak czy inaczej, zanosi się na trzy niełatwe lata.

– A powiedz... Są tam jakieś ciacha? – zmieniam temat.

Deb parska śmiechem

– A żebyś wiedziała. Jest taki jeden. Niestety, pech chciał, że jest najbardziej cyniczny z nich wszystkich. Wczoraj w nocy omal nie przegapił przedwczesnego odklejenia łożyska. Tylko dlatego, że ciężarna jest znaną ćpunką. Skarzyła się na ostre bóle pleców, więc chciał ją odesłać do domu z pudełkiem tylenolu. Na szczęście przekonałam go, by pozwolił mi ją zabrać na USG. Wiesz, powiedziałam, że chcę nabrać wprawy. Skończyło się nagłą cesarką. Gdyby ta kobieta rzeczywiście wróciła do domu, straciłaby dziecko, a sama mogłaby się wykrwawić.

– Rany! – Nie wszystko z tego rozumiem, ale zabrzmiało naprawdę groźnie. – Deb, ocaliłaś dwa życia!

– No, wiesz. Matka zaklinała się, że odkąd zaszła w ciążę, niczego nie bierze, ale według niego ćpunem zostaje się na całe życie – opowiada z cichym westchnieniem irytacji.

– Ale my wiemy, że to nieprawda. – Nasi rodzice w ciągu długich lat swej pracy pomagali wielu narkomanom. Niestety, większość ostatecznie wróciła do nałogu, a to przygnębia, ale niektórzy nadal są czysti. Tata powtarza, że trzeba walczyć właśnie ze względu na tę mniejszość, bo nigdy nie można z góry przewidzieć, komu uda się z prochami zerwać.

– Widzisz, Bradford wychował się w zupełnie innym środowisku niż my. Dopóki nie został lekarzem, nigdy nie stykał się z nałogami czy ubóstwem. Naciągnęłam go dzisiaj na chwilę zwierzeń. Dorastał na zamożnym przedmieściu, rodzina z wyższej klasy średniej. O narkotykach wiedział tyle, że niektórzy kumple ze szkoły palili trawkę. Czasem pojawiała się ekstaza. Więc, w jego mniemaniu, człowiek uzależniony od kokainy czy metaamfetaminy jest już nieodwołalnie skreślony. Nie widzi dla takich nadziei.

Przypominam sobie moment, gdy powiedziałam Reidowi, że nie widzę dla niego nadziei. Przypominam sobie jak bardzo się wściekł, kiedy stwierdziłam, że nie jest wart mojego czasu i uwagi. Nie mam pojęcia, czy jest uzależniony od jakichkolwiek substancji chemicznych, ale z pewnością ma inny nałóg –

hedonistyczny styl życia. Tylko czy rzeczywiście nie widać dla niego nadziei? Może to on miał rację? Może moja pochopna i ostra ocena rzeczywiście świadczy o hipokryzji?

– Czyli, jak rozumiem, opowiadasz Bradfordowi, jak wygląda prawdziwe życie, co?

– Próbuję, ale mam do czynienia z najbardziej niereformowalnym i upartym człowiekiem, jakiego spotkałam od czasów Horshama. – Przez doktora Horshama, wykładowcę patologii na jej drugim roku, Deb niemal rzuciła studia. Dopiero mama przekonała ją, że powinna udowodnić światu i jemu, że jest twarda, i że się nie podda.

Rozmowa dobiega końca. Leżę na łóżku i myślę o mojej siostrze walczącej o zdrowie i dziecko byłej narkomanki. Tym razem miała rację, ale nie zawsze przecież tak będzie. Zawsze będą istnieć narkomani wyludzający ze szpitali lekarstwa, które nie trafią do naprawdę potrzebujących. Z drugiej strony, zawsze też uda się jej znaleźć osoby, na których wszyscy postawili krzyżyk i rozwiąże ich najtrudniejsze nawet problemy – pod warunkiem, że rozwiązanie będzie realne. Ona już po prostu taka jest.

Kiedy mama dowiedziała się, że jest ze mną w ciąży, pracowała na oddziale położniczym na dwunastogodzinnych zmianach. Ostatnie dwa miesiące lekarz kazał jej spędzić w łóżku, przez co nie zrealizowała swojego planu i nie urządziła pokoju dzieciennego własnoręcznie

Stary, wygrzebany na strychu kojec stał żałośnie na środku kompletnie pustego pokoju, dopóki sprawą nie zajęli się Deb i tata. Mama umyśliła sobie, że głównym motywem dekoracyjnym będą owieczki, ale ta idea upadła. Deb była wówczas – za sprawą kanału Discovery – na etapie miłości do wszystkich morskich żyjątek, ze szczególnym uwzględnieniem mieszkańców australijskiej Wielkiej Rafy Koralowej. Uparła się, by ozdobić mój pokój rybkami. Tata do dzisiaj twierdzi, że miałam sporo szczęścia. Następną fascynacją siostry były gady i płazy.

Tak więc pomalowali mój pokój na turkusowo. Na podłodze wyrosły sztuczne koralowce z pomarańczowego kartonu, a pod sufitem zawisły dwadzieścia dwie drewniane rybki, które tata wyciął w swoim warsztacie ze sklejki i pomalował opalizującą niebieskozieloną farbą. Mama chciała, by były różnokolorowe, ale on uparł się, że muszą wyglądać identycznie jak te, które wypatrzył w jednym z numerów „National Geographic”.

Koralowców od dawna już nie ma, a tuż przed liceum, do spółki z mamą, przemalowałam pokój na jaśniejszy odcień błękitu. Rybki natomiast zostały. Zawieszona na żyłkach pływają całą ławicą od drzwi do okna. Wiążą się z nimi moje najwcześniejsze wspomnienia. Leżę z głową w nogach łóżka i patrzę sobie jak falują w strumieniu powietrza z klimatyzatora. Płyną i płyną. Bez końca.

Rozdział 8

Reid

- Uwaga! Supermodelka na drugiej. Właśnie cię obczaja.
- Patrzę we wskazanym kierunku. Nic. Rozglądam się dalej.
- John, to jest dziesiąta.

Co prawda mój skrzydłowy nie zna się na zegarku, ale ma rację. Prawdziwa supermodelka. I rzeczywiście mnie obczaja. A teraz, ponieważ na nią spojrzałem, rusza w moją stronę. Chuda jak patyk, kołysze nieistniejącymi biodrami. Jej twarz i reszta ciała składa się wyłącznie z płaszczyzn i kątów – zdecydowanie nie jest sobowtórem Dorcas Cantrell.

- Cześć – rzuca John.
- Hej. – Dziewczyna podaje mi rękę. – Dorika jestem.

Dorika, oczywiście, że Dorika. Nie zapomnę tego imienia do jutra wyłącznie dlatego, że jest niemal identyczne jak u dziewczyny, której zupełnie nie przypomina; dziewczyny, o której z jakiegoś dziwnego powodu nie potrafię przestać myśleć.

– Reid. – Dzięki jej obcasom nasze oczy znajdują się na równym poziomie. Nieskazitelnym makijaż, ciemne, przymrużone oczy, pierścionek z ametystem. Uśmiecha się, kiedy muskam jej dłoń wargami.

- Tak. Wiem. Reid Alexander. – Aha, wie, kim jestem. Coraz lepiej.
- A ja jestem John.

Dziewczyna nawet na mgnienie nie odrywa wzroku od mojej twarzy; Johnowi nie poświęca ani krzty uwagi, mimo że nie jest brzydalem. Mógł się jej wydać nieco zbyt niski – zwłaszcza na tych obcasach – ale do tego jest z pewnością przyzwyczajona. Przerasta większość koleśki w klubie.

Przywołuję skinieniem kelnerkę i zamawiam dla niej kolejnego drinka.

- Skąd jesteś, Doriko? – Jej akcent sugeruje wschodnią część Europy.
- Z Budapesztu.
- I co sprowadza cię do L.A.? – Odpowiedź zupełnie mnie nie interesuje; pytanie stanowi po prostu tradycyjny element gry.

– Jak to co? Przystojni faceci. – Dziewczyna zanosi się perlistym śmiechem i przerzuca przez ramię ciemne, falujące włosy. Robi to z premedytacją, więc chichoczę wraz z nią, by wiedziała, że aluzja do mnie dotarła. – Poza tym, robię właśnie rozkładówkę dla „Elle”.

Wyczuwam, że John wyskoczy zaraz z jakimś wulgarnym tekstem – słowo „rozkładówka” musiało się mu dwuznacznie skojarzyć – więc rzucam mu

spojrzenie, mówiące jednoznacznie: „siedz cicho”. Ku memu wielkiemu zdumieniu, faktycznie siedzi cicho.

Kelnerka odbiera od Doriki niemal pustą szklaneczkę i zwinnym ruchem wręcza jej świeżego drinka.

– Strasznie tu głośno – podejmuje dziewczyna, upijając niewielki łyk.

– No wiesz, w końcu to klub.

– Znam niedaleko taki cichy bar – wtrąca John, ale równie dobrze mógłby być niemy. Dorika wciąż kompletnie go ignoruje.

– Mieszkam w hotelu kilka przecznic stąd. Wygodniej tam. Ciszej. Pójdiesz ze mną? – pyta.

Przyglądam się jej jeszcze przez chwilę. Nie widzę powodu, by jej odmawiać. I nie mam żadnego powodu.

Dori

Wyciągam z puszkii mieszadełko i sprawdzam konsystencję farby. Spiralna strużka spływa na gładką, białą powierzchnię. Zmarszczki znikają niemal w jednej chwili. Świetnie. Oddycham z zadowoleniem. I ten chemiczny zapach. Zawsze mi się podobał, mimo że strasznie wierci w nosie. Kiedy przyjeżdża Reid, podobnie jak przez trzy ostatnie dni, tempo prac spada niemal do zera. Rozkład domu już zna, więc postanawiam, że nie będę go szukać. Gdy z wonią farby miesza się aromat espresso, uświadamiam sobie, że to on mnie znalazł. Zamykam oczy, liczę w duchu do trzech, biorę głębszy oddech, odwracam się i wstaję z kolan.

Chłopak trzyma w ręku dwa kubki ze Starbucksa. Jeden podaje mnie.

– Rozejm?

Skonsternowana odbieram swoją kawę.

Uśmiecha się, przewidział moją reakcję.

– Sojowa latte. Ale jeśli wolisz inną, zaraz wyślę szofera.

Zaskoczona, aż mrugam. Co on? Śledzi mnie? Skąd wie, jaką kawę lubię najbardziej?

– Nie, może być. Dziękuję.

Reid rozgląda się po małej łazience, pociąga łyk z kubka.

– Dzisiaj leci druga warstwa farby na szafki i listwy, tak?

– No... Owszem.

– O, udało ci się ułożyć te płytki? Do której tu siedziałeś? – Wygląda na to, że mu zaimponowałam. Wyciąga palce do ściany, lecz zaraz je cofa. – Mogę dotknąć?

– Pewnie – kiwam głową. – Już wyschło.

– Tak równo leżą... – stwierdza, gładząc białe, błyszczące kafelki. Jego śmiech wcale nie przypomina drwiącego chichotu, do którego przywykłam przez kilka ostatnich dni. – Gdybym ja się za to zabrał, na ścianie powstałaby psychodeliczna mozaika. – Z uśmiechem na twarzy czeka, bym zaprotestowała.

Kącik moich ust wędruje mimowolnie ku górze.

– Hm, dzięki.

Kończę silikonować prysznic, po czym idę sprawdzić, jak Reid radzi sobie z szafkami w drugiej łazience. Głos Gabrielle dolatuje mnie tuż przed wejściem, więc przystaję i nadstawiam ucha.

– Chciałabym po prostu żyć po swojemu, wiesz? Studia mnie nie interesują. Dość już mam całej tej nauki.

O ile dobrze pamiętam rozmowę z jej matką, Gabrielle spędziła ostatnie sześć tygodni na zajęciach uzupełniających, na które trafiła po oblaniu dziesiątej klasy. W ciągu roku, bardziej niż prace domowe, zajmowali ją chłopcy i imprezowanie.

– Mhm... – mruczy niezobowiązująco Reid. Ja na pewno spróbowałabym przemówić jej do rozumu.

– Chciałabym zostać modelką. A potem aktorką, gdy będę już za stara, żeby reklamować kostiumy kąpielowe i tak dalej.

– Gabrielle? – Oboje drgają na dźwięk mojego głosu, który w małym pomieszczeniu rozlega się donośnym echem. Udaję, że nie widzę tej dziwnej zgodności. – Wydawało mi się, że miałaś dzisiaj pracować na zewnątrz, z Frankiem?

Obrzuca mnie nadąsanym, niechętnym spojrzeniem.

– Przerwę sobie zrobiłam.

– Ach, rozumiem – odpowiadam uprzejmie, po czym opieram się o framugę i dobitnym gestem wskazuję jej drzwi.

Dziewczyna wzdycha, wywraca oczyma i spogląda na Reida.

– Zobaczymy się na lunchu?

– Spoko. – Zerka na nią i odwraca się z powrotem do szafki. Równo sunie pędzlem z góry na dół kolejną porcję farby, spogląda na mnie. – Kierowniczka czegoś potrzebuje?

– Ty wiesz, że ona ma dopiero szesnaście lat?

Pędzel nieruchomieje. Reid unosi brew.

– Zdaję sobie sprawę.

– Na pewno?

– A co cię to? – odpiera wyzywająco. Mruży oczy.

Prostuję się i przeciągam palcem po listwie przy drzwiach. Powinien był ją

zagruntować razem z szafkami. Byłoby ładniej.

– Gabrielle jest córką ludzi, dla których budujemy ten dom. Czuję się za nią odpowiedzialna. Ze względu na nich.

– O czym ty mówisz?

Przyglądam się mu i nabieram pewności, że jest aż nadto świadomy tego, co robi. Zmusza mnie, bym rozmawiała z nim bez ogródek. Dobra. Poradzę sobie.

– O odpowiedzialności, która każe mi się upewnić, że przysłany przez sąd „wolontariusz” rozumie, że musi na terenie budowy trzymać się z dala od nieletnich.

Przez moment wpatruje się we mnie bez słowa.

– Czyli gdybym, na przykład, wpadł na nią gdzie indziej...

– Nie. Nie o to mi chodzi. Chodzi o to, że masz się trzymać od niej z daleka i kropka. Dlaczego w ogóle... Nie, ja tego nie rozumiem. Naprawdę nie chciałbyś się stać lepszym człowiekiem? – Głos zaczyna mi drżeć. Nie wierzę, że powiedziałam coś takiego.

– Co? – dziwi się, mocno.

Przesadziłam. I to bardzo. Zanim jednak mam szansę cokolwiek naprawić, Reid ciska pędzel na podłogę i na foliowej płachcie wykwita aureola farby. Podnosi się i przygląda mi z nieskrywaną wrogością.

– Nie twoja sprawa, co robię. I do cholery, nie twoja sprawa z kim.

Omija mnie w drzwiach i wychodzi na podwórko. Powinnam za nim pójść i przeprosić, ale wątpię by zechciał wysłuchać. Poza tym, w sprawie Gabrielle mam rację. Dziewczyna jest młodziutka i oszołomiona bliskim kontaktem z prawdziwą gwiazdą. Nie są równymi partnerami. Oczywiście, że jest głupiutką szczyłową, ale to nie znaczy, że nie powinienam jej chronić przed emocjonalnymi skutkami znajomości z kolesiem pokroju Reida Alexandra.

Wygląda na to, że rozejm dobiegł właśnie końca.

Rozdział 9

Reid

Cholera, co jest z tą laską nie tak? Krytykuje dosłownie wszystko, co robię.

A tak serio? Ta mała Gabrielle jest naprawdę niezła, więc żeby nie umrzeć z nudów, pozwalam jej ze sobą flirtować. Poza tym, założę się, że nie jest już dziewicą. Chociaż, dziewica czy nie, powinna się zadawać z rówieśnikami – o ile tego właśnie chce – a nie z facetem, który już dawno skończył osiemnaście lat. Nie jestem przecież idiotą i nikt nie musi mi tego tłumaczyć.

Wspominając o przypadkowym spotkaniu poza budową, chciałem tylko wskazać lukę w rozumowaniu Dorcas. Gabrielle Diego jest nieletnia nie tylko „na terenie budowy”. To skutek uboczny wychowania w domu wziętego prawnika. Jeżeli ktoś chce ze mną dyskutować, powinien logicznie uzasadniać swoje tezy.

Tak się wkurzyłem, że aż trzęsą mi się dłonie. Zwykle reaguję w ten sposób na pogawędki z tatą, po których uciekam do piwnicy i wyżywam się na pięćdziesięciokilowym worku, okładając go pięściami. Mamy tam całą siłownię. Jeżeli nie jestem akurat na planie, osobisty trener odwiedza mnie kilka razy w tygodniu. No i jeśli nie haruję na przymusowych pracach społecznych.

Za domem kręci się sporo ludzi, poza tym, to tutaj została wygnana Gabrielle.

Sądząc po minie, uznała, że wyszedłem za nią. Kiedy rzuca mi prowokacyjny uśmieszek, przychodzi mi do głowy kolejny plan walki z nudą. Coś, przez co Dorcas będzie wściekła przez najbliższe trzy tygodnie.

A jednak, prace społeczne bywają interesujące.

Dori

Dam mu dziesięć minut na ochłonięcie i ściągnę go z powrotem do środka. Reid musi zrozumieć, że nie będę spokojnie patrzeć, jak kręci się wokół Gabrielle. Wyszłabym i powiedziałam mu to prosto w oczy, ale wszystko, co mówię, on traktuje jak kolejne wyzwanie, a tego akurat wolę uniknąć.

Postanawiam, że przeproszę go za tekst o „lepszym człowieku” – nadal nie wierzę, że to powiedziałam – a o sprawie Gabrielle porozmawiam na osobności z Robertą. Mam nadzieję, że ona ich przypilnuje. Jeżeli przestanę się w to mieszać, Reid straci motywację, by zrobić coś, czego moglibyśmy żałować wszyscy.

W ogródku za domem roi się tłumek wolontariuszy. Wczoraj przywieźli nam drzewa i krzewy, które jak najszybciej trzeba teraz przesadzić z donic do ziemi. Znaleźć Reida nie jest trudno – śledzą go spojrzenia wszystkich obecnych kobiet i większości mężczyzn. Nie podoba mi się to, ale przecież doskonale ich rozumiem. Ten widok rzeczywiście niełatwo zignorować.

Reid zajęty jest kopaniem dołu pod jeden z trzech dębów, które staną pod ogrodzeniem na tyłach ogrodu i zapewnią mieszkańcom przyjemny cień. Zdjął do pracy koszulkę. Przy każdym ruchu łopaty, na plecach i ramionach grają węzły mięśni. Co chwila kolejna porcja ziemi ląduje na rosnącym obok chłopaka kopczyku. Dżinsy Reida zsunęły się nisko na biodra, odsłaniając hollywoodzko wyrzeźbiony brzuch. Muskuly na przemian spinają się i rozluźniają. To zajęcie wymaga naprawdę sporego wysiłku, ale mimo że pozostali ochotnicy co chwila robią przerwy i zdyszani popijają wodę, Reid nie zwalnia i nie sprawia wrażenia zmęczonego.

Zanosi się na to, że szafki wykończę sama.

Kiedy chcę już wracać do środka, zauważam Gabrielle. Dziewczyna stoi kilka kroków od Reida. Taksuje mnie pogardliwym spojrzeniem, po czym zarzuca swymi połyskliwymi, czarnymi włosami i odwraca się z powrotem do niego. Jest ode mnie młodsza tylko o dwa lata, ale w rzeczywistości dzielą nas całe wieki doświadczeń. Bada siłę swojej seksualności i jest przekonana, że schwytała właśnie piękną, tłustą rybę, podczas gdy tak naprawdę w jej sieci pojawił się rekin. Gdy tylko zanadto się zbliży, drapieźnik jednym kłapnięciem szczęk rozedrze delikatne oczka i pożre ją w całości.

Chciałabym Reidowi zaufać, uwierzyć, że moje obawy są bezpodstawne. Ale ja wiem swoje. W tym perfekcyjnie zbudowanym ciele nie ma jednej godnej zaufania kości.

Rozdział 10

Reid

Nie widziałem Dori, odkąd zostawiłem ją oszołomioną w łazience. Potrzebowałem prywatności, żeby zebrać się w sobie po naszej ostrej wymianie zdań, ale ponieważ w ogrodzie było pełno ludzi, na samotność nie miałem cienia szansy. Zdecydowałem się wyluzować w inny, niemal równie skuteczny sposób – złapałem łopatę i wykopałem cholernie wielką dziurę.

Do obiadu udało się nam posadzić wszystkie trzy drzewa i połowę krzewów. W przerwie Dori materializuje się za domem i rozmawia właśnie z jakimś przygłupem, którego nigdy tu nie widziałem. Nakładają sobie jedzenie na tekturowe talerzyki, po czym siadają na sąsiednich krzeselkach. On mówi, ona wcina hamburgera. Wydaje się, że koleśowi obca jest podstawowa zasada udanej konwersacji: mówić powinny na przemian obie osoby. A jednak dziewczyna wygląda na pochłoniętą tym jego monologiem. No, niewykluczone, że jest po prostu zbyt dobrze wychowana, by otwarcie powiedzieć, co myśli. Mnie tak grzecznie nie traktuje.

Gabrielle siedzi dosłownie u moich stóp, na świeżej, nierównej jeszcze murawie. Od czasu do czasu rzucam jej zdawkowy uśmiezek. Nie muszę robić nic więcej. I tak jest zauroczona. Trajkocze bez końca o swojej wymarzonej karierze modelki i aktorki, o tym, jak bardzo nienawidzi szkoły i swoich niedojrzałych rówieśników. Chwali się samochodem, jakim jeździł jej były, starszy chłopak. (Mustang? Kto jeździ mustangami?) Domyślam się, że ten ostatni temat miał podkreślić, że ma doświadczenie z facetami. I szybkimi wozami.

– Ten twój samochód to było porsche, prawda? – Trzepocze zalotnie rzęsami, zupełnie nie rozumiejąc jak drażliwy temat poruszyła.

– Hmm. Tak. „Było” jest tu słowem kluczowym.

Robi wielkie oczy.

– Musisz być nieźle wkurzony, że się rozbił, prawda? – dopytuje, jakby samochód skasował się sam.

– Można tak powiedzieć.

– Och, Reid, naprawdę bardzo mi przykro. – Gabrielle kładzie mi dłoń na kolanie.

Nie mogę się powstrzymać i chichoczę. To najbardziej niezręczna rozmowa, jaką w życiu prowadziłem.

– Przykro ci... bo wjechałem swoim porsche prosto w wasz dom?

– No, przecież nie naumyślnie.

Wybucham śmiechem i przyglądam się jej z góry.

– To akurat prawda. Szkoda, że nie ty mnie sądziłaś.

Dziewczyna odpowiada szerokim, promiennym uśmiechem.

Ryzykuję i oglądam się przelotnie na Dori, która miota we mnie prawdziwe sztylety spojrzeń. Serio, gdyby stała na wyciągnięcie ramienia i miała w dłoni plastikowy widelec, byłbym w prawdziwych opałach. Zamiast odplącić jej równie ostrym wzrokiem, utrzymuję na twarzy uśmieszek. Doprawiam go tylko lekko zgryźliwą nutą – obojętny wyraz oczu, delikatnie uniesiona brew. Wyćwiczyłem tę minę w ciągu wielu lat kontaktów z tatą. Doprowadzam go tym spojrzeniem do białej gorączki. Ciekawe, czy zadziała na Dorcas?

O tak! Działa, to widać.

Zaraz potem dolatują mnie słowa siedzącego obok niej koleś:

– Dori? Słyszałaś, co po... – W tej samej chwili dziewczyna podrywa się z krzesła i wzburzonym krokiem wraca do domu. Nie pożegnała się i sądząc po jego zdziwionej minie, nie jest to zachowanie typowe dla niej.

Myślę, że ostatnie dwie godziny spędzę na sadzeniu krzewów, a dokumenty dam do podpisania Frankowi. Nie ma sensu dzisiaj drażnić jej bardziej. Na doprowadzenie tej panny do szału zostało mi przecież jeszcze dwa i pół tygodnia.

Dori

– Dori, ja rozumiem, czym się niepokoisz, ale nie sądzę, by on naprawdę posunął się do czegoś takiego... – tłumaczy Roberta. Cicho i bez przekonania.

Więc to ja muszę ją przekonać.

– Nie przejmowałabym się, gdyby Gabrielle pracowała z kimś, kto będzie mieć na nią oko. To wszystko. – Czuję się, jakbym na kogoś donosiła. Zważywszy, że powiedziałam właśnie dyrektorze projektu, iż podejrzewam dorosłego wolontariusza o zbyt bliskie kontakty z nieletnią, chyba rzeczywiście donoszę. – Wiesz, tak dla pewności – dodaję.

Roberta postukuje długopisem w okładkę notesu, przygryza dolną wargę.

– Cóż, chyba najprościej będzie, jeśli przeniosę Gabrielle do ciebie, a Reida do Franka.

Ogarnia mnie dziwaczne poczucie zawodu, ale szybko się z niego otrząsam.

– Dla mnie bomba.

– W piątki Gabrielle nie przychodzi, więc jutro jeszcze popracujesz z Reidem. Porozmawiam z nim przed końcem dnia i zapowiem, że w przyszłym tygodniu przejdzie do grupy Franka. Z Gabrielle rozmówimy się w poniedziałek.

– Dzięki.

– No cóż, jak to mówią, lepiej dmuchać na zimne – stwierdza i odchodzi, a ja zabieram się do sprzątanía i szykuję narzędzia na jutro. Kiedy Reid się dowie, że interweniowałam, na pewno się wścieknie. A Gabrielle zapewne przeżyje załamanie – nie będzie już mogła się koło niego kręcić. Nie ma najmniejszej szansy, by zrozumiała, że zrobiłyśmy to dla jej dobra. Z jej punktu widzenia będzie to czysta złośliwość.

Mój ostatni dzień w charakterze nadzorczyńi Reida przebiegł niemal bezstresowo. Chłopak stawił się punktualnie, nie wygłaszał żadnych komentarzy, nie rzucał złośliwych tekstów (co prawda, bez przerwy zwracał się do mnie per Dorcas, ale na to akurat nic nie mogłam poradzić – tak mam przecież na imię). Właściwie zachowywał się jak wzorowy wolontariusz. Nie zdjął nawet koszulki.

Wczoraj wieczorem padł mój iPod, więc rano na budowę przyniosłam radio. Kiedy przyszedł Reid, słuchałam właśnie jakiejś rozgłośni z muzyką pop. Powiedziałam, że jeśli woli inną, mogę zmienić, ale nie skorzystał. Pod koniec dnia prowadzący puścił piosenkę pewnego nowego duetu. Bezwiednie zaczynam nucić pod nosem. Wraz z początkiem ostatniego refrenu, Reid odwraca się do mnie i śpiewa do pędzla jak do mikrofonu: „Gdzie byłaś, kochanie, gdzie byłaś? Kiedy byłem całkiem sam, tak bardzo sam?”

Odpowiadam, śpiewając: „Gdzie byłeś, kochany, gdzie byłeś? Kiedy cię potrzebowałam? Tak sama wśród ludzi?”

„Byłem tu, właśnie tu, szukałem cięęęęę...” – śpiewamy już razem, śmiejąc się z tej błazenady.

– Masz świetny głos – chwali, bez odrobiny zaskoczenia.

Spuszczam wzrok.

– Dzięki – mamroczę niezbyt wyraźnie, dziwnie mile polechtana. Z jego ust te słowa brzmią wyjątkowo. Czuję się tak, jakbym usłyszała je pierwszy raz w życiu.

W drzwiach wyrasta Roberta.

– Panie Alexander, czy zanim pan wyjdzie, moglibyśmy zamienić dwa słowa? Będę w kuchni, muszę sprawdzić hydraulikę pod zlewem.

– Nie ma sprawy. – Kiedy Roberta znika, Reid spogląda na mnie lekko z ukosa. – Ej, co jest grane?

Oho. Gabrielle dzisiaj nie było i prawie na śmierć zapomniałam o niej i mającym nastąpić w poniedziałek przetasowaniu grup.

– Hmm, coś w sprawie przydziałów zadań. Tak mi się zdaje.

– Przydziałów zadań? Wydawało mi się, że ty jesteś moją kierowniczką. – Uśmiecha się nieśmiało, jakby z jednej strony próbował się droczyć, a z drugiej badał, czy niczego nie ukrywam.

Moje wrodzone tchórzostwo bierze górę. Wzruszam ramionami i zabieram się do czyszczenia pędzli. Reid czeka jeszcze przez chwilę, po czym sięga po młotek, zamyka nim wieko dużego wiadra farby i odkłada na podłogę swoją złożoną kartę pracy.

– Porozmawiam z Robertą, a potem po to przyjdę.

Gdy pięć minut później wraca, jestem w duchu przygotowana na kolejny obraźliwy komentarz lub jeszcze jedną sprzeczkę na temat wtrącania się w nie swoje sprawy. Nic takiego się jednak nie dzieje. Chłopak bez słowa podnosi dokument z podłogi – zdążyłam już złożyć podpis – i wychodzi gwałtownym krokiem. Odprowadzam go wzrokiem i krzywię się. Ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Koleżeńska atmosfera całego dnia okazała się jedną wielką iluzją. Gdy rozlega się nieunikniony trzask frontowych drzwi i ktoś krzyczy „Jezu! Nie tak głośno!”, przypominam sobie, że powinnam oddychać.

Poniedziałek zapowiada się naprawdę koszmarnie.

Dzisiaj odwiedzi mnie Nick. Wczoraj pojawił się na budowie – miał na sobie zwykle tanie dżinsy i koszulkę z dyskontu, co stanowiło dla mnie przyjemną odmianę – i nie potrafiłam odmówić, gdy zaproponował, byśmy spędzili ze sobą wieczór.

Z dołu dolatuje mnie jego uprzejme „Dobry wieczór, pastorze Cantrell”. A przecież tata niezliczoną ilość razy prosił, by przeszli ze sobą na ty.

Wychodząc z pokoju, zerkam na ścienny zegar. Nick stawiał się punktualnie o umówionej godzinie. Minutowa wskazówka jest na dwunastce akurat w momencie, gdy ojciec odpowiada:

– Dobry wieczór, Nicholas.

Nick nie zauważa w tonie ojca nuty rozbawienia, którą ja wyławiam bezbłędnie.

– Wystarczy „Nick”, proszę pana. – Zerka na mnie, gdy schodzę na dół...

– „Doug” też wystarczy, Nick. – Tata poklepuje go po ramieniu.

– Chcesz dokądś wyskoczyć? – pyta Nick, kiedy ojciec znika w swoim gabinecie. – Chyba grają jeszcze ten film z twoim nowym współpracownikiem. *School Pride*, zdaje się. Podobno jest... słodki.

Nick nie przepada za „słodkimi” filmami, ja też nie jestem ich wielbicielką. Zazwyczaj. Kiedy indziej nie przyszłoby mi nawet do głowy, żeby ten przebój obejrzeć, lecz skoro Nick już o nim wspomniał, poczułam się zaintrygowana. Zdaję sobie sprawę, że Reid Alexander jest niesłychanie popularny, ale zupełnie nic nie wiem o jego rzekomym talencie. Nie widziałam ani jednego filmu z jego udziałem. Podobnie jak Nick, niechętnie nazywam tego typu produkcje filmami. Moim zdaniem, żeby coś zasługiwało na miano filmu, powinno przekazywać jakąś ważną

prawdę o społeczeństwie lub uczyć widzów historii. A tego rodzaju produkcje to pusta, powierzchowna rozrywka.

Rany, chyba jestem prawdziwą snobką.

Mimo że propozycja obejrzenia filmu Reida nagle wydała mi się kusząca, nie ma mowy, bym wybrała się na ten seans razem z Nickiem.

– Zamówmy lepiej chińszczyznę i obejrzymy coś u mnie. Tata przywiózł kilka nowych płyt DVD.

Nick zgadza się z uśmiechem. Wygrzebując z szuflady ulotkę z menu, i sięgając po telefon, postanawiam, że dzisiejszego wieczora nie poświęcę już Reidowi ani jednej myśli.

– Wezmę kurczaka z sezamem. Z kurczakiem wszystko smakuje, a do ich wołowiny jakoś nie umiem się przekonać.

Kiedy kurier przywozi jedzenie, tata natychmiast wychodzi z gabinetu.

– Pas... Doug, może obejrzysz z nami film? – pyta Nick.

Ojciec wzdycha i kręci głową.

– Kazanie na niedzielę nieźle daje mi w kość. Ale zawzięłem się i chcę jeszcze dzisiaj napisać kilka strawnych akapitów. – Sięga po dietetyczną colę, pudełko smażonego ryżu i pałeczki. – Z mojej jaskini wyjdę dopiero, gdy wróci mama – dodaje i porozumiewawczo puszcza do mnie oko, jakbyśmy planowali z Nickiem migdalić się na sofie (to określenie taty, zdecydowanie bardziej popularne w czasach moich dziadków). Mama kończy dyżur o północy.

Nigdy nie mam pewności. Po prostu nie wiem, czy tata tak bezgranicznie ufa, że nie zrobię nic nieprzyzwoitego, czy naprawdę uważa, że powinnam czasami wyluzować. Mam nadzieję, że to drugie nie wchodzi w grę, bo gdybym okazała się dziewczyną, którą ojciec pastor uważa za zbyt sztywną, groziłaby mi poważna depresja.

Nick zajmuje miejsce na środku sofy, ja siadam po turecku w rogu. Pomiedzy kęsami chińszczyzny łokieć chłopaka spoczywa lekko na moim wysuniętym kolanie. W naszej rodzinie zazwyczaj swobodnie komentujemy filmy w trakcie, ale Nick zawsze milczy aż do końca. Z góry wiem, że co najmniej kilkanaście razy będę się musiała ugryźć w język, niekoniecznie w przenośni. Ostatecznie na ekranie ukazują się napisy końcowe.

– Z recenzji wynikało, że to będzie trochę mądrzejsze – stwierdza, wyłączając pilotem telewizor. Kładzie dłoń na moim kolanie – łagodny nacisk, gest niełatwy do odczytania. Na zewnątrz zapadł już zmrok, jedynym źródłem światła w pokoju jest samotna lampka. – U was zawsze jest tak cicho. U mnie wręcz przeciwnie. Mieszkam w warunkach ledwie kontrolowanego chaosu.

Nick jest jedynakiem, ale jego rodzice prowadzą rodzinny dom dziecka dla dzieci specjalnej troski, a na dodatek tresują psy towarzyszące niewidomym. W jego domu rzeczywiście panuje bezustanny rozgardiasz. Zdarzało mi się

zastanawiać – nigdy nie odważyłam się zapytać wprost – czy kiedykolwiek doskwiera mu brak uwagi rodziców i czy nie czuje się czasami zaniedbany przez to, że matka z ojcem poświęcają czas i energię cudzym dzieciom.

Zerkam na naszą starzejącą się suczkę. Leży zwinięta w swoim koszu pod ścianą.

– To prawda. Esther i ja dość rzadko hałasujemy.

Na dźwięk swego imienia pies strzyże uszami, łypią czarne ślepia. Chce się przekonać, czy nie jest mi potrzebna. Posiwały pysk spoczywa na równie srebrzystych łapach.

Nick pochyla się ku mnie i zapominam o Esther natychmiast. Całuje mnie. Ma ciepłe usta, jest delikatny i uważny. Odpowiadam na pocałunek, prosząc w duchu, by pieścił mnie bardziej namiętnie, by ścisnął moje udo, by jego dłoń objęła mnie w talii i przyciągnęła. Do niczego podobnego nie dochodzi. To nie jest nasz pierwszy pocałunek, lecz wszystkie poprzednie były takie same: po prostu przyjemne.

Odsuwa się i uśmiecha. Ja również się uśmiecham i powtarzam sobie, że wcale nie czuję zawodu.

Nie wisi też nade mną groźba utraty kontroli. To dobrze. Jestem bezpieczna. A przecież dokładnie tego właśnie potrzebuję.

Esther wydaje z siebie głucho sapnięcie i odpływa w sen. Nick, mimo że przynosi ze sobą zapachy wielu obcych ludzi i psów, nie stanowi dla mnie zagrożenia.

Rozdział 11

Reid

Dori nie ufa mi. To jasne. Od razu widać, że nie ma pojęcia, jakie propozycje dostaje codziennie chłopak z moją pozycją. Bez problemu mógłbym każdą noc w tygodniu spędzać z inną dziewczyną. Albo i z kilkoma naraz. Zawsze gdzieś czeka kolejna chętna. Lgnęły do mnie dziewczyny – nigdy nie skorzystałem – tak młode, że miałem ochotę odszukać ich rodziców i powiedzieć, że ktoś, kto wychował córkę na nieletnią dziwkę, powinien siedzieć za kratkami. Zresztą, nawet jeśli chodzi o laski – powiedzmy – pełnoletnie, nie będę z nimi sypiać tylko dlatego, że są już doświadczone i uważają się za szalenie dorosłe.

Nie doceniłem determinacji, z jaką Dori postanowiła utrzymać mnie z dala od tej małej Diego. Nie tylko zdołała wygnać mnie na dobre do ogrodu, pod opiekę Franka, lecz osobiście przygarnęła Gabrielle. Nie jestem pewien, co chciała w ten sposób osiągnąć, ale założę się, że nie zamierzała doprowadzić do takiej hysterii, jaka wybuchła dziś rano, kiedy o sprawie dowiedziała się główna zainteresowana.

Podobno rzuciła młotkiem. Na szczęście nie w kogoś, słyszałem natomiast, że prawie udało się jej wybić szybę. Młotek utkwiał w ścianie jadalni. Naturalnie nie widziałem tego na własne oczy, ale Frank jest uzależniony od plotek i wszyscy w ogrodzie otrzymują codziennie szczegółowy serwis informacyjny z życia budowy. Czuję się niemal jak na planie filmowym.

– Roberta zagroziła, że jeśli mała się nie uspokoi, zadzwoni do jej matki i odeśle ją do domu. Problem w tym, że Gabrielle musi z nami przepracować jeszcze przynajmniej trzydzieści godzin. – Frank wzrusza ramionami. – Nie miałem pojęcia, że ta dziewczyna tak bardzo mnie polubiła.

– Tak, tak. Śnij dalej, staruszkule – rzuca żartobliwie Darlene, jego żona, układając na tacy sadzonki kwiatów. Ma całkiem siwe, bardzo długie włosy. Nigdy nie widziałem tak długich u kobiety w jej wieku. Związane w gruby warkocz spływają jej po plecach. – Chodź no, młody, zasadzimy te bratki.

Nikt się nie rusza i uświadamiam sobie, że mówiła do mnie.

Tak więc do obiadu nauczyłem się sadzić bratki („Nie tak głęboko! Nie tak blisko siebie!”). Dowiedziałem się też, że Frank i Darlene przeszli pięć lat temu na emeryturę, a pół roku później stwierdzili, że nudzą się w domu jak mopsy, i zamiast jeździć po świecie i uczęszczać na kursy garncarstwa, postanowili projektować ogrody dla budowanych przez Habitat domów.

– Dlaczego Frank powiedział, że Gabrielle musi odpracować jeszcze trzydzieści godzin? – pytam, oglądając swoje umorusane ziemią ręce. Nie mogłem

pracować w rękawicach (kiedy je założyłem Darlene nazwała mnie „maminsynkiem”), więc pod wszystkimi dziesięcioma paznokciami ciemniej teraz grube półksiężycy. Manikiurzystka mnie zastrzeli.

– Taką mamy zasadę. Rodziny, dla których budujemy, muszą się przyłożyć i harować razem z nami. Oboje rodzice Gabrielle pracują na dwa etaty, a jej bracia są jeszcze za mali – tłumaczy. – Aż do zeszłego tygodnia broniła się przed tym rękami i nogami – dodaje i obrzuca mnie dziwnym spojrzeniem.

Podchodzimy do kranu. Darlene zaczyna oplukiwać narzędzia. Milczy, więc zachęcająco macham dłonią.

– I...?

– I pojawiłeś się ty, wolontariuszu.

Ach!

– Czyli myślisz, że to moja obecność pomogła ją... hmm... zmotywować?

Kiwa głową, świdrując mnie tym charakterystycznym dla starych kobiet spojrzeniem, które mówi „przejrzałam cię na wylot”. Chryste! Czy Dorcas już wszystkim wmówiła, że zamierzam wykorzystać nieletnią?

– Posłuchaj, ja naprawdę nie interesuję się Gabrielle. To jeszcze dziecko. Nie chcę mieć z nią nic wspólnego, jasne?

I wtedy kilka wydarzeń ma miejsce jednocześnie. Darlene mruga i unosi brwi, patrząc ponad moim ramieniem, a z tyłu rozlega się stłumiony jęk i tupot gwałtownie oddalających się kroków.

Jasna cholera!

Dori

Już od piątku przeczuwałam, że dzisiejsze spotkanie z Gabrielle mocno da mi w kość. Jego widmo wisiało nade mną przez cały weekend. A jednak, nawet w najgorszych koszmarach, nie zdołałam przewidzieć wybuchu, jaki nastąpił, gdy dowiedziała się o rozdzieleniu z Reidem. Następnym razem będę mądrzejsza.

Głuche stuknięcie wbijającego się w ścianę młotka, o dziwo, pomogło jej się opanować. Podejrzewam, że zaskoczyła sama siebie, posuwając się do tak agresywnego i niebezpiecznego gestu. Przecież mogła kogoś zabić. Dzięki Bogu na drodze sunącego w powietrzu narzędzia nie było żywej duszy. Główna utkwiała w gipsowej ścianie. Wszystkie trzy – Roberta, Gabrielle i ja – zamarłyśmy na dobrą minutę. Wreszcie Roberta odchrząknęła.

– Nie uważasz, że jesteś dziś zbyt roztrzęsiona, by z nami pracować? – spytała.

– Nie... – odpowiedziała półgłosem dziewczyna, wpatrując się w czubki

własnych butów.

Roberta zerknęła na mnie i nieznacznie skinęłam głową.

– No dobrze. Skoro tak, będziesz pomagać Dori. Do zobaczenia podczas przerwy.

Poranek spędziłyśmy latając uszkodzoną ścianę, po czym zajęłyśmy się odmierzaniem, oznaczaniem i wierceniem otworów na kable w szafkach w całym domu. Po południu powinni przysłać sprzęt AGD i trzeba będzie wszystko zainstalować. Uszy bezustannie świdrowało mi przenikliwe zawodzenie wiertarki.

Przez pierwsze trzy godziny Gabrielle nie odezwała się do mnie nawet jednym słowem.

– Jeszcze dwa otwory i możemy iść na przerwę – rzuciłam i odwróciłam się. Dziewczyna zniknęła. Nie mam pojęcia, kiedy wyszła, ale bez większego trudu domyśliłam się, gdzie jej szukać.

– Niech to... – mruknęłam i ruszyłam do wyjścia.

Nie zsunęłam z głowy ochronnych okularów ani nie odłożyłam wiertarki. Niesamowitym zrządzeniem losu niosłam to cholerstwo wiertłem do dołu – gdy tylko otworzyłam drzwi do ogrodu, wparowała przez nie zapłakana Gabrielle. Odkoczyłam jak oparzona.

– Gabrielle? – Dźwięk mojego głosu tylko dodał jej pary.

– Daj mi wreszcie święty spokój!!! – rzuciła przez ramię i szarpnęła za klamkę frontowych drzwi. Kilka sekund później zaterkotał silnik jej dwudziestoletniego gruchota.

Reid.

Gdy wychodzę do ogródka, zauważam go od razu. Stoją z Darlene przy kranie. Chłopak odwraca ku mnie głowę.

– Coś ty jej zrobił? – Podchodzę bliżej i ściszam głos. Dociera do mnie, że mamy sporą widownię, choć wszyscy udają, że niczego nie słyszą. Jemu mogę narobić wstydu, z przyjemnością, ale rozpacz Gabrielle to wyłącznie jej prywatna sprawa. – Co jej powiedziałaś? – syczę.

Obrzuca mnie przeciągłym spojrzeniem od stóp do głów, identycznym jak w zeszłym tygodniu, przy pierwszym spotkaniu. Tym razem jednak zwraca baczniejszą uwagę na moje nogi, na wiertarkę, którą wciąż ściskam w dłoni i okulary, które nadal mam na twarzy. Odpowiada leniwie, bezczelnie:

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Podsuwam okulary na czoło i zadzieram brodę.

– Mówię o Gabrielle. Właśnie wypadła z domu jak burza. Była naprawdę bardzo poruszona. I przestań udawać, że nie rozumiesz. Oboje wiemy, że to twoja wina.

Reid zbliża się o krok, pochyla głowę i patrzy mi prosto w oczy.

– Niczego nie zrobiłem i nic jej nie powiedziałem. – Nie odrywając ode mnie

wzroku, wskazuje czekającą obok Darlene. – I wiesz co, Dorcas? Mam naprawdę dobre alibi.

– Dori, uspokój się, skarbie. – To Darlene podchodzi do mnie. – Gabrielle usłyszała po prostu kilka wyrwanych z kontekstu słów. Zwykle nieporozumienie. Przejdzie jej.

Szok zapiera mi dech w piersiach. Nie wierzę. Więc przekabacił też Darlene! Czy naprawdę na całym świecie nie ma poza mną choć jednej, odpornej na jego urok kobiety? Nie odpowiadam. Odwracam się na pięcie i wchodzę roztrzęsiona do środka. To z mojej strony bardzo niegrzeczne. Będę musiała ją później przeprosić. W tej chwili jednak sama chętnie wyrznęłabym młotkiem w jakąś ścianę. Szkoda, że przy tym projekcie niczego nie wyburzamy – stałabym się dzisiaj tańczącym derwiszem zniszczenia. A w parze z Gabrielle byłybyśmy jak huragan.

Po posiłku (Reid i ja siadamy w przeciwnych krańcach ogrodu), zbieram śrubokręt, klamki i śruby, i ruszam do łazienki. Przez resztę dnia będę pracować sama. Żaden kłopot, chociaż bez muzyki strasznie mi się nudzi. Zapomniałam dzisiaj przynieść radio, a mój iPod okazał się, o zgrozo, nie do odratowania. Muzykę muszę zapewnić sobie sama.

Na pierwszy ogień idą szafki pod umywalką. Przystawiam śrubę do otworu w chromowanym zawiasie, podnoszę śrubokręt i, balansując drzwiczkami na stopie, zaczynam wkręcać. Obrót za obrotem. Szmer za szmerem. Kiedy przykręcam błyszczącą klamkę udaje mi się wpaść w powolny, miarowy rytm i zaczynam po cichu śpiewać *Gravity*, piosenkę Alison Krauss. Tekst opowiada o dziewczynie, która opuszcza dom i wcale tego nie żałuje; nie ogląda się za siebie, ponieważ uświadamia sobie, że życie nie jest tak proste, jak się jej wcześniej wydawało.

Kiedy się podnoszę, by sięgnąć po następny zawias i dodatkowe śruby, mój wzrok pada na Reida. Stoi w drzwiach, z dłońmi w kieszeniach. Głos mi się łamie, ale dośpiewuję ostatni wers i dopiero wtedy milknę. Nie wiem, jak długo tu stoi. Milczy jeszcze przez chwilę i przesuwa spojrzenie na stojące pod ścianą drzwiczki.

– Roberta mnie przysłała. Mam ci pomóc przy szafkach.

W milczeniu podnoszę drzwiczki i ustawiam je na stopie, podobnie jak pierwsze. Z tymi zawiasami będzie większy kłopot – trzeba je zainstalować po przeciwnej stronie – ale to dla mnie nie pierwszyzna i jestem przekonana, że poradzę sobie w pojedynkę. Tyle że zdecydowanie wolałabym pracować, nie czując na sobie spojrzeń Reida.

Najwyraźniej nie wychwycił milczącej sugestii.

– Nie potrzebuję pomocy – tłumaczę.

Mam nadzieję, że sobie pójdzie, lecz on wciąż stoi w miejscu. Opiera się ramieniem o framugę, splata ramiona na piersi i patrzy. Ignoruję go. Unoszę lekko drzwiczki, ustawiam zawias na równi z wywierconymi zawczasu otworkami

i próbuję wkręcić śrubki ręcznie, wystarczy, że tylko chwycą.

Pierwsza nie łapie, wypada z zawiasu i turla się po wyłożonej terakotą podłodze. Zatrzymuje się przy bucie Reida. Bez chwili wahania sięgam po kolejną i powtarzam wszystkie czynności. Z takim samym skutkiem.

– Do jasnej Anielki! – rzucam pod nosem, na co chłopak reaguje mało sympatycznym rechotem. Pochyla się i zbiera leżące u jego stóp śrubki. Podrzuca je w dłoni identycznym gestem, jakim tata czasem żongluje drobnymi monetami.

– Jeśli chcesz, żebym coś potrzymał albo przykręcił, wystarczy słówko.

Cudnie. Brakowało mi właśnie tylko tych przemądrzałych tekstów.

Szczęśliwie śrubki wreszcie chwytają i odmawiam w duchu dziękczynną modlitwę, zastanawiając się jednocześnie, czy nie warto czasem wstać i kopnąć Reida prosto w goleń. Tak z całej siły.

Rozdział 12

Reid

Myślę, że Dori zupełnie serio ma ochotę mnie udusić. I sam jeszcze nie wiem, czy mi to pasuje, czy nie.

Montuje właśnie trzecie drzwiczki – z zawiasami po prawej stronie. Jest leworęczna, więc ma z tym niejaki problem. Z pewnością nie chce mojej pomocy. Ciekawe tylko, czy jeśli sobie pofolguję i utrzymam ją w tym stanie jeszcze dłużej, nie usłyszę o piętnastej, że nie podpisze mi papierów.

Dori z westchnieniem ustawia w odpowiedniej pozycji ostatnie drzwiczki i wyobrażam sobie, jakimi słowami błaga śrubki i zawiasy, by podjęły z nią współpracę. Kiedy drzwiczki zaczynają się przechylać, podchodzę i podtrzymuję je. Stykamy się przy tym palcami. Dziewczyna podskakuje jak oparzona, lecz błyskawicznie odzyskuje panowanie nad sobą i zaczyna ręcznie wkręcać śrubki. Gdy zagłębiają się na tyle głęboko, na ile to możliwe bez użycia śrubokręta, sięga po narzędzie i dokręca. Ja cały czas przytrzymuję drzwiczki w pionie. Dori milczy. Ja również się nie odzywam.

Cholernie mi się nie podoba, że podnieca mnie jej widok ze śrubokrętem w dłoni.

Cholernie mi się nie podoba, że wciąż wypatruję okazji, by ponownie ją dotknąć.

I cholernie mi się nie podoba, że marzę o tym, by znów zaśpiewała.

Idąc za Dori do łazienki, przyglądam się wyrazistym liniom jej łydek i lekko zarysowanym biodrom (ukrytym pod kolejną workowatą koszulką – tym razem z logo fundacji promującej zdrowy i odpowiedzialny styl życia). Nagle odnoszę wrażenie, że dziewczyna musi być telepatką, bo – klnę się na Boga – koniuszki jej uszu pokrywają się czerwienią, jakby czytała mi w myślach. Więc wpatruję się w nią jeszcze bardziej intensywnie.

Odkłada śrubokręt na blat. Podnoszę go.

– Resztę sam przykręcę – mówię, gdy obrzuca mnie pytającym spojrzeniem.
– W końcu miałem się tu czegoś nauczyć, tak?

Dziewczyna zaciska zęby i odwraca się, by sięgnąć po drzwiczki. W tej mikroskopijnej łazience, która ma posłużyć trójce dzieci Diegów, do zamontowania mamy tylko parę drzwiczek. Całe pomieszczenie swobodnie zmieściłoby się w mojej kabinie prysznicowej

Dwie minuty później: dobra, przyznaję bez bicia – myślałem, że zadanie okaże się jednak łatwiejsze. Diabelnie ciężko przekonać te cholerne śruby, by

zechciały się trzymać główki śrubokręta. Co ciekawe – mimo iż miotam pod nosem coraz barwniejsze przekleństwa, Dori jest wyraźnie zadowolona. Cieszy się, że nie posiadam wrodzonego talentu do pracy z narzędziami. W jej uśmiechu widać satysfakcję, jak na mój gust zdecydowanie zbyt wielką.

– Okazuje się, że wsadzanie śrubek nie jest moją ulubioną formą wsadzania – rzucam. Mój Boże! Już wiem, co zrobić, by zarumieniła się na całym ciele.

– Wiesz, nadal nie jarzę. Ona cię kręci czy nie? – pyta John. Siedzimy na zawieszonym dwadzieścia dwa piętra nad ziemią tarasie jego apartamentu w Olympic, wygodnie rozwaleni na drewnianych leżakach ręcznej roboty. Na posadzce między nami czeka schłodzony sześciopak piwa. Centrum jak zwykle tętni kuszącym nocnym życiem, ale na razie udało mi się przekonać go do złapania chwili oddechu.

– Trudno powiedzieć – przyznaję i John obrzuca mnie zdezorientowanym spojrzeniem. Bawi się trzymaną w dłoni butelką, a ja tymczasem wyglądam ku rozciągającemu się pod nami miastu. Przed chwilą coś mnie podkusiło, by wspomnieć o Dori i powoli zaczynam tego żałować.

– Opowiedz mi lepiej o tym mieszkaniu – zmieniam temat. Od mniej więcej dwóch tygodni John próbuje mnie namówić na wynajęcie penthouse'u położonego kilka pięter nad jego mieszkaniem. Obiecałem, że się zastanowię, ale wcale nie jestem pewien, czy mam ochotę mieć go na głowie dwadzieścia cztery na siedem. Słuchając jednym uchem, jak przyjaciel zachwala metraż, widok i imprezowe perspektywy lokalu, usilnie staram się zapomnieć o pytaniu, które zadał mi przed chwilą.

Dori Cantrell: kręci mnie, czy nie?

Nie, to nie jest dziewczyna w moim typie. Zupełnie.

Tyle, że to przecież wcale nie jest odpowiedź, prawda?

Dori

– Strasznie za tobą tęsknię. – Nie chcę, by Deb pomyślała, że się skarżę, ale ostatnio brakuje mi jej bardziej niż kiedykolwiek. – Jesteś tak daleko... – Teoretycznie z domu wyprowadziła się już osiem lat temu, ale uczyła się i studiowała w pobliżu. Teraz natomiast trafiła do innej strefy czasowej i nigdy nie wiadomo, kiedy można ją złapać. Spędza w szpitalu oszałamiające osiemdziesiąt godzin tygodniowo, a na domiar złego nie ma stałego grafiku. Normą więc stało się, że dzwoni do mnie lub SMS-uje gdy tylko znajdzie pięć minut wolnego czasu.

Pod warunkiem, że akurat nie je lub nie odsypia.

– Wiem, młoda – wzdycha zmęczonym głosem i robi mi się głupio. Nie powinnam była się dąsać. – Ja za tobą też.

– A co tam u... no... Bradforda?

Nie odpowiada od razu. Zagadkowa zwłoka.

– Dori, potrafisz dochować tajemnicy?

– Pff! – pryham. – Wiesz przecież, że jestem najlepszą powierniczką świata.

W słuchawce rozlega się ciepły chichot. Taki przyjazny dźwięk.

– Co racja, to racja. Więc... Doszło do czegoś w rodzaju randki. W niedzielę wieczorem. Tyle że, wiesz, to nie była taka prawdziwa randka. Po prostu podzielił się ze mną chińszczyzną, bo miałam akurat dziesięć minut na obiad.

– Czy on nie jest przypadkiem twoim szefem?

– Nie, kierownikiem mojej specjalizacji jest kto inny. Poprzednio pracowaliśmy razem tylko dlatego, że zastępował kolegę... – Urywa, co oznacza, że albo przysypia, albo zamyśliła się nad czymś, o czym nie chce mi powiedzieć. – A jak tam na budowie?

– Cały czas odliczam dni do wyjazdu – odpowiadam, zastanawiając się, czy nie obserwuję rodzącej się miłości. Deb i Bradford. Dochodzę jednak do wniosku, że pozwolę, by opowiedziała mi o nim więcej, kiedy sama będzie miała na to ochotę. Nigdy nie ukrywałyśmy przed sobą sekretów zbyt długo.

– Reid Alexander wciąż zachowuje się jak dupek?

– Tak, można tak powiedzieć.

– Na szczęście niebawem wyjedziesz do Ekwadoru. A do twojego powrotu, on odprucuje już swój wyrok i nie będziesz musiała się z nim użerać.

– Fakt. – Nie, wcale nie jestem rozczarowana myślą o jego zniknięciu. Naprawdę. Przecież wszystko, co ten chłopak robi i mówi, jest obliczone wyłącznie na wytrącenie mnie z równowagi.

– Hmm... – mruży enigmatycznie Deb. Zmieniam temat i dalej rozmawiamy już tylko o moich przyszłych studiach. Wypytyuję o życie w akademiku i o to, czy jedząc wyłącznie gotowe dania z mikrofal, można jakimś cudem nie przytyć.

Rozdział 13

Reid

Już od jakiegoś czasu zastanawiałem się, kiedy pojawią się media. W sumie to dość zaskakujące, że spokój trwał aż tak długo.

Z pozoru paparazzi wydają się wprawdzie niefrasobliwym plemieniem, ale wcale nie są głupi i dobrze wiedzą, że nie wolno im naruszać granic prywatnego terenu.

Tyle że wykupiona przez Habitat działka jest maleńka, a wszyscy ci kolesie dysponują teleskopowymi obiektywami. Co bardziej przemyślni, by zbliżyć się do mnie jak najbardziej, czatują w sąsiednich ogródkach. Bez wątpienia zapłacili właścicielom. George nazwałby to pewnie „darmowym PR-em”, którego – jak bez przerwy powtarza – nigdy za wiele. Jedyne minus stanowi fakt, że muszę tu przychodzić jeszcze przez ponad dwa tygodnie i jeśli ktoś tej sytuacji nie zaradzi, drobna niedogodność łatwo może się przerodzić w istny obłąd.

Zsuwam z dłoni grube robocze rękawice i wchodzę do środka, rozglądając się za Robertą. Rozmawia właśnie z szefem ekipy budowlańców – zastanawiają się, jaką izolację zastosować na poddaszu. Słuchając technicznego żargonu umieram z nudów. Na szczęście dość szybko kończą i Roberta zwraca się do mnie.

– Tak, Reid, słucham? – pyta z pewnym niepokojem.

– Chciałem cię tylko uprzedzić, że znalazły mnie fotopstryki. Znaczą, paparazzi. Na teren nie wchodzą, ale wystają tuż za granicami działki. Kiedy pojawię się na zewnątrz, będziemy tu mieć prawdziwe ZOO. Uznałem, że powinnaś wiedzieć.

– Och! – Natychmiast zaczyna się denerwować, widać, że nigdy nie miała z takim problemem do czynienia. Podchodzi do okna i wygląda ku ogrodowi. – Mówisz, że są tam już w tej chwili?

– Tak.

Roberta mruży oczy, omiata wzrokiem okolicę. W pewnej chwili cicho się zachłystuje.

– Co, do diabła? Jakiś facet siedzi u sąsiadów na huśtawce... a drugi wlażł właśnie na dach!

Wzruszam ramionami.

– I co tu zrobić? W sumie mogliśmy coś podobnego przewidzieć.

– Teraz, kiedy już wiedzą, że tu pracuję, żadna siła ich stąd nie zabierze. Dzwoniłem już do menedżera. Przyśle ochroniarzy, którzy dopilnują, by media trzymały się na dystans. Dał też znać policji, na wszelki wypadek, gdyby mimo

wszystko doszło do naruszenia granic terenu.

– Policja? O rany!

Roberta nie odrywa wzroku od okupującego dach fotografa. Odpycham się od blatu, zakładam z powrotem rękawicę i wychodzę na zewnątrz. Frank zapowiedział, że będziemy dziś rozbierać płot z tyłu ogrodu – termity przeżarły sztachety do tego stopnia, że jeden porządny kopniak obróciłby całe ogrodzenie w stertę drzazg. Malowanie ścian było takie nużące. Ale rozwalanie płotu? W to mi graj!

Zgodnie z oczekiwaniami, fotopstryki ozywają, gdy tylko pojawiają się w drzwiach. Niektórzy nawołują, jakbym maszerował po czerwonym dywanie. Działa mi to na nerwy.

Kurde, ja tu przecież pracuję. Nie widać?

Dori

Wczoraj, tuż przed zaśnięciem, przyszło mi do głowy, że mogłabym poprosić Robertę, by dokończyli projekt beze mnie. Tęsknię za próbami z dziećmi ze szkoły parafialnej, za ich radosnymi głosami. Brakuje mi wspólnego śpiewania, mimo że maluchy fałszują jak najęte. Tęsknię za pracą z osobami, które zachowują się niedojrzale dlatego, że mają po pięć lat, a nie dlatego, że są aroganckimi bubkami. A ponad wszystko, nie mogę się doczekać chwili, gdy przestanę się zadawać z Reidem Alexandrem.

Gdy zaczynam się zastanawiać, jaka afera teraz wybuchnie, okazuje się, że niepotrzebnie wysiliłam mózg. Oczywiście. Paparazzi musieli się tu pojawić. W końcu mamy u siebie celebrytę z górnej półki.

Przywieram do ściany salonu płasko niczym ninja i wyglądam ukradkiem przez okno. Reid pracuje, zupełnie nie zwracając uwagi na fotografów, którzy otaczają nas po prostu zewsząd. Przypomina mi się film przyrodniczy o mrówkach, który ze zgrozą obejrzałam w wieku sześciu lat. Pożerając na swej drodze dosłownie wszystko, owady sunęły przez sawannę niczym czarna, niepowstrzymana fala. Nie mogłam potem zasnąć przez okrągły tydzień. Dopiero potem Deb zdołała mi wbić do głowy, że afrykańskie gatunki mrówek stosunkowo rzadko atakują kalifornijskie metropolie.

Ostatnią noc spędziłam, przewracając się z boku na bok, i teraz czuję się strasznie wyczerpana. Nie umiem zdecydować, czy jestem wystarczająco głodna, by zaryzykować, że znajdę się przypadkiem na jednym ze zdjęć Reida. Nie, to przecież śmieszne. Od następnego posiłku dzieli mnie siedem długich godzin. Nie mogę się chować z powodu jakichś durnych fotografów. Poza tym, ja ich przecież

nie interesuję.

Plan: wyjść do ogrodu, jak najszybciej wrzucić coś na talerz i czym prędzej wrócić do środka.

Kilka minut później omijam tłumek kolegów, niosąc miskę owoców i kubek mrożonej herbaty. Wtem jedna z wolontariuszek skręca prosto w moją stronę, zapatrzona w siedzących na dachu sąsiada paparazzi. Zbyt późno dociera do mnie, że dziewczyna mnie nie widzi, więc usuwam się na bok, tak blisko krawędzi ganek, jak to tylko możliwe. Muskamy się rękawami. Oddycham z ulgą. I wtedy dziewczyna odwraca się gwałtownie, przypadkowo trącąc mnie łokciem. Ganek wznosi się cztery stopy nad ziemią. Barierek jeszcze nie ma.

Wydarzenia rozgrywają się w zwolnionym tempie. Z szeroko otwartymi oczyma i ustami ułożonymi we wstrząśnięte „o”, wolontariuszka wyciąga ku mnie ręce. Ja tymczasem lecę w tył. Jej palce zamykają się w powietrzu. Nie mam się czego złapać. Miska wylatuje ku górze, cząstki owoców fruną na wszystkie strony. Herbata strzela z kubka, tworząc nad moją głową malowniczy łuk. Choć wiem, że piszczę, niczego nie słyszę. Zupełnie jakby ktoś wyciszył dźwięki wokół mnie przyciskiem pilota.

Jeśli nigdy nie przydarzyło się wam spaść prosto w czyjeś ramiona, powinniście wiedzieć, że lądowanie nie jest tak miękkie i łagodne, jak starają się nam wmówić hollywoodzkie filmy. W rzeczywistości kończyny uderzają tam, gdzie uderzają i mimo że zderzenie z ludzkim ciałem jest zapewne mniej bolesne niż upadek na ziemię, w niczym nie przypomina opadnięcia na sofę, trampolinę czy jakąś inną elastyczną powierzchnię.

Moje ręce i nogi wymachują bezradnie, głowa zderza się z czyimś ramieniem, a gdy ciało, na które spadłam ugina się pod moim ciężarem, moje własne kolano trafia mnie w brodę.

– Uch! – dyszy, padając na ziemię. Sekundę później mój łokieć wbija się w jego brzuch.

Nie muszę widzieć jego twarzy – znam ten głos – mimo wszystko jednak zerkam. Patrzą na nas wszyscy obecni w ogródku i zgromadzeni na sąsiednich podwórkach paparazzi. Leżę na rozpląszczonym Reidzie Alexandrze, którzy trzyma mnie ciasno w objęciach, bezsilnie mrugając w deszczu spadających z nieba owoców.

Z oddali dolatuje mnie trzask migawek. I pomyśleć, że jeszcze przed chwilą bałam się, że znajdę się z nim przypadkiem na jednym zdjęciu.

Próbuję się pozbierać, lecz Reid ściska mnie jeszcze przez chwilę. Nie od razu dotarło do niego, że już nie spadamy. Na naszych białych koszulkach ciemnieją herbaciane plamy. Gdy wreszcie siadamy, plastry ananasa, cząstki melona i zmiażdżone jagody sypią się z nas na ziemię.

Ludzie, przed sekundą zelektryzowani i nieruchomi jak posągi, rzucają się

ku nam, pytają, czy nic się nie stało, pomagają wstać.

Przerażona, wpatruję się w swoje wilgotne, ubrudzone owocami ubrania. Nogi też mam mokre – strużki herbaty spływają z nogawek szortów i ciekną po nagich łydkach. Nie jestem w stanie spojrzeć Reidowi w oczy.

– Ja... Bardzo cię przepraszam – dukam w stronę, gdzie powinien stać. – Muszę wyczyścić ubranie – dodaję w odpowiedzi na pytania kilkorga osób.

Zgarniam ze stolika garść serwetek i ruszam do domu, starając się nie biec. Dzięki Bogu woda w łazience została już podłączona, brakuje tylko luster. Ścieram herbatę z nóg i przyciskam wilgotną serwetkę do poplamionej koszulki. Oczywiście nic to nie daje. Przeciągam dłonią po włosach, wygarniając z nich resztki owoców. Próbuję nie myśleć o tytułach jutrzejszych artykułów w tabloidach i – o Chryste! – internetowych portalach.

„Niezrównoważona fanka rzuca się na młodego amanta – kliknij i obejrzyj zdjęcia”.

„Niedzarna dziewczyna pada bez zmysłów na Reida Alexandra, czytaj na stronie drugiej”.

Dobry Boże!

– Masz tu jeszcze kawałek melona. – Reid kładzie mi dłoń na ramieniu i wyławia z moich włosów cienki plasterek. – Wiesz, mogło być gorzej.

– Tak? – Jestem pewna, że ma rację, choć w tej chwili trudno mi to sobie wyobrazić.

– Pewnie. Mogłaś jeść spaghetti z pulpecikami. I pić mleko czekoladowe czy nawet sangrię. Plam po sangrii nie spierzesz, wiem coś o tym. – Zdejmuje mi z karku jagodę i wrzuca ją do umywalki. Tocząca się granatowa kulka zostawia za sobą purpurową ścieżkę. Natychmiast zapamiętuję, że trzeba poprosić Robertę o jakieś porządne mleczko czyszczące. Ten sok może na dobre odbarwić ceramikę.

Wyobrażając sobie siebie oblepioną makaronem, odwracam się i patrzę na niego bez cienia uśmiechu.

– Raczej nie serwujemy tu spaghetti. Ani sangrii.

– Bardzo mądrze. Sos pomidorowy i czerwone wino to groźni przeciwnicy. – Minę ma poważną, lecz w oczach zaczynają tańczyć wesołe iskierki.

– No właśnie.

– Słuchaj, sprawdź, czy nie mam już nic na głowie. – Pochyla się ku mnie. – Niby się przeczesalem, ale mogłem coś przegapić.

– Nie, niczego nie widzę. A, czekaj. Jest kilka kawałków truskawek. – Próbuję usunąć resztki mięszu, nie dotykając jego głowy, lecz okazuje się to niemożliwe. Słodka maź oblepiła długi na kilka cali kosmyk, więc daję za wygraną i wsuwam mu palce we włosy, szukając innych ukrytych zbiegów.

– Mmm... – mruży Reid, jakby rozkoszował się dotykiem mojej dłoni. Włosy ma jeszcze bardziej miękkie niż myślałam. Odnoszę wrażenie, że łazienka

stała się nagle okropnie ciasna.

Wrzucam szczątki truskawek do umywalki. Łądują obok jagody.

– To już chyba wszystko.

Reid podnosi wzrok i wciąż patrzy na mnie rozbieganymi oczyma. Nie mam pojęcia, do czego zmierza, a potem jest już za późno. W pierwszej chwili jestem przekonana, że wypatrył na mojej głowie jeszcze jeden zbłąkany owoc, więc gdy unosi dłoń, po prostu nie reaguję. Stoję o pół kroku od ściany, więc popycha mnie na nią bez trudu. Jedną ręką obejmuje tył mojej głowy, drugą kładzie mi delikatnie na biodrze i pochyla się. Kiedy czuję w kąciку ust muśnięcie jego warg, otrząsam się gwałtownie i odwracam twarz. Podrywam dłoń i odpycham go.

– Reid, nie!

Wycofuje się natychmiast i rozkłada uniesione dłonie. Z zawadiackim uśmiezkiem wzrusza ramionami.

– Przepraszam. To się już nie powtórzy. Byłem po prostu, no wiesz, ciekawy.

– Czego? – pytam spokojnym, o dziwo, głosem. O dziwo, gdyż do spokoju bardzo mi w tej chwili daleko. Prawie mnie pocałował. Prawie mnie pocałował!

Ponownie wzrusza ramionami, a ja nabieram ochoty zdzielić go pięścią. Wciąż, bez względu na sytuację, wszystko mu jedno. Nic się nie liczy.

– Właściwie to niczego. Serio. Już tego nie zrobię.

Nigdy nie poczuwa się do odpowiedzialności, wydarzenia po prostu rozgrywają się wokół niego, jakby trwał w oku cyklonu, z którym osobiście nie ma nic wspólnego. Z bijącym głośno sercem odsuwam go i wychodzę. Właściwie prawie mnie nie dotknął. Przestał zaraz, gdy tylko zaprotestowałam. I powiedział, że to się już nie powtórzy. Dwukrotnie.

Mijani ludzie obrzucają mnie przelotnymi spojrzeniami, pytają, czy wszystko w porządku. Przywołuję więc na twarz sztuczny uśmiech, zapewniam, że nic się nie stało, choć mam nieodparte wrażenie, że lada moment zejdę na zawał. Dlaczego? Dlatego że Reid jest bogatym celebrytą? Na pewno nie. Bo jest tak przystojny? Z powodu jego swobody i arogancji – tej nieuchwytniej, otaczającej go aury, tej nieodparte dla części kobiet pokusy? Nie i nie.

No dobra, więc dlaczego?

Dlatego że w tym pocałunku, do którego przed momentem nie doszło, poczułam wszystko, czego mi brakowało, kiedy w piątkowy wieczór całował mnie Nick.

Rozdział 14

Reid

Cholera. Głupie to było.

Choć z drugiej strony, co do jasnej Anielki? Sporo czasu minęło, odkąd dziewczyna odepchnęła mnie tak zdecydowanie. Nie wiem nawet, czy kiedykolwiek do tego doszło. Zupełnie jakbym padł ofiarą syndromu sztokholmskiego, a Dorcas była moją strażniczką. To jasne, że właśnie dlatego spróbowałem ją pocałować. Muszę się z tej sytuacji wyplątać. Jak najszybciej.

Może powinienem był pozwolić jej zwalić się na ziemię, ale kiedy zobaczyłem, jak ta kobieta spycha ją z ganku, zareagowałem po prostu instynktownie. Nie był to najbardziej wdzięczny upadek ani najbardziej spektakularny chwyt w dziejach nieszczęśliwych wypadków. W konsekwencji został mi siniak na ramieniu i zdarłem sobie skórę z łokcia. Przy okazji nadwyrężyłem też mięśnie brzucha i odkryłem – przysięgam, że nieumyślnie – iż Dorcas Cantrell przy użyciu kolekcji gigantycznych koszulek skrywa naprawdę godne uwagi krągłości.

Gdy wsiałam do samochodu, dzwonię do George'a – znowu.

– Reid? – dziwi się, że telefonuję do niego już w kilka godzin od poprzedniej rozmowy.

– Hej, chciałem ci tylko dać znać, że właśnie w tej chwili pojawiają się w sieci pewne zdjęcia. Jedna dziewczyna spadła z ganku, a ja ją, tak jakby, złapałem.

– Spadła z ganku?

– No tak. Straciła równowagę, ktoś ją potrącił.

– Jezus Maria!

– Nie, nie Jezus. Jakaś roztrzepana kobieta w średnim wieku.

George ignoruje mój żarcik.

– A ta dziewczyna, którą, tak jakby, złapałeś, nie jest przypadkiem nieletnia albo zamężna? Nie jest nielegalną imigrantką? Nie diluje amfą?

Parskam śmiechem.

– Osiemnaście lat, singielka i czysta aż do przesady.

– Mhm. Powinienem wiedzieć o czymś jeszcze? – George, zgodnie ze swoim zwyczajem, zawiesza pytanie. Nie próbuje mnie podpuszczać, nie stara się wyciskać dodatkowych szczegółów. To jedna z wielu cech, za które tak bardzo go cenię. Ufam mu jak właściwie nikomu innemu, a on dobrze o tym wie. Wie również, że w razie czego powiem mu szczerze o wszystkim, choć rzadko słucham

jego dobrych rad.

– Nic, o czym mogliby wiedzieć postronni. Wiesz, stary, ona się mną nie interesuje.

Za szybą samochodu przemyka pejzaż wschodniego L.A. Wszystko jest tu stare, odrapane – budynki, chodniki. Nawet część ulicznych latarni chyli się ku ziemi, jakby miały dosyć posępnego otoczenia. Potężnie zbudowany, wytatuowany facet na wózku inwalidzkim jedzie prosto na hydrant przeciwpożarowy (niewykluczone, że uszkodzony). Kilka cali od krawężnika chwytą się go i ostro skręca, jakby ćwiczył do slalomu na paraolimpiadzie. Gdyby nie udało mu się złapać hydrantu, wjechałby na jezdnię i wpadł pod samochód. Ot, sport ekstremalny dla niepełnosprawnych.

– Czyżby?

Niedowierzenie George’a odbieram jako komplement.

– Tak, to prawdziwa świętoszka.

– Ach, tak. Rzeczywiście ktoś mi mówił, że jedna taka właśnie przyjechała do L.A. – George potrafi być zabawny. – Rozumiem, że nie ma sensu prosić, byś ją zostawił w stanie nienaruszonym?

Jeszcze kilka minut temu marzyłem o chwili, gdy rozstanę się z Habitatem na dobre. Z Habitatem i z Dori. Aluzja George’a, czy raczej moja reakcja na jego aluzję, uświadamia mi, iż nie do końca wiązałem ze sobą oba te rozstania. Ze zdumieniem stwierdzam, że wcale nie chcę, by ta znajomość dobiegła końca.

George wzdycha.

– Ech, cóż, przynajmniej próbowałem.

Mówię mu to, co zawsze – i naprawdę nie kłamię.

– Dzięki za radę, stary. Wezmę ją pod uwagę.

– Mhm.

Dori

Straszny. Ze. Mnie. Tchórz.

Wczoraj obudziłam się o trzeciej rano. Śniłam o nim. We śnie nie odwróciłam głowy. Usta Reida nie trąciły mojego podbródka, tylko przylgnęły do moich. A moje dłonie nie odepchnęły go, lecz mocno przyciągnęły. On zaś – zamiast się wycofać z kpiącym uśmiechem – przywarł do mnie w pocałunku, który trwał i trwał, aż w końcu raptownie ocknęłam się bez tchu.

Kiedy usiadłam, leżąc w nogach łóżka Esther zadarła pysk i zastrzygła uszami, zadając mi psie pytanie. Gdy uderzyłam pięścią w kołdrę i syknęłam „Kur... czaczki”, pochyliła łeb na bok.

Przytknęłam palce do warg. Podświadomie spodziewałam się, że będą nabrzmiałe; wciąż czułam ich gorące mrowienie. Odrzuciłam pościel i zawlokłam się do kuchni, gdzie zaparzyłam sobie kubek rumiankowej herbaty. Esther, wiedzona ciekawością lub odruchem solidarności, przyczłapała za mną.

Dzisiaj z samego rana zadzwoniłam do Roberty. Powiedziałam jej, że jestem pilnie potrzebna w kościele i aż do końca tygodnia nie pojawię się w Habitacie. Nie było to do końca kłamstwo. I nie była to też szczerą prawdą – znalazłam się w tej szarej, kłopotliwej strefie między pierwszym i drugim. Roberta zareagowała fantastycznie – zapewniła, że nie ma problemu, że rozumie, iż dzieciaki muszą za mną bardzo tęsknić i zrobiło mi się wstyd. Aż do momentu, gdy pomyślałam o Reidzie i naszym niedoszłym pocałunku. Muszę się od tej pokusy uwolnić, bo przecież dla mnie to nic więcej. Jedynie zwykła pokusa.

Dla niego z kolei to wyłącznie gra. Chce po prostu postawić na swoim, a ja nie zamierzam do tego dopuścić.

Pilnuję dowodzących w basenie dzieci i zastanawiam się, jakie prace zostały jeszcze do wykonania na budowie. Nagle jednak łapię się na tym, że znów marzę o nim. Zupełnie jakby wszystkie ścieżki moich myśli prowadziły niezmiennie do Reida. Ten jego ziemisty zapach w ciasnej łazience. Kontrast między jedną dłonią, mocno przyciskającą mnie do ściany, i drugą, delikatnie pieszczącą moje włosy. Błysk intensywnego, ciemnego błękitu jego oczu tuż przed tym, jak się nade mną nachylił. Zanim go odepchnęłam.

Z wysiłkiem kieruję uwagę z powrotem na dzieciaki i nadchodzący występ. Na Deb i czekające ją wyzwania. Na sprawy, które muszę załatwić przed studiami, na Nicka. Wodoodporny, pożyczony od ojca zegarek, da mi znać, kiedy trzeba będzie wygonić maluchy z wody. Szkoda, że nie jest w stanie mnie szczytać za każdym razem, gdy zaczynam myśleć o Reidzie. Byłoby cudownie.

Wciąż mam go w głowie – staram się go pozbyć, ale nie idzie mi to najlepiej. Być może powinienam poszukać egzorcysty.

Po zajęciach czytam SMS-y. Dwa od Aimee i Kayli – koleżanek ze szkoły. Od zakończenia roku widziałam się z nimi tylko dwa razy. A przez całe liceum byłyśmy przecież najlepszymi psiapsiółkami. Dopuściły mnie do swojego kręgu już w pierwszym miesiącu dziesiątej klasy. Nie jestem z nimi tak silnie związana, jak one ze sobą, ale to nic. W końcu żadna z nich nie ma takiej siostry jak Deb.

Aimee: „No, to kiedy opowiesz nam o REIDZIE ALEXANDRZE...?”

Kayla: „W sieci jest pełno waszych zdjęć z budowy, serio, i TY NA NIM LEŻYSZ!!!”

Dzwonię do Aimee. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent są gdzieś razem. W szkole nazywaliśmy je bliźniaczkami, ponieważ wszystko robiły wspólnie. Chodziły na te same zajęcia, zapisywały się na te same kursy, spotykały się z chłopakami, którzy się ze sobą przyjaźnili – ewentualnie z braćmi. Za kilka

tygodni zaczną studia i, naturalnie, zamieszkają w akademiku w jednym pokoju.

– Dori! – odbiera Kayla. – Naprawdę przyjaźnisz się z Reidem Alexandrem? A może to coś więcej niż przyjaźń? O rany, pomyśleć tylko o tych imprezach! Zaprosisz mnie i Aimee na jakąś, prawda?

– Właściwie to się nie przyjaźnimy. A z całą pewnością nie dzieje się nic więcej.

– No, ale ta focia? Leżałaś na nim normalnie jak kołdra!

Fuu, nie wierzę, że to powiedziała. Czy te zdjęcia naprawdę są tak okropne?

W telefonie rozlega się trzask, po czym słyszę podekscytowany, szybki trajkot Aimee. Zupełnie jakby w życiu nie słyszała o przecinkach.

– Dori ja cię znam i wiem że nie ufasz facetom a Reid Alexander jest ostatnim kolesiem na świecie któremu powinno się ufać ale serio to nie jest moment kiedy powinnaś się zastanawiać nad zaufaniem bo to po prostu jest moment jaki trafia się ludziom jeden jedyny raz w życiu!

Ja nie ufam facetom? Co?

Wzdycham. Doskonale rozumiem, że gdyby dowiedziały się, co zrobiłam wczoraj, w kilka chwil po upadku, udusiłyby mnie gołymi rękami o idealnie zadbanych dłoniach.

– Dziewczyny, przecież wiecie, jak media potrafią manipulować tego rodzaju zdjęciami.

– Dori? Czy ja naprawdę muszę się powtarzać? Leżałaś na nim! O ile to nie Photoshop, nie ma mowy o żadnej manipulacji.

Oho, czyli nie jest dobrze.

– Upadłam. A on mnie złapał. Do niczego poza tym nie doszło.

Aimee wydaje z siebie przeciągłe westchnienie, jakbym właśnie potwierdziła, że przeżywam namiętny romans.

– Tak piszą w sieci, że potknęłaś się i spadłaś z ganku. Swoją drogą, jaki genialny motyw! Ruszył ci na ratunek! Mega romantycznie!

Wciąż pobolewa mnie głowa, otarte kolano piecze, a na domiar złego, mam nieodparte wrażenie, że kiedy spadałam, dłonie Reida – niekoniecznie z premedytacją – zawędrowały tam, gdzie nie powinny. Średnio romantycznie, przynajmniej jak na moje standardy.

– Dori. – Kayla odbija komórkę z rąk przyjaciółki. – Chcesz powiedzieć, że naprawdę nie poznaliście się bliżej?

– Nie, naprawdę nie.

– No to słabo – przez chwilę słyszę w tle głos Aimee. – A mogłabyś się jeszcze z nim zaprzyjaźnić?

Mimowolnie wybucham śmiechem. Razem z Aimee dorastałyśmy mając Hollywood praktycznie po drugiej stronie ulicy. Kayla również zamieszkała w tej okolicy we wczesnym dzieciństwie. Można by pomyśleć, że bliskość gwiazd nie

będzie dla nas równie ekscytująca jak dla reszty świata.

– Widzisz, na budowę wrócę dopiero w przyszłym tygodniu, a za dwa tygodnie wylatuję do Ekwadoru. Zresztą, to mocno zadufany w sobie koleś. Strasznie gwiazdorzy. I nie interesują go przeciętne dziewczyny.

– Hmm... – w głos Kayli wkrada się posępna nuta. – Więc chyba będziemy się musiały ograniczyć do przeciętnych studentów.

Ostatnia uwaga wydaje mi się wyjątkowo zabawna. Przez ostatnie trzy lata obie rozpływały się w poetyckich marzeniach o przeciętnych studentach.

Rozdział 15

Reid

Rój paparazzi stale się rozrasta. George co godzina odbiera telefony od dziennikarzy zainteresowanych napisaniem pogłębionego reportażu z przebiegu mojej kary. Oczywiście na wyłączność. Obaj zdajemy sobie naturalnie sprawę, że w gruncie rzeczy najbardziej zależy im na dokopaniu się do bardziej soczystych informacji dotyczących mojego ewentualnego związku z dziewczyną z plebsu. Nieszczególnie zdziwiłem się, kiedy Dori wczoraj nie przyszła na budowę. Po pierwsze, pamiętam przecież nasze łazienkowe spotkanie drugiego stopnia, po drugie doszły do tego fotki, na których wyglądamy, jakbyśmy się obmacywali. Osobiście nawykłem już do bzdurnych plotek i nadinterpretowanych zdjęć, pojawiających się na blogach moich fanów. Po prostu, trzeba te rzeczy zbywać śmiechem. Inaczej mógłbym skończyć w kajdankach za pobicie zbyt namolnego fana czy jakiegoś nachalnego dupka z aparatem. Oczywiście mógłbym też odciąć się od świata i wieść żywot pustelnika. Tak czy inaczej, nie zdziwiłem się specjalnie, chociaż byłem pewien, że dzisiaj Dori wparuje już na budowę w którymś ze swoich przepastnych T-shirtów i wygłosi oświadczenie ostro potępiające jeden z moich rozlicznych występów. Roberta powiedziała mi jednak, że Dorcas wróci dopiero w przyszłym tygodniu.

– Tak mocno przeżywa tę aferę ze zdjęciami? – Sięgam do lodówki po butelkę wody i wskazuję jej sąsiednie ogródki, wypełnione tłumem fotografów. Dodatkowe pytanie zadaję już tylko w duchu: czy może przeraził ją mój niedoszły pocałunek?

– Nie, raczej nie – odpowiada Roberta bez przekonania. Lekko marszczy brwi. – Dori współpracuje też ze swoim kościołem i potrzebowali jej w szkółce.

– W szkółce?

Roberta patrzy na mnie jak na kosmitę.

– Tak. W szkółce parafialnej.

Nie pomogło. Szkoła i parafia. Z mojego doświadczenia wynika, że te dwa słowa nigdy nie występują razem.

– A czym się tam zajmuje? Co może być aż tak ważne? – Kolejka po talerzyki powoli posuwa się naprzód. Odkręcam korek butelki i popijam.

– Jest współautorką muzycznej oprawy imprezy na zakończenie zajęć i przygotowuje występ przedszkolaków. – Roberta jest wyraźnie dumna z osiągnięć Dori, ale dla mnie to zupełnie nie ta liga. Kościelne śpiewy uważam za najniższą formę sztuki. Dowodzenie zawodzącymi ku chwale Pana pięciolatkami? Prędeż

dałbym się zastrzelić.

– Proszę, proszę. Super! (Serio: zas-trze-lić.)

– Cześć, Reid!

Ach, Gabrielle. Szansa na zmianę tematu.

– Zjemy razem? – pytam ją z szerokim uśmiechem. Musiała już zapomnieć, że zdarzyło mi się powiedzieć, iż nie chcę się z nią zadawać.

Gabrielle obrzuca Robertę triumfalnym, wyzywającym spojrzeniem, po czym rozpromienia się i trąca mnie palcem w pierś.

– No jaha! Przecież po to tu przyszłam.

Roberta ściąga wargi i usilnie stara się wymyślić jakikolwiek powód, by nas rozdzielić. Nic nie przychodzi jej do głowy, a ja udaję, że niczego nie zauważyłem.

Dori

Trzy dni bez Reida, a ja wciąż nie zdołałam zwalczyć pokusy. Na zmianę zastanawiam się, czy pod moją nieobecność narobił jakichś kłopotów i czy swoim zniknięciem sprawiłam mu choćby niewielką przykrość – czy w ogóle je zauważył.

Wieczorem, w zaciszu swojego pokoju i w jawnej sprzeczności z zasadami zdrowego rozsądku – którego posiadania przecież zawsze byłam niemal pewna – wpisuję w Google'a nazwisko Reid Alexander. Pierwsze wyniki: te nasze durnowate zdjęcia. Leżę na nim jak piłkarski obrońca na napastniku po nieudanym wślizgu. W sieci trwa ożywiona dyskusja. Nikt nie ma pojęcia, kim jestem. Internauci snują rozważania, czy jestem tylko przypadkową łamagą, wolontariuszką jak on, czy może kimś więcej. (Wolontariuszką JAK ON? Wolne żarty!) Fani Reida dyskutują również nad tym, co tak naprawdę na tych zdjęciach robimy, ale na szczęście naocznych świadków zajścia było wielu i najgorsze komentarze brzmią mniej więcej: „głupio na niego wpadła i tyle”. Niektórzy – podobnie jak Kayla i Aimee – wskazują, że „zachował się genialnie”.

Pogląd większości sprowadza się do tego, że jestem prostą, nieatrakcyjną dziewczyną, właściwie nikim – najczęściej wyrażają tę ocenę w znacznie ostrzejszych słowach. Nie przejmuję się, ponieważ po pierwsze, rzeczywiście jestem prostą, nieatrakcyjną dziewczyną, a po drugie, żaden z komentatorów nie zna mnie osobiście. Ich wyroki opierają się na jednym: na tym jak wyglądam w porównaniu z Reidem. To osądy powierzchowne i przesadne. Podobnie jak peany wygłaszane na jego cześć – wszystko opiera się na zwykłych poszlakach.

Dalszych artykułów i komentarzy nie czytam. Klikam w zakładkę „grafika”, bo przecież w przypadku Reida Alexandra wygląd jest najważniejszy. Jego piękna twarz. Smukła, muskularna sylwetka. Rzucający się w oczy męski powab, rodzący

się z wewnętrznej pewności siebie i rozkwitający w obiektywach kamer i aparatów. Klikam w link prowadzący do sesji zdjęciowej z zeszłego roku, zrealizowanej dla jednego z magazynów o modzie dla mężczyzn. Reid pojawia się na okładce i rozkładówce w ciemnym garniturze, który – nie mam tu wątpliwości – został uszyty na miarę i musiał być obłędnie drogi. Na kilku innych zdjęciach ma na sobie wyłącznie dżinsy, zsunięte odpowiednio nisko, by podkreślić rzeźbę mięśni brzucha. Pierś i ramiona równie idealne. A wszystko to bez pomocy komputerowych grafików, o czym mogłam się naocznie przekonać, kiedy paradował bez koszulki. Klikam w strzałkę i pojawia się kolejna fotografia – hipnotyzujące zbliżenie. Ścisną mnie w dołku i wydaję z siebie oszołomione „Och!”. Ubrany w czarny podkoszulek na ramiączkach stoi, przytrzymując się oburącz gałęzi drzewa. Na wcześniejszych ujęciach patrzył w obiektyw z wystudiowaną arogancją – tą samą, którą miałam okazję poznać na żywo. Tutaj jednak, wręcz przeciwnie. Jego spojrzenie jest otwarte. Czułe. Wrażliwe.

Zatrząskuję pokrywę laptopa.

Oglądanie tych zdjęć? Bardzo zły pomysł.

Rozdział 16

Reid

Za niecałe dwa miesiące zaczynam zdjęcia do nowego filmu. Główną rolę dostałem dzięki temu, że obiecałem przypakować i osobiście zagrać większość kaskaderskich scen, więc nie mogę być po prostu w niezłej kondycji. Muszę być w super formie. Mój trener zaplanował pierwszą serię tortur już na jutro rano, więc dzisiejszy wieczór muszę zakończyć raczej wcześniej.

A to kicha, ponieważ jestem właśnie na mieście z Taddem, kumplem, którego poznałem na planie *School Pride*, i który wraca jutro do rodzinnego Chicago. Zjedliśmy razem kolację, po czym wylądowaliśmy w barze jego hotelu.

– Widziałeś się z kimś od maja? – pyta Tadd, kiedy kelnerka, z zacięciem udająca, że nie ma pojęcia, kim jesteśmy, stawia drinki na stoliku.

– Raz byłem na imprezie z Quintonem, a w zeszłym miesiącu, na rozdaniu nagród wpadłem na Jennę. Naprawdę niezła laska.

Tadd zamiera, kieliszek z martini zawisa w pół drogi do jego ust.

– Stary, ona ma jakieś szesnaście lat.

– Jezu, dlaczego wszyscy węższą we mnie zbrojeńca? – prawie krzyczę. – Ja wszystko rozumiem, okej? – wzdycham i, próbując się opanować, przeczesuję włosy dłonią. Chyba przesadziłem, wszystko przez tę aferę z Dori i Gabrielle.

– Wyluzuj, stary. Przecież o nic cię nie oskarżam. – Tadd pochyła się i opiera łokcie na blacie. – Wiem, że nie jesteś kretynek. – Uśmiecha się. – Zdarza ci się za to bywać skończonym durniem.

Śmieję się i kręcę głową.

– Mówisz o Emmie, tak?

– Raczej o tym, że rozbiłeś samochód i omal się nie zabiłeś. Ale fakt, swoje życie uczuciowe też doprowadziłeś do zagłady.

Chwilę siedzimy w milczeniu. Wiem, że Tadd czeka, bym zadał pytanie, którego treść zna już z góry.

– Widziałeś się z nią?

Przygląda mi się uważnie, jakby oceniał, ile zdołam znieść.

– Dwa tygodnie temu spotkaliśmy się w Nowym Jorku. Za kilka tygodni zaczyna tam studia, ale przeprowadziła się już w zeszłym miesiącu. Nie chciała, hmm... nie chciała spędzić całego lata bez Grahama.

Wyobrażam sobie ich dwoje razem i czekam na falę bólu. Nie czuję jednak praktycznie niczego.

– Czyli jakoś im się układa?

– Jak dotąd tak. – Tadd sący martini i sprawdza moją reakcję zerknięciem spod jasnej grzywki, która wiecznie przesłania jego prawe oko. – Prawdę mówiąc, widziałem się z obojgiem. Odniosłem wrażenie, że jest im dobrze, wiesz, jakby do siebie pasowali. Ale dobra, mogę się już zamknąć.

Wzruszam ramionami i kręcę głową.

– Nie. Cieszę się, że jest szczęśliwa. – Ze zdumieniem stwierdzam, że naprawdę się cieszę. – A co z tobą, amancie? Znalazłeś coś stałego, czy nadal łamiesz serca na lewo i prawo?

Tadd ponownie opiera łokcie na stoliku i przybiera poważną minę.

– Stary, poznałem kogoś miesiąc temu i jestem tak zabujany, że to już przestaje być śmieszne. No, zakochałem się bez pamięci. Po raz pierwszy w życiu. To chore.

– No i git, Thaddeus. – Zderzamy się pięściami w przyjacielskim zółwiku. Tadd się uśmiecha. – Więc kim jest ten szczęściarz? Wiesz, że akurat mnie możesz zaufać.

– Wiem, wiem, spoko. Jest architektem. Niewiarygodnie, cholernie inteligentny facet. A przy tym pomysłowy, cudowny, zabawny, seksowny... – Na kilka sekund milknie i pogrąża się w zadumie.

– Dobra, już dobra. Przestań, bo zacznę się zastanawiać, czy nie zostać gejem – rzucam; Tadd parska śmiechem.

– Wiesz, ciężko nam trzymać się na dystans wśród ludzi. Zresztą, to nigdy nie było dla mnie łatwe... Te ciągłe gierki, ukrywanie. – Wzrusza ramionami. – Ale czegoś takiego jak teraz nie czułem nigdy w życiu. Chciałbym chodzić z nim za rękę po parku. Odgarniać mu wpadające do oczu włosy, kiedy jedną rękę ma zajętą kubkiem kawy, a drugą psią smyczą. – Uśmiecha się kącikiem ust i wpatruje się w kieliszek. – Kiedy kogoś naprawdę kochasz, wszystko się zmienia.

Zastanawiam się nad sytuacjami, które dla mnie są zupełnie naturalne. Mógłbym, na przykład, pocałować publicznie zupełnie nieznaną dziewczynę i najgorsze, co usłyszałbym od postronnych, to: „Znajdźcie sobie jakiś pokój”. Tadd jest zakochany, ale ze swoim facetem przez większość czasu nie może nawet trzymać się za rękę. Nigdy nie wiadomo, z jakimi słowami i zachowaniami mogliby się spotkać.

– Przerąbane masz, stary – mówię i Tadd unosi pięść, jakby chciał mnie zdzielić w ramię. Rozlewam trochę alkoholu na stolik. – No weź!

Śmiejemy się.

– A u ciebie? – pyta wreszcie Tadd. – Pojawiła się jakaś nowa?

– Nawet nie pytaj. – Kręcę głową.

– Oho? – Tadd nachyla się jeszcze bliżej, obie jego brwi wędrują wysoko ku górze. – Więc jednak zapytam. I to bardzo chętnie. Wal śmiało, stary. Chodzi może o tę dziewczynę z prac społecznych?

Przekleńci paparazzi.

– Co ty, po prostu jakaś niezgara spadła na mnie z ganku.

Wtem staje mi przed oczyma wizja owocowego deszczu. Taki surrealistyczny obraz. Przypominam sobie moment, kiedy chwyciłem ją w ramiona. Jej gorącą, rozpaloną twarz, kiedy próbowała się podnieść i odsunąć. Miałem na końcu języka ciętą uwagę na temat jej nieporadności, ale była już tak zawstydzona, że się powstrzymałem. Zamiast ją dręczyć, wszedłem za nią do środka.

Nie wiem, czego się tam spodziewałem. Na pewno nie planowałem, że spróbuję ją pocałować – stało się to zupełnie spontanicznie. Gdy poczułem na włosach dotyk jej palców, pojawiła się inna wizja – wyrazista i ulotna – zobaczyłem, jak Dori leży pode mną w łóżku i gładzi mą nachyloną do pocałunku głowę...

– Halo? Ziemia do Reida – cyniczny ton Tadda wrywa mnie z zamyślenia. Otrząsam się i podnoszę wzrok. Powoli kręci głową. – Tak, tak. Jak na dłoni widać, że między wami nic się nie dzieje. Nic a nic.

Wtopa.

– No cóż, ja na nią zupełnie nie działałam. Po prostu nie jest zainteresowana. Spróbowałem nawet ją pocałować, ale mnie odtrąciła. Bardzo wymowny gest. „Nie” znaczy „nie”, rozumiesz. A potem zniknęła na całą resztę tygodnia.

Tadd uśmiecha się i podnosi kieliszek.

– Proponuję toast za wyzwania, stary.

Ma trochę racji. Niewykluczone, że Dori po prostu lepiej gra trudną do zdobycia niż inne panny, które poznałem. Niewykluczone, że poprzednie sukcesy mnie rozleniwiły.

Dori jeden, Reid zero.

Ale mecz się jeszcze nie skończył.

Dori

Dziś wieczorem planowaliśmy z Nickiem spotkanie, ale okazało się, że zapomniał o złożonej rodzicom obietnicy. Musi zostać z przybranymi braćmi, bo rodzice wybierają się z jego przyrodnią siostrą na spotkanie z jej biologiczną mamą. Zapewniłam go kilka razy, że oczywiście, rozumiem i nie gniewam się, chociaż odwołuje w ostatniej chwili.

Moi rodzice natomiast wyskoczyli na kolację ze znajomymi.

– No i zobacz, Esther, zostałyśmy same – mówię, łagodnie drapiąc suczkę za okłapłym uchem. Te uszy to jedyna cecha, jaką odziedziczyła po przodkach

spanielach. Cała reszta stanowi intrygującą kombinację golden retrievera, owczarka niemieckiego i, być może, jamnika. Kundel co się zowie. – Masz może ochotę na kanapki? – Wyjmuję z lodówki składniki. Z myślą o Esther układam na talerzyku kilka plasterków szynki z indyka. Gdy stawiam naczynko na podłodze, nagradza mnie łagodne merdanie ogona. – Troszkę kiszzonego ogórka? Nie? – dopytuję, patrząc, jak Esther delikatnie zbiera językiem i połyka pojedyncze plastry wędliny.

Układa się obok mnie na sofie (nie wolno jej tego robić, ale kiedy jesteśmy same, przymykam zwykle oko). Wgryzam się w swoją pitę i przeglądam ofertę stacji telewizyjnych. Nic ciekawego, więc sprawdzam płatne filmy. Mam nastrój na jakąś słodką historię. Żadnych krwawych horrorów i filmów sensacyjnych. Odpadają dramaty historyczne i filmy opowiadające o zbawieniu poprzez ból i cierpienie. Nie chcę też niczego zbyt poruszającego czy łzawego.

– Przeczytajmy opis, Esther. „Trey rozpoczyna ostatni rok liceum w nowej szkole. Dziewczyny i kumple kleją się do niego jak muchy do lepu. Kłopoty zaczynają się, gdy bohater zakochuje się w cichej, spędzającej czas na czytaniu książek Amandzie, którą koledzy i koleżanki odtrącają, ponieważ wydała ściągających członków drużyny futbolowej, wskutek czego połowa pierwszego składu oblewa angielski, a szkolna reprezentacja przegrywa ważny mecz o mistrzostwo”.

Esther układa się na boku i opiera pysk na mojej nodze.

– Cóż, chyba mamy zwycięzcę. – Klikam kolejno „zamów” i „odtwórz” i sięgam po garść prażonej kukurydzy. W zasadzie powinnam być smutna. W końcu Nick – mimowolnie – wystawił mnie do wiatru i nie miałam czasu umówić się z nikim innym. Sobotni wieczór, a ja siedzę sama jak palec. A jednak czuję się dobrze. Nawet lepiej niż dobrze.

Film spełnia wszystkie moje oczekiwania. Aż do mniej więcej dziesiątej minuty, kiedy w roli jednego ze szkolnych kumpli głównego bohatera pojawia się Reid. Zachłystuję się, aż Esther gwałtownie podrywa łeb, patrzy na mnie i rozgląda się po pokoju, wypatrując nieznanego zagrożenia.

Powinnam była wczoraj sprawdzić w sieci jego filmografię. W tej chwili kojarzę w zasadzie tylko dwie większe role. A ten film liczy już sobie prawie trzy lata.

Postać Reida jest w najlepszym razie drugoplanowa. Większość czasu na ekranie spędza w tle, lecz odkąd go zobaczyłam, albo się na niego gapię, albo czekam, by się ponownie pokazał. Film trwa godzinę i pięćdziesiąt siedem minut, lecz oglądam go prawie dwa razy dłużej, ponieważ każdą scenę z Reidem w nieskończoność cofam i odtwarzam ponownie.

W pewnym momencie kamera pokazuje kilka obściskujących się par. Reida znajduję z lewej strony ekranu. Siedzi na krześle i całuje się z dosiadającą go okrakiem cheerleaderką. Ich wargi wtapiają się w siebie, ale ja patrzę na jego

dłonie – gładzące jej ramiona, zsuwające się na krzyż, obejmujące ją tak, jak objął mnie, kiedy na niego spadłam. Cofam scenę i oglądam ponownie. Trzeci raz.

Rozdział 17

Reid

Olaf okazuje się prawdziwym potworem.

Nie sędzę, by trener spodziewał się mnie zastać w przyzwoitej formie, choć powiedziałem mu, że pracuję ostatnio na budowie. Nie jest zwolennikiem naturalnych form ćwiczenia – ciała swoich klientów kształtuje za pomocą ciężarków, bloczków, gumowych pasów i piłek lekarskich. Twierdzi, że rozwój fizyczny nie ma nic wspólnego z zadyszką po robocie, wkopywaniem sztachet czy machaniem młotkiem. Według Olafa, ćwiczyć powinno się w domowym zaciszu, w asyście człowieka, który mógłby jedną ręką złamać ci kręgosłup, motywującego cię tekstami w stylu: „Kim ty chcesz zostać, kiedy dorosniesz? Dziewczyną?”

Chwaląc się naturalnie rozbudowanymi mięśniami, chyba go rozjuszyłem. Powinienem był udawać słabeusza. Gdy tylko zauważył, że z przygotowanym przez niego zestawem ćwiczeń nie mam najmniejszego kłopotu, narzucił szybsze (i bardziej bolesne) tempo. Żywię mocne podejrzenie, że chciał mnie zabić, wskrzesić i zabić ponownie.

Wczoraj wieczorem wyskoczyłem na miasto z Johnem – po treningu z Olafem nie był to najmądrzejszy pomysł – i około drugiej w nocy walnąłem się u niego na kanapie. Z sypialni dolatuje mnie teraz jego chrapanie – dźwięk plasujący się gdzieś pomiędzy klaksonem ciężarówki a godowymi rykami starego morsa. Nie mam pojęcia, która godzina, ale, sądząc po słońcu za oknem, dochodzi właśnie południe. Bolał mnie wszystkie mięśnie, łeb mi pęka i wiem, że sam jestem sobie winien. Chociaż część winy mogę zwalić na Johna, a co sobie będę żałować?

Wlokę się do kuchni i szukam kawy. Okazuje się, że nie ma ani grama. Super. W lodówce znajduję jedynie piwo, nędzną resztkę margaryny i podejrzone pudełko z chińszczyzną – kurczak słodko-kwaśny i wołowina z nerkowcami. Totalny brak mleka. Zero soku. W spiżarni odkrywam fascynujące zapasy – składają się na nie stare czipsy i pudełko zapleśniałych płatków kukurydzianych. Kuchnia Johna wyposażona jest w najnowocześniejszy sprzęt, a jedzenia tu tyle, co kot napłakał. Trochę to smutne.

Umieram z głodu, więc pozostaje mi jedynie wziąć prysznic i wyjść w poszukiwaniu pokarmu. John jest mniej więcej mojego wzrostu i budowy, więc pożyczę od niego jakąś koszulkę i szorty. Istnieją również spore szanse, że znajdę w szafie kilka własnych ciuchów.

Kilka przecznic dalej znam taką przyjemną budkę z bajglami. Mam ochotę na bajgla z serem, lecz Olaf surowo stwierdził, że powinienem rozbudować

mięśnie, więc tłuszcz muszę ograniczyć niemal do zera. Cóż, trzeba pójść na kompromis – bajgiel bez sera i kilka plastrów marynowanego łososia. W łososiu jest chyba białko, nie?

Pieszym spacerem bez ochroniarza zawsze towarzyszy pewne ryzyko. Co prawda w miastach typu Los Angeles czy Nowego Jorku fani rzadko rzucają się na celebrytów, ale niekiedy dochodzi i do tego. Zresztą muszę pamiętać o zawsze czujnych paparazzi. Zakładam ciemne okulary i czapkę (z logo Lakersów – na bank moja). Zsuwam daszek głęboko na oczy, zgarniam z blatu klucze i wychodzę.

Dori

Po niedzielnym spotkaniu w kościele pomagam rozdawać kawę i pączki. Czekam, aż zacznie działać kawa, którą wlałam w siebie rozstawiając poczęstunek. Nie była zbyt dobra – ale nic w tym dziwnego. Pani K. kupuje ją hurtowo w dyskoncie, razem ze śmietanką w proszku, serwetkami i talerzykami z wiotkiej tektury. Nie powinnam mieć zbyt wygórowanych oczekiwań.

– Jak to? Nie ma czekoladowych z posypką? – Pan Goody, nasz najstarszy parafianin, rzuca mi srogie spojrzenie ponad barem, za którym stoję kompletnie rozkojarzona. Wzrok staruszka sunie po pudełkach z różnymi rodzajami pączków.

– Słuch...? Nie. Mamy tylko to, co widać. Ale zostały dwa czekoladowe z orzechami...

– Orzechy! Za żadną cenę! – Pan Goody sięga po najzwyczajniejszy, lukrowany pączek i patrzy na mnie tak, jakbym mu zaproponowała ciastko z błotem.

– Hmm... – Wzburzona pani Perez wpatruje się w plecy odchodzącego staruszka. – Jak można nie lubić orzechów?

– Może ma alergię? – podpowiadam.

– Chyba na dobre maniery! – Kobieta wyrównuje stosik cienkich jak pergamin serwetek. Zerkam na komórkę, na której migocze zielone światełko. Nowa wiadomość.

Kayla: „Znowu idziemy z Aimee na *School Pride*. Skoczysz z nami? Chodź, przecież wiemy, że chcesz”.

School Pride, najnowszy kinowy przebój Reida. Natychmiast przyspiesza mi tętno. Nie jest dobrze. Mimo pięciodniowej przerwy w kontaktach z nim moje zauroczenie wyraźnie osiągnęło wyższy poziom. Jak to w ogóle możliwe?

Jasne, że powinnam odmówić. Film z Reidem w roli głównej jest ostatnią rzeczą, jaką powinnam w tej sytuacji oglądać.

Odpisuję więc: „Pewnie. Wpadnijcie po mnie. Będę w domu o trzynastej”.

Niekiedy zdarza mi się myśleć, że tata potrafi czytać mi w myślach.

Przykłady? W pierwszej klasie byłem wielką fanką Hello Kitty. Pewnego dnia Annabelle Hayes przyszła do szkoły z pudełkiem kolorowych kredek ozdobionych wizerunkami kreskówkowych postaci. Kiedy wychodziłyśmy na przerwę, zwędziłam te kredki z jej ławki. W następną niedzielę tata wygłosił kazanie o dwóch biblijnych przykazaniach: zakazie kradzieży i pożądania cudzej własności. Kiedy rozryczałam się w kościelnej ławce, mama czym prędzej wyprowadziła mnie do łazienki. Była przekonana, że zachorowałam. Okazuje się, że poczucie winy łatwo było we mnie wywołać, nawet gdy miałam sześć lat.

Dzisiejszego ranka tata opowiada wiernym o pokusach. Spogląda mi w oczy i odnoszę wrażenie, iż zna każdą zdrożną myśl o Reidzie jaka powstała w mojej głowie. To oczywiście niemożliwe, ale przecież na własne uszy słyszę, jak tłumaczy, w jaki sposób można rozpoznawać niebezpieczne pokusy i jak należy się im przeciwstawiać.

Z silnym postanowieniem, by uważnie go wysłuchać i sporządzić notatki, sięgam do torebki po notes i długopis. Zaraz potem znowu myślę o dłoniach Reida dotykających moich włosów i obejmujących talię. O jego popychających mnie pod ścianę ramionach, o jego wargach błędzących na moim policzku, gdy odwróciłam twarz. Nie potrafię w logiczny sposób wyjaśnić, dlaczego tak notorycznie myślę o naszym niedoszłym prawie-pocałunku. Nie widzę żadnego sensownego powodu. Tym bardziej, że siedzę przecież w kościele.

Kiedy kazanie dobiega końca, na otwartej stronie notesu wciąż nie ma ani jednego słowa.

Rozdział 18

Reid

Gdy przyniosłem Dori sojową latte, wydawała się zaskoczona, lecz zarazem wdzięczna (szczęśliwym trafem dzień wcześniej usłyszałem, jak opowiadała komuś przez telefon, że marzy właśnie o takiej kawie). Dlatego dziś rano kupiłem taką samą. A żeby nieco wytrącić ją z równowagi, identyczny napój wziąłem dla Gabrielle.

Na miejscu zastaję je obie w przyszłym pokoju Gabrielle, którego ściany pomalowaliśmy na obrzydliwy odcień różu. Na podłodze czekają schludnie rozłożone elementy wiatraka – śruby, nakrętki i łopaty wirnika. Dori przegląda instrukcję montażu, Gabrielle natomiast stoi z zaplecionymi na piersi rękoma i poirytowaną miną – zmienia się to jednak, gdy tylko mnie zauważy.

– Reid! – Dziewczyna rozpromienia się w jednej chwili.

Przez ułamek sekundy czuję ukłucie żalu. Wolałbym, żeby to Dori tak entuzjastycznie zareagowała na moje przybycie. Chociaż nie, przecież ta aura pozornej obojętności, jaką wokół siebie roztacza, stanowi istotną część wyzwania. Dori nie podnosi wzroku, ale już wie, że przyszedłem – ścisną instrukcję tak mocno, że gniecie brzegi książeczki, a jej uszy przybierają barwę ścian.

Wyjmuję z tacki swoją karmelową macchiato, tłumię cisnący mi się na usta śmiech z powodu strwożonej miny Dori i skupiam się na Gabrielle, która krzywi się na pierwszą wzmiankę o sojowej latte.

– A dają do tego słodki syrop? – pyta z nadzieją.

– Do latte? No... Nie bardzo.

– Na pewno Roberta ma cukier – wtrąca Dori. Jej oczy na moment spotykają się z moimi i zaraz czmychają w bok. Gabrielle radośnie tuli mnie na powitanie (Dori ściąga usta, lecz powstrzymuje się od komentarza) i wybiega w poszukiwaniu cukru.

– No przestań, Dori. Pierwsza działka zawsze jest za darmo.

Z oporami odbiera ode mnie swój kubek.

– Dzięki – rzuca, choć widzę, że stanowi to dla niej iście herkulesowy wysiłek.

Wraca do studiowania instrukcji, sączy latte. Obserwuję ją w milczeniu. Znów założyła tę spłowiałą czerwoną koszulkę z prospołecznym logo, ale dzisiaj jej opaska na włosy pasuje kolorystycznie do T-shirtu, a uszy ozdobiła kolczykami w kształcie srebrnych kółek. Zaraz, czyżby pociągnęła wargi błyszczkiem? Jak na Dori, to mocno intrygujące i nietypowe zachowanie.

Pierwszego dnia w Habilocie głupio założyłem, iż dobranie się do tej dziewczyny przyszłoby mi bez problemu, w związku z czym automatycznie uznałem, że nie warto się nią zajmować. Czyżby to wyczuła i postanowiła mnie ukarać?

– Wiesz, dla mnie to już dzisiaj nie pierwsza działka – z widoczną niechęcią nawiązuje do języka narkomanów, choć przecież tylko żartujemy.

– Hmm, w takim razie będziesz musiała zapłacić.

Nie odpowiada. Odstawia kubek na parapet i rzuca ostatnie spojrzenie na instrukcję. Uzbrojona w śrubokręt, podnosi pękaty mechanizm wiatraka i wspina się na drabinę, stojącą akurat pod wywierconym na środku sufitu otworem. Domyślam się, że zanim podłączy silniczek do sieci, musi najpierw zająć się kabelkami. Trzymając nieporęczne urządzenie prawą ręką, lewą skręca ze sobą przewody, po czym zabezpiecza łączenia izolacyjnymi plastrami, które wyciąga z kieszeni.

Gdy jest może w połowie tej operacji, silnik niemal wymyka się jej z ręki.

– Psiakrew! – syczy.

Wchodzę za nią na drabinę i podtrzymuję mechanizm, ale nic nie jest w stanie powstrzymać mnie od śmiechu. Psiakrew? Kto tak jeszcze mówi? Słyszałem kiedyś jak wyrwało się jej „kuźwa”, co jest zdecydowanie bardziej oczywistym zniekształceniem normalnego przekleństwa. Być może ma w domu jakiś słownik antycznych wulgaryzmów.

Dori bez słowa skręca kolejne przewody.

Dopiero w tej chwili dociera do mnie, że znaleźliśmy się bardzo blisko siebie. Dopiero teraz w pełni wyczuwam delikatny dotyk jej ciała i jego niespodziewanie słodkawy zapach. Ponieważ stoję kilka szczebli niżej, usta mam na poziomie jej ucha.

– Ładnie pachniesz. Co to za perfumy?

Oddech Dori przyspiesza: – to albo strach, albo pożądanie.

– Dezodorant.

Śmieję się cicho i głęboko wciągam powietrze przez nos.

– Hmm, nie, to musi być coś więcej.

– Nie... Nie wiem. Emulsja do twarzy? Kupiłam ostatnio w jakimś markecie.

Nie wie? Moja mama i wszystkie dziewczyny, z którymi się w życiu spotykałam, w tym Emma, zawsze stosują złożone mieszanki rozmaitych emulsji, pudrów i perfum. Na podobne pytanie odpowiedziałyby bez chwili wahania całą litanią nazw.

– Też nie. Ten zapach przypomina mi tort albo coś innego do jedzenia, na pewno coś słodkiego. – Wpatruję się w porastające jej kark delikatne włoski, w drobne lewe ucho i kołyszący się pod nim srebrny kolczyk. Patrę na jej ciemne rzęsy. Przymyka oczy, jakby zakreśliło się jej w głowie.

– No dobra. – Dori podnosi powieki i odwraca się nieznacznie w moją stronę. – Reid... Chciałabym zejść.

Zeskakuję na podłogę, wyciągam ręce, chwytam ją lekko w talii i znoszę na ziemię. Przytrzymuje się moich przedramion i nie puszcza ich nawet, gdy czuje pod stopami twardy grunt.

Wyglądamy jak zastygnięta w czasie para tancerzy. Zdrowy rozsądek podpowiada, bym tym razem nie próbował jej pocałować. Nie jest jeszcze gotowa. Stoimy więc jakby ktoś nacisnął pauzę, zapatrzeni w siebie, w milczeniu i bezruchu.

Powoli kapituluje; ma to w oczach. Myśląc o targającym nią konflikcie, muszę się powstrzymać przed uśmiechem, gdyż Dori baczenie wypatruje na mojej twarzy najdrobniejszych śladów emocji; szuka czegokolwiek, co zdradziłoby moje zamiary.

– Hej! – Słyszając głos Gabrielle oboje lekko podskakujemy. Musiała teraz wejść?

Opuszczam ręce, Dori się cofa. Odwracam się i podnoszę pozostawiony na łopatkach wiatraka kubek.

– Na razie – rzuca i wychodzę, ukradkiem puszczając Dori oczko i robiąc żółwika ze skonsternowaną Gabrielle.

Dori

Wystarczy, że przetrwam jeszcze tydzień, a już nigdy nie będę musiała się z nim spotykać.

Silnik wiatraka był ciężki i trudno go było utrzymać. Powinnam była zaczekać i poprosić o pomoc Gabrielle. Ale odkąd pojawił się w pokoju, czułam na sobie jego spojrzenie i nie mogłam dłużej udawać, że czytam instrukcję.

Potem serce zaczęło mi walić jak młotem – omal nie upuściłam ten głupi silnik, a sekundę później Reid stał już tuż za mną. Nabijał się z mojego niewinnego przekleństwa i uwolnił mnie od ciężaru, który podtrzymał, jakby ten ważył tyle co nic. Miałam ochotę zwrócić mu ostro uwagę, że na drabinie może stać tylko jedna osoba, ale nie byłam w stanie dobyć z siebie głosu.

Jego pierś przywarła do moich pleców; otoczył mnie ramieniem i poczułam na żebrach twardy biceps, leciutko trącający moją pierś. Z płonącymi ramionami wyciągnęłam się ku górze i starałam jak najszybciej poskręcać przewody. Kiedy silnik zawisł pod sufitem, pomyślałam, że Reid zaraz zejdzie. Ale nie. Został na miejscu. Nasze – zetknięte w kilku kluczowych punktach – ciała nie oderwały się od siebie. I wtedy powiedział, że ładnie pachnę.

Schwytana w pułapkę drabiny, mogłam jedynie opuścić powieki i skupić się. Oddychać. Oddychać. Oddychać. Aż wreszcie jego dłonie zamknęły się wokół mojej talii i zestawiał mnie na dół.

Nigdy tak bardzo nie ucieszyłam się na widok Gabrielle. Gdy Reid znika, każę jej zanieść pudełka z pozostałymi wiatrakami do pokojów braci i rodziców, i rozpakować. Chciałabym je zainstalować jeszcze przed przerwą. To powinno dać mi dość czasu, bym mogła przykręcić łopatki i dojść do siebie po tym, co mi zrobił.

Rozdział 19

Reid

Javier, wolontariusz, który dołączył do nas dopiero w tym tygodniu, jest członkiem jednego z bractw studenckich – Pi Kappa Cośtam. Mam wrażenie, że za główny cel pobytu na budowie uznał zdobycie mojej przyjaźni. Jesteśmy rówieśnikami, ale kiedy z nim rozmawiam, czuję się jak przy małym dziecku.

W czasie obiadu, zabawiam go anegdotami ze światka celebrytów – opowiadam o blogach fanów, atrakcyjnych gwiazdeczkach, imprezach, listach od wielbicieli – a Javier tymczasem raz po raz rozgląda się i zerka na przyczajonych za płotem fotografów.

– Chcesz powiedzieć, że moje zdjęcia też mogą się pojawić na portalach? Na przykład jutro?

Mimowolnie parskam śmiechem – znani ludzie ze wszystkich sił starają się unikać natrętnych paparazzi. Javier? Wprost przeciwnie. Wydaje się tą perspektywą zachwycony.

– Jutro? Nie, raczej dziś po południu. Albo i za pół godziny – zapewniam.

Chłopak wyciąga z kieszeni komórkę i wystukuje do kogoś SMS.

– Serio mówisz!? Zajebicie! – Stawiam dziesięć do jednego, że pisze właśnie do jakiegoś znajomego, by przejrzał w necie najnowsze fotki. – A słuchaj, co właściwie robisz z tymi wszystkimi laskami, które przysyłają ci zdjęcia? Zdarza ci się, no wiesz, zadzwonić do takiej i się z nią ustawić?

Kręcę głową.

– Wykluczone. Zwłaszcza, że te bardziej... hmm... stymulujące focie w ogóle do mnie nie docierają. Moją pocztę i maile selekcjonuje menedżer. Przepuszcza same przyzwoite zdjęcia. Z treścią jest ta sama historia. Czytam tylko teksty w stylu „Jesteś bogiem ekranu i naprawdę zasługujesz na Oscara”. Hejtów w rodzaju „Jesteś do dupy i mam nadzieję, że zaraz zdechniesz” nawet nie widzę. – Bierzemy talerzyki i ruszamy do stołu z jedzeniem.

– Menedżer kasuje ci nagie fotki dupeczek? Ale dlaczego? – W spojrzeniu Javiera pojawia się autentyczna zgroza.

– Dlatego, że nie warto trzymać w poczcie zdjęć rozebranych piętnastolatek, nawet jeśli piszą, że skończyły już osiemnastkę.

– No fakt – Krzywi się lekko, choć wciąż nie sprawia wrażenia przekonanego.

– Cześć, Reid! – O wilku, nieletnim zresztą, mowa.

– Cześć, Gabrielle. Poznajcie się, to jest Javier.

Javier oczyma jak spodki omiata dziewczynę spojrzeniem od stóp do głów. Odpowiada mu szerokim uśmiechem.

– Hej – rzuca wdzięcznie i zwraca się z powrotem do mnie. – Wiesz? Znowu się tu przywłókł ten chłopak Dori. Jezu, co za nudny kolo!

Chłopak...?

– Co?

Gabrielle robi niewinną minkę i trzepocze rzęsami.

– No, jej chłopak. Nick. Był już u nas. Tydzień temu czy coś koło tego. Cholera, jeśli każą nam pracować ze sobą całe popołudnie, to się chyba zabiję. – Zerka w stronę domu. – O Boże, już są!

Gdy spotykamy się z Dori spojrzeniami, muszę wyglądać na równie wstrząśniętego jak Javier na widok Gabrielle. Nick okazuje się tym facetem, z którym widziałem ją tutaj w pierwszym tygodniu pracy. Tym, który nie zna podstaw sztuki konwersacji. Dori ucieka przed moim wzrokiem i prowadzi koleśia prosto do kolejki. Słyszę, jak tłumaczy jej coś bezbarwnym głosem. Jej ręka spoczywa na jego ramieniu. I to ma być jej chłopak? Żenada. Gość wygląda na postać z sitcomu o kujonach. Serio mógłby zagrać niedojdę, który przez cały sezon serialu nie potrafi wyrwać ani jednej dziewczyny.

Nagle przychodzi mi do głowy, że Dori mogła polecieć właśnie na to. Słyszałem, że są na świecie i takie laski. Podobno.

Javier zaprasza do nas innego chłopaka z bractwa. Jemy, siedząc na skraju ganku. Gabrielle, cała w pasach, papla bez ustanku trzy po trzy. Schlebia jej tak liczne męskie towarzystwo. Javier i jego kumpel – Kyle – słuchają jej jak zauroczeni. Ja udaję, że robię to samo, lecz przede wszystkim dyskretnie obserwuję Dori i Nicka.

Jej uśmiechy wyglądają na szczere, również mowa ciała wskazuje, że czuje się przy nim swobodnie – gdy stykają się kolanami lub Nick pochyla się bliżej, nie cofa się, ani nie wzdryga. Chłopak nie jest może super przystojny, ale nie jest też brzydalem. Nie wyczuwam jednak między nimi chemii, nie próbują się ukradkiem dotykać, a w dodatku Dori co kilka minut zerka w moją stronę, za każdym razem gdy stwarzam pozory, że słucham wygadywanych przez Gabrielle dyrdymałów.

Gdy przerwa dobiega końca, Dori znów patrzy na mnie, a ja tym razem niczego już nie udaję. Wytrzymuję jej spojrzenie. Ona również się nie odwraca, lecz jej źrenice, niemal niedostrzegalnie, rozszerzają się. Odczekuję długie pięć sekund, po czym rzucam jej wymowny uśmieszek. Odwraca się gwałtownie do swojego chłopaka – o ile to naprawdę jej chłopak – i nie spogląda już na mnie ani razu.

Dori

Dziś rano, parę minut po wyjściu Reida, pojawił się Nick. Powiedział, że chce odpokutować za to, że zrujnował mi sobotni wieczór. Kiedy odparłam, że nie ma problemu i nic się przecież nie stało, zwiesił nieśmiało głowę i przyznał, że tak naprawdę potrzebował wymówki, by się ze mną zobaczyć i jest gotów zapłacić za to choćby i fizyczną pracą. Ten chłopak jest tak szczerzy i słodki, że zaczynam po raz setny żałować, iż tak niewiele do niego czuję. Nic poza umiarkowanym pociągami i podziwem wobec zalet charakteru.

Gabrielle od samego rana była, jak zwykle, naburmuszona i opryskliwa, ale dzięki pomocy Nicka udało mi się w jej cierpiętniczych westchnieniach dostrzec element komiczny. Gdy po raz pierwszy doszło między nimi do bezpośredniego kontaktu, musiałam przygryźć wargę, by nie roześmiać się w głos.

Montowałam właśnie osłonki na gniazdko elektryczne, a Nick stał na drabinie i majstrował przy klimatyzacji.

– Hej, Gabi, mogłabyś podać mi ten zestaw śrubokrętów? – rzucił.

– Mam. Na. Imię. Gabrielle. – Dziewczyna zgromiła go spojrzeniem i zacisnęła pięści.

Słyszając jej buńczuczny ton, Nick aż pokręcił głową, lecz odpowiedział z uśmiechem:

– Ach, wybacz. Gabrielle, czy mogłabyś podać mi ten zestaw śrubokrętów?

Zawinęła się na pięcie, poderwała pudełko z podłogi i wcisnęła mu z rozmachem do ręki.

– Boże! – fuknęła pod nosem.

– Dzięki, Gabrielle. – Uśmiechnął się raz jeszcze, co dodatkowo ją rozjuszyło.

Towarzystwo Nicka pomaga mi skupić się na pracy, lecz głowę wciąż mam pełną scen z filmu Reida. Do wczorajszego popołudnia nie miałam o *School Pride* bladego pojęcia, podczas gdy Aimee i Kayla znały część dialogów na pamięć. Fabuła była może ociupinę głupkowata – ot, przeniesiona w nasze czasy i licealne realia adaptacja *Dumy i uprzedzenia* – niemniej obsadzenie Reida w roli aroganckiego Willa Darcy'ego okazało się strzałem w dziesiątkę. W namiętnych scenach, w których występował wraz z inną gwiazdą, Emmą Price, z ekranu biła jego wrodzona pewność siebie. A kiedy ją pocałował, dosłownie poczułam to na własnej skórze. Hmm.

Kiedy wyszliśmy na przerwę do ogrodu, co chwila, wbrew sobie, zerkałam w jego stronę. Siedział z Gabrielle i dwójką wolontariuszy z uniwersytetu.

Nick tymczasem opowiadał o misji w Hondurasie, w której niedawno pomagał.

– ...dlatego, że połowa ludności tego kraju żyje poniżej granicy ubóstwa,

wyobrażasz sobie?

– Co? Och, to straszne – rzuciłam i oczy znów uciekły mi na drugą stronę ogrodu. Pierwszych sześciu spojrzeń Reid nie zauważył. Przy następnym jednak jego ciemnoniebieskie oczy spotkały się z moimi. Moje serce zerwało się do galopu. I wtedy kącik jego ust powędrował powoli ku górze i nie miałam innego wyjścia, jak odwrócić wzrok.

Spojrzałam w oczy Nicka, wdzięczna za kojący, spokojny ton jego głosu i ten łagodny uśmiech. A jednocześnie zmagalam się rozpaczliwie z magnetyczną siłą, ciągnącą mnie do chłopca siedzącego kilkanaście metrów dalej. Chłopca, który stanowi wcielenie wszystkiego, czego nie powinnam pragnąć.

Jest już późno, a ja wciąż nie śpię. Spisuję listę rzeczy, które muszę zabrać ze sobą do Ekwadoru. Dzwoni komórka. Deb.

– Całowałam się z nim! – rzuca ledwie zdążyłam się z nią przywitać. Jej głos brzmi przy tym zupełnie jak u zadurzonej dziewczynki. Nigdy tak się nie zachowywała. Zawsze widziałam w niej wyłącznie zdolną, silną i niezależną kobietę, która dwa miesiące temu uzyskała dyplom lekarza medycyny.

– Z kim? Z tym staruchem Bradfordem? – Uwielbiam się z nią przekomarzać.

– Ej! On ma dopiero trzydzieści jeden lat!

– No, to jeszcze w miarę rozsądnie. – Wiem, że słyszy w moim głosie uśmiech. – Więc kiedy doszło do tego jakże romantycznego wydarzenia? Wydawało mi się, że wy tam non stop pracujecie?

– Wczoraj, około dziesiątej trzydzieści, zrobiłam sobie przerwę i zabrał mnie na kolację. Miałam tylko dwadzieścia minut, więc pojechaliśmy po hamburgery, a potem siedzieliśmy w samochodzie. Na parkingu za szpitalem. I rozmawialiśmy.

– Rozmawialiście, powiadasz? – Rzucam listę na biurko i układam się na łóżku. Rybki pod sufitem wiszą nieruchomo, czekają na powiew klimatyzacji.

– Powiedział, że chce, bym się dowiedziała, co do mnie czuje, ponieważ w szpitalu nie możemy sobie niczego okazywać. Wiesz, plotki mogłyby nam poważnie zaszkodzić, pomimo że nie jest moim bezpośrednim przełożonym.

– No więc co takiego działo Bradford czuje do mojej siostry?

Logiczna, zawsze chłodno myśląca Deb chichocze jak nastolatka. Zasłaniam dłonią usta i czekam na odpowiedź. Od tak dawna nie była nikim poważnie zainteresowana.

– Podobam mu się. I to bardzo. Tak powiedział.

– A jeśli ktoś się jednak dowie? Albo jeśli okaże się, że to rzeczywiście ma przyszłość? W końcu nie możecie przez cały czas udawać, że się nie znacie. Specjalizacja trochę trwa.

– Pytałam go. Stwierdził, że takie historie już się zdarzały. I dopóki nie łączy nas bezpośrednia zależność zawodowa, grozi nam najwyżej surowa rozmowa dyscyplinarna. – Drugie pytanie pozostawia bez odpowiedzi.

– Moja starsza siostra całuje się po kryjomu z chłopakami! Na parkingach! Jestem doprawdy oburzona! A teraz poproszę o pikantne szczegóły.

– Musiałam wracać, więc stwierdziłam, że pójde piechotą, a on na to, że nie ma mowy, że nie chce stracić ostatnich dwóch minut w moim towarzystwie. A potem wyciągnął rękę i musnął mój policzek. Nachyliliśmy się ku sobie, zupełnie jak dwa magnesy i, no wiesz...

– Nie przerywaj! Jak ci poszło? Przecież ostatnim razem całowałaś się jakieś dziesięć lat temu.

– Ha. Ha. Bardzo zabawne. Faktycznie, trochę wypadłam z obiegu, ale ten pocałunek był idealny.

Ożywa klimatyzator i w prądzie powietrza ozywają też rybki. Kołyszają się.

– Powiedz mi, że spóźniłaś się choć o kilka minut.

– Kilka... – W słuchawce rozlega się westchnienie i wiem, że Deb ponownie przeżywa tamte chwile. – No dobra, muszę wracać na oddział. Ale po prostu musiałam ci opowiedzieć.

– Cieszę się. I będę się modlić, żeby nikt was nie nakrył. – Śmiejemy się i żegnamy.

Przez kilka minut leżę z uśmiechem na ustach. A potem moje myśli uciekają do Reida i naszego niedoszłego pocałunku. Może powinnam mu była pozwolić, a odepchnąć dopiero potem? Tyle, że gdybym nie oparła się od razu, mogłabym już się nie oderwać.

Rozdział 20

Reid

Wczoraj, tuż przed swoim wyjściem, dowiedziałem się od Darlene, że przez dwa najbliższe dni będę pracować z Dori, która potrzebuje pomocy przy wykończeniu szaf wnekowych i spiżarki.

– To znaczy, że Gabrielle we wtorek i środę nie przyjdzie?

Darlene mierzy mnie znaczącym spojrzeniem. Frank, który pojawił się właśnie za nami, okazał się bardziej bezpośredni.

– Synu, przydałoby ci się parę lekcji dyskrecji. Widzisz, kobiety bez przerwy domagają się szczerości i ciągłej komunikacji, ale tylko dlatego, że nie wiedzą, jakie kretyńskie myśli przychodzą facetom do głów. Co inteligentniejsi goście, dajmy na to ja, wiedzą, kiedy trzeba się po prostu zamknąć.

– Pfft – skwitowała z uśmiechem Darlene.

Kiedy przynoszę jej latte, Dori wyciąga ze składzika dwumetrowe deski. Jest mniej zaskoczona niż wczoraj, lecz wciąż ma się na baczności. Podając kubek, przeciągam opuszkami po jej palcach. Zerka na mnie, a ja udaję, że nagle zacięła mnie altanka, którą Frank montuje właśnie po drugiej stronie ogrodu.

– To deski na półki, tak? Trzeba je pomalować? – Wracam do niej spojrzeniem. Dziewczyna odstawia kawę na stosik nierównych płyt chodnikowych i sięga po następną deskę.

– Aha. Tak.

Dzisiaj założyła biały T-shirt, który mógłby należeć do zawodnika rugby. Na plecach widnieje, jak zgaduję, nazwa jej kościoła i motto: „W Jego rękach”. Przód ozdobiony jest dziecięcym rysunkiem przedstawiającym kulę ziemską, pokrytą zielono-niebieskimi plamami mórz i kontynentów. Na nielogicznie zielonym biegunie stoją symboliczne ludziki we wszystkich barwach tęczy (między innymi różowy). Sama Ziemia szybuje nad parą olbrzymich dłoni.

Podaję jej swoją kawę.

– Przytrzymaj, pozwól, że ja się tym zajmę – Chwytam kilka desek naraz. – Dokąd zanieść?

– Najpierw musimy je przyciąć. Wszystko już wymierzyłam. – Dori wyciąga z tylnej kieszeni spodni kartkę, sięga po latte i prowadzi mnie do piły tarczowej. Donoszę pozostałe deski, a dziewczyna nanosi na pierwszą kilka znaczków markerem, uruchamia pilę i zaczyna ciąć. Zajęcie wygląda na proste i po kilku

minutach stwierdzam, że nie będę przecież tak stać i się gapić. Proszę, by mi pokazała co i jak.

Pierwsze dwie deski piłujemy wspólnie. Wrażenie towarzyszące dotykowi jej dłoni, zdecydowanie prowadzących moje ramiona, przypomina lekkie, pulsujące uderzenia prądu elektrycznego. Czuję się prawie jak na prochach. Stoimy tak blisko siebie, że w nozdrza bije mi jej – znajomy już – subtelny zapach, a wszystko to podczas pracy z wirującą piłą, która przy najmniejszym błędzie w ułamku sekundy mogłaby uciąć mi dłoń. Adrenalina wypełnia mi żyły niczym narkotyk.

Parę ostatnich desek tnę już samodzielnie. Uszy wreszcie przyzwyczajają się do przenikliwego zawodzenia ostrza kłusującego drewno. Dori w tym czasie szlifuje papierem ściernym szorstkie krawędzie gotowych półek. Kilka metrów dalej trawnik i część ogrodzenia zostały przez kogoś wyłożone brezentowymi płachtami. Dziewczyna przenosi tam mniejsze deski, ja donoszę dłuższe.

- Oprzyj je tutaj, o płot. Będziemy malować sprejem.
- Wreszcie jakaś zabawa.

Przygląda mi się ciekawie. Zastanawia się, czy nie kpię. Zostawiam ją w niepewności i bez słowa wracam po ostatnią partię półek. Frank byłby ze mnie dumny.

Dziewczyna sięga po pistolet i szybkimi ruchami nakłada na pierwszą deskę warstwę farby. Na półce powstaje gładka, jednolicie biała powierzchnia. Następnie przekazuje pistolet mnie.

- Maluj z góry na dół. Powoli, z boku na bok.
- Celuj dyszą w deskę i naciskam przycisk.
- Cofnij się! – słyszę głos Dori.

Z pistoletu tryska silny strumień i niemal cała farba trafia w jeden punkt. Nie wygląda to dobrze, a nawet jeszcze gorzej. Nas z kolei od stóp do głów pokrywają odbite od deski białe kropelki. Na szczęście twarze i oczy mamy zasłonięte goglami i maskami. Dziewczyna przygląda mi się przez upstrzone drobinami farby szkła. Farbę ma też we włosach, na koszulce i każdym odsłoniętym centymetrze skóry.

– Ups! – rzucam stłumionym przez maskę głosem. Spodziewam się gniewu lub przynajmniej irytacji, ale Dori wpatruje się we mnie jeszcze moment, po czym wybucha śmiechem. Ja również się śmieję i po chwili patrzą na nas już wszyscy obecni, w tym oblegający pobliskie ogródki paparazzi.

Dori kręci głową i zsuwa maskę z ust, pozwalając jej zawisnąć na szyi.

- Jak się nie przewrócisz, to się nie nauczysz, tak?

Wzruszam ramionami.

- Osobiście wolę mówić, że doświadczenie jest matką postępu.

Dori znów się śmieje i wznosi oczy ku niebu.

- Skoro tak, nie będę panu postępowemu przeszkadzać. Tylko uprzedź mnie

przed następnym doświadczeniem. Owinę się folią.

– Tak jest, kierowniczo. – Podnoszę pistolet i cofam się przesadnie zamaszystym krokiem. Dori naśladuje mnie, po czym naciąga maskę. – Bardzo zabawne – mruczę.

Po wszystkim stajemy obok siebie i przyglądamy się półkom, popijając małymi łykami kawę. Maski wiszą nam na szyjach, gogle podsunęliśmy na czoła. Dori zerka na mnie i uśmiecha się, widząc moją podniesioną przez szkła, sterczącą pionowo grzywkę. Podciągam okulary wyżej i wskazuję skinieniem jej koszulkę.

– Co właściwie robisz w tej swojej kościelnej szkółce? Kiedy w zeszłym tygodniu zniknęłaś, Roberta wspomniała, że prowadzisz jakiś program muzyczny.

Przygląda mi się ponad krawędzią kubka.

– Nic takiego. Uczę po prostu przedszkolaki kilku piosenek. Na imprezę z okazji zakończenia zajęć.

– Czyli jesteś jakby reżyserem tego koncertu i dyrygentem w jednym? – pytam, a Dori potakuje skinieniem. – Zupełnie się nie znam na dzieciakach – dodaję. – Wiem tylko, że sam byłem kiedyś mały. Podobno.

Uśmiecha się, demonstrując piegi, ukryte dotąd pod goglami i maską. Biegną szeregiem wszerz jej nosa i muszę przyznać, że wyglądają uroczo.

– Często chodzisz do kościoła? Ja nigdy nie byłem. Moi rodzice nie są wybitnie religijni.

– Tak, często. – Jej uśmiech gaśnie, odwraca na moment spojrzenie. – Tata jest pastorem – dopowiada, popijając latte.

Rany! Tego się nie spodziewałem.

– Ach, tak. Więc przyznaj się, do tej szkółki zgłosiłaś się na ochotnika, czy raczej... zostałaś zgłoszona?

– Uwielbiam uczyć śpiewu – odpowiada bez chwili wahania. – Nic innego nie sprawia mi tak wielkiej satysfakcji. – Znów ucieka z oczami.

– A już myślałem, że najbardziej na świecie lubisz sprowadzać mnie na dobrą drogę.

Znów mnie zaskakuje, tym razem rumieńcem, który pokrywa koniuszki jej uszu.

Dori

Na ostatnią uwagę, naturalnie, nie odpowiadam. Czuję się niezręcznie, zwłaszcza po wcześniejszej sprzeczce na temat jego ochoty i potrzeby stawania się dobrym człowiekiem oraz tego, czy uważam, że zasługuje na moją pomoc. Mam wrażenie, że Reid albo już mi te nieprzemyślane słowa wybaczył, albo po prostu

o nich zapomniał.

Tyle że on chyba rzadko o czymkolwiek zapomina.

Do przerwy kończymy kłaść na półkach pierwszą warstwę farby. Przy posiłku dołączają do nas wyraźnie zafascynowani Reidem studenci. Dzisiaj przyszło ich aż czterech. Zastanawiam się, czy nie zjeść z Robertą, Darlene i Frankiem, ale oni prowadzą głęboką dyskusję na temat wnuków i podatków od nieruchomości, a ja z jakiegoś powodu mam dziś ochotę być po prostu osiemnastolatką.

– Jak to jest, kiedy pojawiaasz się na imprezach? Założę się, że zaliczasz mnóstwo lasek – pyta Reida chłopak imieniem Javier. Reid robi mi miejsce na krawędzi ganku.

– Nie narzekam – odpowiada, na ułamek sekundy spoglądając mi w oczy. Javier nachyla się bliżej.

– A zdarzyło się kiedyś, że jakaś ci odmówiła?

– Jasne, pewnie że tak – śmieje się Reid.

– Ale chyba niezbyt często? – wtrąca Kyle, inny wolontariusz z uniwerku.

– No, niezbyt. – Reid wzrusza ramionami.

Zmieniam zdanie. Już nie chcę się czuć osiemnastolatką ani siedzieć z tymi dzieciakami. Wtem jednak siedzący naprzeciwko chłopak podaje mi rękę.

– Cześć, jestem Trevor – przedstawia się.

– Dori. – Ściskam jego dłoń.

Nachyla się ku mnie i szepcze:

– Nie przejmuj się nimi. Zgraja niewychowanych półmózgów.

Nie odpowiadam. Wbijam zęby w kanapkę, zaciekawiona, jakie tym razem niestosowne pytanie zadał Reidowi Kyle (mogę przysiąc, że usłyszałam coś o „cyckach”).

Trevor chrząka, zagłuszając następne słowa kolegi.

– Ty też jesteś celebrytką?

– Co? Nie.

– A... okej. Po prostu odniosłem wrażenie, że dobrze się znacie. – Ruchem głowy wskazuje Reida.

– Nie, skąd. – Zdawkowo macham dłonią. – Po prostu odkąd tu trafił, razem pracujemy. A ty studiujesz, prawda? Na stanowym?

– Tak. Matematykę stosowaną. – Trevor zdejmuje okulary i przeciera je rękawem koszulki. – A ty?

– Jesienią zaczynam na Berkeley. Opiekę społeczną.

– Berkeley? – Chłopak unosi brwi. – Nieźle – chichocze cicho. – Opieka społeczna?

Natychmiast się stroszę. Na wieść o wybranym przeze mnie kierunku dosłownie wszyscy reagują przerażeniem, od dziadków ze strony mamy, po

kolegów ze szkoły.

– Nie tak miało to zabrzmieć. – Trevor wsuwa okulary na nos. – Pamiętam po prostu, że kiedy zdecydowałem się iść na matematykę, też wszyscy byli zaskoczeni. Że niby takie trudne studia. Ale wiesz? Osobiście uważam, że opieka społeczna to dopiero prawdziwe wyzwanie.

Kiwam głową.

– Moja siostra skończyła niedawno medycynę i powiem ci, że w porównaniu z tym, wszystko inne błędnie.

Trevor nadyma policzki i głośno wypuszcza powietrze.

– No tak, jasne. W akademiku mieszkam z przyszłym dentystą. Wkuwa dosłownie bez przerwy. Zdarza się, że siedzi nad książkami, kiedy kładę się spać, a kiedy się budzę, wciąż jeszcze czyta. Czyli twoja siostra robi teraz specjalizację, tak? Gdzieś blisko?

– Właśnie zaczęła. W Indianie.

– Super.

Javier z innym kumplem przybijają piątkę.

– I o to chodzi, stary! – rzuca Javier i zwraca się do Reida. – Tak bardzo chciałbym być tobą.

Kątem oka spoglądam na Reida. Uśmiecha się i kręci głową. Nie chcę wiedzieć, o czym im właśnie opowiedział.

– Dlaczego akurat opieka społeczna? – Trevor wskazuje skinieniem dom. – Rozumiem, że pracujesz tutaj od dawna. Pewnie zdajesz sobie sprawę, że to niełatwy kawałek chleba.

Potakuję.

– Nie jestem zaślepioną idealistką. Mój tata jest pastorem, a mama położną i pracuje głównie z ubogimi pacjentkami. To oni wpoili mi potrzebę pomagania innym w miarę możliwości. Większość ludzi, którzy decydują się na tego typu zawód, opowiada, jak wielu ludziom pomogą, ale najczęściej wygląda to tak, że udaje się pomóc jednej osobie na dziesięć. Jeśli się tego nie zrozumie i nie podejrze do sprawy realistycznie, można się szybko rozczarować.

Chłopak kiwa głową.

– Widzę, że wszystko masz przemyślane. Wydaje mi się, że tacy ludzie jak ty są na świecie bardzo potrzebni.

Odwracam się po napój. I po to, by ze wstydem ukryć uśmiezek zadowolenia.

– Dzięki. A dlaczego matematyka stosowana?

Uśmiecha się i w jego policzku pojawia się niewielki dołeczek.

– Wiesz, po prostu mam do tego talent.

Przerwa upływa nam na rozmowie o studiach, życiu w akademiku i bractwach. Jestem głęboko przeświadczona, że to ostatnie nie dla mnie, choć

Trevor uparcie powtarza, że byłabym świetna w samorządzie.

– Cóż, bractwa potrzebują też ludzi z mózgami. Możesz mi wierzyć. Sam taki jestem.

Kiedy wstajemy i wyrzucamy zużyte naczynia, dodaje:

– Miło było cię poznać, Dori. Powodzenia w Berkeley i, wiesz, w zbawianiu dziesięciu procent ludzkości. – Puszczą do mnie oczko, po czym przywołuje kolegów i wchodzi do środka.

Nieczęsto się zdarza, by ktoś flirtował ze mną tak otwarcie. Z wyjątkiem Reida, który z dręczenia mnie uczynił źródło rozrywki. No tak, on się nie liczy.

Rozdział 21

Reid

Podsluchując piętnastominutową rozmowę Dori z tym kujonem z uniwerku, dowiedziałem się o niej więcej niż od początku naszej znajomości. Nie dość, że ma ojca pastora, to siostra jest lekarką, a matka pomagającą ubogim kobietom położną. A Dori chce zostać pracownikiem socjalnym. Zapewne od urodzenia wychowywana była do tej całej służby społeczeństwu. W pewnym sensie stanowi moje całkowite przeciwieństwo. Na jakieś dwie sekundy ogarnia mnie pokusa, by pojechać do domu i gorąco wyściskać rodziców.

W pewnym momencie uszy Dori przeszły swoją różową przemianę. Do tego momentu po prostu spokojnie obserwowałem rozwijający się flirt. Do chwili, gdy oblała się rumieńcem, sytuacja wydawała mi się nawet zabawna. Cholera, co jest? Robię się zazdrosny, dlatego że jej uszy zmieniły kolor? Kurde.

Ciskam śmieci do kosza i rozglądam się za Dori. Krąży po ogrodzie, rozmawia przez komórkę. Sięgam po dwie butelki wody i idę do czekających na drugą warstwę farby półek.

– Nie, nie. Nie o to chodzi. Oczywiście, że nadal chcę się z tobą widywać – dolatują mnie jej słowa. – Możemy tę rozmowę odłożyć na potem? – Zatrzymuje się w pół kroku. – Nie, niczego nie robisz źle. – Milknie na kolejne dwie minuty, a kiedy mnie spostrzega, znów zaczyna spacerować. Sięgam po pistolet i udaję, że jej nie słyszę.

– Nick, naprawdę nie jestem pewna, czy potrafię... – Z zamkniętymi oczyma zaciska pięść i trzy razy uderza się w czoło. – Nie wiem dlaczego. Coś musi być ze mną nie tak. Czegoś mi pewnie brakuje. – Podnosi powieki i pociera policzek grzbietem dłoni. Czyżby zrywała właśnie z tamtym kolesiem? Czuję się, jak świadek wyjątkowo krwawego wypadku drogowego. Nie umiem oderwać wzroku od ofiar.

– Wybieramy się na dwie różne uczelnie. Na pewno znajdziesz kogoś, kto da ci wszystko, czego pragniesz i na co zasługujesz. Ja po prostu nie jestem tą dziewczyną. Nigdy nią nie byłam. – Dori przetrząsa kieszenie spodni. Domyślam się, że szuka chusteczki. Wchodzi do domu, a ja nie mogę za nią pójść. To byłoby zbyt oczywiste.

Kiedy wraca do ogrodu, maluję deski. Oczy ma zaczerwienione, ale nie napuchnięte.

– O! – rzuca z uśmiechem, który musi ją wiele kosztować. – Zaczęłaś już? Dzięki.

Wzruszam jednym ramieniem.

– Żaden kłopot. – Odkładam pistolet i przyglądam się jej. – Chcesz o tym pogadać? – pytam.

Kręci przecząco głową. Potakuję i podaję jej butelkę wody.

– To co teraz, kierowniczo?

Wypija duszkiem pół butelki.

– Wiedziałaś, że „kierownikami” nazywają w więzieniach strażników?

Akurat o tym wiedziałem, ale udaję zaskoczenie i otwieram szeroko oczy.

– No co ty nie powiesz?

Dziewczyna wzdycha, ale uśmiecha się zdecydowanie szerzej.

– Dobrze, potępieńcze, dokończ malowanie, a ja pójdę do środka i przygotuję miejsce na półki.

– Potępieńcze? – Sięgam po farbę. – Słyszałem już gorsze określenia.

Dori się śmieje, co zupełnie nie pasuje do jej naznaczonej smugami łez twarzy. Tak uroczo w tej chwili wygląda.

– No co ty nie powiesz? – rzuca zadziornie i nie mogę się nie roześmiać.

Dori

– Mam pytanie – rzuca Reid tuż przed końcem pracy.

Wnosimy do środka pomalowane półki, które rano zamontujemy w szafach. Znam go już na tyle dobrze, by mieć pewność, że uprze się jutro, bym pozwoliła mu pracować z wiertarką. Bardzo dobrze to rozumiem. Kiedy tata wreszcie pozwolił mi skorzystać z takiego poważnego narzędzia, skakałam z radości pod niebo. Reid nie jest może aż tak zachwycony, ale naprawdę niewiele brakuje.

– Tak?

– Dlaczego opieka społeczna, a nie muzyka?

Temat jest tak odległy od sprzętów elektrycznych, że mój umysł musi się gwałtownie przestroić.

– Co?

– Opowiadałaś Trevorowi, że idziesz na Berkeley, prawda? – upewnia się, a ja potakuję. – Dlaczego, mając tak świetny głos, zdecydowałaś się na opiekę społeczną, a nie coś związanego z muzyką?

A ja myślałam, że był bez reszty pochłonięty chełpieniem się przed chłopakami i opowieściami z rozpustnego życia w Hollywood. Okazuje się jednak, że słyszał, o czym rozmawiałam z Trevorem.

– To chyba strata czasu – dodaje, zanim udaje mi się sformułować odpowiedź.

Co...?

– Czyli mimo trzech spędzonych z nami tygodni, nadal uważasz, że takie projekty to strata czasu? Nie rozumiesz, ile rodzin potrzebuje naszej pomocy?

Unosi ręce w geście kapitulacji.

– Tak, jasne. Ale mam też wrażenie, że czujesz się winna tego, że urodziłaś się mądrzejsza i wiesz lepsze, wygodniejsze życie niż inni. Naprawdę chcesz żyć waląc głową w ścianę? Serio chcesz pomagać ludziom, którzy sami nawet nie kiwną palcem, żeby zmienić swoje życie na lepsze?

Rzeczywiście czuję, że jestem coś świata winna – dlatego że tak wiele od niego otrzymałam. Reid natomiast czuje się chyba po prostu lepszy.

– Oni nie z własnej winy urodzili się w ubóstwie. A ja z kolei niczym nie zasłużyłam na rodziców, których stać, by mnie utrzymać, zapewnić mi wykształcenie i opiekę medyczną.

Reid układa ostatnią półkę na stercie pozostałych.

– A jakie znaczenie mają tu winy i zasługi? To trochę jak z rozdaniem w pokerze. Niektórym po prostu trafiają się kiepskie karty. Pewnie, są rzeczy które można zrobić, i właśnie się tym zajmujesz. Ale są też pewne granice. Dlaczego opierać całe życie na wyrzutach sumienia?

– To nie są żadne wyrzuty sumienia, a świadomość społeczna – próbuję się bronić. – Nie mogę tak po prostu stać na uboczu i nic nie robić. Dlatego, że w porównaniu z życiem tych ludzi, moje jest łatwe, proste i przyjemne. A to nie w porządku.

– Nie chcę cię, wiesz, rozjuszyć ani nic, ale skoro uważasz, że to nie w porządku, czy nie tracisz z tego powodu zaufania do kierującej wszystkim siły wyższej?

– Nie – rzucam pospiesznie, na co Reid unosi brwi. Nie mogę mu przecież powiedzieć, jak trafnie odgadł moje wątpliwości. – Dlatego że są na świecie ludzie tacy jak mój tata. Ponieważ wiara jest częścią mnie samej, a jednym z wyznaczników wiary jest chęć do robienia tego, co zrobić należy. Po prostu chciałabym coś zmienić. Muszę wierzyć, że nie jestem tu bez powodu. Możesz tego nie rozumieć, ale tak właśnie czuję.

Reid na moment milknie, a ja zaczynam myśleć, że niepotrzebnie strzepiałam język.

– Masz rację, nie rozumiem – przyznaje. Pochyla głowę zupełnie jak Esther, kiedy mówiąc do niej, posługuję się słowami spoza jej psiego języka. – Ale twoje zasady wydają się szczerze. Widzisz, w ludziach rzucających na prawo i lewo słowami typu „wiara” najczęściej wyczuwam fałsz. Zdaje mi się, że posługują się nimi, by ukryć jakieś inne, prawdziwe motywacje czy niskie pragnienia. – Rzuca mi lekki, zawadiacki uśmiech, na co moje serce aż podskakuje. – I takie wartości rozumiem.

Rozdział 22

Reid

W dobrej komitywie spędziliśmy tylko pierwszą część dnia. Obiad jedliśmy oddzielnie – Dori usiadła z Robertą, a ja z Frankiem, Darlene i Gabrielle – ale nie wydaje mi się, by akurat to wpłynęło na zmianę jej nastroju. Po przerwie znów rozmawiała przez telefon i, mimo że stała na tyle daleko, iż nie wyłowiłem ani słowa, ton jej głosu jasno wskazywał na głębokie poruszenie. A po rozmowie stała się zrzędliva.

W tej chwili instaluje zawiasy, a ja przykręcam półki. Ponieważ pracujemy w tej samej szafie, niemal wchodzimy sobie na głowy. Kiedy po raz trzeci krytykuje jakieś moje drobne niedociągnięcie i własnoręcznie je po mnie poprawia, mam już tych głupich fochów serdecznie dość.

– Słuchaj, to, że wczoraj przeżyłaś koszmarne rozstanie, nie upoważnia cię do wyżywania się na mnie. Nie moja wina.

Gromi mnie spojrzeniem.

– O. Czym. Ty. Mówisz?

– Wczorajsza rozmowa telefoniczna? Te płacze?

Rozdziawia szeroko usta i zaraz je zamyka.

– Podśluchiwałaś?

Rozmawiamy w ciasnej wnęce i nasze podniesione głosy odbijają się od ścian głośnym echem.

– Byłaś w ogrodzie, w miejscu publicznym, rozmawiałaś. Przecież ci, cholera, nie założyłem podsłuchu.

Dori zaciska zęby.

– Po pierwsze, nie powinieneś być podsłuchiwać cudzej, prywatnej rozmowy. Po drugie, nie miałam się z kim rozstawać. Umówiliśmy się po prostu, że nie zaczniemy niczego, co... co moglibyśmy... Wciórności! Nie twoja sprawa!

Wybucham śmiechem, nie jestem w stanie się powstrzymać. Wciór... Co? Skąd ona zna te słówka?

– Gdybyś potrafił zrobić cokolwiek sam, z radością bym cię tu zostawiła. – Z jej oczu wciąż biją gromy.

– Oj, proszę. Przecież to nie fizyka jądrowa. Wystarczy przykręcić do ściany kilka pieprzonych desek. Wielkie mecyje. – Uwaga na boku: wiem, jak bardzo nie lubi, kiedy przeklinam. Za każdym razem krzywi się, jakbym wbił jej igłę w pośladek.

– Nie umiesz nawet obsługiwać detektora elementów metalowych.

– Słucham?

Dori wzdycha teatralnie i wbija we mnie chłodne spojrzenie.

– Zanim cokolwiek wkręcisz, musisz znaleźć odpowiednie miejsca w ścianie.

– Detektorem?

– Tak, żeby się upewnić, gdzie jest wpuszczona w ścianę kratownica, łapiesz? – Jej sarkastyczny ton doprowadza mnie do stanu wrzenia. Szczerze mówiąc, trochę za bardzo przypomina mi w tej chwili tatę i cała sytuacja staje się po prostu nieznośna. – Kratownica, rozumiesz? Taki szkielet, do którego przykręcamy wszystko, co powinno być solidnie przymocowane, jak na przykład półki w tych szafach. Jasne?

Przestałem słuchać, zanim jeszcze skończyła.

– Ty skończ tutaj – rzucam zwięźle. – Ja zajmę się szafą w pokoju Gabrielle.

W odpowiedzi Dori wręcza mi niewielkie urządzenie, przypominające miniaturową poziomnicę z jakimś elektronicznym wskaźnikiem z czerwoną strzałką. To musi być ten legendarny detektor. Nie mam bladego pojęcia, co można z nim zrobić, więc wciskam urządzenie do tylnej kieszeni spodni i wychodzę.

Dori

– Jestem idiotą – mówi.

– Nie przeczę – odpowiadam.

Przymocował wieszak i cały rząd półek, ale oczywiście nie znalazł zawczasu ukrytej pod gipsem kratownicy. Początkowo regał trzymał się zapewne jak należy, ale po zamontowaniu półek konstrukcja okazała się zbyt ciężka i wszystko zaczęło się niebezpiecznie chybotać. Jeśli Gabrielle schowa tu choćby parę butów i zawiesi na wieszakach ze dwa ciuchy, regał się po prostu rozleci.

Bez słowa zaczynamy wyjmować półki. Deski drapią ściany z obu stron szafy, co wywołuje nasze jednoczesne okrzyki: „Ja pieprzę” z ust Reida i „Józefie przenajświętszy” z moich, na co chłopak reaguje wybuchem śmiechu.

– To nie jest zabawne – warczę, a kiedy na niego zerkam, uśmiecha się do mnie łobuzersko i zupełnie bez powodu stwierdzam, że sytuacja jest jednak komiczna. Tym razem śmiejemy się oboje.

Wszystkie półki lądują na podłodze, a my szacujemy szkody.

– Kurde, do dupy to wszystko.

Nie mogę z opinią Reida dyskutować, ale coś w jego postawie i zrezygnowanym tonie głosu przypomina mi pięcioletniego Jonathana z parafialnej szkółki. Opieram się o porysowaną ścianę i szybko przeliczam. Gipsowanie

i ponowne malowanie zajmie nam mniej więcej dwie dodatkowe godziny. Miałam nadzieję wyrwać się dzisiaj o piętnastej, ale teraz już po ptakach.

– No i co robimy?

Odrywam się od ściany i prostuję.

– Naprawimy wszystko i zamontujemy te półki jak należy.

Reid wyciąga z kieszeni telefon, sprawdza godzinę.

– Domyślam się, że wszystkie zajęcia masz drobiazgowo zaplanowane i te szafy koniecznie musimy skończyć jeszcze dzisiaj?

– Tak. – Podrywam z podłogi dwie półki i wynoszę je z szafy. Reid bierze wiertarkę i zawiasy.

– Czyli będziesz musiała zostać dłużej.

Odpowiadam skinieniem i lekkim wzruszeniem ramion.

– W takim razie ja też zostanę.

– Tak? – Proszę, proszę, wydarzenie bez precedensu.

– No wiesz, w końcu to przeze mnie mamy dwa razy więcej roboty, więc tak.

– Reid wybiera numer i przygląda się, jak taszczyć do pokoju pozostałe półki, które ostrożnie opieram o różową ścianę. – Hej, George, mógłbyś przelożyć ten dzisiejszy wywiad? I daj znać kierowcy, żeby podjechał po mnie dopiero o piątej.

Unikając jego wzroku, przysłuchuję się rozmowie. Razem z menadżerem zmieniają wieczorny rozkład zajęć. Aż dotąd nie przyszło mi do głowy, że czas pomiędzy kręceniem filmów Reid wypełnia czymkolwiek poza głupimi rozrywkami.

Większość osób pracuje od ósmej do piętnastej i przywykłam już, że Reid wychodzi wraz z pozostałymi wolontariuszami. Stałym członkiem ekipy zdarza się przychodzić wcześniej i niekiedy zostajemy też dłużej, kończąc zadania albo przygotowując grunt pod prace zaplanowane na następny dzień. Po południu robi się w domu stopniowo coraz ciszej, aż wreszcie wszelkie dźwięki ustają na dobre.

Ponieważ szafę w pokoju Gabrielle musimy ponownie odmalować, montaż półek zostawiamy sobie na koniec. Gdy Reid proponuje, że zajmie się nimi sam (znowu), dzięki czemu mogłabym dokończyć pracę przy regale w bieliźniarce, biorę głęboki oddech i postanawiam zignorować niebezpieczne *déjà vu*. Zamiast protestować, po prostu wręczam mu wiertarkę i detektor (Reid zaciska szczęki i wiem, że tłumi cisnący mu się na usta komentarz), i wyjaśniam, jak się z niego korzysta.

Gdy pracuję w bieliźniarce, co najmniej tuzin razy nachodzi mnie pokusa, by sprawdzić, jak mu idzie. Po wszystkim, z duszą na ramieniu, gotowa mężnie zmierzyć się z każdym kataklizmem, wchodzę do pokoju Gabrielle. Reid stoi tyłem do mnie i dokręca ostatnie śruby. Kiedy napiera na wiertarkę, twarde mięśnie ramion i bicepsy spinają się pod białą koszulką. Chwilę potem odkłada narzędzie na półkę i cofa się. Z całej jego sylwetki emanuje duma, chociaż nie ma pojęcia, że

go obserwuję. Nie założył ochronnych okularów (nigdy ich nie nosi, jeśli go nie zmuszę), ale tym razem nie chcę go ganić.

– Całkiem nieźle to wygląda – odzywam się. Robi mi miejsce, a ja podchodzę bliżej. Szarpię za półki, naciskam, sprawdzam. Żadna nawet nie drgnie. Podejrzewam, że w razie potrzeby mogłabym się po nich wspiąć jak po drabinie. Buty i ubrania Gabrielle będą tu bezpieczne.

Reid opiera się swobodnie o framugę i luźno splata ramiona na piersi. Spogląda w stronę korytarza.

– Tak tu teraz cicho. Aż dziwnie.

– Zostali już tylko Roberta i Gene. – Kiwam głową. – Siedzą w gabinecie nad jakimiś papierami.

Reid blokuje ciałem drzwi szafy; żebym mogła wyjść, musiałby się przesunąć. Z niepokojem uświadamiam sobie, jak ciasna jest ta wnęka.

– Trochę, jakbyśmy wiercili w gumie do zucia – rzucam nerwowo, zerkając na różowe ściany.

Chłopak nie odpowiada. Przygląda mi się z taką miną, jakby szukał rozwiązania wyjątkowo trudnej zagadki. Opuszcza ręce. Kciuk jednej dłoni wsuwa do kieszeni spodni, a drugą sięga po kosmyk moich włosów, zbyt krótki, by mogła go okiełznać gumka. Zakłada mi loczek za ucho, leciutko muskając palcem jego koniuszek. I nagle słyszę już tylko bicie własnego serca. Powinnam w tej chwili odgrodzić się od niego rękoma, jak zrobiłam to wcześniej. Powinnam rzucić spieszne „przepraszam” i wynieść się jak najdalej.

Reid cofa rękę i wpatruje się we mnie. Nie próbuje się przysunąć, nie odsuwa się. Zasysam dolną wargę do ust – nerwowy nawyk, jeszcze z dzieciństwa – i to na niej nieruchomieje jego spojrzenie. Po dobrej minucie opiera rękę o ścianę, tuż nad moim ramieniem. Nachyla się. W ciemnoniebieskich oczach zapalają się rozdokazywane iskierki.

– Powiedz mi, co mam teraz zrobić, bo nie jestem pewien, czego chcesz – odzywa się niskim, lekko ochryplym głosem, jakby odwykłym od mówienia.

Dobrze wiem, o co mnie pyta, a jednocześnie słyszę w duchu jedno, jedyne zdanie – to się nie dzieje naprawdę. Praktycznie skamieniała kręcę nieznacznie głową. Myśli ścigają się jedna przez drugą, niewyraźne, ulotne, sprzeczne: „pocałuj mnie”, „nie dotykaj mnie”, „przytul się”, „odejź”.

– Dori – grzbiet jego dłoni gładzi mój podbródek – proszę cię tylko, żebyś mi powiedziała... Czego chcesz?

Kiedy prostuje plecy i zaczyna się cofać, prawie go powstrzymuję, ale jedynie przygryzam wargę. Ten gest mnie zdradził – Reid ponownie wpatruje się przeciągle w moje usta, po czym podnosi spojrzenie na moje oczy.

– Więc może po prostu powiedz, jeżeli zrobię coś, czego nie chcesz – szepcze. Jego dłonie suną po moich ramionach, wargi wpijają się w moje. Całuje

mnie. Obejmuje, przyciąga do swej piersi, pieści plecy i talię. Jego wargi łagodnie igrają z moimi, kusząc, nęcąc, badając reakcje. Wrażenie jest wprost niewiarygodne, lecz gdzieś w głębi ducha pojawia się we mnie cień zawodu. Jestem rozczarowana tym, że Reid całuje mnie tak samo jak Nick – bezpiecznie. A to ostatnia rzecz, jakiej się po nim spodziewałam.

Rozdział 23

Reid

Ostatnią rzeczą, jakiej się po niej spodziewałem, jest otwarcie ust, subtelne, tak delikatne i nieznaczne, że gdybym nie był skupiony, mógłbym to drżenie warg przegapić. Ale jestem bardzo skupiony, uważny. Niemniej reakcja Dori stanowi dla mnie tak wielkie zaskoczenie, że niemal przestaję. Instynkt podpowiada jednak, że jeśli pozwolę jej choć na sekundę zastanowienia, chwila przeminie bezpowrotnie.

Łagodnie sunę koniuszkiem języka wszerz jej dolnej wargi i słyszę stłumione westchnienie. Jej usta rozchylają się bardziej, chłoną mnie. Dostałem wyraźną zgodę, a Bóg mi świadkiem, że dodatkowej zachęty nie potrzebuję. Przyciągam ją do siebie mocno, na co Dori reaguje tym samym. Wsysam jej wargę do ust, a kiedy ją uwalniam, dziewczyna robi to samo z moją, dodatkowo kęsając mnie leciutko zębami. Jej dłonie wędrują po moich plecach, uciskają je i gładzą. Moje palce tańczą po jej talii. I wtedy Dori coś szeptem – ni to westchnienie, ni jęk – słowo przypomina ciche, niedosłyszalne, wypowiedziane bez słów „tak”. Zbliżam się do skraju szaleństwa.

Nie umiem stwierdzić, czy to najcudowniejszy pocałunek mojego życia. Całowałem się z wieloma dziewczynami. Mogę jednak powiedzieć, że w tej chwili nie pamiętam o żadnej z nich, nie pamiętam innych pocałunków. Nie pamiętam nawet, jak się nazywam. I nie chcę przestać jej całować. Już nigdy. Moje dłonie zakradają się pod jej koszulkę, opuszki palców dotykają miękkiej, ciepłej skóry na biodrach. Nagle wargi Dori odrywają się od moich. Kurde. Za daleko i zbyt szybko. Trzeba było przyhamować.

– Przestań, przestań... – rzuca zdyszana. Ma szkliste spojrzenie, słyszę jedynie nasze zmieszane, przyspieszone oddechy i niemal niedosłyszalne słowa. – O jejku...

Czekam, aż mnie odepchnie, ale ona tylko przymyka oczy i tuli mnie do siebie. Nie ruszam się. Chcę ją znowu pocałować i ten bezruch kosztuje mnie naprawdę wiele wysiłku. Obserwuję, jak Dori wraca powoli na ziemię. Cholera, za jakieś trzy sekundy wpadnie w szal.

Poprawka, wystarczyła sekunda.

Gwałtownie odrywa dłonie od moich boków, jakby dopiero w tej chwili zorientowała się, że mnie dotyka. Stopniowo rozluźniam ramiona, jakby powolność mogła sprawić, iż zapomni, gdzie ją przed chwilą dotknąłem. Nie powinienem był wsuwać rąk pod jej koszulkę. Naprawdę nie chciałem zrobić nic więcej, pragnąłem po prostu poczuć jej skórę, poczuć ją bardziej namacalnie – stworzyć coś w rodzaju

uziemienia, które uchroniłoby mnie przed elektrycznymi wyładowaniami, jakie skakały między naszymi wargami.

Wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami, lecz za nic nie potrafię odczytać jej emocji. To coś nowego, coś więcej niż niepokój, irytacja czy gniew. Nie mam pojęcia, co się w niej dzieje i nie mam odwagi zapytać. Zamyka się na mnie, jakby zaciągała zasłony w oknach. Nagle schyla się pod moim ramieniem, odchodzi i mogę już tylko bezsilnie walnąć pięścią w ścianę.

– Ja pieprzę!

Dori odwraca się raptownie na pięcie.

– Dlaczego musisz to ciągle powtarzać?

Ach, oczywiście, mój niewyparzony język.

– Dori, przecież to tylko słowo...

– Ale ja nie chcę go słuchać.

Staję przodem do niej. W jej głosie pojawiła się nagana, zupełnie niepasująca do dziewczyny, która przed chwilą całowała się ze mną tak, jakby chciała we mnie zatonać. Jakby chciała tego naprawdę.

– Więc jednak rzeczywiście ci to przeszkadza. – Prawie na nią nie patrzę, ale jestem gotów przysiąc, że zanim odpowiedziała skinieniem, lekko drgnęła. – Dlaczego? Przecież to naprawdę tylko słowo.

Ucieka wzrokiem, przygryza dolną wargę (przez co znowu mam ochotę ją pocałować). Czekam w milczeniu. Po chwili odzywa się, ledwie dosłyszalnym szeptem:

– Dlatego że to słowo niszczy świętość pewnej sfery życia. Sprawia, że to, co piękne, staje się wstrętne i nic nieznaczące. To mi właśnie przeszkadza.

– Zatem dla ciebie seks jest święty? – Teraz już zupełnie nie ogarniam. – Seks nie jest niczym świętym. Nie w normalnych okolicznościach, a prawdopodobnie w ogóle, jeśli mówimy o normalnych, zrównoważonych psychicznie ludziach. To zwykła cielesna potrzeba. Coś jak jedzenie czy oddychanie.

Zadziera głowę i patrzy na mnie szklistym wzrokiem, ale – dzięki Bogu – nie płacze.

– Rozumiem, że to potrzeba fizyczna, że do seksu nakłania nas biologia. – (Jak na Dori, pogląd mocno zaskakujący.) – Ale jeżeli ludzie się kochają, seks staje się czymś innym. Trochę jak, nie wiem, jak jedzenie dla przyjemności w odróżnieniu od zapychania się ch-cholernymi fastfoodami. – Nawet „cholerny” ledwie przechodzi jej przez usta. Zresztą, co za absurdalny argument. Jedzenie dla przyjemności... Chryste, mógłbym go odeprzeć na dziesięć różnych sposobów.

Dori odwraca się i wybiega z pokoju. Chwilę potem słyszę, jak cicho zamyka za sobą frontowe drzwi. Cicho, bo przecież Dori za nic nie chciałaby zrobić sceny.

Dori

Do domu jadę cała roztrzęsiona. Tak, jestem wściekła. Na siebie. Ale to nie z gniewu cała dygoczę. Trzęsę się z zupełnie innego powodu. Z powodu emocji, która, podobnie jak gniew, wywołuje we mnie tajemniczą, fizyczną reakcję. Podobnie, choć jednocześnie odmiennie.

Reid uważa, że wie, kim jestem, ponieważ zakłada pewne rzeczy z góry. Jak wszyscy. Zakłada, że jestem porządną, zasadniczą, grzeczną dziewczynką. Że zawsze taka byłam. Ale wszyscy chyba wiemy, jak to jest z założeniami.

Colina Dyera poznałam w pierwszym tygodniu liceum.

Wraz z rodziną chodził do naszego siostrzanego kościoła – imponującego budynku, w lepszej dzielnicy, którego parafianie pomoc bliźnim okazują wyłącznie sięgając do portfeli. Wspierają nasz kościół w ramach działalności charytatywnej. To dzięki nim mamy fundusze na remonty budynku i prowadzenie rozmaitych sąsiedzkich projektów. Matka Colina była psychologiem w mojej szkole, a ja zostałam jej sekretarką. Rzadko się zdarza, by sekretarką mianowano pierwszoklasistkę, do tego potrzebne są znajomości, ale ja miałam wsparcie taty. Stanowisko sekretarki pani Dyer było powszechnie pożądanym przywilejem. Z matką Colina współpracowało się bez problemów, a gabinet urządzone komfortowo i panowała w nim cisza. Osoby o mojej pozycji z pierwszej ręki dowiadywały się, którzy uczniowie mieli problemy, a którzy je sprawiali, więc nie powierzano tej funkcji byle komu. Doktor Dyer szukała osoby godnej zaufania i obowiązkowej. Ja posiadałam obie te cechy.

Do biura przychodziłam na jedną lekcję po długiej przerwie. Nim minął pierwszy tydzień szkoły, zdążyłam już ukradkiem obejrzeć stojące na jej biurku rodzinne zdjęcia, więc gdy pojawił się Colin, rozpoznałam go natychmiast. Był uczniem ostatniej klasy i należał do szkolnej drużyny pływackiej. Wysoki i smukły, a przy tym świetnie zbudowany. Ciemne włosy nosił bardzo krótko przycięte, co dodatkowo eksponowało jego orzechowe, lekko skośne oczy na oliwkowej twarzy. Chodząc, poruszał się tak samo wdzięcznie, jak pływał; biła od niego pewność siebie, która wielce mi imponowała.

– O, cześć – przywitał się, lekko unosząc brwi. Obrzucił mnie ciepłym, skupionym spojrzeniem. – Nowa jesteś.

Skonsternowana, nieznacznie zmarszczyłam czoło. Szkoła zaczęła się ledwie tydzień wcześniej, więc każdy na moim stanowisku byłby w pewnym sensie nowy.

– Nie widziałem cię wcześniej, więc albo jesteś pierwszoklasistką, albo się przeniosłaś. Jak to mówią, świeże mięsko. – Uśmiechnął się, błyskając idealnie, białymi zębami. W kącikach ust pojawiły się malutkie, urocze dołeczki. Poczułam na twarzy gorący rumieniec. Nie miałam pojęcia, jak odpowiedzieć i chociaż zdawałam sobie sprawę, że powinnam się poczuć urażona, nie obraziłam się ani trochę.

– Colin – odezwała się jego mama, która weszła właśnie do gabinetu z naręczem skoroszytów i torebką frytek z „Wendy’s”. Zapach smażonych ziemniaków wypełnił całe pomieszczenie. – Te okulary będziesz musiał kupić sobie sam. Nie zdążyłam, bo musiałam wpaść do ortodonty i odebrać nowy aparat dla Tary. – Tara była młodszą siostrą Colina.

– Wydawało mi się, że niedawno już jeden dostała?

– Tak – odparła pani Dyer z uśmiechem. – Przetrwał cały miesiąc, zanim go „zgubiła” – dodała, wchodząc do swojego biura, gdzie miała się przygotować do popołudniowego starcia z rozwydrzonymi, zagubionymi nastolatkami i/lub ich rodzicami. – Myślę, że powinni do tych aparatów dodawać takie zmyślne sznureczki jak do dziecięcych rękawiczek.

Colin roześmiał się, a mnie przeszył dreszcz, od stóp do głów. Nigdy wcześniej żaden chłopak nie wydał mi się tak pociągający. Kiedy na mnie spojrzał, odwróciłam się i włączyłam stojący za biurkiem wentylator.

– No więc, świeżynko, jak ci na imię?

Znow poczułam ciepło na twarzy.

– Dori.

– W takim razie do zobaczenia, Dori. – Poruszył nieznacznie brwią i zniknął za drzwiami.

Obserwowałam go na przerwach – stale otaczał go wianuszek dziewczyn, młodych i starszych, krążących wokół niego niczym spętane siłą grawitacji planety. Wzdychały, kiedy przechodził obok, a koledzy przybijali z nim piątki lub zasypywali propozycjami weekendowych imprez. Był popularny, wręcz rozchwytywany. Ja byłam praktycznie niewidzialna.

Gdy tylko mnie zauważał, uśmiechał się szeroko i rzucał „Hej, świeżynko”, na co wszyscy w zasięgu zaczynali chichotać. Czułam się jednocześnie zawstydzona i podekscytowana. Raz, dwa razy w tygodniu, zaglądał do gabinetu porozmawiać z matką i za każdym razem zostawał potem na chwilę. Przysiadł na moim biurku i przekomarzał się ze mną.

Pewnego dnia przyniósł ciemnoróżową różę. Doktor Dyer była akurat na radzie pedagogicznej, więc siedziałam zupełnie sama.

– Hej, Dori. – Jego oczy omiotły mnie całą. – Świetnie dziś wyglądasz. – Wbiłam spojrzenie w blat. Nigdy nie miałam pewności, czy jego komplementy są szczerze. Uśmiechnął się, podszedł bliżej i przysunął mi kwiat do ucha.

– Tak jak myślałem. Identyczny odcień. – Jak nigdy wcześniej, kucnął przy moim fotelu. – Chcę cię o coś poprosić. – Obserwując go z nowej perspektywy, przyjrzałam się długim, ciemnym rzęsom i pełnym wargom. Łagodnie musnął różą moje policzki, wywołując elektryzujący dreszcz. – Umówiłaś się już z kimś na imprezę z okazji dnia absolwenta?

Z niedowierzaniem, powoli pokręciłam głową. Fakt, że ktoś tak popularny jak Colin zauważył w ogóle moje istnienie, był naprawdę niecodzienny, a co dopiero to.

– Chciałabyś może pójść ze mną? – Spojrzał mi w oczy i z wolna przeciągnął kwiatem po moich ustach. Słodka, wszechogarniająca woń uderzyła mi w nozdrza. Przytaknęłam, a on uśmiechnął się. Wyciągnął z kieszeni telefon, nacisnął kilka przycisków i podał go mnie. – Wpisz mi swój numer. Zadzwoń wieczorem i dogadamy szczegóły. – Gdy wklepywałam kolejne cyfry, zerknął na drzwi i z powrotem na mnie. – Czy moglibyśmy przypieczętować interes buziakiem? – Raz jeszcze kiwnęłam głową i poczułam jego usta na swoich, przelotnie.

Odebrał komórkę, zostawił różę na biurku i wyszedł, pogwizdując pod nosem. Zostałam zaproszona na imprezę, przyjąłem propozycję i zgodziłam się go pocałować. Wszystko bez jednego słowa.

Tak właśnie wyglądał mój pierwszy pocałunek z Colinem. Mój pierwszy pocałunek w życiu.

Minęły cztery miesiące, nadeszły walentynki. Jego rodzice wybrali się do San Francisco na długi romantyczny weekend, a młodsza siostra miała zanoć u przyjaciółki. Colin zaprosił mnie na kolację, a potem wypożyczyliśmy film. Cały dom należał do nas. Kiedy pieściliśmy się na kanapie, szepnął, że mnie kocha. A gdy wziął mnie za rękę i zaprowadził do swojego pokoju, poszłam bez oporów.

W czasie długich przerw wymykaliśmy się do jego pustego domu. Z okazji moich piętnastych urodzin wynajęliśmy pokój w hotelu i kochaliśmy się pod prysznicem, na ciasnej wytartej sofie i na podłodze. Śmialiśmy się potem z otarc na plecach i kolanach, o jakie przyprawiła nas szorstka wykładzina. Obudziłam się w ramionach Colina, modląc się w duchu, by mama nie wpadła na pomysł zadzwonić do przyjaciółki, u której – teoretycznie – nocowałam. Mimo wszystko czułam, że nie zamieniłabym tego wieczora na nic innego na świecie, bez względu na konsekwencje.

Nie protestowałam, gdy w trakcie wiosennych ferii Colin wyskoczył z kumplami do San Diego. Nie chciałam być jedną z tych zrzędlivych dziewczyn. Kiedy wrócił do domu w niedzielny wieczór – wypadał akurat dzień jego osiemnastych urodzin – ale nie zadzwonił ani nie odpowiedział na żaden z moich SMS-ów, zaczęłam się niepokoić. Kiedy w poniedziałek nie spotkał się ze mną w stołówce ani nie zajrzał do gabinetu matki, nie zrozumiałam. I wciąż nie

rozumiałam, dopóki nie zobaczyłam go na korytarzu, tuż przed ostatnią przerwą, gdzie stał z dłonią na biodrze koleżanki z klasy. Dopóki nie spojrzał mi w oczy.

– Hej, świeżynko – rzucił i oboje poszli swoją drogą.

Wtedy zrozumiałam, że to już koniec.

Rozdział 24

Reid

Z jednej strony, mogło mi pójść lepiej, z drugiej, chyba jednak nie mogło. Znowu nie oparłem się impulsowi i pocałowałem ją, chociaż, szczerze mówiąc, nie był to impuls nagły i niespodziewany. Chciałem ją pocałować od chwili gdy spadła w moje ramiona, a z nieba posypał się na nas deszcz owoców.

Tym razem mnie nie odepchnęła. Przynajmniej nie przed momentem kulminacyjnym. I sama też mnie pocałowała. Cholera, naprawdę się ze mną całowała. Ale potem doszło do tej rozmowy o seksie – w życiu nie podejrzewałem, że przeprowadzę z Dorcas Cantrell rozmowę na ten właśnie temat – a na dodatek dał o sobie znać mój niewyparzony język. Nie, nie jestem jakimś prymitywem. Kiedy trzeba, potrafię się powstrzymać od przekleństw. Tyle, że najczęściej nie widzę powodu. Jestem, jaki jestem, i kropka. A Dori zdaje się uważać, że posługiwanie się wulgaryzmami jest mniej więcej tak samo złe jak topienie puchatych króliczków.

Komórka wydzwania coraz bardziej natarczywie. Stoję i gapię się na różowe jak guma do żucia wnętrze szafy. Staram się nie myśleć o tym, że Dori uciekła. Po raz kolejny. Szofer czeka już przed domem, a ja zapomniałem poprosić ją o podpis na karcie. Wspomniała, że kręcą się tu jeszcze Roberta i Gene. Może któreś z nich mi podpisze? Do odpracowania wyroku zostało mi jeszcze siedem dni.

– Reid? – Gdy staję w drzwiach, przesłonięte szklami okularów oczy Roberty robią się jeszcze większe niż zwykle. Wypisz, wymaluj – sowa. Zerka na zegarek, mruga z niedowierzaniem i znów patrzy na mnie. – O tej godzinie?

Wyciągam z tylnej kieszeni dokument i wchodzę do prowizorycznego biura – chybotliwy stolik z laptopem i składane krzeselko stoją na środku największej sypialni domu. Niebezpiecznie blisko krawędzi blatu piętrzą się wypełnione papierami i kopertami segregatory, opatrzone napisami „Wychodzące” i „Przychodzące”.

– Musiałem pomóc Dori. Wiesz... Sp... Spartoliłem coś i trzeba było poprawić. Więc zostałem.

Kobieta sięga po kartę, pobieżnie przebiega ją spojrzeniem i z uśmiechem podpisuje się w odpowiedniej rubryce.

– To bardzo miło z twojej strony. Dori musi być ci wdzięczna.

Taaak, jasne. Na pewno właśnie dlatego uciekła.

– A tak przy okazji, kiedy wypada jej ostatni dzień przed wyjazdem? – pytam, próbując nadać swemu głosowi naturalne brzmienie.

– Zdaje się, że we wtorek.

Wtedy będę miał przed sobą zaledwie trzy dni pracy dla Habitu. Powinienem się cieszyć. Zamiast tego, chciałbym zatrzymać czas, bo właśnie czasu potrzebuję, żeby zdecydować, czego właściwie chcę. I żeby to zdobyć.

– A na jak długo wyjeżdża?

Roberta mruży lekko oczy. Robi się podejrzliwa.

– O ile pamiętam, na trzy tygodnie – odpowiada. – Dlaczego pytasz?

– A tak, z ciekawości. – Wzruszam ramionami i odwracam się do wyjścia.

Za niecały miesiąc muszę się stawić w Vancouver, gdzie rozpocznę zdjęcia do nowego filmu. Między jej powrotem a moim wyjazdem czasu zostanie zatem bardzo niewiele. O ile w ogóle zostanie. Naprawdę nie wiem, czego właściwie od tej dziewczyny chcę. Tadd twierdzi, że Dori stanowi dla mnie wyzwanie i Bóg mi świadkiem, ma rację. Ale cały dzisiejszy dzień... I ten pocałunek... W tej chwili mam już ledwie kilka dni, żeby się przekonać, jak daleko ona zechce się posunąć. Naturalnie, o ile zagra ze mną uczciwie i nie przestanie się tu pojawiać.

Ignorując tłumek paparazzi, ochroniarzy i fanów, wychodzę z domu i ruszam do kierowcy, który ze stoickim spokojem czeka przy otwartych drzwiczkach samochodu. Gwałtowne olśnienie uderza mnie z taką siłą, że aż zamieram na świeżo ułożonym chodniku. Ostatnim razem, kiedy spróbowałem ją pocałować, odtrąciła mnie i na parę dni uciekła z budowy. Tym razem uległa – a sposób, w jaki reagowała na moje pieszczoty, nie sugerował, iż robi coś, czego nie chce. Dori wcale nie uległa mnie, uległa sobie samej. Musiała tego pragnąć już wcześniej, przynajmniej podświadomie.

Poprzednio zniknęła nie dlatego, że postąpiłem wbrew jej woli. Ukryła się przede mną właśnie dlatego, że sama tego pocałunku chciała.

Istota tego wyzwania sprowadza się do właściwego odgadnięcia jej uczuć. A Dori nieczęsto opuszcza gardę. Dotąd udało mi się skruszyć jej zbroję jedynie w dwóch sytuacjach: kiedy była bardzo wkurzona i gdy była mocno podniecona. Co więcej, żaden z tych momentów nie trwał zbyt długo. Ta dziewczyna chowa się niczym żółw w skorupie. Wciąż tylko nie rozumiem jednego: dlaczego świadomość, że Dorcas Cantrell – przeciętna filantropka, przyszła pracownica opieki społecznej – naprawdę mnie pragnie, sprawia, że czuję się jak naćpany?

Dori

Za pierwszym razem, po Owocowym Deszczu, najpierw Reida odtrąciłam, a potem wzięłam sobie pięć dni wolnego. Normalny chłopak zbyłby mnie w takiej sytuacji wzruszeniem ramion i nazwał mało kulturalnym słowem, przynajmniej

w myślach. Reid jednak nie jest normalnym chłopakiem, a wszelkie moje usiłowania, by ukryć, jak mocno mnie pociąga, spaliły na panewce. Z drugiej strony, nie jest przecież wykluczone, że on po prostu żyje w przekonaniu, iż pragną go wszystkie dziewczyny świata, a moją odmowę potraktował jako specyficzną zachętę do dalszych prób. I – choć to diabelnie irytujące – udało mu się. Psia kostka!

– Halo? Dori? – w słuchawce rozlega się zaspany głos Deb i natychmiast robi mi się przykro, że ją obudziłam. Ale cóż, jest mi w tej chwili potrzebna. – Cześć, młoda, co się stało?

Biorę głęboki oddech.

– Całowałam się z nim.

W tle słychać szelest pościeli, co dodatkowo wzmacnia moje wyrzuty sumienia. Na pewno czeka ją kolejny długi dyżur i próbowała doładować akumulatory, a ja zawracam jej głowę głupotami.

– Z kim się całowałaś? – pyta z cichym ziewnięciem, które tylko potwierdza moje podejrzenia.

– Z Reidem – mówię, po czym zapada cisza. – Deb?

– Całowałaś się z Reidem Alexandrem? – w jej tonie pobrzmiwa niedowierzenie, co biorąc pod uwagę okoliczności, jest najzupełniej zrozumiałe. – Z tym płytkim i powierzchownym Reidem Alexandrem? Bo z tego, co pamiętam, tak o nim mówiłaś...

Spoglądam na drzwi swojego pokoju. Na przybitym do nich wieszaku wiszą apaszki, dwie czapki i parasolka – równiutko, posegregowane według kolorów. Obok, na niebieskiej ścianie, bieleje tablica magnetyczna z dwiema listami. Na jednej wypisałam wszystko, co muszę zrobić przed wyjazdem do Quito, na drugiej sprawy do załatwienia przed rozpoczęciem studiów. Całe moje życie jest drobiazgowo zaplanowane i uporządkowane.

– Tak.

– O rany.

– No właśnie.

– Hmm, czy mogę spytać, jak do tego doszło?

Wspomnienie namiętnego wzroku Reida wywołuje w moim ciele nieproszone dreszcze tęsknoty.

– Wiesz, był z siebie bardzo dumny. Udało mu się naprawić regał, który wcześniej spartolił. – Nie wiem, czy ktokolwiek w dziejach usprawiedliwił pocałunek w równie pokrętny sposób.

– Chwila, moment. Wprowadziliście w Habitacie nowy program? Motywacja dla wolontariuszy? Pocałunek za dobrą robotę czy coś takiego? Bo widzisz, nawet jeśli ten regał to majstersztyk, chyba nieco przesadziłaś.

Zaczynam się śmiać, lecz śmiech szybko przeradza się w bezradny jęk.

– Co ja mam teraz zrobić? Obiecałam Robercie, że będę pomagać aż do wtorku. To całe cztery dni w jego towarzystwie. Jak pomyślę o tych zadowolonych z siebie uśmiezkach, aroganckich spojrzeń...

– Chcesz powiedzieć, że dotąd zachowywał się inaczej?

– No tak. Punkt dla ciebie. – Słyszę, że dzwoni jej budzik. – Deb, bardzo przepraszam. Nie chciałam cię obudzić.

– E, tam – jeszcze jedno ziewnięcie. – I tak miałam już wstawać.

Wyobrażam sobie jej małe, lecz praktycznie i wygodnie urządzone mieszkanko. Oczyma duszy widzę niewielki, wychodzący na południe balkon – mnóstwo doniczek wszelkich możliwych kształtów i rozmiarów. Cały tonie w liściach i kwiatach. Z parkingu można odnieść wrażenie, że balkon na ostatnim piętrze porasta dżungla. Na wszystkich sąsiednich tłoczą się tylko rowery, plastikowe mebelki i znudzone psy.

– O której musisz być w szpitalu?

– Szczerze? Już jestem. Mamy tu taką przeuroczą, zagraconą kanciapkę bez okien, gdzie możemy złapać kilka minut snu. Wymyślili to specjalnie dla stażystów, w końcu praktycznie tu mieszkamy. – Cudnie, teraz czuję się jeszcze gorzej. – Ale do rzeczy – podejmuje Deb swym rzeczowym, konkretnym tonem. – W miarę możliwości, postaraj się z nim nie pracować. Jeśli będziesz musiała, dopilnuj byście ani na moment nie zostali sam na sam. I udawaj, że ten pocałunek nie miał w ogóle miejsca. Pociągniesz tak przez cztery dni, a potem na dobre zapomnisz o płytkim i powierzchownym Reidzie Alexandrze.

Czuję nagłą pokusę, by obronić Reida przed zarzutami płytkości i powierzchowności, przynajmniej pod jednym względem: całowania. Gdyby w przyszłości pocałował mnie lepiej, groziłoby to całkowitym rozpadem czasoprzestrzeni. Dziwne. Przecież zadzwoniłam do niej po radę, jak się ustrzec przed kolejnym pocałunkiem.

– Dzięki, Deb.

– Bardzo proszę, mała. Do usług.

Rozdział 25

Reid

Po powrocie zastaję mamę w swoim pokoju. Leży nieprzytomna na łóżku. Strużka śliny wypływa z kącika ust na jedwabną kołdrę. Matka rzadko zagląda do mojej części domu. Nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy była tu ostatnio.

Dzięki pomocy służby, po jej dzisiejszym wieczorze nie ma już śladu – zniknęły butelki i kieliszki, więc nie wiem, czym się dzisiaj znieczuliła. Ale jakie to ma znaczenie? Porządek w domu utrzymuje gosposia, Maya. Wraz z Immaculatą wycofały się już do swoich pokoi, ale wiem, że jeśli poczuję się głodny, znajdę w lodówce gotowy posiłek. Przez chwilę wyobrażam sobie, jak wyglądałoby życie z matką alkoholiczką, gdybyśmy nie byli bogaci. Wracalibyśmy do brudnego mieszkania, wszędzie walałyby się puste butelki, nie miałbym co jeść. A ona spałaby na kanapie – lub na podłodze czy w ogrodzie.

W tej sytuacji szukanie dobrych stron nie ma większego sensu, ale i tak udaje mi się je znaleźć.

Gdybym nie wrócił wcześniej niż zwykle, mógłbym jej już tu nie zastać. Jest dopiero jedenasta. Tata pewnie jeszcze pracuje, bo gdyby się pojawił, mama spałaby u siebie bądź w jednej z gościnnych sypialni. Nie przebrała się jeszcze na noc, a domowe ubrania, nieład fryzury i brak makijażu świadczą o tym, że nie wychodziła dziś z domu. To jedna z podstaw niepisanej umowy, jaką zawarli ze sobą rodzice – po alkoholu mama nie pokazuje się wśród ludzi. Jest cichą, depresyjną pijaczką i od początku pokornie na ten układ przystała. Nigdy też nie siada za kierownicą – zawsze może zadzwonić po szofera, dzięki czemu unikamy problemów z jazdą po kielichu. Dodatkowo, wszyscy nasi domowi pracownicy mają zapisany w komórkach numer ojca. Moja rodzina wyniosła utrzymywanie pozorów do rangi sztuki.

Jeszcze godzinę temu byłem z Johnem na imprezie. Otaczały mnie znajome, swojskie widoki. Falujące morze modnie ubranych ciał i wijące się pod sufit smugi dymu. Naprawdę się starałem, ale nie byłem w stanie zwalczyć nudy. Sztampowe wybuchy śmiechu zagłuszały momentami dźwięki sztampowej muzyki. Jakaś siedząca obok mnie dziewczyna z dobrego domu paplała o wycieczce do Amsterdamu i „oczyszczających umysł” przygodach, które tam przeżyła. A ja wciąż myślałem o półkach.

– ...i wiesz? Poczułam się wtedy taka spokojna, taka pogodzona ze wszystkimi i ze wszystkim. No, jakbym stała się częścią wszechświata, czaisz? – spytała, na co odpowiedziałem zdawkowym skinieniem i wróciłem myślami do

detektora, który okazał się narzędziem naprawdę zdumiewającym. Dzięki niemu zdołałem wkręcić trzycalowe śruby w odpowiednie punkty w ścianie i teraz, nawet gdyby sam Zeus postanowił zniszczyć dom, te cholerne półki wciąż tkwiłyby na swoich miejscach. Kiedy Dori próbowała je poruszyć, nie drgnęły choćby o milimetr. Czyżby jej pocałunek był nagrodą za to, że wreszcie zrobiłem coś jak należy? A jeśli tak, co chciałbym i co byłbym gotów zrobić, by zasłużyć na następny? Nie przyjść jutro na kacu?

Moja sąsiadka przerwała nagle swój, wywołany chemicznymi substancjami, egzystencjalny słowotok.

– Poszukamy wolnego pokoju? – rzuciła, omyłkowo biorąc moje milczenie za oznakę zainteresowania.

Dopiero wtedy jej się przyjrzałem. Naprawdę wyjątkowo seksowna laska. Wrażenia nie mącił nawet rozleniwiony wyraz jej twarzy. Z uśmiechem wzięła mnie za rękę. Drobne, długie palce spłoty się z moimi. Dłoń miała idealną, od nadgarstka, po doskonale utrzymane paznokcie. Drapnęła mnie lekko czubkami tipsów. Wstała i ruszyła w stronę korytarza. Poszedłem za nią. Nagle jednak przystanąłem, odwróciłem ją i spojrzałem prosto w zdziwione oczy. Nie wiedziała, co się dzieje.

Nachyliłem się. Nie chciałem, by muzyka zagłuszyła te słowa:

– Nie dzisiaj. Może kiedy indziej.

Oślupiała panienka zatrzepotała rzęsami, a ja rozejrzałem się za Johnem. Jak zwykle, nie miałem z jego lokalizacją większych kłopotów. Wystarczyło się rozejrzeć za nieprzeciętnie wysokimi dziewczynami.

Powiedziałem mu, że coś leży mi na żołądku i chcę wracać do domu. Odstawił mnie pod drzwi.

– Stary, może cię podwozę? – zaproponował ze zmartwioną miną.

– Nie, spoko – zapewniłem. – Zamówiłem już taksówkę.

Wyszedłem w duszną noc i czekałem. Atmosfera imprezy powoli ze mnie spływała. Zresztą, wypilem tylko jednego drinka, niczego nie paliłem i nie łyknąłem żadnej tabletki. Przyjemnie było tak po prostu stać na ulicy. Może faktycznie mogłoby być chłodniej, ale nie musiałem przecież sadzić drzew ani ubijać w pełnym słońcu świeżo położonej murawy. Roześmiałem się. Reid Alexander – ogrodnik. Rany, nic dziwnego, że paparazzi nie odstępują mnie tam na krok.

Nie wiem, co zrobić z mamą. Zostawiam ją więc na łóżku i wchodzę pod prysznic. Gdy wracam, leży, jak leżała. Biorę ją na ręce i natychmiast żałuję, że nie zrobiłem tego przed myciem. Uderza mnie jej kwaśny oddech i nieprzyjemna woń potu. Przypomina mi się dzień przed jej pierwszym odwykiem.

Miałem wtedy mniej więcej dziesięć lat. Chyba dopiero wróciłem ze szkoły, bo wciąż byłem ubrany w mundurek najbardziej ekskluzywnej, prywatnej

podstawówki w stanie. Mama siedziała w salonie z rozłożonym na kolanach albumem zdjęć z wesela.

– Reid! – zawołała, gdy zjrzałem do pokoju. – Chodź, pooglądamy sobie!

Ślub moich rodziców był poważnym wydarzeniem towarzyskim, zorganizowanym z pieczołowitością zarezerwowaną zwykle dla członków królewskich rodzin. Wesele – dzięki odziedziczonej po przodkach fortunie – przypominało bajkę. Samych zdjęć nie pamiętam, tylko wrażenia. Wyjątek stanowi jedno – moi rodzice wychodzą na nim z kościoła przez wielkie, drewniane wrota. Matka – drobna, jasnowłosa i piękna, w sukni barwy kości słoniowej, stoi pod rękę z tatą, który muska jej dłoń. On – młody trzydziestolatek – był wtedy wysoki i przystojny. Naprawdę robił wrażenie. W zasadzie, od tamtej pory niewiele się zmienił. Różnica jest jedna – uśmiech. Miał też więcej włosów i nie strzygł się tak krótko. Oczywiście nie był też szpakowaty.

Mama powiodła palcem po fotografii. Różowy, połyskujący brokatem paznokieć zakreślił kontur oszałamiającej ślubnej sukni.

– A wiesz? To nie były sztuczne perły – oznajmiła. – Czułam się jak najprawdziwsza królewna. A ojciec był taki przystojny...

Rzeczywiście, tworzyli piękną parę.

– Reid – podjęła i jej dłonie zadygotały nad zdjęciem królowny. – Mama musi na jakiś czas wyjechać.

– Dokąd? – Ściągnąłem brwi.

Z trudem przełknęła ślinę i opanowała oddech. Być może powstrzymywała się od płaczu. Przyjrzałem się jej zatroskany, spojrzałem w uśmiechnięte, wilgotne oczy.

– Okazuje się, że będziesz mieć braciszka albo siostrzyczkę, a ja muszę wyjechać, żeby dziecko... żeby przypilnować... – Znów spojrzała na swoją drżącą dłoń i zdjęcie.

– Czego przypilnować? – pamiętam, że na wieść o rodzeństwie poczułem się szczęśliwy. Ale tylko przez moment, bo przecież mama była z jakiegoś powodu smutna. Nie do końca wiedziałem, co powinienem czuć.

– Musimy mieć pewność, że nie zrobię dziecku krzywdy.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi. W końcu mama nie była w stanie skrzywdzić nikogo ani niczego. To było dla mnie jasne jak słońce. Przecież nie umiała mnie ukarać, nawet kiedy byłem niegrzeczny – a często bywałem niegrzeczny. Więc dzidziusia też by na pewno nie skrzywdziła. Powiedziałem jej o tym i zalała się łzami. A mnie wcale nie o to chodziło.

– Wszystko będzie dobrze. Uda się nam. Jeszcze będzie cudownie – zapewniła, ujmując moją buzię w dłonie. – Mam nadzieję, że on lub ona okaże się taki sam jak ty.

Udała się na ten odwyk, dziecko i tak straciła, wróciła do domu i znów

zaczęła pić.

Układam mamę na łóżku w sypialni, gaszę większość świateł i nakrywam ją kocem. Podejrzewam, że powinienem zrobić coś więcej, lecz nie mam pojęcia co. Jest z nią coraz gorzej. Znam ten schemat, wiem, co stanie się w następnej kolejności. Upadła już prawie na samo dno, a dno jest skaliste, więc zderzenie będzie ciężkie. Niekiedy, na krótką chwilę, jest lepiej, wrywa się, ale po to tylko, by znowu się poddać. Od wielu dni nie widziałem jej trzeźwej. Wmawiam sobie, że to dlatego, iż rzadko bywam w domu, ale to nieprawda. Za każdym razem, gdy przestaje pić, zapominam, jakie to okropne. Aż do następnego ciągu.

Odwraca się na plecy i zaczyna chrapać. Cholernie głośno jak na osobę jej postury. Przekręcam ją na bok, niezbyt delikatnie – i tak nie zauważy – i podpieram jej plecy poduszkami. Nie chcę, by zwymiotowała leżąc na plecach. Podejrzewam, że, czując w gardle wymiociny, obudziłaby się i nie udusiła, ale wolę nie ryzykować.

Siedzę na fotelu przy jej łóżku, gładzę palcami tapicerkę.

To moja matka i wszystko bym zrobił, żeby jej pomóc, ale nie jestem w stanie. Ona na pewno nienawidzi swojego życia. Dlatego od niego ucieka. Potrafię to zrozumieć. Otępia się. Próbuje zapomnieć o porażkach, o stracie dziecka, o rozgoryczeniu męża. I o tym, że odkąd tylko dostałem szansę, sam zacząłem znikać z domu. Nie wiem, czy picie bardziej wynika z nieszczęścia, czy nieszczęście z picia. Nie mam pojęcia, od czego się zaczyna. Wiem tylko, że nie ma temu końca.

Budzi mnie ojciec. Szarpie mnie za rękę.

– Reid – mówi – możesz już iść.

Mocno zaciska usta. Patrzy to na nią, to na mnie. Zawiodł ją. Ja też ją zawiodłem. Zawiodła sama siebie.

Nie ma temu końca.

Dori

Rada Deb, sugestia, bym udawała, że nasz pocałunek nie miał w ogóle miejsca, w pierwszej chwili wydawała się bardzo łatwa do zrealizowania. Czasami zdarza mi się zapomnieć, jak nie cierpię kłamstwa, i że kłamiąc, należy ukrywać swoje rzeczywiste uczucia. Wspomnienia o Colinie przypomniały mi, jak boli złamane serce i jak się czułam, gdy musiałam z całych sił walczyć, by przynajmniej z pozoru nie wyglądać jak własny cień. Rzucił mnie tak niespodziewanie, że potem przez wiele dni żyłam jak w koszmarnym śnie i tylko czekałam, aż się obudzę. Gdy wreszcie dotarła do mnie prawda, gdy uświadomiłam już sobie, że nie śnię,

cierpiałam tak bardzo, iż myślałam, że umrę.

A jednak przetrwałam. Żeby przetrwać, musiałam udawać, że nic mnie nie boli – przynajmniej przed nim. Również przed przyjaciółkami i kolegami. Przed moimi rodzicami. I przed jego matką, która – chociaż szczerze się o nas wszystkich troszczyła i miała ogromne doświadczenie w rozwiązywaniu typowych problemów nastolatków – nie miała pojęcia, co jej własny syn zrobił jednej z uczennic, w dodatku tuż pod jej nosem.

Kluczem do udanego kłamstwa jest absolutna szczerłość wobec samego siebie. Aby z kolei pozostać wewnątrznie szczerym, należy mieć przy sobie człowieka, któremu można bezgranicznie zaufać, osobę, która potrafi dochować skrywanej przed resztą świata tajemnicy. Taką właśnie osobą od zawsze była dla mnie Deb.

Kiedy opowiedziałam jej o Colinie, niemal się rozkleiła. Pochłonięta studiami na pierwszym roku medycyny wiedziała tylko, że się z kimś spotykam, ale podczas naszego krótkiego romansu nie miałam jej pod ręką. Dlatego całą historię – od czarownego, magicznego początku, aż po druzgoczące zakończenie – opowiedziałam jej w trakcie jednej rozmowy.

Siostra zawsze potrafiła mnie ochronić i jej wściekłość na Colina błyskawicznie ustąpiła współczuciu, jakiego oczekiwałam i którego mogłam zaznać wyłącznie od niej.

– Oj, młoda – powiedziała łamiącym się głosem. – Potrzebujesz litrowego pudełka czekoladowych lodów i jakiegoś głupawego filmu. W weekend po egzaminach przyjadę do domu i odprawimy oficjalne egzorcyzmy. Przygotuj zdjęcia i cokolwiek zechcesz spalić, bo wszelkie wspomnienia o tym idiocie przegnamy żywym ogniem. Nie będziesz się tak okropnie czuć przez wieczność, obiecuję.

Oczywiście miała rację. Teraz, trzy lata później, zupełnie już nie pamiętam, jak to było – kochać Colina. A rozstanie wspominam, jakby przytrafiło się komuś zupełnie innemu. Naiwnej, beztroskiej dziewczynie, którą już nigdy nie będę.

Głos Reida dolatuje mnie chwilę przed jego pojawieniem się w drzwiach. Na powitania kolegów odpowiada wesoło, przyjaźnie. Przyszedł dziś nietypowo wcześnie, więc nie miałam czasu, by powtórzyć w duchu wszystkie kroki, które omówiliśmy podczas narady z Deb, a przecież przed każdym egzaminem warto sobie przypomnieć najistotniejsze zagadnienia.

Krok pierwszy – zachowywać się, jakby do niczego między nami nie doszło.

Krok drugi – zbywać wszelkie ewentualne aluzje do pocałunku.

Krok trzeci – pracować oddzielnie.

Krok czwarty – nie przebywać z nim na osobności.

– Hej – rzuca Reid otoczony anonsującym jego przybycie, tradycyjnym już aromatem kawy. Moje uzależnione od kofeiny nerwy reagują natychmiast. Domagają się codziennej dawki sojowej latte, a pobudzone barwą jego głosu serce zrywa się do żywszego biegu.

Zdradzona przez własne ciało.

Odwracam się, uśmiecham, sięgam po kubek, dziękuję. Nie zwracam uwagi na muskające mnie koniuszki palców. Ignoruję te piękne oczy – ich ciemny błękit podkreślony jest dzisiaj granatową barwą bawełnianej koszulki.

– No, kierowniczo? Jakie plany na dziś?

Nie zwracam też uwagi na znajomy, lekko chropawy, poranny ton głosu.

Stoimy we dwoje w głównej łazience, co stanowi jawne pogwałcenie Kroku Czwartego. Słyszę, co prawda, rozmowy kręcących się na korytarzu ludzi, ale tutaj jesteśmy sami. Zupełnie sami.

– Hmm, wydaje mi się, że dzisiaj będziesz pracować z Frankiem. – Odwracam od niego spojrzenie.

– Mhm, okej. W takim razie widzimy się na przerwie, tak? – Nie czekając na odpowiedź popija kawę i wychodzi z łazienki.

Gdybym go nie znała, mogłabym pomyśleć, że sam właśnie stosuje Krok Pierwszy.

A jeśli naprawdę stosuje? To chyba lepiej, prawda?

Jeżeli Reid zacznie udawać, że do niczego między nami nie doszło, to i mnie – teoretycznie – powinno być łatwiej.

Właśnie na tym polega problem ze słowem „teoretycznie”.

Rozdział 26

Reid

Nowa strategia Dori, polegająca na udawaniu, że nic wczoraj między nami nie zaszło, ani trochę mnie nie zaskoczyła. Wyparcie jest całkiem sprytną metodą radzenia sobie z emocjonalnymi burzami. Gdybyśmy z Johnem nie przymykali niekiedy oczu na swoje, co bardziej kretyńskie wyczyny, naszą przyjaźń już dawno trafiłby szlag. Dori odpowiedziała na mój pocałunek z autentyczną namiętnością, więc zaraz potem racjonalna część jej mózgu zaczęła się gwałtownie domagać swych praw, co ostatecznie poskutkowało udawaniem, że zupełnie nic się nie stało.

Nie pozwolę na to.

Ona najwyraźniej postanowiła udawać, że się nie pocałowaliśmy. Ja natomiast chcę powtórki z rozrywki. To dwa przeciwległe krańce całego wachlarza możliwych wyjść z sytuacji. Pierwszym punktem planu, który ma nakłonić ją do mojego rozwiązania, powinno być doprowadzenie do jakiegoś rozwiązania pośredniego. Muszę tylko wykombinować, na czym miałyby ono polegać.

To ostatnie chwile projektu. Prace w domu dobiegają końca i wszyscy tutaj w coraz większym napięciu czekają na dzień ostatni, który nadejdzie dopiero, gdy Dori poleci już do Ekwadoru, a ja odpracuję cały wyrok. Muszę przyznać, że chętnie zobaczyłbym przekazanie kluczy nowym mieszkańcom. Rodzice Gabrielle od czasu do czasu pomagali przy budowie, więc ich widywałem, chociaż nigdy nie zdarzyło się nam pracować wspólnie. Jestem pewien, że to sprawka Roberty. Dlatego właśnie zaskakuje mnie nieco, gdy po obiedzie, kiedy podsypuję nawozem kwiaty i krzewy w ogrodzie, podchodzi do mnie pani Diego.

– Panie Alexander? – zagaja z silnym, latynoskim akcentem.

Ponieważ wskutek wypadku nikt nie odniósł obrażeń, a zniszczony dom nie był ich własnością, Diegowie nie musieli uczestniczyć w mojej rozprawie. Niemniej, poznaję tę kobietę natychmiast – widziałem ją w telewizji i Internecie. Jest bardzo drobna, czego nie było widać na ekranie, gdy stała obok męża i odpowiadała na pytania dziennikarzy, co rusz wskazując na dziurę ziejącą w ścianie wynajętego budynku i dziękując Bogu oraz wszystkim świętym, że ich dzieciom nie stała się krzywda. Na okrągłej twarzy widać zmęczenie życiem, ma więcej zmarszczek niż moja mama, mimo że musi być od niej młodsza. Ta kobieta ciężko pracowała przez całe swoje dorosłe życie, a prawdopodobnie i wcześniej. Jednak z karmelowych oczu promieniuje ciepło i życzliwość.

– Dzień dobry, pani Diego – witam ją skinieniem, odrzucając na stertę śmieci pusty worek.

Spogląda na grządki i kopczyk nawozu, który będę musiał zaraz rozprowadzić.

– Świetnie panu idzie. Dziękuję, że pomaga pan budować nasz nowy dom.

Na ułamek sekundy ogarnia mnie nieuzasadnione poczucie dumy. Ale z drugiej strony, przychodzę tu przecież z powodu sądowego nakazu. Ona doskonale zdaje sobie z tego sprawę, więc nie bardzo wiem, co powiedzieć.

– Proszę bardzo – mówię, gdyż nic innego nie przychodzi mi do głowy. Pani Diego pochyla lekko głowę i patrzy na mnie z ukosa. Zaakceptowała te trywialne dwa słówka, pozwoliła nam obojgu udawać, że jestem prawdziwym altruistą, kimś w rodzaju Dori. Człowiekiem, który z własnej woli poświęca czas i wysiłek, by zapewnić dach nad głową ciężko pracującej rodzinie.

Siadam obok Dori na betonowym murku. Dziewczyna trzyma na kolanach tacę i otwiera butelkę wody.

– Więc, w związku z tym pocałunkiem...

Gwałtownie wciąga powietrze i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Jej dłonie zastygają w powietrzu, w jednej ściska butelkę, w drugiej zakrętkę.

Jeśli chodzi o rozwiązania pośrednie, to by było na tyle.

Milczę, a Dori rozgląda się dokoła, sprawdzając czy nikt nas nie słyszy.

– To było chwilowe zaćmienie... rozumu – syczy. Uśmiecham się, a ona znów lustruje wzrokiem cały ogród. Gdyby ktokolwiek zwrócił w tej chwili uwagę na jej minę, nabrałby przekonania, że planujemy wysadzić Biały Dom. Co najmniej. Na szczęście nasze rozmowy nie dziwią już tutaj nikogo, a moja głowa zasłania jej buzię przed obiektywami wścibskich paparazzi.

– Moim zdaniem pocałunki i rozum to dwie różne parafie – zauważam.

Zaciska wargi w wąską kreskę. Szkoda. Próbuję się na nie nie gapić. I nie myśleć o ich dotyku na moich ustach, przez co znów chcę na nie patrzeć. Skupiam się na gromadce piegów, które rozsiadły się na jej nosie i kościach policzkowych. Niestety, pragnienie pocałunku wraca ze zdwojoną siłą.

– Słuchaj – dodaje Dori przez zęby. – To nie powinno było się wydarzyć. Musimy udawać, że nic się nie stało.

– Chciałaś chyba powiedzieć, że ty musisz udawać, że nic się nie stało – odpowiadam z uśmiechem. Nie mogłem się powstrzymać. Mój wzrok ucieka do jej warg. Opanowuję się i znów patrzę jej w oczy. – Ja natomiast chciałbym spróbować jeszcze raz.

– Cóż, ja nie – rzuca te słowa, jakby ciskała we mnie kamieniami. Potrafi markować wyniosłość jak mało kto – przymrużone oczy, zadarta broda. Zdradza ją jednak żyłka pulsująca u podstawy szyi.

– A ja myślę, że chcesz.

– Dori? – Oboje, jakby przyłapani na gorącym uczynku, podrywamy głowy. Nad nami stoi Roberta, patrzy to na mnie, to na nią.

– Tak? – Dori zeskakuje z murku.

Korci mnie, by złapać ją za rękę, poprosić, żeby wyluzowała, zrelaksowała się, lecz osiągnąłbym zapewne efekt przeciwny do zamierzonego. Nie słyszę, o co prosi ją Roberta, a Dori już się do mnie nie odwraca. Odchodzą razem w stronę domu. Przestałem istnieć lub zostałem zapomniany.

A jednak nie. Wiem, na co spojrzeć, by się o tym przekonać. Choćby nie wiem jak się starała, jej uszy nie kłamią.

Dori

– Czy wszystko w porządku? – Roberta świdruje mnie swoimi sowimi oczyma zza szkieł okularów, lecz pytanie mnie nie krępuje, tak bardzo mi ulżyło, że mogłam uciec przed Reidem i jego tekstami. Żałuję, ale nie mogę powiedzieć, że nie miał racji. „Myślę, że chcesz”. Coś ściska mnie w piersi. Miał bardzo wiele racji.

– Pewnie. Dlaczego pytasz? – usilnie staram się, by mój głos brzmiał swobodnie, ale ostatnie słowo wypadło dziwnie piskliwie. Odchrząkuję i powtarzam: – Dlaczego pytasz?

Roberta odpędza komara, a ja wciąż próbuję się otrząsnąć.

– Bez powodu. – Znów macha dłonią. – Miałam po prostu wrażenie... – teraz wymachuje już oburącz – że doszło między wami do jakiegoś nieporozumienia.

Komar podlatuje do mnie. Klaszczę dłońmi i trafiam bezbłędnie. Fuu. Ocieram ręce o nogawki dzinsowych szortów.

– Dlatego poprosiłaś mnie do środka? – Próbując wymigać się od wyjaśnień, sięgam po wilgotną ściereczkę i przecieram palce.

– No... Nie. – Roberta rusza do przerobionej na tymczasowe biuro sypialni. – Chciałam się po prostu upewnić, kiedy przychodzisz po raz ostatni. Ktoś mnie wczoraj o to zapytał i powiedziałam, że we wtorek, ale w sumie nie jestem pewna.

Czyżby Reid?

– Tak. Myślę, że we wtorek. Lot mam w czwartek bladym świtem i uznałam, że przyda mi się wolny dzień na pakowanie i dopięcie wszystkiego na ostatni guzik.

– Cóż – odpowiada Roberta. – Wszyscy będą za tobą tęsknić.

Wszyscy?

Kwadrans po czternastej zgłaszam się na ochotnika i jadę z Gene'em do centrum ogrodniczego po dodatkowe drzewka i krzewy. Kiedy wrócimy, Reida już nie będzie. Oczywiście ten fakt nie miał nic wspólnego z moją decyzją.

Tchórz – oskarża ciało. Jeszcze tylko trzy dni – odzywa się rozum.

Rozdział 27

Reid

– Czyli od wtorku już cię tu nie będzie, tak?

Jesteśmy w salonie. Dori podnosi głowę nad rozłożonych na nowej wykładzinie materiałów i narzędzi – płytki, kable i urządzenia czekają w idealnym porządku.

– Zgadza się – odpowiada niepewnie. Odbiera ode mnie swoją latte obiema dłońmi, jedną podtrzymuje kubek od spodu, drugą nakrywa wieczko. Pilnuje się, by mnie nie dotknąć. Nie stara się nawet zachować pozorów. Gdyby mój dotyk na nią nie działał, nie unikałaby za wszelką cenę fizycznego kontaktu. Zbłąkany kosmyk włosów osuwa się jej na oko, kusząc bym zrobił to, co ostatnim razem. Wciskam wolną rękę do kieszeni.

Gdy wczoraj po południu dała nogę z budowy, postanowiłem, że czas wytoczyć najcięższe działa. Nie mam już nic do stracenia. Za cztery dni zobaczę ją po raz ostatni. Nie sądzę, by nasze ścieżki jeszcze się kiedykolwiek przecięły.

– Niedługo zajmiesz się pakowaniem i przygotowaniami do wyjazdu, pozwól więc, że zaproszę cię na kolację już dzisiaj. Chciałbym ci podziękować za to, że byłaś tak cierpliwą nadzorczynią.

Dori jest jedną z najbystrzejszych dziewczyn, jakie w życiu poznałem, więc wiem, że przejrzy mój zabieg na wylot. Dlatego sformułowałem zaproszenie w taki sposób, jakbyśmy byli umówieni już wcześniej i trzeba było po prostu zmienić datę. Na pewno nie da się w ten sposób podejść, ale chyba też niczego nie popsuję.

Na moment zasłania oczy ręką, poprawia ten niesforny, zbyt krótki kosmyk. Zaplata go sobie za ucho. Nabiera powietrza w płuca.

– Nie mogę pójść z tobą na kolację. – Ach, zatem tak chce tę sprawę rozegrać. Zero wyjaśnień.

Nie, nie. Tak łatwo się nie wywinie.

– Dlaczego nie?

– Mam dzisiaj próbę z dziećmi ze szkoły.

– Więc jutro.

Stuka nerwowo w wieczko kubka.

– Jutro mam tę końcową imprezę.

Grając na czas upijam łyk kawy. Wymówki ma solidne. Czy spodziewa się, że zaproszę ją jeszcze raz? Nigdy nie próbuję dwukrotnie. A co dopiero trzy razy.

– Niedziela wieczór?

– Kościół.

Trzy pudła. Nie mogę się powstrzymać – wybucham śmiechem, na co Dori ściąga wargi i z kamienną miną marszczy brwi.

– Pozwól, że zgadnę. W poniedziałek żegnasz się z przyjaciółkami, a na wtorek zaplanowali coś twoi rodzice.

Dziewczyna drapie wieczko paznokciem, nie patrzy w moje oczy. W sumie dobrze, mimo rozbawienia czuję się mocno poirytowany i nie wiem, czy wyraz mojej twarzy nie wyjawilby zbyt wiele.

– Na środę. – Podnosi wzrok. – Rodzice mają plany na środę.

Na usta ciśnię mi się ironiczny komentarz, ale mówię co innego.

– Czyli we wtorek jesteś wolna.

Rozchyła wargi i nabiera powietrza. Zapewne spodziewała się właśnie ironicznego komentarza.

– Teoretycznie.

– Czy to znaczy „tak”?

Pierś Dori faluje w płytkich oddechach. Zapędziła się w kozi róg i wiemy o tym oboje. Ale i tak ucieknie. Widzę to w jej oczach. Jej umysł pracuje nad znalezieniem kolejnej wymówki.

– Dori – podejmuję cichym, spokojnym głosem – przecież to tylko kolacja. Zaraz po niej wrócisz do swojego życia, a ja wkrótce wrócę do swojego. Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że tak łatwo ci było uczyć mnie malowania ścian i montowania regałów. – Rzucam jej najbardziej niewinny i rozbajający uśmiech ze swego repertuaru. – Przez trzy tygodnie drażniłem cię jak tkwiąca pod paznokciem drzazga. No proszę. Pozwól, że odpłacę ci choć w ten sposób – mam wielką ochotę ją dotknąć, ukryte w kieszeni džinsów palce aż świerzbią. Brakuje mi jednak odwagi.

Kiedy wreszcie kiwa głową, muszę zebrać całą dostępną sobie siłę woli, by nie wyskoczyć w powietrze i nie krzyknąć na całe gardło „Tak, kurde, tak!”.

– Okej – mówi Dori, przyglądając mi się. – Tylko kolacja.

– Kolacja. We wtorek. Świetnie – wyciągam z kieszeni komórkę i zapisuję numer jej telefonu i adres. Na pożegnanie trącamy się kubkami kawy. – No to na razie, kierowniczo.

Dori

Co. Ja. Zrobiłam?

Rozdział 28

Reid

W pełni świadomy, że nie powinienem dawać Dori zbyt wielu szans na odwołanie dzisiejszego spotkania, od paru dni trzymałem się od niej na dystans. Piątkową przerwę spędziłem z Frankiem, a wczoraj zjadłem obiad z Gabrielle. Naturalnie nie zapomniałem o porannej dostawie sojowej latte, z tym że przynosiłem ją w chwilach, gdy Dori była zajęta i nie miała możliwości porozmawiać ze mną w cztery oczy.

Nastał wtorkowy poranek i widzę wyraźnie, że dziewczyna czuje się kompletnie pogubiona. Swoją zwykłą strategię zrealizowałem iście podręcznikowo – naprzemienna kombinacja natarć i odwrotów, schodzenie z drogi kontratakami. To zawsze pozwalało mi zdobyć wszystko, czego tylko chciałem. A jednak, w tym właśnie problem, wciąż nie wiem, czego chcę. Czuję tylko, że chciałbym się znowu z nią całować, a przy tym szczerze wątpię, by cokolwiek ponad pocałunki było w ogóle możliwe.

Może Tadd miał jednak rację. Może Dori pociąga mnie dlatego, że stanowi dla mnie wyzwanie. Wyczuwam w niej coś nieskalanego, czystego i niewinnego. Nie chodzi tylko o seks i tym podobne. Chodzi o nią samą, o jej osobę, jej duszę. Przypomina mi trochę poranny, zimowy pejzaż za oknem, kiedy śnieg pokrywa świat gładką puchową kołdrą, niezmaconą jeszcze śladami ludzi i samochodów. Czy naprawdę chciałbym stać się tym idiotą, który zdepta cały ogródek? W zasadzie bez powodu?

Po przyjeździe na budowę bez trudu znajduję Dori. Idę za jej głosem, gdy z wielką cierpliwością tłumaczy Gabrielle, jak przy pomocy szablonu pokryć różową ścianę ozdobnymi wzorkami.

– Kiedy przymocujesz już wykrój, weźmiesz ten półokrągły pędzel, zamoczysz go lekko w farbie i malujesz. Tylko uważaj, żeby nie nabrać zbyt wiele farby, bo ci ścieknie.

– O tak? – upewnia się Gabrielle i Dori potakuje skinieniem.

– Bomba.

Nie odezwałem się słowem, nie wydałem z siebie żadnego dźwięku, lecz Dori odwraca się, jakbym wyszeptał właśnie jej imię. Gdy patrzy, jak idę przez pokój, jej czoło przecina płytka zmarszczka. Gabrielle też mnie zauważa i podbiega w podskokach. Zatrzymuje się tuż przede mną i klaszcze w dłonie.

– Och, ta z bitą śmietaną jest dla mnie?

– Jasne. Może po takiej porcji cukru przestaniesz wreszcie chodzić

skwaszona.

Dziewczyna wznosi oczy do nieba i chichocze. Żadne moje słowo nie jest w stanie jej urazić.

Dori, przeciwnie, zachowuje się mocno powściągliwie. Uśmiecham się do niej, kiedy dziękuje mi stłumionym głosem i odbiera kubek. Tym razem albo zapomniała cofnąć palce, albo uznała, że już nie warto udawać.

– Proszę bardzo – odpowiadam.

Wychodzę na korytarz, lecz już po kilku krokach słyszę, jak Dori woła mnie po imieniu. Rozpaczliwie zaczynam poszukiwać w głowie racjonalnych argumentów. Muszę ją przekonać, żeby nie odwoływała kolacji.

– Słuchaj, czy my nadal jesteście...? – zaczyna i urywa.

– Tak, oczywiście – odpowiadam takim tonem, jakbym prawie o całej sprawie zapomniał. W rzeczywistości jednak kamień spadł mi z serca. – O siódmej, dobrze? – podchodzę krok bliżej i spoglądam prosto w jej uniesione oczy. Dzień jest pochmurny i w korytarzu panuje półmrok. Ledwie widzę jej źrenice, otoczone ciemnobrązowymi tęczęwkami. Dori zerka na swój kubek i zauważam, jak gęste ma rzęsy. Są długie i proste; gdy mruga, prawie muskają jej policzki. Znów patrzy na mnie.

– Siódma pasuje. Jak powinnam się ubrać?

Zastanawiam się. Myślę o jej dotychczasowym doświadczeniu zdobytym podczas imprez szkolnych i kościelnych, biorę pod uwagę jej wyraziste poglądy na to, co jest stosowne, a co nie, i jak według niej wygląda dziewczyna „odstawiona”, a jak ubrana swobodnie. Osobiście, z wyjątkiem planu filmowego i niedawnych występów w sali sądowej, ubieram się po prostu tak, jak mam akurat ochotę. Nie dbam o żadne zasady czy konwenanse. Szacunkiem powinno się darzyć ludzi, a nie ich ciuchy.

W trakcie niedawnej sesji fotograficznej wbili mnie w garnitur od Gucciego i usadzili na kołyszącym się w basenie pontonie. Jedną nogę musiałem spuścić do wody. Po trzydziestu minutach moczenia w chlorowanej wodzie garnitur wart tysiące dolarów był zupełnie do niczego. Dla kontrastu, porównajcie to z faktem, że w wymagających oficjalnego stroju restauracjach w miarę regularnie pojawiają się w dzinsach i koszulkach. I nigdy nie usłyszałem od kelnera nic ponad „Proszę za mną, panie Alexander”. Podejrzewam, że akurat ten aspekt życia celebryty mógłby przypaść Dori do gustu.

– Włóż, na co ci przyjdzie ochota – mówię. – Najważniejsze, żebyś się czuła swobodnie.

Dori

Mam włożyć, na co mi przyjdzie ochota? Co on chciał przez to powiedzieć?

Nigdy nie interesowałam się szczególnie modą – najczęściej ubieram się po prostu według ogólnie przyjętych norm – do kościoła skromna sukienka lub spódnica, do szkoły skromne dzinsy i koszulki. „Skromny” to przymiotnik jakim można określić znakomitą większość moich ciuchów. Drugie określenie, które przychodzi mi do głowy, to „mdły”. Nie myślcie, że chciałabym na kolację z Reidem założyć cokolwiek wyzywającego. Ale nie mam też zamiaru wyglądać jak ktoś prosto z ulicy. Przecież paparazzi śledzą go na każdym kroku. Nie powinnam się tym przejmować, a jednak się przejmuję. Ociupinę. Dlatego właśnie w sobotni wieczór, gdy przejrzałam już ubrania wiszące w mojej szafie i te upchnięte do zabytkowego kuferka po babci, obleciał mnie autentyczny strach. Gdybym tylko знаła numer jego komórki, z miejsca napisałabym SMSa i odwołała całe to spotkanie.

A teraz słyszę, że mam się ubrać swobodnie – po prostu jak tylko zechcę. I naprawdę nie mam zielonego pojęcia, o co mu chodziło. Dlaczego w ogóle się zgodziłam? Kiedy opowiedziałam o swoim problemie Deb, zareagowała głębokim westchnieniem.

– Nie trać czujności, młoda. Zamiast ubierać się swobodnie, najlepiej włóż coś, co można zamknąć na kłódkę. A kluczyk zostaw w domu.

Zaśmiałam się bez przekonania. Nikt nie jest w stanie czytać mi w myślach równie bezbłędnie jak Deb. A ona robi to z odległości setek mil.

– Tak. Wiem.

Mogłabym zadzwonić do Aimee i Kayli, ale gdyby usłyszały, że wybieram się na kolację z Reidem Alexandrem, dostałyby apopleksji. A zaraz potem usłyszałabym, że koniecznie i w trybie pilnym muszę porzucić swój dotychczasowy styl i „wylaszczyć” się. Wykluczone. Przecież to nie randka. To tylko zwykła kolacja.

Tylko. Zwykła. Kolacja.

Znów stoję i gapię się na zawartość szafy. Co było do przewidzenia, cud się nie zdarzył i przez dwa ostatnie dni nie pojawiły się w niej żadne nowe ciuchy. Popadam powoli w paranoję i zdaję sobie z tego sprawę. Powtarzam sobie, że powinnam się wreszcie na coś zdecydować. Reida i tak nie obchodzi, w co będę ubrana.

Zdejmuję z wieszaka sukienkę i zakładam ją przez głowę. Przetrzęsam pudełka z butami. Szukam sandałów na szpilce, które kupiłam z okazji balu maturalnego. Do sukienek noszę zwykle buty na płaskim obcasie. Jeżeli już mam na sobie sukienkę, to w 99% oznacza, że wybieram się do kościoła, a w kościele

zawsze pomagam przy wszystkim – od opiekowania się maluchami, po rozdawanie parafialnej gazetki. Poza tym, buty na wysokim obcasie nie są najwygodniejszym wynalazkiem. Po wspomnianym niekończącym się balu, zbolałym głosem przyznałam się mamie, że zaczęłam właśnie szczerze współczuć tym nieszczęsnym Chinkom, którym w dawnych czasach obwiązywano stopy bandażami. Roześmiała się tylko, powiedziała: „Witaj w świecie kobiet” i wymasowała mi stopy. Od tamtej pory nie założyłam tych sandałów ani razu, z czego jasno wynika, że nadal nie są rozchodzone i zmasakrują mi palce.

Staję przed lustrem i przeglądam się. Bez większego zaskoczenia stwierdzam, że prosta czarna kiecka bez rękawów nie przemieniła mnie w wampa, nie pomogły nawet te czarne obcasy. Największy komplement na własny temat, jaki przychodzi mi do głowy, to wniosek, że wyglądam lepiej niż w codziennym stroju budowlańca. Taką mam przynajmniej nadzieję.

Komórkę, blyszczyk i prawo jazdy wrzucam do podrabianej kopertówki, którą Aimee i Kayla przywiozły mi rok temu z wycieczki do Nowego Jorku. Na co dzień noszę gigantyczną, płócienną torbę, w której można znaleźć wszystko, od ibuprofenu po pudełko kredek, a w razie konieczności także ubranie na zmianę. Tata nazywa ją „torbą Mary Poppins” i pyta zawsze, czy mam w niej podręczny wieszak na kapelusze. Jeden ze szkolnych kolegów powiedział kiedyś w klasie, że trzymam w niej śpiwór. To jawny idiotyzm i nie mam pojęcia, jak to możliwe, że ktokolwiek mu uwierzył. A parę osób naprawdę uwierzyło.

Rodzicom o dzisiejszym spotkaniu jeszcze nie powiedziałam. Nie jestem pewna dlaczego. Nie boję się, że każą mi zostać w domu – z ich punktu widzenia moja przeszłość jest wolna od nieodpowiedzialnych wyskoków, więc nie obawiają się ich w przyszłości. Oczywiście spotkanie z Reidem nie jest niczym nieodpowiedzialnym. Najwyżej czymś trochę dziwnym. Raz jeszcze zerkam w lustro i schodzę na dół. Nie mam na sobie niczego, co włożyłaby dziewczyna z towarzystwa lub filmowa gwiazdka, ale i tak czuję się bardzo niecodziennie.

Na dźwięk stukotu obcasów na wytartym parkiecie zza rogu wybiega Esther. Staje jak wryta kilka kroków przede mną i strzyże uszami z pochylonym na bok łebkiem. Świetnie. Nawet własny pies mnie nie poznał. Jak zareagują rodzice?

Wchodzę do kuchni, gdzie mama i tata szykują kolację. Na mój widok ojciec przerywa dramatyczną relację z przeżyć pewnego parafianina, którego jedenastoletni syn został przyłapaný w szkole na handlu amfetaminą.

– Nie zjesz dziś z nami, robaczku? – pyta. Zmiany mojego ubioru kompletnie nie zauważył.

Mama nie jest aż tak roztargniona. Kiedy się odwraca, otwiera szeroko oczy.

– Dori w sukience? I na obcasach? Stało się coś? Doug, prędko, wyjrzyj za okno i sprawdź, czy z nieba nie lecą żaby. – Śmieje się z własnego dowcipu, a ja wznoszę oczy ku niebu. – Czyżby spotkanie z Nickiem? – dodaje mama

z przebiegłą minką.

Ściągam usta. No tak, mogłam się tego spodziewać.

– Prawdę mówiąc, nie. Idę na... ten... no, na kolację. Z Reidem.

Na twarzach obojga maluje się zdumienie.

– Z Reidem? Reidem Alexandrem, tym znanym aktorem? – Mama dochodzi do siebie jako pierwsza.

– Tak, z nim – odpowiadam przesadnie radosnym głosem. Wzruszam ramionami. – Chce mnie przeprosić... Wiecie, na swój sposób... Za to, jak dał mi w kość przez tych kilka tygodni.

Lewa brew mamy wędruje ku górze.

– Reid Alexander, gwiazda filmowa, zaprasza cię na kolację, żeby przeprosić za to, że zachowywał się jak gwiazda filmowa? – powtarza.

Kiwam głową.

– I ta randka nie ma na celu nic innego?

– Nie idziemy na randkę – rzucam z nadmiernym pośpiechem. Do lewej uniesionej brwi matki dołącza prawa. Mierzy mnie spojrzeniem od stóp do głów. – Mamo, przestań, przecież ten strój jest tak... tak...

– Tak niepodobny do zwykłego stroju mojej Dori?

Płoną mi policzki. Mogę mieć tylko nadzieję, że w tym świetle rodzice nie zauważą ich koloru. Tata patrzy to na mnie, to na mamę. Wyraźnie stara się ustalić, czy ma powody do niepokoju.

– Po prostu nie chcę narobić sobie wstydu przy rozwydrzonym aktorze, nic więcej.

Mama znacząco spogląda na ojca.

– Hmm... – chrząka tata. – Wiesz, robaczku, myślę, że mama nie wątpi w twoje motyw, a raczej w jego.

Rany boskie.

– Wiem, że w tej rodzinie nieszczególnie interesujemy się życiem celebrytów, ale na pewno zdajecie sobie sprawę, jakiego rodzaju dziewczyny mogłyby zainteresować Reida. Nie takie jak ja. Właściwie, gdyby się mną zainteresował, poczułabym się upokorzona. Możecie mi wierzyć. Po prostu stara się zachować uprzejmie. – Usilnie próbuję nie myśleć o naszym pocałunku, mina zdradziłaby mnie w jednej chwili.

– Hmm... – mruczy mama.

– No nie wiem, Dori – dodaje tata.

Ich przekonanie, że mogłabym się okazać jakąś zwodzącą celebrytów syreną, jest niemal komiczna. Niemniej, ponieważ nagięłam przed momentem prawdę, twierdząc, że nie zależy mi na zainteresowaniu Reida, kierunek, w którym zmierza ta rozmowa, nie jest ani trochę komiczny.

– Zaufajcie mi.

– Ależ ufamy! – zapewniają zgodnym chórem i w tej samej chwili rozlega się dźwięk dzwonka. Esther szczeka, a ja podskakuję w miejscu.

– No dobra. Do zobaczenia. Nie wrócę zbyt późno. – Kiedy ruszam do przedpokoju, mama trąca tatę w ramię.

– Wiesz... Ja otworzę – zatrzymuje mnie ojciec. – Chciałbym tego młodzieńca poznać. Tak na wszelki wypadek.

Nie pytam, jakiego rodzaju wypadek ma na myśli.

Esther weszła w tryb strażniczy, szczeka, jakby ktoś rąbał nam drzwi siekierą.

– Esther, cicho bądź! – rzuca tata. – Siad! – Suczka natychmiast milknie i siada. – Dobry piesek.

Deb i ojca Esther słucha bezwarunkowo, mnie i mamie jest posłuszna tylko wtedy, gdy ma odpowiedni nastrój. Doskonale wie, kim jest w stanie manipulować i kto w razie potrzeby pozwoli jej nagiąć reguły. Jak ze mną i zasadą niewpuszczania psa na kanapę. Jak z mamą i zasadą niewpuszczania psa do łóżka. Jak z nami obiema i zasadą niekarmienia psa ludzkim jedzeniem.

Tata otwiera drzwi i przywołuje na twarz swoją najlepszą, ojcowską minę – jego spojrzenie mówi dobitnie: „Co prawda w tej chwili się uśmiecham, ale jeśli skrzywdzisz moją córkę, wiedz, że znam doskonały sposób na ukrycie zwłok”.

– Pan Alexander, jak sądzę?

Rozdział 29

Reid

– Masz bardzo sympatycznych rodziców – zauważam, gdy Dori siada obok mnie na tylnym siedzeniu. Zapina pas, trzaska klamra. – Oczywiście nie spodziewałem się, że będą inni.

Patrzy na mnie z uśmiechem.

– Owszem, pochodzę ze starego rodu sympatycznych ludzi. – Jej palce podświadomie gładzą miękką, skórzaną tapicerkę. – W naszej rodzinie osoby obdarzone zbyt dużą dawką ironii, na przykład takie jak ja, zmusza się do ślubów z ludźmi supermiłymi, żeby w następnym pokoleniu nie przyszedł na świat osobnik antypatyczny.

Po pierwsze, przychodzi mi do głowy, że zostałem właśnie wykluczony z grona kandydatów. Ale co jest, kurde? Przecież ja nie chcę żenić się z Dori. Z nikim nie chcę się żenić. Nigdy. Skąd w ogóle takie refleksje? Grono kandydatów? Nie chcę i tyle.

– Szkoda.

– Tak? – Dłoń dziewczyny zamiera na krawędzi siedzenia.

Nie potrafię się powstrzymać. Lecę na autopilocie.

– Moim zdaniem z supermiłym facetem zanudziłabyś się na śmierć.

– Czyli według ciebie ludzie mili są po prostu nudni? – Unosi brew, jakby poczuła się osobiście dotknięta.

– Są w porządku. – Wzruszam ramionami. – Do pewnego stopnia. Ale w związkach potrzeba trochę ognia – co ja, do cholery, wyprawiam?

– Tak, bo akurat ty znasz się na związkach – rzuca Dori i natychmiast zasłania usta dłonią.

– Trafiony, zatopiony! – Parskam śmiechem.

– Przepraszam – mówi Dori przez palce. – To było z mojej strony okropne – dodaje, choć widzę że sama z trudem powstrzymuje wesołość.

Drwiny z mojej chronicznej niezdolności do utrzymania związku mają być okropne? Proszę... To była chyba najmniej okropna uwaga, jaką od niej usłyszałem.

– Wiesz, zasłużyłem sobie – przyznaję z niegasnącym uśmiechem.

Rozpuszczone włosy spływają jej na ramiona – na dzisiejszy wieczór zrezygnowała z tak praktycznego kucyka. Lekko jaśniejsze pasemka, które zauważyłem, gdy wynurzyła się zza pleców ojca, muszą być naturalne. Nie sądzę, by chciało się jej farbować włosy.

Skoro mowa o praktycznym stylu – krótka mała czarna i klasyczne sandaalki na obcasie. Jeszcze nigdy nie widziałem jej ramion. Rękawy koszulek zawsze zwisają Dori do łokci. Mięśnie ma wyraźnie zarysowane i silne, lecz wciąż kobiece. Klasyczny, kwadratowy dekolot uwydatnia linie obojczyków i delikatnie pulsującą żyłkę na szyi. Nie jest jednak dość głęboki, by odsłonić choć fragment biustu. Talia sukienki zaznaczona jest tuż poniżej żeber. Nogi, naturalnie, już znam, tym bardziej że w roboczych szortach widać znacznie więcej niż teraz. Co oczywiście nic nie znaczy.

– Niczego lepszego nie znalazłam. – Dori wrywa mnie z zadumy, wskazując na swoją sukienkę. – Mam nadzieję, że nie wybieramy się do jakiegoś bardzo ekskluzywnego lokalu? – Splata dłonie na kolanach i uświadamiam sobie, że przyglądam się jej zbyt nachalnie. Jeszcze żadna dziewczyna, w ciągu całej mojej randkowej kariery, nie założyła rozsądnego i praktycznego stroju, który tak dokumentnie przykułby moją uwagę.

– Przede wszystkim, wyglądamy jakbyśmy się umówili – zwracam jej uwagę na swoje szare spodnie i czarną koszulę. – Po drugie, przyzwyczailem się widzieć cię w ciężkich buciorach i T-shirtach. Mała czarna to naprawdę urocza odmiana.

Dori wsysa wargę do ust i muszę się wysilić, by zignorować ten nietypowy objaw niepokoju i kojarzące się z nim wspomnienie.

– Co do lokalu... Myślę, że przypadnie ci do gustu. Tylko bez stresu, okej?

Odpowiada skinieniem, koniuszki warg suną leciutko do góry, co sugeruje zaufanie.

Restauracja jest niewielka, urządzona w piwnicy, przecnicę od centrum handlowego. To rodzinna knajpka z włoską kuchnią, nieodwiedzana przez gwiazdy, dzięki czemu nikt się mnie tam nie spodziewa. Nawet jeśli ktoś mnie rozpozna, nie usłyszę reakcji innej niż szeptane „Nie, to nie może być on”. Jeszcze nigdy nie przyprowadziłem tu żadnej dziewczyny. To mój sekret i chęć, by nim pozostał.

Szofer wysadza nas przed drzwiami i już po dwóch minutach kelner prowadzi nas do narożnego boksu. To mi się podoba najbardziej – boksy są od siebie oddzielone drewnianymi, sięgającymi sufitu przepierzeniami. Od pozostałych klientów można się odгородzić na dobre zamykając drzwi. Wiekowa boazeria wewnątrz pokryta jest wyrytymi scyzorykiem napisami: „M + L = WNM”, „Katie kocha Antonia”, „Stephanie & Lauren – przyjaciółki na zawsze!”

Dori siada naprzeciwko mnie, omiata wzrokiem każdy szczegół wnętrza. Blask trzech energooszczędnych, świecowych żarówek w lampie z mozaikowym kloszem kładzie się na nas miękką poświatą. Kelner przynosi koszyk z pieczywem i dwa kieliszki wody. Podaje mi kartę win. Zaglądam do środka.

– Masz jakieś ulubione? – pytam.

– Oj, woda w zupełności wystarczy.

Odpowiedź mnie nie zaskakuje, ale zaczynam się zastanawiać, czy ona w ogóle pije alkohol. Przyzwoita osiemnastoletnia córka pastora? Obstawiam, że nie.

Zwracam kartę kelnerowi.

– Dzisiaj zrezygnujemy. – Przez jeden wieczór jakoś wytrzymam.

– Naturalnie, proszę pana.

Dostajemy menu i słuchamy opowieści o specjalnościach szefa kuchni. Wreszcie kelner pyta, czy zamknąć drzwi, kiedy będziemy wybierać dania.

– Pewnie – rzucam. – I proszę dać nam chwilę.

Drzwi się zamykają, ukazując kolejną porcję napisów: deklaracje wiecznej miłości, kilka artystycznych rysunków i cytaty z Oscara Wilde’a.

– O czym myślisz? Mam wrażenie, że czujesz się niepewnie. Może jednak otworzę?

Uśmiecha się, co witam z ogromną ulgą.

– Nie, niech zostaną zamknięte. Przytulnie tutaj. Nie znałam tej knajpki. Jak ją znalazłeś?

– Kiedy byłem mały, często bywaliśmy tu z rodzicami.

Właściciele nadal dobrze ich pamiętają i wypytują o nich przy każdej okazji. Teraz restaurację prowadzi ich syn, więc na szczęście te okazje nie zdarzają się zbyt często.

– A teraz już z nimi nie wychodzisz? Nie mieszkają w L.A.? – pyta Dori, jakby czytała mi w myślach. Cholera.

– Mieszkają. Ale ojciec bez przerwy pracuje, a matka jest alkoholiczką, więc rodzinne wypady są praktycznie wykluczone. – Biorę głęboki oddech. Sam nie wierzę, że zdradziłem tak ponurą, rodzinną tajemnicę.

Dziewczyna nawet na sekundę nie odrywa ode mnie spojrzenia. Lekko marszczy brew, cała jej twarz emanuje współczuciem. Tego rodzaju miny zwykle mocno mnie irytują. Jasne, wiem na kogo tak naprawdę się wtedy wściekam, ale to nie powstrzymuje mnie od wyżywiania się na nieszczęsnych samarytanach.

– Bardzo mi przykro – mówi Dori i z jakiegoś powodu, wierzę jej.

– Tak, do dupy – przyznaję i postanawiam skierować rozmowę na inny tor. – Domyślam się, że ty wciąż jadasz z rodzicami wspólne kolacje i tak dalej?

Potakuje skinieniem.

– Owszem, jesteśmy raczej nudni. – Pochyliła się ku mnie nad blatem, a w jej oczach migocą zadziorne ogniki. – Powiem ci w sekrecie, że mamy nawet specjalne wieczory na Scrabble. Kiedy zgadywałeś mój plan tygodnia, trafiłeś prawie bez pudła. Z tą różnicą, że grywamy w piątki, nie we wtorki.

O Boże.

– Rany, ale ze mnie kretyn.

– Hmm... – mruczy wymijająco. – Muszę ci się do czegoś przyznać. –

Wyraz jej twarzy nie zmienia się nawet o jotę, lecz i tak odruchowo się spinam. – Nie spodziewałam się, że będziesz tak ciężko pracować. Ani że okażesz się tak bezpretensjonalny i pełen szacunku. W każdym razie dla wszystkich poza mną.

Śmieję się.

– Ależ ciebie też traktowałem z szacunkiem. W pewnym sensie. – Przypominam sobie chwilę, gdy mój język rozchylił jej wargi i niemal przestaje się uśmiechać. Niemal, bo dokonuję kolejnego, nadludzkiego wysiłku. – Choć może faktycznie nie od początku. Zachowywałem się jak idiota i bardzo cię przepraszam. Wydawałaś mi się strasznie świętoszkowata i nadęta zarazem. Pomyliłem się.

Uśmieszek Dori nie gaśnie – dobry znak.

– Cóż, rzeczywiście jestem trochę świętoszkowata.

– Nie. Po prostu z góry założyłaś, że jestem egoistą. Że przywykłem stawiać na swoim. Że nie cierpię brać na siebie odpowiedzialności. I miałaś rację. Taki właśnie jestem.

Wesołość znika z jej twarzy, zastępuje ją powaga. Zamyśla się.

– Jeżeli chciałbyś być inny, wystarczy, że się po prostu zmienisz.

– Tak po prostu, co? Chcąc zmieniać świat, zacznij od siebie? – Gdy wyczuwam, że jest zadowolona, ogarnia mnie irracjonalna duma.

– Moim zdaniem osoby, które to zdanie przywołują, myślą że Gandhi naprawdę chciał, by wszyscy przyłączyli się do walki o pokój na świecie. – Jej ciemne oczy wyraźnie się ożywiają. – A tak naprawdę, tylko garstka ludzi może rzeczywiście wpłynąć na losy świata. Większość może zmieniać jedynie samych siebie. Z drugiej strony, gdyby odpowiednio wielu spośród nas wzięło sobie te słowa do serca, świat faktycznie byłby inny.

Kelner puka do drzwi i zagląda do boksu.

– Czy państwo już może zdecydowali?

Dori otwiera menu.

– Przepraszam – rzuca skruszona. – Jeszcze nawet nie zajrzałam.

– Jeszcze momencik – rzucam i kelner znika.

Dori przegląda kartę. Menu tej knajpki znam na wyrywki już od wielu lat, więc tylko udaję, że wybieram i zaczynam się intensywnie zastanawiać. Ta dziewczyna widzi we mnie potencjał. Uważa, że mógłbym się stać kimś, kim nigdy nie byłem. Kimś, kim nigdy nie chciałem zostać, ba, nie myślałem nawet, że to bym mógł.

Nie, to nie do końca prawda. Chciałem. Ubiegłej wiosny wydawało mi się, że mogę się zmienić, o ile będzie przy mnie Emma. Skończyło się na tym, że usłyszałem od niej, że nie chce faceta, który potrzebuje cudzej pomocy, by stać się lepszym człowiekiem. Chciała kogoś, kto byłby lepszy sam z siebie, nie oglądając się na innych. I dzisiaj po raz pierwszy zaczynam ją rozumieć.

Już od bardzo dawna wiem, że nie mam wpływu na otoczenie. Ale własne

wewnętrzne przemiany zawsze traktowałem wyłącznie jako narzędzie pozwalające osiągnąć doraźny cel. Dlatego też, jeśli w ogóle się zmieniałem, to tylko na chwilę.

Boję się zmienić w sobowtóra mego ojca pracoholika, a przecież jedyną rzeczą, jaką traktuję w życiu poważnie, jest właśnie praca. Boję się pójść śladem matki alkoholizki, ale pijaństwo, jakiemu oddałem się w noc wypadku wcale nie było jednorazowym wyskokiem. Cholera. Jeden raz, jak dotąd, wjechałem samochodem do cudzego domu. Przedtem miałem po prostu szczęście.

– Smaczna jest ta zapiekanka z penne? – Dori podnosi głowę znad karty.

– Zapiekanka z penne? Tak, dobra – odpowiadam i odkładam dalsze rozważania na później. Spotkanie potrwa zaledwie parę godzin i nie chcę tego czasu roztrwonić na wewnętrzne dywagacje i wyrzuty sumienia. Na takie rzeczy będę miał dużo czasu, kiedy ona już wyjedzie.

Samochód zatrzymuje się przy krawężniku. Dori zerka w stronę domu i z powrotem na mnie. Lampa nad drzwiami wciąż się pali. Światło spływa na betonowy ganek i spękane schodki. Jasna plama sięga pożółkłego trawnika. Czuję się jak w jednej z tych typowych filmowych scen. Grałem to co najmniej kilkanaście razy – zwyczajny chłopak odwozi do domu zwyczajną dziewczynę, tuż przed wyznaczoną przez jej rodziców godziną. Następnie akcja rozwija się zwykle na jeden z dwóch sposobów. Albo chłopak pozwala jej wysiąść, mówiąc: „No to na razie, do zobaczenia”, albo odprowadza dziewczynę pod drzwi i próbuje ją pocałować – czy mu się udaje, zależy już wyłącznie od inwencji scenarzysty.

W mroku samochodu nie widzę wyraźnie jej oczu. Widzę natomiast jej wymownie zaciśnięte na kolanach dłonie. Ledwie to zauważyłem, dziewczyna rozplata palce i podaje mi rękę.

– Dzięki za kolację. Świetnie się bawiłam. To doświadczenie było dla mnie... pouczające? – Śmieje się przyjaźnie. Ściskam jej drobną dłoń i śmiech gaśnie.

– Przy tobie wszystkie doświadczenia są pouczające – odpowiadam enigmatycznie, sam nie do końca pewien, co mam na myśli. Wiem jedynie, iż dzięki znajomości z tą dziewczyną odkryłem nieznane dotąd strony własnej osobowości. Więc może faktycznie – pouczające.

Dori chrząka, raz jeszcze ściska moją rękę i uwalnia dłoń. Odwraca się do drzwiczek, składa palce na klamce.

– No cóż... – Spogląda przez ramię z zawadiackim uśmiechem. Siedzę jak skamieniały. Przez cały wieczór świetnie się bawiłem i mam wrażenie, że spotkanie trwało najwyżej pół godziny. – Żegnaj, Reid. Bądź grzeczny. – Nie zdążyła nacisnąć klamki, drzwiczki otwiera szofer. – Och! – znów parska śmiechem. – Nie wiem, czy mogłabym się do tego przyzwyczać.

Jej wesołość wyrywa mnie z otępienia. Wsiadam po swojej stronie samochodu, okrążam maskę i spotykamy się na chodniku przed domem.

– To przychodzi szybciej niż sobie wyobrażasz – mówię, podając jej ramię. Dori mocno przetyka ślinę i bierze mnie pod rękę. Czuję dotyk jej chłodnych palców.

Podchodzimy do drzwi i zatrzymujemy się tuż przed rozlaną na ganku plamą światła. Pozwala mi przyciągnąć się bliżej i spogląda na mnie bez słowa. Mimo że jest na obcasach, nadal przerastam ją o głowę.

– Kiedy każesz mi być grzecznym, zaczynam tego naprawdę chcieć – słyszę we własnym głosie pragnienie. Ujmuję jej twarz, wplatam palce we włosy na jej skroniach. Dori stoi w bezruchu. – Ale mam też ochotę być bardzo, ale to bardzo niegrzeczny – dodaję.

I całuję ją.

Dori

Kiedy Reid mnie całuje, zapominam o całym świecie – nie pamiętam, gdzie jestem, gdzie byliśmy i o czym rozmawialiśmy. Zapominam, że – o ile nie kupię biletu do kina lub nie wypożyczę filmu – już nigdy go nie zobaczę... Kilka chwil potem, na schodkach, ta prawda wynurza się z odmętów podświadomości i uderza mnie nagłą falą – już nigdy go nie zobaczę. Sił wystarcza mi tylko na wyłowienie drżącymi palcami kluczy z torebki, otwarcie drzwi i wejście do środka. Odwracam się w ciemnym przedpokoju i odprowadzam spojrzeniem odjeżdżający samochód. Chwilę później znika mi z oczu.

Wciąż kręci mi się w głowie, policzki nadal palą mnie od dotyku jego ciepłych dłoni, na ustach czuję żar jego warg. Tym razem nie było żadnych negocjacji, nie tracił czasu na powolne sprawdzanie jak dalece może się posunąć. Przyciągnął mnie do siebie, otoczył ramieniem i pochylił głowę. Całował mnie delikatnie, lecz głęboko, budząc moje pragnienie i pierwotny instynkt. Chwyciłam go za koszulę i trzymałam z całych sił, dopóki nie oderwał ode mnie ust i nie otworzył oczu. Zetknęliśmy się czołami, jego oddech brzmiał jak echo mojego – nierówny i spragniony. Niezaspokojony.

– Żegnaj, Dori... – wyszeptał. Nie odpowiedziałam, pożegnanie uwięzło mi w gardle. Wargi Reida raz jeszcze musnęły mój policzek, a zaraz potem on szedł już do samochodu, nie oglądając się za siebie.

Obawiam się, że z tym pocałunkiem będę porównywać wszystkie przyszłe. Że stanie się nieosiągalnym wzorcem, do jakiego przykładać będę przyszłych, anonimowych jeszcze mężczyzn. Może to zbyt melodramatyczne, może

wspomnienie ust Reida zacznie blednąć już jutro lub w przyszłym tygodniu. Dzisiejszego wieczora jednak płonę. Rozpalona wspinam się cicho po schodach do swojego pokoju. Czuję, jakby całe moje ciało stało w ogniu.

Rodzice poszli już spać, szczelina pod drzwiami ich sypialni ciemnieje. W pokoju wita mnie światło nocnej lampki. Zaciągnięte zasłony. Ubrania, które zostawiłam w suszarce leżą schludnie złożone na szafce. Na biurku czekają przybory toaletowe. Esther czuwa na łóżku, powoli, miarowo bije ogonem w materac, zupełnie jak w bęben. Głaszczę ją po jedwabistym łebku, a ona wtula pysk w moją dłoń. Wysuwa język. Wygląda, jakby się uśmiechała, co zawsze wywołuje uśmiech i na mojej twarzy.

Dzisiaj jednak moje wargi są jak odrętwiałe. Nie, nie odrętwiałe – osamotnione.

Zapraszając mnie na kolację, powiedział, że niebawem oboje wrócimy do swojego zwykłego życia. Nie padły żadne fałszywe obietnice, nie było mowy o możliwości (groźbie?) odsunięcia w czasie nieuchronnego końca. Kolacja, rozmowa, pocałunek – wszystko stanowiło część przyjemnego, lecz ostatecznego pożegnania. Na zakończenie tej frustrującej chwilami znajomości czekałam od jej pierwszego dnia. Nadeszło właśnie dzisiaj. Reid zniknął, a ja zostałam z pustką w duszy, zupełnie jakby zabrał na pamiątkę cząstkę mnie samej.

Rozdział 30

Reid

– I jak? Myślisz, że zechcesz jeszcze pracować jako wolontariusz? – pyta Frank. Układamy płytki na ścieżce biegnącej od ganku do tylnej furtki ogrodu.

– Kiedy odpracuję już wyrok? – Płytki mają różne rozmiary i kształty. Frank stwierdził, że praca z nimi przypomina układanie puzzli. Moim zdaniem to raczej zgaduj-zgadula. Frank do większości spraw podchodzi na luzie, ale w przypadku tego chodnika perfekcjonizmem prześcignął samą Dori. Cholera, naprawdę nie chcę o niej myśleć. Podnoszę spojrzenie na bezchmurne, błękitne niebo. Ściągam rękawiczkę i rąbkiem koszulki ocieram spływający mi po twarzy pot. Los Angeles nawiedziła silna fala letnich upałów, a młode drzewka w ogrodzie wciąż są właściwie patykami o kilku listkach i nie dają nawet skrawka cienia.

– Możesz mówić swobodnie. Dori tu nie ma – rzuca Frank.

Odwracam się gwałtownie.

– Co?

Frank pociąga solidny łyk wody z butelki.

– Widzisz, przyszedłeś do nas pod przymusem. Wyrok, ugoda i tak dalej. Ale mogłeś się przecież zachowywać o wiele gorzej, nie musiałeś się przykładać. A w mojej ocenie pracowałeś jak najprawdziwszy wolontariusz. Z przyjemnością bym cię tu kiedyś zobaczył.

Te słowa brzmią jak echo ostatniej rozmowy z Dori. Najwyraźniej nawet dwa dni później nie jestem w stanie przestać o niej myśleć.

– Dzięki, Frank. Z twoich ust to prawdziwy komplement.

– Aha.

Frank nie umie przyjmować komplementów, nawet najbardziej niewinnych. W zeszłym tygodniu Dori kazała mi się nie odzywać i szepnęła „Teraz uważaj”. Podeszła do Franka i powiedziała, że do twarzy mu w turkusie. Spojrzał na swoją lnianą, turkusową koszulę, zaczerwienił się jak burak, burknął coś pod nosem i czmychnął na drugi koniec ogrodu. Dori popatrzyła na mnie z najbardziej szelmowską miną, jaką u niej widziałem. Oboje z wysiłkiem powstrzymaliśmy się od śmiechu, a ja dodatkowo powstrzymałem pragnienie, by ją przyciągnąć i pocałować.

Kurde. Muszę przestać o niej myśleć! Przecież właściwie już mnie tu nie ma. Został jeszcze tylko jeden dzień.

– Wiesz? Sam nie wiem. Niewykluczone – mówię i przypomina mi się pewna rozmowa sprzed kilku tygodni. Powiedziałem wtedy Larry’emu, że za żadne

skarby nie podjąłbym pracy fizycznej z własnej woli. Rany! Straszny ze mnie dupek.

Jutro pojawię się na budowie po raz ostatni. Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie George z informacją o zmianie terminów zdjęć w Vancouver. Na planie muszę się pojawić za trzy tygodnie – na dzień przed powrotem Dori z Ekwadoru. Został mi niecały miesiąc, żeby przypakować i zwiększyć masę o ostatnie dwa z obiecanych na castingu dziesięciu kilogramów. George przypomniał mi, że reżyser i część ekipy produkcyjnej byli przeciwni obsadzeniu mnie w tej roli, ponieważ bohater ma być starszy i lepiej zbudowany ode mnie. Na ratunek przyszli mi sponsorzy, którym bardzo zależało, by na plakatach pojawiło się moje nazwisko. Cóż, świat pieniądzem stoi, ale jeśli spieprzę ten film, mogę poważnie obniżyć swoją wartość na rynku i zmniejszyć szanse na kolejne sensowne role.

Między innymi dlatego Olaf zapowiedział, że od najbliższego weekendu zacznie mnie wykańczać. Pocięszam się tym, że mordercze treningi pomogą mi złapać choć trochę snu. Zeszłej nocy wierciłem się z boku na bok aż do czwartej rano. Wstałem, sprawdziłem w necie pogodę w Vancouver oraz tamtejsze popularne atrakcje turystyczne i nocne kluby. Potem sprawdziłem jeszcze pogodę w Quito, obejrzałem plan miasta, przeczytałem o kwestiach bezpieczeństwa i strefie czasowej (dwie godziny do przodu w stosunku do L.A. i Vancouver).

Muszę wyrzucić tę dziewczynę z głowy. Potrzebuję do tego czasu, choć trochę dystansu, ale niebawem zdobędę jedno i drugie. Mimo jej tak namiętnych reakcji na moje pocałunki, wbrew pociągowi, jaki do niej czuję i którego rozpaczliwie próbuję się pozbyć, oboje wiemy, że to nie miałyby sensu. Jesteśmy tak bardzo różni – pod każdym względem. Cholera! Wcześniej nigdy nie miało to dla mnie znaczenia. Nigdy nawet o tych sprawach nie myślałem. Podrywając kolejną laskę, zwracałem uwagę jedynie na jej wygląd i to, czy odpowiednio szybko wskoczy mi do łóżka.

Kogo obchodzi jej przeszłość, poglądy, aspiracje?

Kogo obchodzą jej dobre oczy, niewyczerpana cierpliwość, kompletny brak egoizmu i nieustanna troska o cały ten cholerny świat?

Gabrielle zauważam niecałą milę od jej przyszłego domu. Dziewczyna stoi na poboczu przy swoim gruchocie. Spod maski bije dym, błyskają światła awaryjne. Zatrzymał się przy niej jakiś koleś w pickupie. Wygląda na mniej więcej dwadzieścia pięć lat. Nie znam go.

– Hej, Luis, zawróć, stary. To moja znajoma.

Na widok podjeżdżającego mercedesa Gabrielle otwiera szeroko oczy. Gdy wysiadam, stojący obok niej facet, obrzuca mnie nieprzyjemnie pogardliwym spojrzeniem. Jest ubrany i wytatuowany jak gangster. Oczywiście wcale z tego nie

wynika, że się nie znają, ale coś mi mówi, że to jednak nieznajomy, który zatrzymał się, by wyrwać niezłą laskę.

– Samochód nawalił? – pytam, ignorując faceta.

– Jak co miesiąc. Normalka – zakłopotana Gabrielle wzrusza ramionami.

Jej wóz nie jest po prostu stary. To prawdziwy antyk. W odróżnieniu od jednego z samochodów mojego ojca – cudownie odnowionego mercedesa 280 S z 1968 roku – nie jest też porządnie utrzymany. Na drzwiczkach i karoserii ciemnieją plamy rdzy, podsufitka zwisa niemal jak firanka, a opony są tak łyse, że asfaltu trzymają się chyba tylko cudem. Nic dziwnego, że się gruchot rozkraczył.

– I co? Podjadą po ciebie rodzice? Albo znajomi? – pytam. Jej niedoszły wybawiciel stoi i wbija we mnie lodowate spojrzenie. Dobrze, że mam w odwodzie Luisa.

– Nie mogę się do nich dodzwonić. W pracy często gubią zasięg – Gabrielle znów wzrusza ramionami.

– No to chodź, podwiozę cię.

Dziewczyna uśmiecha się od ucha do ucha, lecz zaraz potem poważnieje.

– Wiesz, obiecałam braciom, że odbiorę ich wcześniej z przedszkola i wezmę na lody. Ale w sumie mogą niby zaczekać na mamę czy tatę...

– Lody? W taki dzień to świetny pomysł! Mam tylko nadzieję, że nie wyrzucicie mnie z samochodu. Jestem strasznie przepecony.

– Znasz tego *pendejo*? – Ach, czyli przydrożny kolega potrafi mówić. Przynajmniej na tyle, by nazwać mnie dupkiem.

Gabrielle bierze się pod boki i odpowiada mu szorstko po hiszpańsku. Znam ten język na tyle, by rozumieć, że muszę ją natychmiast zabrać, bo inaczej dostanie od typa po twarzy.

– Dzięki za pomoc, stary – rzucam w jego stronę, łapię dziewczynę za ramię i czym prędzej pakuję na tylne siedzenie mercedesa.

Po godzinie jej samochód stoi już w warsztacie, a my tłoczmy się na tylnym siedzeniu z bliźniakami. Chłopcy mają po dziewięć lat, więc bardziej niż fakt, że jestem znanym aktorem, cieszy ich możliwość bezkarnego robienia głupich min zza przyciemnianych szyb. Zachwycają się również tym, że mam własnego kierowcę, który wozi mnie, dokąd tylko zapragnę. Tylko ich siostra rozumie, jak tęsknię do własnego samochodu.

Gabrielle wskazuje Luisowi drogę do lodziarni w swojej dzielnicy, a kiedy ogłaszam, że mogą zamówić, co zechcą, maluchy wpadają w autentyczny szal radości. Podejrzewam, że tych słów nie słyszeli jeszcze nigdy w życiu. Dyskusja nad wyborem zajmuje im długie dziesięć minut, a ponieważ jesteśmy jedynymi klientami, kobieta zza lady robi sobie przerwę; włącza maleńki telewizorek i ogląda wiadomości z show businessu. Dziennikarka wymienia moje nazwisko i sprzedawczyni zaczyna na mnie zerkać. Po chwili otwiera lekko usta i wpatruje

się we mnie otwarcie. Brwi podjechały jej praktycznie do różowego daszka na głowie. Uśmiecham się do niej. Kiedy wychodzimy, łapie za telefon i robi zdjęcia naszym plecom.

Na widok gigantycznych pudełek z łakociami i ociekających lodami rożków Luis podnosi brew.

– No, to obiadu już pewnie nie zmieszczą – odzywam się do dziewczyny. Jeden z chłopców siada obok szofera, a drugi wciska się między nas. – Twoja matka mnie zabije.

– Nie zabije. – Gabrielle rzuca mi śliczny uśmiech. – Ona cię lubi.

– Tak? – Mimo że pani Diego podziękowała mi kilka dni temu za pomoc, czuję się zaskoczony. Przecież, kurczę, wjechałem porszakiem w jej dom. – To pewnie mój wrodzony urok.

Dziewczyna śmieje się i kręci głową.

– Mama mówi, że dobrze pracujesz. Bez tego nie miałbyś u niej szans.

Dori

O siódmej rano stawiałam się w kolejce do odprawy przed lotem do Miami, a tam przesiadłam się do samolotu lecącego do Quito. Podróżowałam już tą trasą dwukrotnie – zawsze w wakacje. Doświadczenie wcale jednak nie sprawia, że trzynastogodzinna mordęga trwa choć trochę krócej. Kiedy trafię wreszcie do kobiecego dormitorium, będzie już północ. Obawiam się, że obudzą mnie – jeśli dobrze pójdzie – pięć godzin później.

Pracy mamy tu zawsze mnóstwo. Dzieci w Quito wysyłane są na ulice, gdzie zarabiają, żebrząc lub czyszcząc buty. Podczas mojego pierwszego pobytu w Ekwadorze odnawialiśmy szkołę i organizowaliśmy zajęcia edukacyjne dla tych dzieciaków, którym rodzice pozwolili wziąć kilka dni wolnego. Spytałam grupkę małych chłopców, czy poza tymi „wakacjami” chodzą do szkoły. Wszyscy odpowiedzieli, że nie, tylko niektórzy przyznali, że uczą się ich bracia i siostry. Gdy zapytałam, dlaczego ich rodzeństwo chodzi do szkoły, a oni nie, usłyszałam: „Moja siostra jest mądra, więc się uczy, a my musimy pracować”. Poczulałam, że pęka mi serce. Te maluchy były naprawdę bardzo bystre, ale żyły w przekonaniu, że jest zupełnie inaczej.

Następny mój pobyt, rok później, pod paroma względami okazał się jeszcze bardziej przygnębiający. Za pierwszym razem tak bardzo się staraliśmy, a potem, gdy wróciłam, nie zobaczyłam żadnej zmiany. Miałam ochotę krzyczeć z bezsilnej frustracji. Przedtem nigdy nie rozumiałam, gdy rodzice i siostra, rozmawiając o pracy społecznej, mówili, że to zawsze „dwa kroki naprzód, jeden wstecz”.

Jeden, a czasami dwa. Kompletnie przybita, zadzwoniłam do Deb, do San Diego, gdzie odbywała letnie praktyki studenckie.

– Dori, małe postępy to też postępy. Poważne zmiany nigdy nie następują od razu. I bardzo rzadko są zauważalne. Pomyśl, że poprawa w takich kwestiach jak rasizm, podejście do eksperymentów na zwierzętach czy uznanie nałogów za choroby wymagała trzydziestu, czterdziestu lub nawet stu lat pracy.

Jej racjonalne wyjaśnienia pozwoliły mi się uspokoić, ale i tak rzuciłam płaczliwie do słuchawki:

– To nie fair.

Odpowiedziała cichym chichotem.

– Wiem, kochanie. Ale świat po prostu nie jest fair. Dobrze o tym wiesz.

Rozmowy z Deb są dla mnie tym, czym dla człowieka, którego czeka bolesny zastrzyk – że można potrzymać bliską osobę za rękę. Nie sprawiają one, że zło znika, ale dzięki nim staje się łatwiejsze do zniesienia.

– Jeżeli naprawdę chcesz coś zmienić, po prostu nie wolno ci ustawać.

Wzięłam sobie tę radę do serca na cały rok i właśnie dlatego znów trafiłam do Ekwadoru, tym razem lepiej przygotowana do mierzenia się z tym, co tu zastanę.

Mam też drugi cel. Chcę wykorzystać wyjazd do pozbycia się tych niemądrych uczuć, jakimi zaczęłam darzyć Reida. Przysięgam sobie, że do Los Angeles wrócę bardziej rozsądna, bo ostatnie czterdzieści osiem godzin spędziłam przypominając sobie spędzone z nim chwile. Odtwarzałam je w głowie niczym urywki filmu. Jego pogardliwe spojrzenia pierwszego dnia. Jego sarkazm i urok, i to ich niesamowite połączenie, któremu nie sposób się oprzeć. Dumę z jaką oglądał skończony regał. Zaskoczenie w jego oczach, gdy opowiedział przy kolacji o problemach rodziców. Jego delikatny pocałunek.

Na lotnisku spotykam czekającą na mnie Anę Diaz, misjonarkę mieszkającą tu na stałe i starającą się objąć edukacją jak największą liczbę małych Ekwadorczyków.

– Witaj z powrotem, Dori – wita się i tuli mnie do piersi.

O pierwszej w nocy wpatruję się w górne łóżko, niespokojna. Nie mogę zasnąć. Otaczają mnie ciche, powolne oddechy śpiących kobiet, które poznam rankiem. Mogłabym złożyć bezsenność na karb chłodu – w Quito przez cały rok nocne temperatury utrzymują się na poziomie około dziesięciu stopni – ale aż tak głupia nie jestem. Mam za sobą bardzo wyczerpujący dzień i jakiś tam zimny przeciąg nie mógłby mnie powstrzymać przed zaśnięciem.

Prawda wygląda tak, że wcale nie marznę. Tym bardziej, że przypominam sobie igrające w moich włosach palce Reida, jego dłonie na moich policzkach, sunące po moich obnażonych ramionach, jego wargi złączone z moimi. Sen odpędzają właśnie te rozgrzewające wspomnienia. Co gorsza, mój mózg odmawia

współpracy i nie chce myśleć o niczym innym. Poddaję się więc. Pozwalam palcom pracować pod miękkim, wytartym kocem. Naprawdę chcę o nim zapomnieć, przysięgam. Ale może jutro?

Rozdział 31

Reid

– Jesteś pewien? – Nie pamiętam, by tata kiedykolwiek spojrzął na mnie z tak bezgranicznym niedowierzaniem, a, wiercie mi, nieufność i rezerwę widziałem na jego twarzy mniej więcej milion razy.

– Tak, jestem pewien.

Sobotnie poranki ojciec spędza w swoim domowym gabinecie, zmagając się z zawodowymi problemami, których nie zdążył rozwiązać w ciągu sześćdziesięciu godzin pracy w tygodniu. Aż do południa nikt mu nie przeszkadza, oboje z matką sypiamy do późna. Dlatego właśnie, kiedy zapukałem do jego drzwi o dziewiątej rano, sprawiał wrażenie wytrąconego z naturalnego rytmu. Usiadłem i oświadczyłem, że chcę z nim przedyskutować pewną sprawę finansową, ale tym razem nie chodzi mi o comiesięczną konsultację na temat moich wydatków i inwestycji. Tata doszedł do siebie dość szybko. Uznał zapewne, że wydałem już wszystkie pieniądze i przychodzę z prośbą o dodatkowy zastrzyk gotówki.

Zamiast tego usłyszał, że chciałbym kupić trzy samochody i anonimowo przekazać je państwu Diego w dniu, kiedy odbiorą klucze do nowego domu.

– Naprawdę chcesz to zrobić anonimowo? – Brwi ojca zbiegają się tuż nad nosem. – Żadnej akcji PR? Darowizna bez ulg podatkowych? To znaczący wydatek, a osobiście nie zyskasz zupełnie nic.

Jego ton wskazuje, że spełni moją prośbę, choć wciąż czuje się mocno skonfundowany jej nietypowym charakterem. Ostatecznie, to moje pieniądze, tata nimi jedynie zarządza – dlatego, że sam odkąd pamiętam, interesuję się finansami wyłącznie, gdy w grę wchodzi wydatki.

– Tak, wszystko musi się odbyć anonimowo. A że nic z tego nie będę miał? To przecież typowe dla większości moich wydatków.

Ojciec chichocze, nieco wbrew sobie.

– Trafne spostrzeżenie. – Po raz ostatni ściąga brwi. – I twoja decyzja nie ma nic wspólnego z tą dziewczyną?

– Tato, co ty właściwie sugerujesz? – uśmiecham się.

Ojciec wciąga powietrze przez nos, posapuje i lekko się krzywi. Jego spojrzenie nawet na moment nie opuszcza mojej twarzy. Nawet na moment nie wychodzi z roli czujnego, uważnego prawnika.

– Reid, cholera, doskonale wiesz, co sugeruję. Zazwyczaj staram się przymykać oczy na twoje... młodzieńcze wybryki, ale ta mała Diego jest przecież niepełnoletnia.

Haust powietrza, wdech i wydech przez zęby.

– Owszem, pomysł wpadł mi do głowy, kiedy zobaczyłem jakim koszmarnym gratem jeździ po mieście. – Uciszam ojca, unosząc dłoń. – Ale nie chcę, by którekolwiek z nich dowiedziało się, że to ja. Więc zrozum, nie wykorzystam tego gestu, by ją uwieść. Wiem, że to może jak na mnie nietypowe, ale bardzo mi zależy. Pomyśl o tym jak o zadośćuczynieniu. Zrób to dla mnie.

Ojciec przez chwilę milczy, lecz w końcu wzrusza ramionami.

– Nie rozumiem, co w ciebie wstąpiło, ale w porządku. To są właśnie te wozy, które dla nich wybrałeś? – Wskazuje na ekran monitora. Otworzył linki, które podesłałem mu wczoraj wieczorem.

– Tak. Wybieraliśmy z Johnem przez sieć. Chciałbym kupić właśnie te modele. Porządne bryki, ale bez zbędnych bajerów.

Tata kiwa głową.

– Biorąc pod uwagę, w jakiej dzielnicy mieszkają, to faktycznie rozsądna decyzja. Dopilnuję, by diler dorzucił wszelkie możliwe zabezpieczenia.

– Dzięki, tato. – Podnoszę się i chcę wyjść, ale przystaję w pół kroku. – Nie muszę ci chyba tłumaczyć, żebyś się nie wygadał Larry’emu? I na wszelki wypadek, nie mówmy też George’owi. Pewnie nie miałby nic przeciwko, ale wolę, żeby cała sprawa została między nami.

– Dobrze. – Znów przygląda mi się z tym bezgranicznym niedowierzaniem.

Odwracam się i wychodzę z gabinetu. Zastanawiam się w duchu, dlaczego ten konkretny rodzaj przyjemności odkryłem tak późno. Miesiąc pracy dla Habitatu zmienił mnie bardziej, niż podejrzewałem.

Dori

– Ostatnio nie tylko mnie ciężko złapać. Za nic nie można się do ciebie dodzwonić – śmieje się Deb. To pierwsza moja rozmowa telefoniczna od weekendu, kiedy zadzwonili do mnie rodzice. Z siostrą próbowałyśmy się bezskutecznie złapać od dwudziestu czterech godzin i prawie straciłam już nadzieję, że ją usłyszę. Różnica czasu między Quito a Indianapolis wynosi tylko godzinę, ale Deb pracuje całymi nocami, a ja mam zajęte całe dni. – Co słyhać? – pyta.

Idealnie wstrzeliła się w porę. Siedzę właśnie na łóżku i przeglądam materiały na popołudniowe zajęcia.

– W porządku, naprawdę nieźle. W tym roku trafiła mi się grupa prawdziwie zapalonych do nauki dzieciaków. Uczę ich piosenek i podstaw matematyki. Mówię ci, wszystkie są naprawdę zdolne! A wiesz, co jest najfajniejsze? Uczę też dwie

dziewczyny, niemal moje rówieśnice. Angielskiego i matmy – nie potrafię ukryć entuzjazmu w głosie. – Kiedy je poznałam dwa tygodnie temu, obie były przekonane, że niedługo będą musiały rzucić szkołę i wyjść za mąż lub pójść do pracy. A teraz jedna z nich postanowiła, że skończy przynajmniej liceum, a druga wspomniała nawet o studiach!

– Dori, to cudownie!

– Coś mi mówi, że tym razem naprawdę coś zmieniam. – W tej chwili do sali wchodzi moja sąsiadka z górnego łóżka, wspina się po drabince i pada z ciężkim westchnieniem na materac. Kobieta w wieku mojej mamy. Przyjechała do Ekwadoru dwa dni temu w grupie wolontariuszek z kościoła w Oklahomie.

– Gina, wszystko okej?! – wołam.

– Ech, ta wysokość mnie wykończy. – Wysuwa głowę za krawędź pryczy i patrzy na mnie, wisząc do góry nogami. – Z siostrą rozmawiasz? Zapytaj może, czy mogłaby mi coś polecić?

– Poradziłyby ci to samo, co ja wczoraj. Unikaj zwiększonego wysiłku i przyjmuj dużo płynów. – Słyszac to, Deb chichocze w słuchawce. Odkąd podjęła studia, wszyscy szukają u niej medycznych porad, rodzina, przyjaciele, a nawet zupełnie obce osoby. – Jutro, najdalej pojutrze powinno ci przejść. Trzeba się przyzwyczaić.

Gina opada z powrotem na posłanie.

– Boże, mam nadzieję. Niefajnie się czuję.

– Jesteś pewna, że nie chcesz iść na medycynę? – Deb wciąż śmieje mi się do ucha.

– Bardziej niż pewna – odpowiadam szeptem. Bardzo bym chciała, żeby Gina poszła spać i nie wtrącała się w moją, prawdopodobnie jedyną podczas tego pobytu, rozmowę z siostrą. – Mów lepiej, co u ciebie? Przeszliście już z Bradfordem na wyższy etap, czy nadal obłapiacie się na parkingach?

– No, niewykluczone – uśmiech w jej głosie nie gaśnie.

– Zaraz, zaraz, panno Cantrell – próbuję nie podnosić głosu. – Co panienka chce przez to powiedzieć? Czyżbym słyszała, jak się rumienisz?

– No dobra, dowiesz się jako pierwsza. Potem powiem rodzicom i Sylvie. – Sylvie jest najlepszą przyjaciółką Deb. Poznały się na studiach. Wyszła za chłopaka z roku, ma z nim dwuletnie dziecko i kolejne w drodze. Od lat swata Deb z licznymi kumplami swojego męża. Żaden z tych układów nie wypalił, a dwóch niedoszłych narzeczonych stało się bohaterami złośliwych anegdot, jakimi Deb przerzuca się z kumpelami, gdy plotkują o facetach.

– Oho, zapowiada się ciekawie. No mówże!

– Oświadczył mi się. Wczoraj wieczorem.

– Co?! – Zapominam, że powinnam szeptać.

Gina zwiesza głowę z górnego piętra.

– Co, co? Co się stało?

– Oświadczył się? Przecież znacie się dopiero od kilku tygodni! – mówię do słuchawki, a Gina otwiera szeroko oczy i z nadmiaru emocji wydaje z siebie pisk. Mam ochotę pacnąć ją w czoło, ale oczywiście niczego takiego nie robię.

Deb odpowiada spokojnie, zupełnie nieprzejęta moim wybuchem. Zresztą zapewne właśnie takiej reakcji się spodziewała.

– Dori, wiem, czym się martwisz. Myślisz, że w tej chwili nie mogę być pewna. Ale jestem. Nigdy w życiu nie byłam tak bardzo pewna jak teraz.

– O rany! – Do oczu cisną mi się łzy, ale na twarzy mam uśmiech. Gina szczyrzy się jak wariatka, wciąż zwisa głową w dół. Słona strużka spływa mi po policzku, ocieram ją. Gina na moment znika, po czym pojawia się ponownie, z chusteczką. – Załatwiliście już wszystko z przełożonymi? I kiedy będę mogła go poznać?

– No właśnie, sami nie jesteśmy pewni, w jaki sposób to ogłosić, ani co z tego wyniknie – wzdycha Deb. – W szpitalu wie o nas tylko jego najbliższy przyjaciel i jedna z pielęgniarek, która, notabene, nakryła nas na całowaniu w pustym gabinecie. – Chichocze i po raz kolejny uderza mnie myśl, że odkąd na drodze mojej siostry stanął Bradford, zachowuje się jak szesnastolatka. – Właśnie wtedy po raz pierwszy powiedział, że mnie kocha. Kiedy weszła, próbowałam się odsunąć, ale przytrzymał mnie, uśmiechnął się i rzucił: „Marto, czy poznałaś już kobietę, w której się zakochałem?” Dziewczyna przyjrzała się nam, po czym stwierdziła: „Cóż, czułam, że coś się święci, panie doktorze. Od kilku tygodni jest pan tak uprzejmy, że uznaliśmy, iż albo się pan zakochał, albo śmiertelnie zachorował. Cieszę się, że to jednak miłość”. Wymusiliśmy na niej przysięgę milczenia.

Naraz śmieję się i ryczę. Co najdziwniejsze, podobnie reaguje Gina, która wciska mi do ręki już drugą chusteczkę. Sama też osusza kąciki oczu.

– Jeju! – rzucam oszołomiona.

– We wrześnie wzmę kilka dni wolnego. Planujemy wpaść na chwilę do domu. Mam nadzieję, że uda ci się wyrwać z Berkeley na jeden wieczór?

– Jasne! Kurka wodna, za nic nie przegapię takiej okazji. Kiedy powiesz rodzicom?

– Zaraz. Zadzwońię do nich, gdy tylko skończymy. Ale najpierw opowiedz, jak rozwija się sytuacja z Reidem Alexandrem? Odległość pomogła?

Słyszając jego nazwisko, aż drgnęłam.

– Tak, w porządku. Wcale tak często o nim nie myślę – odpowiadam, krzyżując ukryte pod łydką palce.

– Czyli nie odzywał się do ciebie?

– Nie. – Reid, zgodnie z zapowiedzią, wrócił do własnego życia, a ja zajmuję się swoim. – Co z oczu, to i z serca – dodaję. Nawet w moich uszach obojętność

tych słów brzmi mocno fałszywie.

– Wiesz, młoda? Nie wyobrażam sobie, by jakikolwiek chłopak mógł być aż tak głupi, żeby o tobie zapomnieć. Nawet on.

Bardzo się cieszę, że Gina, która nadal bezwstydnie podsłuchuje, nie słyszy słów Deb.

– Dzięki, ale moim zdaniem oni wszyscy są praktycznie tacy sami. – Siostra zrozumie, że mam na myśli Colina.

– Nie, nie wszyscy, ale faceci tacy jak Brad to rzadkość. Znalezienie go zajęło mi dwadzieścia sześć lat i zobacz, jak daleko od domu musiałam wyjechać. A gdybym robiła specjalizację gdzie indziej? Nigdy byśmy się nie spotkali. A przecież jesteśmy sobie przeznaczeni.

Obracam się na bok, tłumiąc słowa, które Deb już raz ode mnie usłyszała, słowa jakich teraz nie powtórzę, gdyż nie chcę w żaden sposób zmącić jej szczęścia. Wiem, że Deb wierzy, iż to Bóg postawił Brada na jej drodze. Że to prawdziwy wyrok opatrności. Ale skoro tak, czy ja i Colin również byliśmy sobie przeznaczeni? Czy to, co mi zrobił, także wynikało z boskiego zrządzenia? A może była to próba, egzamin, który ostatecznie oblałam? Głupio zaufałam chłopcu, który wykorzystał moje zaślepienie.

Nie, nie wierzę w takie rzeczy. Historia z Colinem wydarzyła się jedynie dlatego, że nie posłuchałam głosu własnego zdrowego rozsądku. Niewłaściwie oceniłam sytuację i zapłaciłam za to.

– Cieszę się, że się odnaleźliście, Deb. – Przekręcam się z powrotem na plecy. – Mam nadzieję, że będziecie bardzo szczęśliwi.

– Już jesteśmy – wzdycha rozmarzona. – Prawie nieznośnie szczęśliwi.

– Nie ma czegoś takiego. – Kręcę głową z uśmiechem. – Szczęścia nigdy za wiele.

– Mam nadzieję, że masz rację. Możesz się niebawem spodziewać telefonu od roztrzęsionej mamy. Była chyba przekonana, że mam alergię na mężczyzn. Albo że oni mają alergię na mnie. Kocham cię, młoda.

– Ja ciebie też kocham. I naprawdę bardzo się cieszę.

Rozłączamy się. Okazuje się, że Gina zapomniała o dręczącej ją chorobie wysokościowej. Opowiada mi, że jest beznadziejną romantyczką i doprowadza męża do szału kupując na DVD wszystkie dostępne melodramaty.

– *Pamiętnik* widziałam chyba tysiąc razy – przyznaje bez śladu zażenowania.

– Musisz mi koniecznie opowiedzieć o siostrze i tym jej świeżo upieczonym narzeczonym, ale najpierw... Co to za chłopiec, którego zostawiłaś w Stanach? Zerwaliście? Mam nadzieję, że nie z powodu twoich społecznych zapędów?

– Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Właściwie doszło tylko do jednego poważniejszego spotkania. To nic takiego. – Ponownie krzyżuję palce pod łydką, pomimo że powiedziałam samą prawdę.

– Zatem nie byliście sobie pisani – stwierdza Gina i tylko olbrzymi wysiłek woli pozwala mi nie wywrócić oczyma. Jasny gwint, czy według nich ludzie w żadnej sprawie nie decydują o sobie sami? Nie są w stanie kierować własnym życiem?

– Tak, nie byliśmy sobie pisani – mówię z przymusem i rozplątam palce. Nie skłamałam ani razu, ani razu nawet nie nagięłam prawdy. Bo bez względu na to, czy ludzkim życiem kieruje Bóg, Przeznaczenie, czy po prostu indywidualne wybory, nie byliśmy sobie pisani.

Rozdział 32

Reid

Za trzy dni ruszam do Vancouver. To tylko dwie godziny lotu. Gdybym chciał, mógłbym w ciągu najbliższych trzech miesięcy często wyskakiwać do L.A., ale o ile nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, nie widzę sensu. Chcę się od wszystkiego oderwać. Potrzebuję oddechu. A przede wszystkim, chcę odpocząć od swojego najlepszego przyjaciela, który w tej chwili irytuje mnie jak rzadko kiedy.

– Słuchaj, jeśli będę się noc w noc nawalać i ćpać, nie utrzymam rzeźby. Wydawało mi się, że to ogarniasz. – Przez kilka ostatnich dni tłumaczyłem to Johnowi co najmniej kilkanaście razy. W tej chwili jednak jest napruty i nie wychwytuje moich subtelnych prób zmiany tematu. Wróciliśmy właśnie do niego z imprezy, pierwszej od tygodnia, z której wyszliśmy razem.

– Wiem, jarzę. Ale po prostu... no... jesteś taki...

– Jaki jestem?

– Nie chodzi nawet o to, że ograniczasz picie czy cośtam. Nocujesz u mnie już któryś dzień z rzędu i nie dość, że zachowujesz się jak irytujący abstynent, to nie sprowadziłeś jeszcze ani jednej laski. Ani jednej.

– No i?

– I nic, stary – wzdycha John. – Po prostu nie jesteś sobą.

Niekiedy mój najlepszy kumpel wykazuje się niezwykłą spostrzegawczością. Nie jestem tylko pewien, czy pomaga mu w tym prawdziwa znajomość mojego charakteru, czy raczej znajomość licznych, pijackich teoryjek na temat życia. Nasza przyjaźń nigdy nie była zbyt głęboka.

– Może po prostu próbuję nad sobą zapanować.

– No ale stary, zero alkoholu, zero trawy, zero panienek? Co to ma być, do cholery? Zupełnie jakby cię podmienili. Od zawsze to ja starałem się dotrzymać ci kroku, a teraz dziewięćdziesiąt procent czasu muszę pić sam. – Wskazuje swoim piwem moją butelkę wody Perrier. – Trawę też palę sam, a pieprzysz tylko, kiedy gadasz.

– John, do czego zmierzasz? Zrywasz ze mną?

Wybuchu śmiechem i odgarnia grzywkę z oczu.

– Nie brachu, nasz romans jest nadal płomienny jak dawniej. – Przez moment przygląda mi się w milczeniu. – O, nie! Tu chodzi o tę całą Dori, prawda? Nie przeleciałeś jej, co?

Mrużę oczy, mimowolnie zaciskam palce na kolanie.

– Zejdź z tematu, stary.

John prostuje się na siedzeniu i szczyrzy zęby.

– Zgadłem! Ostatnio twierdziłeś, że chcesz ją po prostu zaciągnąć do łóżka i tyle. Nie wmawiaj mi, że przez tę jej cnotliwość nabawiłeś się wyrzutów sumienia!

Nie wierzę, że prowadzę z nim tę rozmowę. Nie mieści mi się w głowie, że mogłem coś takiego powiedzieć o Dori. Chociaż pewnie powiedziałem. Musiałem być pijany i pieprzyć od rzeczy – jak setki lat temu. Zanim ją pocałowałem. Zanim przestałem być totalnym dupkiem i zacząłem ją naprawdę poznawać.

– John, poważnie mówię. Zamknij się.

Zaciąga się papierosem i przez moment mam nadzieję, że posłucha. Nie, nie mam aż tyle szczęścia.

– Tak tylko mówię, brachu. Zostały ci jeszcze dwa dni w L.A. Znajdź ją, zarzuć jej na głowę jakiś worek czy coś i porządnie przeleć. Może wreszcie znormalniejesz.

John jest kompletnie pijany, a ja trzeźwy jak jasna cholera – wyłącznie ta świadomość pozwala mi się opanować. Łapię go za koszulę i mocnym pchnięciem wciskam głęboko w fotel. Głowa odskakuje mu do tyłu.

– Posłuchaj, kurwa! Nigdy więcej nie mów o niej w ten sposób, John. Mówię poważnie. Nigdy.

– Dobra, stary, spoko. Kurde, wyluzuj. Prze-przepraszam – zaczyna się jąkać, wbija we mnie szeroko wytrzeszczone, wystraszone oczy. Unosi ręce w geście kapitulacji. – Przepraszam. No kurde, Reid. Już czają.

Uwalniam go i prostuję się. Roztrzęsiony, przeczesuję włosy palcami i odwracam się do Johna plecami. Co do jednego ma rację. Nie jestem sobą.

Dori

Z powodu gwałtownej, lecz krótkotrwałej tropikalnej burzy mój samolot spóźnił się o pół godziny. Między jednym lotem a drugim mam jednak aż dwie godziny przerwy na lotnisku w Miami, więc i tak zdążę się przesiąść. Czasu, by się odprawić i złapać samolot do L.A., będzie aż nadto – taką mam przynajmniej nadzieję. O dwudziestej pierwszej powinnam już być w domu.

Ostatnie trzy tygodnie okazały się trudne i pełne wyzwania, ale inaczej niż zwykle. Nareszcie nauczyłam się działać skutecznie, i to na wielu płaszczyznach – od posługiwania się w rozmowach zrozumiałym hiszpańskim, po wprowadzanie konkretnych zmian w życiu mieszkających w Quito dzieciaków. Zdołaliśmy przekonać kilkoro rodziców, by jesienią posłali maluchy do szkoły i nie kazali im żebrać na ulicach, tudzież polerować cudzych butów za marne grosze. To bardzo

kiepska inwestycja w przyszłość. Cieszy mnie też sprawa dwóch dziewczyn, którym udzielałam korepetycji – obiecały solennie, że będą do mnie pisać i informować o swoich postępach.

Największym wyzwaniem okazała się natomiast próba przegnania wspomnień o Reidzie. W ciągu ostatniego tygodnia zdarzały mi się dni tak wypełnione zajęciami, że nie myślałam o nim ani razu. Niestety, sytuacja zmieniała się zaraz, gdy tylko rzucałam się na łóżko i nakrywałam kocami. Ledwie przymykałam powieki, znów miałam go przed oczami. Ale wiem, po prostu wiem, że w końcu, przestanę za nim tęsknić. Jego flirty i arogancki sposób bycia, nasze spory i dyskusje stały się dla mnie po prostu nałogiem, niczym więcej – przykrym, dręczącym, stymulującym i wściekle przyjemnym nałogiem. Nie wiem, czym się kierował, kiedy postanowił mnie pocałować. Może tym, że robi to z większością dziewczyn. Nie sądzę, by chciał mnie dręczyć z premedytacją, ale tak czy inaczej nasze pocałunki rozbudziły we mnie z dawna zapomniany głód.

Tuż po lądowaniu kapitan ogłasza coś przez głośniki i wydaje mi się, że słyszę swoje nazwisko. Słowa są jednak niewyraźne, zagłusza je szum rozmów i grzechot rozpinanych pasów. W dodatku tuż przede mną siedzi płaczące wniebogłosy dziecko. Dziewczynka ząbkuje, więc przez niemal cały lot ryczała. Nigdy w życiu tak gorąco nie marzyłam, by wysiąść z samolotu. W domu będę za – hmm – mniej więcej siedem godzin.

Wydostanie się z mojego miejsca w przedostatnim rzędzie kabiny zajmuje całe wieki. Przed samymi drzwiami zatrzymuję się przy stewardessie.

– Przepraszam, wydawało mi się, że kapitan wymienił moje nazwisko. Nie jestem pewna, bo siedziałam obok tego niemowlaka.

Dziewczyna uśmiecha się do mnie ze współczuciem.

– Rozumiem – mówi i pyta kolegę, o co chodziło.

– Panna Cantrell? – upewnia się zagadnięty steward.

Ogarniają mnie złe przeczucia. Jeżeli wiadomość jest tak pilna, że przekazano mi ją przez pilota, to raczej nie może być dobra.

– Tak?

– Kiedy wyjdzie pani z rękawa, będzie na panią czekać nasza przedstawicielka w kraciastym żakiecie. Proszę z nią pomówić – tłumaczy z uspokajającym uśmiechem.

– Hm, dobrze. Powinnam się niepokoić?

Zawodowo uprzejmy uśmiezek stewarda nie znika ani na moment.

– Obawiam się, że tej informacji nie mamy. Wszystkiego się pani dowie.

Opuszczam samolot jako ostatnia. Urzędniczka linii lotniczej oczekuje mnie z miną identyczną jak u stewarda. Wcale mnie to nie uspokaja. Złe przeczucia przeradzają się w strach. Coś ścisza mnie w dołku.

– Dorcas Cantrell? – pyta kobieta.

– Tak? – oddycham coraz płycej.

– Dobry wieczór, panno Cantrell. Mam na imię Lucia. Pani rodzina skontaktowała się z naszą linią dziś rano, gdy była już pani w samolocie. Wydarzyło się coś niecierpiącego zwłoki i zamiast do Los Angeles musimy panią przewieźć do Indianapolis. Rozumiem, że wyraża pani zgodę?

Potakuję skinieniem. Mój żołądek zamienia się w ciasny supeł.

– Coś niecierpiącego zwłoki? Ale co? – dopytuję. Indianapolis. Deb.

Urzędniczka chwyta rączkę mojej walizki na kółkach i zaprasza gestem, bym poszła za nią.

– Porozmawiamy po drodze. Musimy panią jak najszybciej odprawić. Zaczniemy od spraw najpilniejszych. Dziś wieczorem nie ma bezpośrednich połączeń z Miami do Indianapolis, ale znaleźliśmy dla pani miejsce w samolocie do Dallas, a stamtąd doleciałaby pani do celu około dwudziestej drugiej trzydzieści. Czy pani to pasuje, czy woli pani poczekać do jutra? Rankiem poleciałaby pani bez przesiadki.

Idę kompletnie otumaniona, wpatruję się tępym wzrokiem w stukające obcasy kobiety i terkoczącą walizkę. Stajemy w kolejce do odprawy. Nie czuję zupełnie nic. Co takiego mogło się stać, że muszę lecieć do Indianapolis?

– Ja... Dobrze, niech będzie z przesiadką – odpowiadam. W ustach nie mam ani kropli śliny.

– Świetnie. Proszę tu momentik poczekać. Zobaczą, czy nie uda się odprawić pani poza kolejnością. Boarding na pani lot zaczyna się już za pięć minut.

Zostawia mnie i odchodzi żywym krokiem. Pod jej nieobecność posuwam się najwyżej o metr naprzód. Wyciągam z kieszeni komórkę, włączam ją. Wybieram numer taty. Odpowiada mi sygnał poczty głosowej, więc rozłączam się. Do mamy również nie można się dodzwonić. Ani do Deb. Serce bije mi jak oszalałe. Staram się skupić na oddechu, próbuję nie osunąć się na ziemię. Byłe tylko nie wpaść w panikę.

Urzędniczka wraca, sięga po moją walizkę i prowadzi mnie z końca jednej kolejki na czoło sąsiedniej. Szepty i spojrzenia oczekujących pasażerów docierają do mnie jak przez mgłę. Ktoś pyta, czy mam coś do oclenia. Odpowiadam, że nie. Mój bagaż przechodzi kontrolę i nagle, w rekordowym czasie, odprawa dobiega końca.

– Co się stało? Proszę mi powiedzieć – nalegam, gdy wsiadamy do elektrycznego wózka, a kobieta podaje kierowcy numer bramki.

– Wiem naprawdę bardzo niewiele. Pani siostra miała wypadek. Trafiała w krytycznym stanie do szpitala. Pani rodzina jest w tym momencie w drodze do Indianapolis. Na miejscu ktoś będzie na panią czekać.

– Wypadek? Jaki? Samochodowy?

Kobieta kładzie dłoń na moim ramieniu i patrzy mi w oczy.

– Naprawdę nie wiem, kochanie. Niestety, nie znam żadnych szczegółów. Nie podano mi nawet nazwy szpitala. A ty w tej chwili powinnaś przede wszystkim zachować spokój. Zaraz podam ci numery lotów i tak dalej, ale nie przejmuj się, dostarczymy ci też wydruk ze wszystkimi potrzebnymi informacjami.

Zaczyna wymieniać numery bramek, numery i trasy lotów, ale niczego nie jestem w stanie zapamiętać. Deb z tego wyjdzie. Jest młoda, silna i zdrowa. Zawsze zapina pasy i jeździ samochodem wyposażonym w mnóstwo poduszek powietrznych. Ma też taki bajer, który automatycznie alarmuje służby, jeśli kierowca straci przytomność. Jest w stanie krytycznym, ale to przede wszystkim oznacza, że żyje, i na tym właśnie się koncentruję.

Urzędniczka z pomocą stewardess niemal dosłownie wsadza mnie do samolotu do Dallas; tylko pas zapinam własnoręcznie. Dostałam już bilet i kartę pokładową na lot do Indianapolis. Między lotami mam tylko godzinę czasu. Czuję się jak zombie i jestem pewna, że tak też wyglądam. Nic mnie to nie obchodzi.

Moja siostra żyje i wyzdrowieje. Tak brzmi moja mantra na najbliższe sześć godzin.

Rozdział 33

Reid

Pobyt w Vancouver okazuje się akurat taką odmianą, jakiej potrzebowałem. Biorąc pod uwagę nową dla mnie atmosferę pracy na planie, towarzystwo starszych aktorów (jestem najmłodszym członkiem obsady), wymogi scen kaskaderskich i konieczność zachowania fizycznej sprawności, postanowiłem zrobić coś, czego nie robiłem, odkąd skończyłem czternasty rok życia. (Oczywiście wówczas nie była to kwestia wyboru, a po prostu typowe ograniczenia wieku dziecięcego.) W każdym razie zdecydowałem, że podczas kręcenia filmu zachowam abstynencję. Od wszystkiego. Od alkoholu, trawki, piguł i seksu.

Kiedy pracowaliśmy z Olafem nad rozbudowaniem mojego ciała o dodatkowe dwa kilo mięśni, naćpałem się tylko raz, a picie odstawiłem zupełnie. Inaczej nijak nie przetrwałbym tych jego tortur. (Raz nabrał podejrzeń, że przyszedłem na trening na kacu i niemal wykończył mnie podnoszeniem ciężarów.) Co do seksu, od ostatniego pocałunku z Dori nie spałem z ani jedną dziewczyną. Z jakiegoś dziwnego powodu pozwala mi to wciąż czuć na ustach jej słodki smak. Inaczej niż w przypadku moich zwykłych przygód – szybkich, wulgarnych i mających miejsce w stanie upojenia, ledwie pozwalającym zapamiętać twarze partnerek – tym razem zachowałem fotograficzne wspomnienie jej miękkich, rozchylonych ust. Podejrzewam, że pobiję rekord jazdy na ręcznym. Bo od tego, z oczywistych powodów, nie zamierzam się powstrzymywać.

Film jest pełnym scen akcji thrillerem z silnym wątkiem romantycznym. Scenariusz przywodzi na myśl produkcje Guya Ritchie'ego i Nicholasa Sparksa. Mój bohater zakochuje się w postaci granej przez Chelsea Radin, super seksowną dwudziestosiedmiolatkę. Obie nasze postacie zostały w scenariuszu określone słowami „mniej więcej dwadzieścia trzy lata”, więc ja wcielam się w starszego chłopaka, a ona w młodszą dziewczynę. Ot, Hollywood. Trwa właśnie trzeci dzień zdjęć i wybieramy przygotowane przez catering dania.

– Wiesz, jesteś zupełnie inny niż myślałam. Plotki kłamały – zagaduje mnie.

Przebieram w kanapkach, starając się uniknąć tuńczyka, ponieważ po przerwie czeka nas pierwszy filmowy pocałunek. Decyduję się na kanapkę z pełnoziarnistego pieczywa z indykiem. Olaf byłby dumny. Odwracam się do niej.

– Tak? A kogo się spodziewałaś?

– Wiesz, może nie oczekiwałam, że natychmiast zaczniesz do mnie uderzać – wzrusza ramionami – ale masz opinię playboya, bezdusznego łamacza serc, a tu nic na to nie wskazuje. Jak na razie.

Krztuszę się pierwszym kęsem kanapki i dziewczyna klepie mnie dłonią po plecach. Wreszcie udaje mi się przełknąć. Uśmiecham się do niej półgębkiem.

– Chelsea, to ty nie wiesz, że nie wolno wierzyć we wszystko, co piszą w sieci?

Potrząsa głową; jej krótkie, ciemne włosy kołyszą się na boki.

– Widziałam zdjęcia, kochany. Mnóstwo zdjęć. I mnóstwo dziewczyn. Mój mąż poczuł się trochę zaniepokojony, kiedy dostałeś tę rolę.

Parskam śmiechem.

– Hm, nie obraż się, ale nic ci nie grozi – zapewniam. Cholera, z bliska jest naprawdę seksowna.

Chelsea ściąga brwi.

– Jeszcze nigdy nie poczułam się naraz obrażona i zadowolona – mówi. Pochyla lekko głowę i przygląda mi się, jakbym był mapą a ona szukała drogi. – Więc kim jest ta dziewczyna?

– Słucham?

Upija niewielki łyk dietetycznej coli i rozgląda się wśród kanapek.

– Dziewczyna odpowiedzialna za przemianę notorycznego uwodziciela, pogromcy dziewic, w grzecznego ministranta.

Ciąg skojarzeń prowadzi mnie magicznym korytarzem ku Dori. Jej obrazy stają mi przed oczyma niczym przyspieszona prezentacja. Dzisiaj wieczorem powinna wylądować w L. A., a za dwa tygodnie zaczniesz studia na Berkeley. Filantropka amatorka przejdzie na zawodowstwo.

– Nie jestem ministrantem i nie ma żadnej dziewczyny.

– Hmm... – uśmiecha się Chelsea. – Skoro tak twierdzisz. – Gryzie swoją kanapkę (nie wierzę, tuńczyk!) i lekkim krokiem podchodzi do innego z aktorów. Pyta o jego nowo narodzone dziecko.

Pogromca dziewic? Rany boskie...

Popołudniowe zdjęcia wypadły zupełnie nieźle, aczkolwiek przez błąd w scenie walki nabawiłem się ciemniejącego na ramieniu, koszmarne siniaka. Nie we wszystkich swoich scenach kaskaderskich występuję osobiście, nie mam skłonności samobójczych. (W jednej z nich mój dubler będzie skakać z dachu pickupa na dach BMW przy prędkości prawie 120 kilometrów na godzinę.) Ale sceny walki i wspinaczki? W tych gram sam. Urazu doznałem w scenie bójki w barze, która według planu powinna potoczyć się gładko. I potoczyłaby się, ale facet, który miał trzasnąć krzesłem w kontuar, kiedy przetoczę się w lewo, dał ciała i rąbnął tym krzesłem wprost we mnie. Reżyser przerwał zdjęcia i wezwał pogotowie, ale szczęśliwym trafem obeszło się bez złamań. Niby tylko stłuczony mięsień, tyle że boli jak wszyscy diabli.

Pocałunek, w porównaniu z tym epizodem, wyszedł znacznie lepiej i był zdecydowanie mniej bolesny. Między mną i Chelsea wytworzyła się przyjemna chemia, choć nie aż tak intensywna jak w zeszłym roku, gdy grałem z Emmą. Niemniej wystarczyło nam jedno podejście. Przez cały czas starałem się nie myśleć o Dori. Bez spektakularnych sukcesów, mówiąc oględnie. Bez względu na wszystko, raz po raz wraca do moich myśli niczym zjawą.

Życiowa mądrość, jaką poczęstował mnie John, kiedy starałem się otrząsnąć po klęsce z Emmą, brzmiała mniej więcej tak: „Najlepszym sposobem, żeby zapomnieć o dziewczynie, jest wskoczyć na inną”. Wtedy go posłuchałem. I żeby nie było, ten sposób, kurde, nie działa.

Dori

Moje otępienie zaczyna się kruszyć dopiero na widok twarzy ojca. Natychmiast pojawiają się uczucia, kłujące ostro i głęboko. Malujące się w jego oczach cierpienie napawa mnie lękiem. Słyszę w głowie własne błagalne myśli: „Deb, proszę, nie bądź martwa. Błagam, tylko nie bądź martwa”. Właśnie w tej chwili po raz pierwszy pozwoliłam sobie rozważyć tę ewentualność. I natychmiast gwałtownie ją od siebie odepchnęłam.

Padam mu w ramiona, czuję mocny uścisk.

– Tato, co się stało? Co z nią? – Zapiera mi dech w piersiach. Jednocześnie chcę i nie chcę usłyszeć słów, na które czekam od kilku godzin.

– Miała wypadek – odpowiada ochryplym, ściśniętym głosem. Z trudem przełyka ślinę i chcę powiedzieć, że przecież już wiem! Chcę, by powiedział, że moja siostra żyje, ale gryzę się w język i pozwalam mu zebrać myśli i odwagę. – W szpitalu, przy pracy. Deb się... pośliznęła. Na podłodze była mokra plama i pośliznęła się. Upadła i uderzyła się w głowę.

Mokra plama. Podłoga. Upadła. W głowę. To straszne, koszmarnie, lecz przecież i tak lepsze niż wypadek, który widziałam w wyobraźni – poskręcana stal, wypalona, zniszczona karoseria na środku ruchliwego skrzyżowania. Nieskończenie lepsze od poważnego krwotoku, blizn, wewnętrznych obrażeń, groźby paraliżu, groźby śmierci. Niemal chichoczę z ulgi, ale śmiech zamiera mi w gardle, bo ojciec wciąż tuli mnie tak bardzo mocno.

– Tato? – mój głos niknie w jego piersi.

– Dori, ona doznała poważnego urazu mózgu. Zanim z matką przyjechaliśmy wciąż była nieprzytomna. Potem się ocknęła i przez jakąś godzinę była nawet w stanie rozmawiać, ale potem jej mózg zaczął puchnąć i lekarzom nie udało się tego powstrzymać. Od tamtej pory nie reaguje na żadne bodźce.

Odsuwam się i patrzę mu prosto w oczy.

– Nie reaguje na bodźce? Chcesz powiedzieć, że jest w śpiączce? Ale dlaczego...? Powiedziałeś, że się pośliznęła i uderzyła w głowę. Nie mogła przecież uderzyć się bardzo mocno. Obie jesteśmy niskie, nie mamy daleko do ziemi, wiesz? – Mój ton balansuje na granicy pomiędzy gniewnym i histerycznym. Wargi same układają mi się w uśmiech, bo nie jestem w stanie przyjąć do siebie sensu tych kilku słów.

Nie reaguje na żadne bodźce.

Ojciec ściska mnie raz jeszcze i opuszcza ręce.

– Chodźmy odebrać twój bagaż. Muszę wracać do mamy. Porozmawiamy po drodze.

Oboje milczymy, nie licząc pustych zdań w rodzaju: „Sama mogę ponieść, ty możesz wziąć to”. Tata otwiera pilotem nieznaną mi samochód, krzykliwie czerwony SUV. Wnętrze, bardziej bogato wyposażone niż w naszych wozach, pachnie sosną i obcymi ludźmi. Wrzucamy moją walizkę na tylne siedzenie i nie odzywamy się do chwili, gdy pasy są już zapięte, silnik mruży, a z klimatyzacji bije mi w twarz zbyt silny powiew. Sięgam do wentylatora i kieruję strumień powietrza na okno. Niemal jednocześnie tata chwyta mnie za rękę. Otwieram usta, by powiedzieć: „Jedźmy już, jedźmy”, ale ojciec spuszcza głowę i słowa znowu więzną mi w gardle.

– Panie... – zaczyna łamiącym się głosem, siedzi z zamkniętymi oczyma – ufamy w twą moc uzdrawiania. Zawierzamy Twym obietnicom. To Ty dbasz o wróbla, który padł na ziemię. To Ty czuwasz nad moją małą córeczką, która... – Milknie, a ja mocno ściskam jego dłoń. Po twarzy spływają mi strugi łez.

W tej chwili uświadamiam sobie coś z przemożną, oślepiającą wyrazistością: żyją we mnie dwie osoby.

Dori, którą wszyscy znają jest ufna, pełna nadziei i światła – jest jak isierka, jak piórko. Jest pełna wiary i nic nie jest dla niej niemożliwe.

Anty-Dori żyje przez cały czas w ukryciu. Jest sceptyczna i udręczona wątpliwościami. Uparcie wszystko draży, snuje mroczne teorie, traci wiarę. Gdy cichnie rwana modlitwa ojca, kiedy widzę jego dojmujący ból – echo mojego własnego – w duchu rozbrzmiewają mi słowa tej drugiej: „Nie ma wiary, nie ma przeznaczenia, nic nie jest nikomu pisane”.

Chcę wierzyć, że Bóg jest wszędzie, że zawdzięczamy mu cud życia, że jest obecny w łączącej ludzi miłości, że pozwala jej zwyciężyć śmierć. Chcę wierzyć, że to, co spotkało Deb, ma swój cel i nie wydarzyło się bez powodu.

Ale taki powód nie istnieje.

Moje dwie połówki od dawna się ze sobą zmagają, krążą wokół siebie, wypatrując słabości przeciwnika, wytrwale przerzucają się argumentami. Obie są głuche na siebie nawzajem, zamknięte w sobie, i nie jestem w stanie ich pogodzić.

Rozdział 34

Reid

Najciekawszym skutkiem budzenia się bez kaca jest fakt, że dnia rzeczywiście przybywa. Nie do wiary, że przedtem bardzo się tego bałem. Byłem święcie przekonany, że najdalej po dwóch dobach zanudzę się na śmierć – w końcu z wieczorów miała zniknąć moja tradycyjna rozrywka, a następnie czekały długie dni, które należy czymś wypełnić. Ale czy naprawdę można tęsknić za pękającym łbem, mdłościami i nadwrażliwością na najcichsze dźwięki i najsłabsze światła? Niewykluczone, że mój świeży entuzjazm ma również – oprócz samej trzeźwości – coś wspólnego z samym Vancouver. Nie potrafię tego ocenić – przed rozpoczęciem zdjęć do nowego filmu nie miałem zbyt wiele doświadczeń ani z jednym, ani z drugim.

Pierwsza wolna niedziela. Chelsea z mężem, Chadem, zaprosili mnie na wycieczkę po Gastown, dzielnicy brukowanych uliczek, małych sklepików, galerii i przytulnych restauracyjek. W pewnej odległości za nami idzie ochroniarz, ale jego obecność okazała się zbędna. Vancouver znane jest jako Hollywood Północy i miejscowi cechują się sporą odpornością na bliskie spotkania z celebrytami. Mimo że obiektywy komórek często kierują się w naszą stronę i już kilkanaście razy usłyszałem szeptane z przejściem nazwiska swoje i Chelsea, nikt nas nie niepokoi.

Splatam dłonie na karku i ostrożnie napinam bolące mięśnie ramienia. Scenarzysta pracuje właśnie nad wprowadzeniem mojego sińca do skryptu, ukrywanie go nie miałyby wiele sensu. Ślad jest wielki i paskudny, ale w zasadzie bardziej mnie to bawi, niż irytuje. Ciekawe, czy mam równo pod sufitem? Z domu Diegów często wychodziłem posiniaczony i poobijany. Tak samo jak Dori. Pamiętam, jak pewnego dnia zwróciłem uwagę na różowy obrzęk na jej udzie. Spojrzała w dół.

– Hmm – mruknęła, wzruszając ramionami – bywało już gorzej.

Chryste, jak to seksownie zabrzmiało.

– Fantastyczne miasto – zauważa Chelsea, otwierając menu. Ta dziewczyna uwielbia słowa takie jak „fantastyczne, cudowne” czy „prześwietne”. Mam wrażenie, że rozkoszuje się ich smakiem. Uśmiecha się do męża. – Myślę, że powinniśmy się tu przeprowadzić.

Siedzimy w narożnym bistro, nieopodal idyllicznego zielonego parku. W Vancouver jest sporo zieleni, przemieszanej z odnowionymi budynkami i betonem. Na środku parku tryska fontanna. Dzieciaki wrzucają do niej monety na

pamiątkę. Mały chłopczyk chowa swoje drobne do kieszeni i zamiast pieniędzy ciska do wody bucik swojej siostrzyczki. Zupełnie bez powodu czuję potrzebę, by zadzwonić do Dori i jej o tym opowiedzieć. Chcę od niej usłyszeć, że jestem okropny, chcę usłyszeć jak próbuje się powstrzymać od śmiechu, gdy będę naśladować pretensjonalny ton Chelsea rozkoszującej się słodkimi przymiotnikami. Ciekawe, czy Dori współczułaby mi, czy po prostu się śmiała, gdybym jej opowiedział, jak dostałem w ramię krzesłem podczas pamiętnej bójki w barze.

– Mam nadzieję, że mógłbym wtedy zostać twoim utrzymankiem – uśmiecha się Chad. – Wątpię, by moja kalifornijska licencja adwokacka działała też w Kanadzie.

– O nie, kochany. Co to, to nie. – Chelsea słodko wydyma usta, a ja zmagam się z pokusą, by któreś z nich udusić. Albo i oboje. Są obleśnie słodcy. – W naszym związku to ty jesteś obrzydliwie bogatym mężczyzną, a ja ubogą utalentowaną artystką.

Komórka brzęczy mi w kieszeni. SMS od Tadda. Jestem zachwycony, mogąc oderwać się od gruchania zakochanej pary. I tym, że choć na chwilę zapomnę o Dori.

Tadd: Hej, stary, Jesteś w Vancouver? Rob i ja przylecimy tam jeszcze w tym tygodniu. Jeśli możesz, chciałbym, żebyś zjadł z nami kolację. Daj znać.

Ja: Może znajdzie dla was sekundę. Ha ha. Napisz, kiedy dotrzecie.

Dori

Do szpitala docieramy tuż przed północą.

– Och, Dori! – Mama ściska mnie jak tonący człowiek, kurczowo chwytający się koła ratunkowego. Wygląda koszmarnie – plamista cera, zaczerwienione oczy, podkreślone smugami rozmazanego tuszu. W zimnym, zielonkawym świetle zalewającym poczekalnię oddziału intensywnej terapii, jej skóra wydaje się szara. Tulimy się do siebie, a tata bezradnie rozgląda się dokoła.

Opiekujący się Deb lekarze od czasu do czasu przekazują nam nowe informacje. Padają liczne specjalistyczne sformułowania i nie wszystko rozumiemy od razu. Próbuje robić notatki, ale zostaję w efekcie z masą luźnych kartek, pokrytych terminami w rodzaju „zwiększone ciśnienie wewnątrzczaszkowe”, „krwiak nadtwardówkowy” i „pięć punktów w skali Glasgow”. Nie wiem, co te pojęcia oznaczają, lecz brzmią groźnie, a słuchająca doktora mama wydaje się wstrząśnięta. Domyślam się, że rokowania nie są pomyślne. Wkrótce po wypadku Deb doznała zapaści na tle neurologicznym, przez co lekarze byli zmuszeni wprowadzić ją w śpiączkę.

– Wzrost ciśnienia wewnątrzczaszkowego pod wpływem obrzęku mózgu jest przy takich urazach częstym zjawiskiem – recytuje jeden z lekarzy, ale nie są to słowa krzepiące. O ile opuchlizna nie ustąpi, moja siostra może umrzeć.

Nie w takich okolicznościach chcieliśmy poznać Bradforda. Deb wspomniała mi kiedyś, że jej narzeczony rzadko poddaje się emocjom, bo ze sprawami życia i śmierci ma do czynienia dzień w dzień. Niemniej, gdy siedzi obok mnie w szpitalnej stołówce, jest wyraźnie przygnębiony. Splecione dłonie złożył sztywno na blacie stolika, obok kubka stygnącej kawy.

– Prawie nikt tutaj nie ma o naszym związku pojęcia – mówi schrypniętym głosem. Przystojna twarz mężczyzny jest blada i wymizerowana. – Większość kolegów myśli, że jesteśmy po prostu dobrymi znajomymi. W pracy nie powinienem... czuć... – Toczy ze sobą ciężką, wewnętrzną walkę, stara się nie rozkleić. Kładę mu dłoń na ramieniu.

Kiedy pielęgniarka przynosi rodzicom rzeczy Deb: ubrania i biżuterię, wszystko, co miała przy sobie w momencie wypadku, znajdujemy wśród nich piękny, nowy pierścionek, nawleczony na długi złoty łańcuszek. Przyspieszony oddech i zaciśnięta szczęka Bradforda mówią nam wszystko. To zaręczynowy pierścionek. Siostra ukrywała go przed współpracownikami, zamiast na palcu, nosiła na sercu.

Razem z tatą kursujemy tam i z powrotem pomiędzy L.A. i Indianapolis. Mama niezłomnie trwa przy boku Deb. Kiedy – z rzadka – uda się nam wyciągnąć ją na kilka godzin ze szpitala, spędza je w mieszkaniu mojej siostry, gdzie dogląda rosnących na balkonie roślin. Nigdy jednak nie znajduje dość czasu na sen, pod oczami wciąż ciemniej ją jej sińce. Mama i Deb zawsze były szczupłe, lecz za każdym razem, kiedy przyjeżdżam z Los Angeles, wyglądają na jeszcze chudsze niż poprzednio. Zwróciłam na to uwagę taty i teraz oboje zmuszamy mamę do jedzenia – przynosimy jej słoiczki z orzechami nerkowca, maślane muffiny z jagodami, kanapki z tuńczykiem i awokado.

Początek studiów na Berkeley przesunęłam o cały semestr. Na razie nikomu się do tego nie przyznałam. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić siebie na wykładach. Dzięki zebranych w linii lotniczej promocyjnym milom, wypracowaliśmy sobie z ojcem stały rytm – szpital, dom, szpital, dom – dzięki czemu nie musimy nikogo prosić o opiekę nad domem i wyprowadzanie Esther. Tatę prawie przestałam widywać, nasze samoloty mijają się w powietrzu niczym przysłowiowe statki na nocnym morzu. W tych dniach potrafię się skoncentrować wyłącznie na wiadomościach o stanie siostry.

Lekarze próbujący zmniejszyć niebezpieczny obrzęk zastosowali kontrowersyjne, eksperymentalne metody. Udało się i wraz z opuchlizną zmalął

również nasz strach. Mimo to, odkąd odłączono Deb od podtrzymującej życie aparatury, zmieniło się bardzo niewiele. Urządzenia wskazują bardzo niski poziom aktywności mózgu, a kiedy się budzi i otwiera oczy, zachowuje się, jakbym była przezroczysta. Patrzy prosto przed siebie, w dal. Nie mówi i nie reaguje na głosy, chyba, że ktoś odezwie się wyjątkowo donośnie – a w takich wypadkach jej mimika wskazuje jedynie na irytację bądź strach.

Lekarze krzyczą na nią, w nadziei na wywołanie silniejszego odzewu. Mama obserwuje ich zabiegi ze stoickim spokojem. Ja z kolei nie jestem w stanie patrzeć na wykrzywioną twarz siostry. Proszą, bym sama spróbowała. Może mój głos wyrwie ją z otępienia.

– Słyszysz mnie, Deb? – pytam, a oni namawiają: „głośniej, głośniej”. – Deb, słyszysz mnie?! Słyszysz?! – wrzeszczę, lecz ona tylko dygocze ze strachu. Wybiegam z pokoju na korytarz, słaba i nieprzydatna. Oddychając płytko, ślaniam się i opieram o ścianę. Osuwam się, przetykam łyzy. Układam czoło na kolanach i marzę, by to wszystko okazało się po prostu sennym koszmarem, z którego w końcu uda mi się wyrwać.

Gdy tak kulę się na podłodze, podchodzi mama i siada obok. Zamyka mnie w ramionach.

– Nic się nie stało, Dori. Już nikt cię o to nie poprosi.

Pozwalam sobie na płacz, bo nie chcę, by mama przestała mnie tulić. Ten uścisk jest przeznaczony wyłącznie dla mnie, a ja tak bardzo jej potrzebuję. Z drugiej strony, już w tej chwili zaczynam łajać się w duchu za to, że szukam oparcia w mamie. Moja histeria jest ostatnią rzeczą, jakiej ona w tej chwili potrzebuje. Nie chcę jej obciążać dodatkowymi zmartwieniami.

Bradford wciąż trzyma się blisko, ale zastanawiam się, jak długo to potrwa. Przecież nie byli z Deb małżeństwem, a o ich związku nikt nie wiedział. Jeżeli rodzice nie proszą go po cichu o zdanie, nie ma najmniejszego wpływu na decyzje co do kuracji. Oficjalnie nie ma dlań miejsca w jej życiu – w życiu kobiety, którą chciał poślubić, osoby, z którą wiązał swą przyszłość.

Wczoraj, kiedy mama w towarzystwie szpitalnego kapelana modliła się nad nieruchomą Deb, prosząc o cud i zmiłowanie, spotkałam się z Bradfordem spojrzeniami. Ujrzałam w jego oczach odbicie własnego żalu, jak również podobną do własnej ocenę szans na wyzdrowienie siostry. Dziewczyna, którą tak bardzo kochamy, nie wróci do nas już nigdy.

Nie ma możliwości, by przeprowadzić z mamą rzeczową rozmowę. Od pierwszych dni po wypadku rozmawia z Deb, jakby jej córka lada moment miała udzielić sensownej odpowiedzi.

– Jak się dziś miewasz, słoneczko? Hmm, coś mi się wydaje, że włosy ci podrosły. Nie myślisz, że czas je troszkę podciąć? – Palce mamy czule wędrują po rzadkich kępkach na wystrzyżonej głowie Deb, która niezmiennie wpatruje się

w nicość. Mama zaczyna jej opowiadać o pogodzie, a ja wymykam się z sali. Ten widok jest dla mnie równie nieznośny, jak oglądanie pokrzykujących na siostrę lekarzy.

Kiedy wracam do Los Angeles, spotykam się z przyjaciółmi, ze znajomymi z kościoła lub z Nickiem, który gdy tylko ma przerwę w zajęciach, przynosi mi jedzenie i zostaje pogadać. Starannie jednak omijamy drażliwe tematy w rodzaju mojego nowego, pozbawionego celu życia czy coraz mniej realnego powrotu Deb do zdrowia. Jeszcze dwa miesiące temu zwierzałam się siostrze, a z prośbami o pomoc zwracałam się do mamy i taty. Cała rodzina zachęcała mnie do niezależności, ale zawsze, przez cały czas miałam ich blisko, na wyciągnięcie ręki. Teraz nikt nie może mnie wesprzeć, jestem niczym cyrkowa akrobatka, ćwicząca bez zabezpieczającej siatki. Czuję się tak dojmująco osamotniona. Nie podejrzewałam, że to w ogóle możliwe.

– Doug i Jocelyn mają w Dori tak silne oparcie, jest dla nich jak skała – podsłuchałam pewnej niedzieli w rozmowie pani Perez z panią K. – Nie muszą się o nią martwić. To taka silna dziewczyna.

Zbyt późno dotarło do mnie, jaką cenę trzeba płacić za udawanie silnej i niezależnej. Oddaliłam się od otaczających mnie ludzi, wszyscy stali się mirażami, duchami. Kiedy wyciągam ku nim rękę, palce przenikają ich na wylot. Z jednym, jedynym wyjątkiem. Z wyjątkiem Reida.

Nie umiem tego wytłumaczyć, ale za każdym razem, gdy jego twarz mignie mi na ekranie telewizora czy okładce czasopisma, znów – na krótką chwilę – czuję więź ze swoim dawnym życiem, z dawną Dori. Nauczyłam się na pamięć godzin emisji programów, jakich nie oglądałam nigdy w życiu, włączam obce mi dotąd kanały. Kiedy Reid pojawia się w zwiastunach nowych filmów, przyspiesza mi puls. Zachowuję się jak małpka, rozumiejąca, że po naciśnięciu odpowiedniego przycisku, dostanie ulubiony smakołyk. Reid jest mi niezbędny niczym narkotyk. Powtarzam sobie, że to niegroźna obsesja – bezpieczna, bo nikt o niej nie wie.

Gdy budzę się ze snów o Reidzie, cała dygoczę z tęsknoty. Do rzeczywistości powracam w takich chwilach niechętnie, przygwożdżona ciężarem leżącej na mojej piersi Esther. Ona stanowi namacalny dowód, że wciąż żyję – czuję jej bok, słyszę stłumione pomruki jej żołądka i miarowe bicie psiego serca. W nosie wierci mnie znajomy, zwierzęcy zapach, twarz i palce giną w kosmykach jej sierści i głaszczę to ukochane, ciepłe ciało.

– Leż sobie, leż, leż – szepczę.

Esther mnie słucha i tak razem leżymy.

Rozdział 35

Reid

– To nieprawda, tak? – rzuca Chelsea, siadając obok mnie podczas przerwy na lunch.

– Oczywiście, że nie. – Nie mam pojęcia, o czym ona mówi.

Wybrała sałatkę skomponowaną głównie z surowych warzyw, ja wpycham w siebie tyle zgrabnie zwiniętych plasterków wędliny, ile tylko mieści mi się w żołądku. Praca przy tym filmie coraz bardziej przypomina trening wytrzymałościowy i mój organizm spala mięśnie równie szybko, jak wtedy gdy torturował mnie Olaf. Muszę nadganiać. Chelsea nie wyjaśnia swojego tajemniczego pytania, ale doskonale rozumie, że zżera mnie ciekawość. Bierze do ust kolejną porcję surówki i przeżuwa, uśmiechnięta jak złośliwy chochlik.

– No dobra, zapytam. Co jest niby nieprawdą?

Dziewczyna przełyka i unosi brew.

– Jak widzę, nie czytasz ostatnio portali, co?

Podbieram jej z miski dwie marchewki.

– Nigdy ich nie czytam. Zwłaszcza tekstów o sobie. Gdybym się nimi przejmował, uwierzyłbym, że jestem diabłem wcielonym.

– Albo gejem – dopowiada Chelsea, wzruszając ramionami.

– Że co, proszę?

– To najnowsza plotka dotycząca Reida Alexandra. Rzekomo przez cały pobyt w Vancouver pojawiaasz się publicznie prawie wyłącznie w towarzystwie Chada i mnie, czyli przykładnego, kochającego się małżeństwa. Poza tym spotykasz się ze swoim homoseksualnym kumplem Taddem i jego przystojnym, anonimowym przyjacielem, zapewne również gejem. W dodatku spędzasz też sporo czasu z jednym z naszych ochroniarzy. A to również facet, co stanowi pożywkę określonych podejrzeń.

Niemal dławię się kradzioną marchewką. Chelsea klepie mnie otwartą dłonią po plecach. Przez chwilę próbuję złapać oddech. Wreszcie udaje mi się to zrobić.

– Cóż, to coś nowego.

– Więc jak? Prawda, czy nieprawda? I nie myśl sobie, dla mnie to nie ma znaczenia. Chociaż, jeśli to prawda, mój brat w jednej chwili rzuciłby wszystko i przyjechał tu, by cię w sobie rozkochać...

– Ty, amorku, przystopuj. Nieprawda. – Nagle odzywa się mój telefon. Oczywiście Tadd. Założę się o nowe porsche, że on akurat przegląda stosowne portale i ma w tej chwili ubaw po pachy. – Cudnie – mamroczę, po czym

wzdycham i odbieram.

– Hej, Thaddeus.

– Hejka, misiaczku.

– Ej, chciałbyś...

– A tego to ty się nigdy nie dowiesz, słodziutki.

Śmieję się, przesłaniając usta dłonią.

– A co na to Rob?

– Och, on jest za.

– Za czym konkretnie? Zresztą nieważne. Nie odpowiadaj. – Doskonale rozumiem, że wdawanie się w słowne potyczki z Taddem nie ma większego sensu.

– Oj, daj spokój. Do czego innego nadają się media, jeśli nie do serwowania insynuacji przyprawionych do smaku bezpodstawnymi kłamstwami?

Raz jeszcze wzdycham.

– Cóż, skoro Robowi nie przeszkadza, że mimowolnie wpadł w wir hollywoodzkich plotek...

– Nie. Omówiliśmy to, jeszcze zanim się ujawniliśmy. Wiesz, ja nie jestem tak znany jak ty, poza tym nigdy nie ukrywałem swojej orientacji, więc nie stanowimy dla pismaków sensacji. Z kolei w twoim przypadku, gdyby ta pogłoska okazała się prawdziwa, w jednym obozie doszłoby do licznych prób samobójczych, a w drugim zapanowałaby dzika radość.

– Przestań! – rzucam.

– No dobrze. Ćwiczysz? – pyta, zmieniając temat. Tadd gra na gitarze, a kiedy przyznałem mu się (nieroztropnie), że od dawna chciałem się nauczyć, uparł się, bym natychmiast, jeszcze przed jego wyjazdem z Vancouver, kupił odpowiedni instrument.

– Tak, tatusiu.

Nauka gry na gitarze to jedna z nowych dla mnie aktywności, którymi wypełniam wolny od poprzednich rozrywek czas. Ilość możliwości w pierwszej chwili zarazem oszołomiła mnie i przygniotła. W myślach robiłem tak wiele rozmaitych rzeczy. Problemem jednak okazało się znalezienie motywacji, by faktycznie się czymkolwiek zająć. Wciąż zdarza mi się spędzać czas przed telewizorem z przekąskami, za które Olaf skróciłby mnie o głowę.

Kiedy Tadd i Rob wciąż byli w mieście, pewnej nocy wybraliśmy się na rajd po miejscowych klubach. Nie chciałem nikomu narzucać się ze swoją abstynencją. Aż do tej pory nie miałem wielu doświadczeń w odpieraniu nacisku grupy (prawdę mówiąc, sam zwykle wywierałem go na innych), więc skończyło się na kilku szklaneczkach kanadyjskiej whiskey za dużo. I na karaoke (Tadd i ja dosłownie wgnietliśmy publikę w parkiet swymi wersjami piosenek Keshy i Stonesów).

Przez cały następny dzień odnawiałem śluby trzeźwości, tym bardziej że Olaf natychmiast zwrócił uwagę na tępy wyraz mojego spojrzenia. Fakt, że

napytałem sobie biedy, zrozumiałem natychmiast, gdy zmrużył oczy, a wszystkie pokaźne mięśnie górnej połowy jego ciała zagrały ze złości.

– Sto pompek! – zarządził, wskazując palcem podłogę. A to był dopiero początek.

Biorąc pod uwagę poranne konsekwencje, spędzanie wieczorów z gitarą jest stanowczo rozsądniejsze i bezpieczniejsze. Próbowałem nawet medytacji – na tym polu poniosłem jednak sromotną porażkę; za cholerę nie potrafię przestać myśleć o bzdurach. Próbowałem też czytać – z odrobinę tylko lepszym efektem, z tego samego powodu. Jeden z moich ochroniarzy jest gorącym zwolennikiem pieszych wycieczek, więc zajmujemy się badaniem ścieżek prowadzących przez New Brighton Park. Drzewa oblekły się już we wszystkie możliwe odcienie złota i czerwieni, a dni stały się chłodniejsze, choć nadal są czarująco piękne.

Czymkolwiek jednak się zajmę, i tak wciąż nie potrafię wyzbyć się nawyku wyobrażania sobie rozmów z Dori. Chciałbym do niej zadzwonić, zapytać o studia i wyciągnąć z niej kilka komicznych spostrzeżeń dotyczących studenckiego życia – tego rodzaju spostrzeżeń, jakimi nie dzieli się z nikim innym w obawie, że mogłaby zostać uznana za niewychowaną. Wyobrażam sobie, że siedzimy w jednej z zacisznych kafejek w Vancouver i opowiadam jej o panującym na planie chaosie.

Wspominam nasz pocałunek. Ten w szafie wnękowej, po którym uciekła. I pocałunek przed jej domem, po którym uciekać nie chciała. Ostatnim razem mogłem nie odrywać od niej ust jeszcze przez jakiś czas, nie wydawała się ani trochę zakłopotana czy zmieszana. Problem jednak stanowiły moje własne reakcje. Gdybym całował ją choć przez minutę dłużej, zaciągnąłbym ją z powrotem do samochodu.

Cóż, pozbycie się natrętnych myśli o Dorcas Cantrell okazuje się wyjątkowo ciężkim zadaniem.

– Reid, już trzy razy odsłuchałem twoją wiadomość i wciąż nie jestem pewny, czy dobrze rozumiem. Chcesz przekazać pieniądze na rzecz jakiejś misji w Ameryce Południowej?

Ojciec jest kompletnie zbity z pantałyku – dla mnie to dodatkowa atrakcja.

– Tak, zgadza się.

– Czy powinienem się niepokoić? Kulty, pranie mózgu, Hare Kriszna?

– Tak, tato. W Ekwadorze aż się roi od Krisznowców – rzucam i dodaję czym prędzej, by nie zdążył odpowiedzieć, co zmieniłoby rozmowę w bitwę na słówka (którą z dużym prawdopodobieństwem bym przegrał): – O tej misji opowiadała mi jedna z dziewczyn z Habitatu. A jeśli ona się tam udziela, to musi być porządna instytucja. Pomyślałem, że to niezły pomysł na wykorzystanie mojego budżetu charytatywnego.

– Oookej – ojciec przeciąga słowo z premedytacją, jak zwykle drwi z moich pomysłów. Odsuwam telefon od ucha i przez moment zmuszam się do zachowania spokoju. Staram się oddychać, nie chcę reagować na jego zaczepki. – To dla mnie nowość, że sam decydujesz, na jakie akcje przeznaczamy te pieniądze. O tych kupionych niedawno samochodach nie wspomnę, może dodam tylko, że ich kosztu nie możemy odpisać od podatków, ponieważ trafiły bezpośrednio do obdarowanych, w dodatku anonimowo.

– Tato, przecież już o tamtej decyzji rozmawialiśmy – mówię po chwili zwłoki. – Wyjaśniłem, dlaczego to zrobiłem, więc nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Hmm... – mruczy ojciec. – Ile właściwie chcesz przeznaczyć na tę swoją misję?

Wymieniam sumę. Ojciec milknie.

– Tato?

W słuchawce słychać charakterystyczny świst wciąganego przez zęby powietrza.

– Myślę, że muszę poznać dziewczynę, która stoi za tym nietypowym... rozdawnictwem.

Jezu Chryste. Za nic nie przedstawiłbym ojcu Dori. Nawet, gdyby mnie błagał.

– Nie widziałem jej, odkąd wyjechała do Quito. Teraz powinna już być w Berkeley.

– To ona studiuje na Berkeley? – W głosie ojca pojawia się nuta podziwu, a mnie zalewa nagła fala zazdrości. – Na jakim kierunku?

– Opieka społeczna.

– Co?! Marnuje studia na takiej uczelni? Naprawdę wybrała opiekę społeczną?

Jeżę się w duchu, ale dociera do mnie, że tutaj chodzi o coś więcej niż zwykłą u taty pogardę dla zawodów, które nie przynoszą całych walizek pieniędzy. Z drugiej strony, moja praca też nie robi na nim wrażenia.

– Dori nadaje się do tego jak mało kto – tłumaczę i wściekam się na siebie za to, że początkowo oceniałem jej wybór tak samo jak on. Prawdę mówiąc, wciąż nie pojmuję, że osoba z tak świetnym głosem nie poświęciła życia śpiewaniu.

– Tak? – Kolejna dawka drwiny. – Skąd ten wniosek?

– Stąd, tato, że jej, kurde, na czymś w życiu zależy.

Dori

Kiedy specjaliści doszli do zgodnej opinii, że nie są w stanie zrobić nic

więcej, byłam pewna, iż moi rodzice pogodzą się z prawdą. Dotąd – wbrew wszelkim oznakom – uparcie trwali w wierze w ostateczny powrót córki do zdrowia, co obserwowałam zarazem z podziwem i niepokojem. Dlatego już zawnazę przygotowałam się na przyjęcie emocjonalnego dołka mamy, która mimo swej medycznej wiedzy i rozsądku niezmiennie odmawiała kapitulacji.

Wracamy właśnie do ciasnego mieszkania Deb po ostatnim spotkaniu z zespołem opiekujących się nią lekarzy. Jedziemy bez słowa. Uraz, którego doznała wskutek upadku, okazał się trwały. Prawdopodobieństwo, że uszkodzone obszary mózgu wznowią działanie, jest minimalne, aczkolwiek istnieje szansa, że Deb za pewien czas zacznie reagować na zewnętrzne bodźce, w rodzaju znajomego głosu. „Przez «reagować»” – uściślił jeden z lekarzy – „rozumiemy niewielkie zmiany na poziomie czysto fizycznym. Przyspieszony oddech bądź, powiedzmy, drżenie powiek czy palców. Nie przewidujemy, by pacjentka kiedykolwiek odzyskała zdolność posługiwania się mową”.

Po wejściu do mieszkania rodzice siadają na sąsiednich krzesłach przy małym kuchennym stole. Wyglądają, jakby spadła na nich bomba. Odgrzewam na patelni lazanie, którą przyniosła nam jedna z pielęgniarek. Wreszcie mama chrząka.

– Jutro zacznę dzwonić po znajomych. Może ktoś zna jakiś sensowny dom opieki niedaleko domu. – Słyszając te słowa, czuję ulgę. Wraca jej naturalny pragmatyzm. Rozgląda się po przytulnym salonie. – Musimy wynająć ciężarówkę, żeby przewieźć jej rzeczy. I jakiś magazyn w L.A. Mam nadzieję, że niebawem to wszystko znów jej się przyda. – Zamieram. Nóż zawisa nad ułożoną na desce do krojenia lazanią. Mam ochotę wrzeszczeć z frustracji. Deb już nigdy nie będzie zdolna do samodzielnego życia. Ani jedno słowo lekarzy nie dawało cienia nadziei. Być może kilka lat temu sama bym się w ten sposób łudziła, lecz obecnie nie wierzę już w cuda. Nie zdarzają się w niczym życiu, także w życiu Deb. Dociera do mnie, że już od dawna przestałam w nie wierzyć, a dzisiaj dopiero to sobie uświadomiłam.

Mieszkanie siostry trzeba wynająć, trzeba też odłączyć media i poinformować banki. Tego rodzaju obowiązki spadają na tatę, podczas gdy ja zajmuję się rozdawaniem kwiatów z balkonu. Trafiają do sąsiadów i znajomych Deb ze szpitala. Oczywiście najpierw musiałam przekonać mamę, że przewożenie ich do Los Angeles byłoby wyjątkowo niepraktyczne. Gdy przychodzę do ludzi z doniczkami geranium, fuksji i kosztami buganwilli, witają mnie uściski i łzy. Z Bradfordem spotykam się na samym końcu, w jego małym, prywatnym gabinecie. Jemu przypadł angielski bluszcz, najmniej wymagająca roślina z kolekcji siostry. Przynoszę mu również pudełko z osobistymi drobiazgami, które zostawił w mieszkaniu Deb. W jej szafce łazienkowej znalazłam maszynkę do golenia i szczoteczkę do zębów. W szufladzie natknęłam się na dzinsy, skarpety,

bokserki i bawełnianą koszulkę.

– Spakowałam to jeszcze pierwszej nocy – mówię, stawiając pudełko na biurku. Wpatruje się w nie, ale trwa w bezruchu. – Dawniej miałam nadzieję, że twoją bieliznę będę znać tylko z jej opowieści – głos zaczyna mi się łamać, ale nie milknę. – Jeżeli czegoś jeszcze brakuje, daj mi znać. Znajdziemy i podeślemy ci. Mama chce cały dobytek Deb umieścić w magazynie.

– Dziękuję, Dori. – Bradford kładzie dłoń na pudełku, lecz nawet nie próbuje go otworzyć. – Zawsze marzyłem o młodszej siostrze, może ci wspominała? – Oczy ma pełne łez. – Nie mam rodzeństwa, więc kiedy o tobie opowiadała, czułem się zazdrosny – dodaje i głęboko oddycha. Jest roztrzęsiony. Czuję na policzkach wilgotne strużki. – Twoja siostra odmieniła moje życie. Dzięki niej inaczej patrzę na świat, inaczej podchodzę do zawodu. Zmieniła mnie całego. Ale wiem, że nie mogę, nie powinienem nawet... porównywać tego, jak ja się czuję, do tego, przez co ty przechodzisz...

Okrażam blat i obejmuję go – człowieka, który miał zostać, w pewnym sensie, moim bratem.

– Ależ możesz. Deb cię kochała, a ty kochałeś ją. Mnie łączyło z nią to samo uczucie.

Piersią mężczyzny wstrząsa niemy szloch.

– Tak bardzo cię przepraszam. Przepraszam, że nie potrafiliśmy jej pomóc, wyleczyć – Gniew Bradforda miesza się z nieutulonym żalem. – Przecież do tego wypadku doszło w szpitalu! Jesteśmy lekarzami! Właśnie po to poszedłem na medycynę. Chciałem leczyć ludzi, pomagać im wracać do zdrowia. A nie zdołałem nawet uzdrowić kobiety, którą... – nie jest w stanie dodać ani słowa. Obejmuję go mocniej.

– To nie twoja wina. Deb też nie miałaby do ciebie pretensji. Jeżeli ją znałeś, to musisz wiedzieć, że nie miałaby ci niczego za złe. Chciałaby za to, byś się otrząsnął i znów stał się tym genialnym lekarzem, którego poznała. Chciałaby, żebyś pomagał ludziom, żebyś żył i był szczęśliwy...

– Tylko jak?

Głośno przelękam ślinę. Cieszę się, że Brad nie widzi mojej twarzy.

– Nie wiem.

Tabloidy i plotkarskie portale szaleją. Wszyscy snują domysły, kogo tym razem uwiódł Reid. Kimkolwiek ta osoba jest, chłopak zachowuje się bardziej tajemniczo niż kiedykolwiek przedtem. Zapewne właśnie dlatego pojawiła się w mediach nowa teoria – że Reid jest gejem.

Być może mam w tych sprawach niewiele doświadczenia, ale wiem dość dużo, by mieć pewność, że to akurat nieprawda. Pewnego dnia sporą popularność

zyskuje koncepcja, że ponownie związał się z aktorką, z którą wystąpił w przedostatnim filmie – Emmą Pierce. W sieci pojawiło się ich wspólne zdjęcie z festiwalu filmowego w Vancouver. Fotografia jest ciemna, lecz na tyle wyraźna, by dało się ich oboje rozpoznać. Uśmiechnięta dziewczyna nachyla się ku niemu, a on szepcze jej coś na ucho. Dziennikarze zwęszyli łup i publikują kilkanaście zdjęć sprzed roku – para trzyma się za ręce, całuje. Do tego dochodzą filmowe fotosy, na których wyglądają rzeczywiście słodko.

Następnego dnia konkurencyjny tabloid publikuje to samo zdjęcie z festiwalu – z tym że w całości, nieprzycięte. I teraz widać, że na siedzeniu z drugiej strony Emmy siedzi chłopak aktorki, Graham Douglas, który obejmuje ramieniem oparcie jej fotela, a prawą dłonią gładzi spoczywającą na swoim udzie jej prawą rękę. On również słucha tego, co mówi Reid. I też się uśmiecha. W ten sposób teoria Emmy upada.

Facet, który sprzedał gazecie spreparowane zdjęcie, trafia na czarną listę, serwis internetowy tabloidu traci wiarygodność. A ja bezsensownie straciłam całą dobę na rozniecaniu w sobie nienawiści do Emmy Pierce. Przez cały ten czas Aimee i Kayla wydzwanają do mnie i bombardują mój telefon SMS-ami. Próbują się dowiedzieć, czy znam bardziej sensacyjne szczegóły:

Kayla: To Reid jest gejem?!

Ja: Nic mi o tym nie wiadomo. A znów o tym piszą?

Kayla: Widziałam jego fotki z tym Taddem, który grał w *School Pride* Charlie'ego i z jeszcze jednym ciachem. Śpiewali razem na imprezie karaoke.

Ja: Żadna sensacja. Zresztą nie tym się teraz martwię.

Kayla: Moja ty :(Wiem, że niefajnie się ułożyło z twoją siostrą. W sobotę idziemy z Aimee na miasto. Chcesz?

Ja: Tak.

Kayla: SERIO?! Przenocujesz u nas w akademiku...?

Ja: Ok. Pewnie.

Wszystko zrobię, byle tylko na kilka godzin poczuć się kimś innym. Dziewczyną, która nie jest niewidzialna dla ludzi, którzy ją dawniej kochali. Dziewczyną, która nie utraciła wiary.

Przyjeżdżają po mnie w sobotę, jak zwykle paplając jedna przez drugą.

– Masz to prawko? – pyta Kayla, zanim ruszymy.

– Mam – mówię – ale nie wydaje mi się, bym była do niej podobna.

Aimee ogląda wydane w Indianie prawo jazdy Deb.

– E tam, daje radę. Uda się. Totalnie. Zabrałam dla ciebie kilka ciuchów. Nosimy ten sam rozmiar buta, prawda? Troszkę cię podpicujemy i będziesz wyglądać kropka w kropkę jak ona. Zobaczysz.

– Okej. – Wrzucam prawo jazdy do torebki i odchylam głowę, by opanować wariujące mi w brzuchu motylki. Jestem tak bardzo zmęczona. Nie chcę już

niczego czuć. Od powrotu do L.A. czuję się przytłoczona. Jestem też wściekła na rodziców, którzy wciąż zachowują się tak, jakby Deb miała się lada dzień obudzić. W ich bajce zastąpiła śpiącą królewnę. Nadal chce mi się krzyczeć, ale nauczyłam się nad tą pokusą panować tak doskonale, że nie jestem nawet w stanie płakać. Gdy myślę o siostrze, oczy mam suche i wpatrzone w pustkę, tak samo jak ona. Ale nie stałam się gruboskórna. Wręcz przeciwnie. Mam wrażenie, że straciłam skórę – nic mnie już nie chroni, a wszystko wywołuje emocje. Dlatego nie chcę już czuć. Chcę zobojętnieć.

Deb zawsze była taka ostrożna. Kiedy zaczynałam liceum, wzięła mnie na stronę i wymusiła obietnicę, że nigdy nie będę prowadziła po alkoholu i że nigdy nie wsiądę do samochodu z pijanym kierowcą. Jak na przyszłą lekarkę przystało, opowiedziała mi też o zatruciu alkoholem i nieprzyjemnych skutkach odwodnienia.

– Rodzice nie zawsze podchodzą do tych spraw realistycznie – dodała. – Wiem, że dobra z ciebie dziewczyna, ale to właśnie takie osoby najczęściej podejmują idiotyczne decyzje, bo nie planują. Jeśli będziesz miała ochotę się napić, albo pójść z kimś do łóżka, musisz to wcześniej zaplanować? Comprende?

Obiecałam też, że jeśli będę potrzebowała wsparcia, zgłoszę się prosto do niej. I proszę, tej nocy potrzebowałam, ale za jedyne doradczynie – szumne słowo – zostały Aimee i Kayla. Tyle, że ich porady trudno było nazwać rozsądnymi.

Moja siostra pośliznęła się na mokrej i śliskiej podłodze szpitala. Lekarze tłumaczyli, że uderzyła się w głowę akurat w takie miejsce i z taką siłą, która musiała spowodować ciężki uraz. Ostrożność i unikanie ryzyka w niczym jej nie pomogły. Nie ma przeznaczenia. Nie ma też cudów, bo w przeciwnym razie Deb na pewno by na taki zasłużyła. Może byłaby zawstydzona, ale pozostałaby sobą.

Dzisiaj mam ochotę stanąć nad przepaścią i spojrzeć w dół. Chcę rzucić wyzwanie wiatrowi, by dmuchnął i strącił mnie w otchłań. Wszyscy są przekonani że upadek z dużej wysokości jest najgorszym, co może człowieka spotkać. Błąd. Najgorszym jest życie bez celu.

Rozdział 36

Reid

Kilka dni temu skończyliśmy zdjęcia. Pożegnałem się z Vancouver i z Olafem – z tym ostatnim na przynajmniej tydzień, bo John uparł się, bym przestał zgrywać świętoszka.

– Jasne, łapię, abstynencja sprawia, że miękną ludzkie serca – stwierdził zeszłego wieczora. „Co...?”, przemknęło mi przez myśl. – Ale daj spokój, wróciłeś już do domu.

Nie mam pojęcia, o co mu chodziło, choć może rzeczywiście miał rację. Może abstynencja sprawiła, że zmięknęło mi serce. Poza incydem z Taddem i Robem nie piłem ani nie paliłem w Vancouver ani razu. I przez cały ten czas nie zdołałem o niej zapomnieć.

– Jest dzisiaj taka imprezka... – zaczął.

– Serio? Imprezka? A co to takiego?

– Oj, zamknij się. Jorge i Daniel też będą. Chcemy najpierw zahaczyć o kilka klubów w okolicy uniwerku i wyrwać jakieś studentki. Ja je skuszę swym nieodpartym urokiem, a ty dołożysz znośny wygląd i pozycję celebryty.

– Ach, ten sławetny nieodparty urok! – zaśmiałem się. Boże, jak mi tego faceta brakowało. Taki z niego dupek. – Myślę, że będą się do ciebie ustawiać w kolejce.

Gdy czterech koleśi zajeżdża hummerem przed klub – trzech synków bogatych tatusiów i jeden celebryta – nie ma mowy o żadnym staniu w kolejkach. John, Daniel i Jorge karnie wchodzą, trzymając się za moimi plecami, a ja mam wrażenie, że ani na moment nie zarzuciłem tego stylu życia. W środku nachyliam się do Johna.

– Chłopaki, wy zajmijcie się laskami. Ja walnę kilka szotów, a potem się zastanowię, czy się nie zerwać na chatę.

John mruży oczy.

– Żadnego zrywania, Reid. Dzisiejszej nocy planuję swobodną jazdę bez trzymania.

– Niech ci będzie – wzruszam ramionami. – Będę przy barze. Ach, jeszcze jedno, stary. Nie wspominaj nikomu kim jestem, okej? Nie jestem w nastroju.

– Nie jesteś w nastroju na seks? – Mój najlepszy przyjaciel robi mocno zbulwersowaną minę.

– Nie mam ochoty na pannę napaloną po prostu na przespanie się z Reidem Alexandrem. Znajdź mi ładną laskę, która nie będzie miała pojęcia, co robię, to

może się zastanowię.

John kręci głową, ciemna grzywka opada mu na oczy.

– Jesteś poważnie chory, mój synu, ale dzisiaj znajdziemy lekarstwo, choćbym miał to przypłacić życiem. Swoim albo twoim.

Wzdycham.

– Pozwól, że się najpierw trochę znieczulę, dobra?

Dori

Nocnych klubów w Los Angeles unikałam od lat. Moje przyjaciółki natomiast próbowały przez ten czas zaliczyć ich jak najwięcej. Muzyka jest tak głośna, że właściwie nie tyle ją słyszę, co czuję. Kayla zrobiła mi makijaż i ułożyła włosy w długie fale. Aimee wbiła mnie w czarną minispódniczkę i obcisłą bluzeczkę koloru fuksji. Mam wrażenie, że w tym zestawie dostanę ataku klaustrofobii. W dodatku kołyszę się na szpilkach tak wysokich, że kręci mi się w głowie.

Ściskając w dłoni prawo jazdy Deb, staram się wyglądać na pewną siebie dwudziestosześcioletką. Kayla i Aimee przysięgają, że mimo różnicy wieku jesteśmy (byłyśmy) do siebie bardzo podobne – ten sam odcień włosów, identyczny wzrost, kształt twarzy i sylwetka. Twierdzą, że posłużenie się jej dokumentem, to o wiele lepszy pomysł niż próba przekabacenia bramkarza. Mam tylko nadzieję, że ten groźnie wyglądający facet przy drzwiach nie obejrzy zdjęcia zbyt dokładnie. Jeśli postanowi poddać mnie drobiazgowemu przesłuchaniu, pęknię i natychmiast do wszystkiego się przyznam.

Na prawo jazdy zwraca znacznie większą uwagę niż na mnie. Płacimy za wstęp i drzwi stają dla nas otworem. Aimee wchodzi dzięki dokumentowi swojej kuzynki, a Kayla wymachuje podrabianym prawem jazdy z Arizony, które kosztowało ją prawdziwą fortunę.

Realizacja kroku pierwszego – wejście do klubu – okazała się łatwiejsza, niż myślałam. Czas na krok numer dwa: pić, dopóki nie zapomnę o Deb. Dopóki nie przestanę myśleć o Reidzie. I o przyszłości, której wcale już przed sobą nie widzę. I o wierze, której nie czuję.

– Nigdy wcześniej cię tu nie widziałem, piękna nieznajoma. – Tańczyłam już przynajmniej z dwunastoma kolejami. Oto moja szczęśliwa trzynastka.

Nie jestem przyzwyczajona, by obcy stali tak blisko mnie. Ani by nazywali mnie piękną. Nonszalancko oparta łokciem o stół, sączę drink, który wygląda jak

coca cola, a smakuje jak coca cola zaprawiona żywym ogniem. To chyba mój trzeci, no, może czwarty. Ponad krawędzią szklaneczki widzę jasne włosy i niebieskawe oczy. Oczy, które omiatają moją sylwetkę leniwym spojrzeniem drapieżnika oceniającego najbliższy posiłek. Instynkt zaczyna mnie nawoływać do ucieczki. I właśnie dlatego postępuję dokładnie na odwrót. Ostatecznie mój instynkt, nie dość że skłonny do nadopiekuńczości, to jeszcze okazał się dotąd zupełnie bezużyteczny.

Lekko przechyliłam głowę na bok i przywołuję na usta delikatny uśmiech. Koleś przysuwa się jeszcze bliżej.

– Zatańczymy? – proponuje. Zaczyna się.

Odstawiam drinka, zerkam na Kaylę (która wymownie porusza brwiami i unosi kciuk) i na Aimee (która krytycznie przygląda się dostępnemu w klubie asortymentowi facetów), po czym zsuwam się ze stołka prosto w ramiona nieznanego. Obejmuje mnie w tali i pomaga zachować równowagę. Gdy zmierzamy w stronę parkietu, dochodzą mnie słowa Aimee: „O Boże, Kayla, czy ja już za dużo wypiałam, czy to Reid...”

Końcówki zdania nie zdążyłam wychwycić. Nie, nie. Na pewno nie chodziło o tego Reida. Nawet jeśli rzeczywiście wymieniła jego imię, co przecież wcale nie jest pewne. Muzyka zagłusza praktycznie wszystko. Rozglądam się dokoła, lecz widzę tylko wir barw i dźwięków, a zaraz potem czuję na biodrach dłoń tego kolesia i zaczynamy się o siebie ocierać w rytm piosenki. Przymykam oczy i zarzucam mu rękę na szyję.

– Jak ci na imię? – pyta, nachylając się do mojego ucha.

Podnoszę powieki i wtedy widzę jego oczy. Bardzo blisko. Lodowate i błękitne, tak niepodobne do oczu Reida, granatowych niczym niebo tuż przed burzą. Nie, nie chcę myśleć o Reidzie.

– Dori – odpowiadam.

– Dori. Śliczne imię dla ślicznej dziewczyny. Ja jestem Reece.

Kurka wodna. Brzmi prawie jak Reid. A o nim przecież nie chcę myśleć.

Tańczymy z Reece'em, który wcale nie jest Reidem, aż w końcu robi mi się gorąco i dopada mnie pragnienie. Schodzę z parkietu w połowie utworu i ruszam do stolika. Mimo że mnie korci, nie oglądam się za siebie, nie sprawdzam, czy poszedł za mną. Nic mnie to nie obchodzi. Zawsze mogę zatańczyć z innym.

Wychyliłam duszkiem resztkę rumu z colą, a Reece przysiada na stołku zwolnionym przez Aimee, która prowadzi właśnie na parkiet kolejnego faceta. Zawsze jest jakiś kolejny. Sama nie wiem, ale chyba aż do dziś nie miałam pojęcia, że jest ich tak wielu. Dźwigałam na barkach brzemień problemów całego świata, próbowałam coś zmienić i nigdy nie pozwalałam sobie na przyjemności lub choć ociupinę szaleństwa. Przynajmniej od czasów Colina. Aczkolwiek to nie do końca prawda. Reid był szalony i taki rozkoszny.... No, ale o nim przecież dzisiaj nie

myślę.

W ostatecznym rozrachunku wychodzi na to, że próbując zbawić cały świat roztrwoniałam masę czasu. Podobnie jak Deb.

Z wysiłkiem odsuwam od siebie myśli o siostrze, tej siostrze, która siedzi na wózku i wpatruje się w pustkę, a wszystko, czego się nauczyła, co osiągnęła, kim chciała być – lekarką, dziewczyną, żoną – bezpowrotnie przepadło. Reece zauważa, że bawię się pustą szklaneczką, w której pobrzękują już tylko kostki lodu, i skinieniem zamawia u kelnerki dwa następne drinki. Jego palce suną po moim ramieniu, w tę i z powrotem. Zachowuje się jak hipnotyzer kołyszący zegarkiem przed oczyma pacjenta.

– Opowiedz mi o sobie, Dori o wielkich, niewinnych oczach.

Moja brew wędruje do góry.

– Sugerujesz, że wyglądam na niewiniątko, tak?

– A jesteś nim? – Znów ten leniwy uśmiech. Koleś dysponuje dość ograniczonym repertuarem min.

– Możliwe. To jakiś problem?

Nozdrza chłopaka nieznacznie się rozszerzają, a leniwy uśmiech zamienia się w zupełnie inny. Wygłodniały. Prawdę mówiąc, trochę się go boję, ale jakie to ma znaczenie? W końcu nic nie ma znaczenia.

– Zależy. – Pojawiają się drinki. Reece wypija połowę swojego jednym łykiem.

– Od czego? – pytam i również wlewam w siebie pół szklaneczki. Przechodzi mnie dreszcz. Bardzo ciekawe: kiedy się człowiek przyzwyczai, nawet picie ognia przychodzi z łatwością.

Chłopak nachyla się bliżej, ciepły oddech owiewa mój policzek.

– Od tego, czy chcesz to zmienić – mówi i nie cofa głowy. Ja też się nie odsuwam, nawet kiedy zaczyna pieścić moje ucho. Jego język sunie po samym koniuszku.

Za szybko, stanowczo za szybko – odzywa się we mnie głos rozsądku, lecz moja nowa supermoc tłumienia emocji błyskawicznie go ucisza. Zwracam twarz ku Reece'owi i nie mijają dwie sekundy, jak mnie całuje. Jego dłonie błądzą po moim ciele, ściskają je. Zbyt ostro. Nieważne. Nie ma to znaczenia. Muzyka mnie ogłusza, a chłopak oplata mnie ramieniem i przyciska do swego boku, mimo że wciąż siedzę na wysokim stołku, a on stoi. Spryskał się dziś zbyt obfitą dawką wody po goleniu. Nie podoba mi się ten zapach. Za słodki. Zupełnie nie ziemisty.

– Zmieńmy lokal. Znam dużo lepszy, dwie przecznice stąd.

Nie przypominam sobie, by w tej okolicy działał inny klub, ale z drugiej strony czuję się tak, jakbyśmy tu przyszły kilka dni temu. Zerkam na parkiet, wypatruję Aimee i daję jej skinieniem znać, że wychodzę. Podnosi dłoń, pokazując gestem „zadzwoń”, przy czym niemal wlewa sobie drinka do ucha.

Reece dopija i wskazuje na moją szklaneczkę.

– Została ci jeszcze połowa.

Pochłaniam napój, odchylając głowę tak daleko, że kostki lodu spadają mi na górną wargę.

– Grzeczna dziewczynka – mówi Reece, nachylając się ku mnie. – Czas, by niewinna Dori poznała trochę prawdziwego życia.

Moje ciało odrywa się od stołka. Spoglądam w dół i widzę jego dłonie na swojej talii. Są duże. Trzymają mnie, nie pozwalają upaść. Nie pozwalają też uciec.

– Czekaj. – Chwytam krawędź stolika i zamykam oczy z nadzieją, że sala przestanie wirować. Ciemność pomaga, ale obawiam się, że to się zmieni, gdy tylko ostatni drink trafi z żołądka do krwi. Chcę zobojętnieć, ale zamiast tego czuję zawroty głowy. Wszystko wokół jest głośnie, błyszczące, zupełnie nie takie, jak się spodziewałam. Mam ochotę usiąść i się rozplakać.

– Na powietrzu poczujesz się lepiej. – Reece podpira mnie ramieniem i prowadzi do wyjścia.

Rozdział 37

Reid

Siedzę przy barze i raczę się kolejnymi kieliszkami wódki Armadale, a chłopaki zgarniają z klubu dziewczyny, które chcą zabrać na imprezę. W lekko nachylonym, wiszącym nad barem lustrze widać całą salę, dzięki czemu mogę siedzieć tyłem do rozbawionego tłumu i dumać nad rosnącym szeregiem pustych kieliszków, nie tracąc kontroli nad rozwojem wydarzeń. Kiedy zastanawiam się właśnie, czy chcę się nawalić porządnie, czy raczej znieczulić do tego stopnia, by wszystko rozumieć, lecz o nic nie dbać, zauważam na parkiecie dziewczynę.

Jeszcze latem prowadziłem bezowocne poszukiwania sobowtóra Dorcas Cantrell. Udało mi się znaleźć tylko kilka dziewczyn o włosach identycznego koloru. Ta z kolei przypomina Dori gestykulacją, drobnymi odruchami, które zapamiętałem z tych kilku przepracowanych wspólnie tygodni, a na dodatek jest cholernie podobna fizycznie. Tyle że Dori w życiu nie ubrałaby się ani nie zachowywała tak jawnie uwodzicielsko (choć nieraz wyobrażałem ją sobie w podobnej stylizacji). Pod koniec pracy dla Habitatu kręciła mnie już bez względu na to, co akurat miała na sobie – spodobały mi się nawet te bezkształtne koszulki. Dziewczynę z klubu obserwuję już od godziny. Straciłem zainteresowanie wódką i przyglądam się jej, gdy z wdziękiem prowadzi na parkiet kolejnych facetów. Wreszcie jeden z nich postanowił zostać na dłużej. Stał przy niej, kiedy kończyła drinka, którego – nierozsądnie – porzuciła na blacie, by z nim zatańczyć. Przecież mogła jej go wypić któraś z koleżanek. Nie wypła, zauważyłbym to, ale cóż. Koleś pochylił się i pocałował ją, a kiedy zaczęli się dotykać, byłem już nie w osiemdziesięciu, a w stu procentach pewien, że to nie Dori. Tak czy inaczej, nie potrafiłem oderwać od niej wzroku.

Kiedy odwróciła się, by dać znak innej lasce z parkietu, zdołałem przyjrzeć się jej twarzy dokładniej. Podobieństwo do Dori było tak uderzające, że poczułem się, jakby ktoś zdzielił mnie pięścią w brzuch. Dokończyła drinka, po czym oboje ruszyli do drzwi. Szła chwiejnie na godnych striptizerki szpilkach, a on podtrzymywał ją ramieniem. Właśnie ten niepewny krok przeważył szalę. Kładę na kontuarze studolarowy banknot i podsuwam go barmanowi. Sięgam po telefon i daję SMS-em Johnowi znać, żeby spotkał się ze mną przed klubem. Ani na moment nie spuszczam oczu z idącej do wyjścia dziewczyny.

– Hej, ty jesteś Reid Alexander? – pyta ktoś, lecz kręcę głową. Nie mam w tej chwili czasu na pierdoły.

Do drzwi docieramy jednocześnie. Chwytam typa za ramię, takim gestem,

jakim zatrzymałbym dawno nie widzianego kumpla.

– Przepraszam...

Odwraca się rozdrażniony, wciąż podtrzymując dziewczynę w pionie. Panna błyskawicznie odpływa. Opiera głowę na jego piersi, włosy opadają jej na twarz.

– Tak? Co jest?

Skupiam się na koleśiu.

– Słuchaj, stary, musisz sobie znaleźć kogoś innego.

– O czym ty gadasz? – Mruży oczy. – Znamy się w ogóle?

– Nie, ale ja znam ją. – Wskazuję głową dziewczynę. Nie mam pojęcia, co z nią zrobię potem. Zabrać ją na imprezę? Odprowadzić do psiapsiółek i opieprzyć je, że pozwoliły jej w takim stanie wyjść z nieznanym?

– No i?

Co za dupek!

– I nie zostawię jej z tobą.

Facet szacuje mnie spojrzeniem. W jego oczach nie pojawia się nawet cień zastanowienia. Błąd.

– Coś ty za jeden? Zresztą nieważne. Po prostu spadaj, zanim cię wyniosą.

– Nikt mnie nie wyniesie, a ty nie wyjdiesz z tą dziewczyną.

Lewy sierpowy zauważam, zanim jeszcze zdążył unieść pięść. Uchylam się, łapię gościa za przegub i wykręcam mu rękę, jednocześnie chwytając dziewczynę w pasie. Przeciagam ją za siebie. Przypakowani faceci zawsze się na to łapią. Zwracają uwagę głównie na wzrost i muskulaturę, przez co łatwo ich zaskoczyć.

Jednocześnie u mego boku wyrasta John w asyście bramkarza. I nagle patrzę na nas wszyscy. Mimo tradycyjnego upojenia, mój najlepszy przyjaciel jak zawsze wykazuje się pewnymi talentami – należy do nich specyficznie rozumiana zdolność przekonywania. Zdążył już wcisnąć wykidajle kilka pięćdziesiątek, które znikają w kieszeni, gdy tłumaczę, że dziewczyna nie jest w stanie pozwalającym opuścić klub z nieznanym mężczyzną. Trochę ryzykowałem, mogli się przecież okazać znajomymi, ale kretyn nie dostaje nawet szansy na obronę. Niemal natychmiast trafia w ręce innego wielkiego, wytatuowanego bramkarza, a stamtąd prosto na ulicę. Wystarczyło, że podniósł na mnie rękę.

– A skąd mam wiedzieć, że ty ją znasz? – Ochroniarz świdruje mnie spojrzeniem. Wychodzi na to, że jest bardziej inteligentny niż większość facetów, którzy prężą mięśnie przy drzwiach i zbierają od lasek numery telefonów, by po godzinach zapewnić sobie kilka chwil rozrywki.

Spoglądam na dziewczynę. Mam nadzieję, że mi pomoże. W tej samej chwili dociera do mnie, że ta panna w seksownych ciuchach, ukryta pod grubą warstwą makijażu, to naprawdę Dori.

Mruży oczy, mruga i wtula się we mnie.

– Reid?

– Cześć, Dori.
– Cześć, Reid, ale... tak naprawdę cię tu nie ma, co? – W jej oczach stają łzy. – Nie czuję się najlepiej.
Bramkarzowi więcej nie trzeba.
– No dobra, zbierajcie się. Tylko ostrożnie.
Ostrożnie? Za późno.

Dori

Oczy mam tak suche, że ich otwarcie sprawia mi fizyczny ból. Leżę w obcym łóżku, w obcym szaro-niebieskim pokoju. Meble z gładkiego, ciemnego drewna. Za to zapach poduszki, na której spoczywa moja głowa – tak, ten zapach wydaje się dziwnie znajomy. Nie jest kwiatowy ani cytrusowy. Zdecydowanie cięższy – czysty i esencjonalny. Męski. Ciemne żaluzje są zamknięte, ale pomiędzy plastikowymi paskami sączy się światło. Więc rano... lub później.

Ktoś za mną stuka w klawiaturę. Ostrożnie przetaczam się na bok i widzę Reida Alexandra. Odrywa wzrok od laptopa i spogląda na mnie. Na jego ustach majaczy zadowolony uśmiech. Nie, to musi być sen. Tylko, czy kiedykolwiek czułam się we śnie tak okropnie?

– Dzień dobry – wita się niskim głosem i jakimś cudem jego słowa wibrują mi aż pod mostkiem. Przyciskam drżącą dłoń do piersi, ale nie potrafię powstrzymać paniki. To nie sen. Trafiłam do jego łóżka. Nie do łóżka nieznanego, przypadkowego faceta, ale do Reida.

– Byłam pewna, że mi się przyśniłeś – z wyschniętego, spragnionego gardła dobywa się tylko szept.

Lekko pochyla głowę, a uśmiech, przed chwilą jak zwykle ironiczny, wyraża po prostu wesołość.

– Chyba jeszcze od żadnej dziewczyny nie usłyszałem rano bardziej uroczonego komentarza.

Przełykam pojedynczą kropelkę śliny. Wargi mam suche jak pieprz, z trudem je od siebie odrywam.

– Co się... stało? – pytam ledwie słyszalnym, łamiącym się głosem.

– Nie pamiętasz?

Zamykam oczy i staram się przypomnieć sobie cokolwiek z tego, co wydarzyło się po tym, kiedy poszłam na parkiet z tym ostatnim facetem – tym, który użył za dużo słodko pachnącej wody po goleniu.

– Nie. Nic nie pamiętam.

Podnoszę z wysiłkiem powieki. Reid wstaje i podchodzi bliżej. Ze

ściągniętymi ustami zsuwa ze mnie chłodną szarą kołdrę. Spinam się, pewna, że poczuję powiew powietrza na nagim ciele. A jednak nie. Wciąż mam na sobie bluzeczkę i mini, które założyłam wczoraj wieczorem. Zrobiliśmy to w ciuchach? Ubrał mnie potem?

Reid bierze mnie za łokieć i łagodnie pomaga wstać. Głowę mam ciężką i obolałą, ledwie jestem w stanie utrzymać równowagę. Chwieję się, a on bierze mnie w ramiona. Cały pokój wiruje jak szalony. Jęczę. Zapach łóżka stanowił ledwie echo jego męskiej woni, tak w tej chwili wyrazistej. Przywieram twarzą do jego piersi. Chciałabym się w nim zgubić i zasnąć, ale nie – Reid dokądś mnie prowadzi. Przemyka mi przez myśl, że wystawi mnie za drzwi i będę musiała poczekać aż ktoś zgarnie mnie z progu. Jak paczka czekająca na kuriera FedExu.

Reid zanosí mnie do przestronnej łazienki. Czyli jednak nie do przedpokoju. Pod ścianą ciągnie się wyłożona miękkimi poduchami ława. Sadza mnie tam, przytrzymując za ramiona, dopóki nie ma pewności, że się nie osunę. Oczy mam otwarte akurat na tyle, by przez szparki obserwować co robi. Ubrany w dżinsy i spraną czarną koszulkę, idzie bosy po dywanie i marmurowej posadzce. Puszczą wodę w kabynie prysznicowej i wraca do mnie. W kabynie kłębi się gorąca para.

Nie myślałam, że jeszcze kiedykolwiek go zobaczę. Na pewno nie twarzą w twarz. Czuję żar w policzkach i znów opadają mi powieki. Podnoszę je dopiero, gdy słyszę jego głos.

– Hmm... – Reid stoi tuż przede mną. Wziął się pod boki i spogląda z góry. Lekko przechylam się na prawo, ale wciąż dzielnie siedzę. A on, bez uprzedzenia, zaczyna ściągać ze mnie tę bluzeczkę w kolorze fuksji, pomaga mi wstać.

– Neeee... – jęczę, co wcale nie brzmi jak protest. Kiedy sięga do suwaka spódniczki, chwytam go za dłonie. Przecież nie chce mnie chyba rozebrać... teraz?

Reid sięga do sterty puszystych, wielkich ręczników kąpielowych, wybiera jeden, rozwija go machnięciem i rozpościera, tworząc między nami prowizoryczny parawan.

– Ściągaj wszystko – rozkazuje – i wskakuj pod prysznic.

Wyciągam głowę nad ręcznikiem i próbuję zgromić go spojrzeniem, ale już samo zmarszczenie czoła sprowadza na moje skronie kolejną falę bólu. Patrzę więc na Reida po prostu, bez wyrazu. Przyglądając mi się, unosi brew. Pytanie czy może wyzwanie?

– W końcu będziesz musiała kiedyś wrócić do domu – zauważa i wskazuje na wiszące na ścianie lustro. – Chcesz się pokazać rodzicom w takim stanie?

Spoglądam na swoje odbicie: rozmazany makijaż, wymięta przez noc spódniczka i zmierzwióne, splątane włosy, wciąż sztywne od substancji, którą spryskała ją wczoraj wieczorem Kayla. Zajmuję się pracą społeczną w kiepskich dzielnicach już dostatecznie długo, by rozumieć, na kogo wyglądam. Wyglądam jak tania prostytutka. Nie mogę się tak pokazać w akademiku Aimee i Kayli.

– Dori. Prysznic – Reid nie rozkazuje ani nie prosi. Przypomina po prostu o zdrowym rozsądku. Przyciągam sobie ręcznik pod brodę i kiwam głową. Chłopak odpowiada tym samym i wychodzi z łazienki, zamykając za sobą drzwi.

Zawieszam ręcznik na haczyku i rozpinam spódniczkę, pozwalając jej opaść na podłogę. Różowe, koronkowe majteczki i stanik – bielizna, która w nocy wydawała mi się tak niesamowicie seksowna – wyglądają w tej chwili idiotycznie. Rozbieram się i wchodzę naga pod ciepłe strumienie wody. Przyjemnie muskające skórę krople tryskają z deszczownicy rozmiarów dysku do frisbee. Czując spływające mi po twarzy i ciele pulsujące strużki, odprężam się na tyle, na ile może się zrelaksować osoba kąpiąca się w cudzej łazience, niepamiętająca przynajmniej połowy wczorajszej nocy. Jest mi ciepło, a w zamkniętej kabinie czuję się bezpiecznie. Przy każdym oddechu, gdy nacieram się żelem i nakładam szampon na włosy, dolatuje mnie woń migdałów i egzotycznych owoców. Reid. Nie miałam pojęcia, że tak dobrze pamiętam jego zapach. Cała w nim tonę. Nie chcę zakręcać wody, chcę tak stać, póki cała moja skóra nie pokryje się zmarszczkami.

Moje ciuchy cuchną potem, papierosowym dymem i alkoholem. Za nic nie włożę ich na siebie. Na ławie, obok maleńkiej torebki, czeka stosik złożonych ubrań. Czarne płócienne szorty, miękka biała podkoszulka na ramiączkach i niebieska bluzka, zapinana z przodu na drobne zatrzaski. W pierwszej chwili postanawiam, że nawet przelotnie nie spojrzę na metki. Zaraz potem zerkam i natychmiast tego żałuję. Ten zestaw musiał kosztować tyle, ile większość rodzin wydaje miesięcznie na spłatę kredytu za mieszkanie.

Reid puka cicho do drzwi, odczekuje trzy sekundy i otwiera. Omiata mnie spojrzeniem, gdy stoję zawinięta w ręcznik, z mokrymi, klejącymi się do pleców włosami.

– Myślę, że powinny być dobre. – Wskazuje głową ubrania i wchodzi głębiej do łazienki. – Nosisz chyba ten sam rozmiar co moja mama.

– To ubrania twojej matki? – Kręcę głową i tego też natychmiast żałuję. – Nie mogę ich założyć.

– Oczywiście, że możesz. Chyba, że wolisz wracać do domu w ręczniku. – Jego spojrzenie wędruje w dół, wzdłuż mojego ciała i, już wolniej, z powrotem ku twarzy. – Jeśli chcesz, możesz je potem oddać. – Wzrusza ramionami. Wyraźnie nie dba o to, czy rzeczywiście mu to wszystko zwrócę.

– Najpierw je na pewno wypiorę – obiecuję. – Dzięki. – Wstydliwie rozczesuję włosy, próbuję się pozbyć co bardziej zbitych kołtunów. Przez cały czas unikam jego spojrzenia.

Reid podchodzi bliżej i podaje mi butelkę wody. Piję z wdzięcznością.

– W tej szafce znajdziesz suszarkę, odżywki i resztę babskich dupereli – pochyla się i otwiera drzwiczki. Po chwili wyciąga jakąś buteleczkę i wylewa sobie trochę płynu na dłoń. – To ci pomoże rozczesać włosy – wyjaśnia, wplatając palce

między moje wilgotne kosmyki. Zaczyna je delikatnie rozdzielać, a ja przypominam sobie chwilę, kiedy usuwał mi z głowy kawałeczki owoców, w zupełnie innej łazience, mniej więcej milion lat temu.

Przymykam oczy, piję wodę małymi łykami i pozwalam mu działać. W pewnej chwili z wysiłkiem podnoszę powieki i patrzę prosto na niego.

– Reid, czy my....?

Palce chłopaka nieprzerwanie, ostrożnie suną wśród moich włosów. Na jego twarzy maluje się istic anielska niewinność.

– Czy my co...?

Mam ochotę znowu zacisnąć powieki, ale muszę widzieć jego oczy, kiedy mi wreszcie odpowie. Chcę mieć pewność, że nie skłamię.

– Czy się ze sobą przes... przespaliśmy?

Obrzuca mnie tym swoim, tak dobrze mi znanym, rozbawionym spojrzeniem.

– Dori, obudziłaś się przecież w moim łóżku. I owszem, spałem z tobą.

– Och... – Zwieszam głowę i wbijam wzrok w podłogę. Przespałam się z Reidem i zupełnie tego nie pamiętam.

– Dori – podejmuje i urywa, dopóki nie spoglądam mu na powrót w oczy. – Nie rób takiej przerażonej miny. Spaliśmy ze sobą. Tylko. Nie zajmuję się nieprzytomnymi dziewczycami.

Głośno przełykam ślinę. Oczywiście, że zakłada to samo, co wszyscy moi znajomi. Dori Cantrell – wcielenie klasztornej czystości.

Rozdział 38

Reid

Nie mówię jej jednego: zrobiła niemal wszystko co tylko możliwe, bym złamał tę swoją zasadę. Oczywiście nie mam ścisłego kodeksu postępowania z poderwanymi dziewczynami. Sypiałem już z dziewczynami i z laskami równie nawalonymi jak ja. W pewnym momencie uznałem jednak, że w miarę możliwości nie będę tego łączyć.

To z kolei prowadzi do drugiej, przemilczanej przeze mnie sprawy. Gdybym nie znał Dori, jej zachowanie z klubu kazałoby mi zmienić zdanie co do jej pozornej niewinności. A to, co wydarzyło się między klubem a moim łóżkiem, nie pozostawiło zbyt wielu wątpliwości.

Naturalnie nie było mowy, bym dostarczył ślaniającą się, pijaną dziewczynę na próg jej ojca pastora. Uznałem więc, że zabiorę ją do siebie. W samochodzie Dori nieco odżyła. Oparła głowę na moim ramieniu, a jej dłonie zaczęły krążyć po mojej piersi... Gładziły moją koszulę, wsuwały się pod nią... Leniwie kreśliła palcami koła wokół wszystkich wrażliwych części mojego ciała, jakich była w stanie dosięgnąć. Kiedy dojechaliśmy do domu, byłem pewien, że oszaleję.

Nie przestała mnie nękać kiedy niosłem ją po schodach do sypialni. Gdy ułożyłem ją na łóżku, oplotła moją szyję ramionami i zaczęła mnie całować. Głęboko, bez cienia wstydu, przywierając do mnie całym ciałem. Nie powstrzymałem się, odpowiedziałem na te pocałunki i przyciągnąłem ją mocno do siebie. Mój język badał jej usta, moje palce i dłonie przypominały sobie gładkość jej skóry. Zrzuciliśmy buty i padliśmy na materac. Szorstkim ruchem wciągnąłem Dori na siebie. Spódniczka zwinęła się jej wokół bioder i chwyciłem ją za uda. Zawisła nade mną i wciąż mnie całowała, a jej biust niemal wylewał się z głęboko wyciętego dekoltu cienkiej bluzeczki.

Kiedy jej dłoń odnalazła pierwszy guzik rozporka moich dżinsów i rozpięła je szarpnięciem, chwyciłem ją za przegub i wydałem z siebie zduszone „Dori!”. Zamarła i spojrzała na mnie swymi ciemnymi, bardzo ciemnymi, szklistymi oczyma... Wargi miała nabrzmiąle i tak wilgotne... Nawet teraz, gdy przypominam sobie, jak seksownie wyglądała, czuję rosnące podniecenie. W jaki sposób udało mi się zrobić to, co zrobiłem zaraz potem, nie mam bladego pojęcia.

– Dori, spać! – rzuciłem.

W jej spojrzeniu pojawiło się najgłębsze zdumienie.

– Nie chcesz mnie...? – spytała drżącym, rwącym się głosem.

Aż jęknąłem.

- Chcę, oczywiście, że chcę. Ale ty tego nie chcesz.
- Nie chcę? – Zamrugła ze zdziwienia.
- Nie.
- Ach... – Czoło Dori przecięła płytka zmarszczka.

Nie dodając ani słowa, położyła się, wtuliła we mnie i zapadła w sen. Pogodziła się z moją sugestią tak szybko, że niemal poczułem się urażony. Nie wiem, jak długo leżałem, zastanawiając się jak koszmarnym kretyńcem trzeba być, żeby odmówić takiej propozycji, nawet jeśli złożonej niezupełnie na trzeźwo. Miałem wrażenie, że zachowałem się nieracjonalnie. Pozwoliłem jej zasnąć. Ba! – sam kazałem jej spać, zamiast przewrócić na plecy, całować i pieścić, dopóki podniecenie nie sprawiłoby, że sama by poprosiła, byśmy dokończyli to, co już się zaczęło.

Gdy zdusiłem już pragnienie, by Dori zbudzić i posłać swoje moralne dylematy do wszystkich diabłów, objąłem ją ramieniem, przytknąłem dłoń do jej brzucha i myślałem o tym, co robiła, zanim zasnęła. Byłem pewien, że nic z tych rzeczy nie stanowiło dla niej nowości, coś podpowiadało mi, że wcale nie dotarliśmy do granic jej doświadczenia.

Takiej Dori nie znam. Coś ważnego musiało się wydarzyć pomiędzy wczorajszą nocą a tamtą, kiedy całowałem ją, myśląc, że będzie to nasz ostatni raz i gdy zostawiłem ją przed domem rodziców – słodką, przyzwoitą i twardą jak stal. Nie wiem, skąd się wzięła w tym klubie, w stroju dziewczyny szukającej jednorazowej przygody. Nie mam pojęcia, dlaczego wlewała w siebie kolejne drinki z determinacją człowieka pragnącego zapomnieć. A już zupełnie nie rozumiem, dlaczego postanowiła wyjść z tym kolesiem.

Wiem jedno – muszę się tego dowiedzieć.

Zostawiłem ją w łazience z ręcznikiem i trudnym do odczytania wyrazem twarzy. Nie wydaje się zła, choć zadowolona też nie jest. Poza tym, naprawdę nie umiem ocenić. Słyszę, jak się krząta, woda z kranu raz płynie, raz nie. Myślę o jej jedwabistym różowym staniku, wyobrażam sobie, jak wyglądała pięć minut temu, stojąc nago pod moim prysznicem. Dolatuje mnie szum suszarki i myślę o Dori ledwie owiniętej ręcznikiem. Widzę w duchu, jak sływa z niej na podłogę...

Kurde.

Dwa dni temu agent podesłał mi świeżą porcję scenariuszy. Próbuję je czytać, siedząc na niezaścielonym łóżku, lecz pościel wciąż przypomina mi o wczorajszej nocy. Przenoszę się więc na fotel pod narożnym oknem i czytam dalej, do momentu, kiedy uświadamiam sobie, że nie rozumiem ani słowa. Zamykam laptop, odkładam go na podłogę, przierzucam nogi przez podłokietnik, a plecy opieram o drugi. Splatam dłonie na karku i, wpatrzony w drzwi łazienki, czekam, aż pojawi się w nich Dori.

Dori

Bez bielizny czuję się dość dziwnie, lecz na szczęście jestem już czysta, a ubrania okazały się miękkie i na tyle obszerne, że niczego nie zdradzają.

Szafka, którą pokazał mi Reid, przypomina luksusową drogerię. Pełno w niej profesjonalnych kosmetyków do włosów, kremów, nierozpakowanych szczoteczek do zębów i jednorazowych maszynek do golenia. Jego staranne zabiegi sprawiły, iż włosy rozsypały mi się po ramionach wilgotnymi falami. Podsuszam je suszarką, niezbyt długo – same doschną. Przez chwilę na przemian zapinam i rozpinam maleńkie zatrzaski niebieskiej bluzki i wreszcie decyduję się odsłonić górny fragment białego podkoszulka. Ostatnie spojrzenie w lustro. I jeszcze jedno, tak dla zyskania czasu.

Gdy wychodzę z łazienki, Reid odzywa się spokojnie i cicho, jakby nie chciał mnie spłoszyć:

– Moja mama ma stopy jak niemowlę. W jej buty się nie zmieścisz, ale wysłałem już Mayę do miasta i coś ci przyniesie. Niedługo powinna wrócić. – Podnosi się z fotela i podchodzi do mnie ze zmysłową gracją, jakiej pozazdrościłby mu niejeden zawodowy model.

– Przyniesie mi coś? – marszczę brwi. – W sensie, że co? Buty? Kupi je dla mnie?

Zbywa pytanie wzruszeniem ramion.

– Jesteś może głodna? Myślę, że powinnaś coś zjeść, nawet jeśli nie masz ochoty. – Ujmuje mnie za rękę, jakbym była niewidomym dzieckiem w obcym miejscu, dziewczynką, która nie da rady pokonać labiryntu pokojów, drzwi i korytarzy – Zajrzyjmy do kuchni, może na coś się skusisz.

Zmierzamy przez dom i oszalałam na przepych, który Reidowi wydaje się czymś zupełnie naturalnym. Wszystko jest tutaj śliczne i wysmakowane: od wiszących na ścianach obrazów, przez lampy, aż po chłodne, marmurowe posadzki, na których tu i ówdzie leżą wysepki miękkich dywanów. Na ścianach nie ma pęknięć, które trzeba maskować farbą, czy doniczkowymi kwiatami, parkiety nie skrzypią, a mebli nie kupiono na garażowych wyprzedazach. Skrzynki elektronicznego sprzętu są wielkie i przytłaczające, głośniki wbudowano w ściany. Reid nawet na moment nie wypuszcza mojej dłoni; to dobrze, bo gapię się tak, że na pewno wpadłabym prosto na jakąś szafę lub kolumnkę. Nie, to nie jest miejsce dla mnie.

– Immaculada! Właśnie ciebie w tej chwili potrzebujemy! – Wchodzimy do kuchni przez rzeźbione drzwi z kryształowymi szybami. Połączenie nierdzewnej stali, granitu i ciemnego drewna sprawia, że pomieszczenie sprawia wrażenie

równie imponujące jak pozostałe części domu. Zamykam usta i odwracam się – dotarło do mnie, że Reid mnie właśnie komuś przedstawia.

– Seniorita – odzywa się kobieta z akcentem, jaki znam ze swojej dzielnicy.
– Miło mi poznać.

Jest zaokrąglona w talii – to typowe dla średniego wieku – a włosy zaplotła w ciasny warkocz. I ma na sobie mundurek! Mimo, że zachowuje się przyjaźnie, wyczuwam w niej swoistą rezerwę. Czerwienię się po same czubki uszu. Musiała się przecież domyślić, że spędziłam tutaj noc.

– Dzień dobry pani, mnie też jest bardzo miło. – Jeszcze nigdy nie czułam się tak niezręcznie. Chociaż nie, podobnie nieswojo zrobiło mi się wczoraj, w tym klubie. Nie wystarczy powiedzieć, że wyszłam ze swojego bezpiecznego, znajomego świata. Wystrzeliłam się z niego z katapulty. W tej chwili nie marzę o niczym więcej jak o powrocie w znane sobie rejony.

Immaculada wychodzi z kuchni, a Reid pociąga mnie za rękę i sadza za niewielkim stolikiem pod oknem. Za szybą, pod wysokim, otaczającym posiadłość murem, jakiś mężczyzna przycina kwitnący krzew, nadając mu kształt idealnej kuli – całości nie mąci nawet jeden nieposłuszny płatek, gałązka czy listek. Ktoś inny zbiera ścinki z trawnika i ładuje je do worków, które ładują na specjalnym elektrycznym wózku. Tak, właśnie to ludzie mają na myśli, mówiąc: „posiadłość” zamiast „przydomowy ogródek”. Jasny gwint!

Tuż przede mną pojawia się biały porcelanowy talerzyk, na którym czeka tost i niewielki, prosty omlet. Zaraz za elegancko złożonymi serwetkami i srebrnymi sztućcami stoi ciężka karafka z sokiem pomarańczowym. Reid siada obok mnie, a ja nerwowo przełykam ślinę. Nie wiem, czy zdołam wmusić w siebie choć jeden kęs. Sok jednak smakuje świeżo, na toście lśni cienka warstwa masła i udaje mi się zjeść nawet nieco omletu. Posilamy się w milczeniu, słychać tylko brzęk srebra na porcelanie i odgłosy przeżuwania. Po chwili czuję się już trochę lepiej. Po Reidzie nie widać ani śladu kaca – pochłonął porcję trzy razy większą niż ta, która trafiła na mój talerz, a wszystko popił kawą, na myśl o której mój żołądek zaczyna gwałtownie protestować.

Kiedy ocieram wargi miękką serwetką, chłopak odsuwa od siebie talerz i splata dłonie na blacie.

– Powiesz mi, co się stało? – pyta, nie siląc się na zawile wstępy.

Po raz pierwszy od wyjścia z łazienki patrzę mu prosto w oczy. W wesołej, słonecznej kuchni, jego twarz wciąż zapiera mi dech w piersiach. Na zadane pytanie mogłabym odpowiedzieć na tyle różnych sposobów, że nie wiem, od czego zacząć.

– Jak to?

– Przez długi miesiąc, niemal codziennie, tyrałem jak wół w towarzystwie dziewczyny, która wyglądała kropka w kropkę jak ty. Ale tamta dziewczyna i ta,

którą uratowałem wczoraj w nocy, różnią się od siebie jak dzień i noc. Dlatego się dziwię. Skąd taka zmiana?

Próbuję odpowiedzieć, ale najpierw muszę odchrząknąć.

– Uratowałaś?

Wyraz twarzy Reida nie zmienia się ani o jotę, tylko jeden z mięśni w pobliżu jego szczęki delikatnie gra.

– Byłaś w sztok pijana i wybierałaś się do domu z jakimś debilem. Jestem pewien, że to nie był twój znajomy. Jasne, nie wiem na sto procent, do czego by doszło, ale nie zanosilo się, byś miała wyjść na tym najlepiej.

– Och... – Serce wali mi jak młotem. Nie jestem dziewczyną chętną, by ktokolwiek ją ratował. Nigdy taka nie byłam. Nawet kiedy durzyłam się w Colinie, zakochałam się raczej w micie – byłam przekonana, że naprawdę się kochamy. Że weszliśmy w ten związek na równych prawach. Owszem, miałam świadomość, że jest starszy i bardzo popularny. Od początku mnie to fascynowało, lecz te kwestie nie były dla mnie najważniejsze. Kiedy się rozstaliśmy, nie przejęłam się utratą towarzyskiej pozycji, a właśnie samej miłości. Gdy dotarło do mnie, że cała nasza znajomość opierała się na kłamstwie, serce omal mi nie stanęło.

Kiedy słyszę słowa Reida – a nie mam najmniejszego powodu mu nie wierzyć – wracają do mnie strzępy wspomnień. Tak, wiem że to wszystko prawda, i wiem, że mnie uratował, dlatego że sama nie chciałam siebie ratować. Czuję się jak dziecko, które beztrąsko, nie rozglądając się na boki, wybiegło na ulicę – dziewczynka, którą dorosły złapał za rękę i pyta: „Coś ty sobie myślała?”. Nie przychodzi mi do głowy żadna dobra odpowiedź. Wczoraj w nocy w ogóle nie myślałam, chciałam po prostu przestać czuć.

– No więc? – Reid mierzy mnie spokojnym spojrzeniem. Mówi cicho i powoli, lecz z naciskiem. – Co się dzieje?

Nie bez trudu przywołuję w myślach sprawę, o której starałam się przez całą noc zapomnieć. Po raz pierwszy od dawna w oczach stają mi łzy. Biorę głęboki oddech.

– Mam siostrę. Deb. Pamiętasz?

Reid zachęcająco kiwa głową. Wpatruję się w stygnący omlet i rozsypane na talerzu okruchy pieczywa.

– Deb miała wypadek. Upadła i uderzyła się w głowę. Jest teraz praktycznie w śpiączce. Nie może chodzić, nie potrafi nawet samodzielnie jeść. Mruga tylko i od czasu do czasu zmienia nieco wyraz twarzy, ale nikomu nie patrzy w oczy i... nie mówi. Lekarze twierdzą, że dźwięki, które niekiedy z siebie wydaje, to po prostu kwestia wariujących nerwów.

Łza odrywa się od mojej rzęsy i z cichym pluskiem spada na talerz. Niemal natychmiast wsiąka w ostatni kawałek tosta. Przykładam serwetkę do oczu. Dobrze przynajmniej, że zdążyłam zmyć makijaż.

– Byłyście ze sobą... bardzo blisko? Wiesz, ja jestem jedynakiem – przy ostatnim słowie głos chłopaka nieco się łamie – nie wiem, jak wygląda taka relacja. Deb jest od ciebie kilka lat starsza, prawda?

– Osiem. Ale naprawdę byliśmy ze sobą mocno zżyte. – Wysiłek powstrzymywania powodzi łez jest prawie nie do zniesienia. Czuję się, jakbym miała posiniaczone gardło, szyja boli, jakby ktoś zdzielił mnie pięścią w podbródek. – Jest moją najlepszą przyjaciółką.

Reid kładzie dłoń na mojej, wolną ręką przeczesuje włosy.

– Kurde, do dupy taka akcja – rzuca, po czym wypuszcza głośno powietrze i patrzy mi w oczy. – Przepraszam, chyba jednak nie umiem pocieszać.

Kącik moich ust wędruje ku górze. Jakimś cudem Reid powiedział tę jedną, nietypową kwestię, na jaką nie zdobyłby się nikt inny.

– Nie przepraszaj. Masz rację. Dzięki.

W kuchni pojawia się kolejna umundurowana gosposia. Ta jest niska i szczupła i porusza się z taką energią, że od samego patrzenia znów zaczyna mnie boleć głowa.

– Ja przyniosła adidas i te takie ze sznureczkiem – mówi. Natychmiast zalewam się rumieńcem.

Reid znacząco chrząka i nachyla się ku mnie.

– Wiesz, ona miała na myśli klapki, nie stringi. Jeszcze się uczy.

– Ja kupiła dwa albo trzy rozmiary – pokojówka, nie zwracając najmniejszej uwagi na moje zaczerwienione oczy nie robiąc niczego, przez co musiałabym się wstydzić, że siedzę w cudzym ubraniu, wyciąga z dwóch foliowych siatek pudełka z butami. Otwiera je i pokazuje zawartość, zdecydowanie przekraczającą możliwości mojego budżetu. Kurtka na wacie! Przyniosła aż dwie pary kłapek z Coacha. Nawet nie wiedziałam, że w Coachu można kupić klapki, a teraz, proszę, mam je na wyciągnięcie ręki. Są też adidas i marek, których nazwy brzmią jeszcze groźniej.

– Dzięki, Maya – odzywa się Reid. Kobieta uśmiecha się i znika z kuchni.

Chociaż zostaliśmy sami, pochylam się bliżej. Wydaje mi się, że zaraz dostanę ataku serca, a nie mam pojęcia, czy on zna choćby podstawy pierwszej pomocy.

– Nie mogę ich przyjąć.

– Te przymierz – mówi, nie komentując moich słów, po czym wyciąga z pudełka parę kłapek.

Widząc, że nie reaguję, pochyla się i, trzymając mnie za łydkę, wsuwa mi je na stopy. Jejku, jejku, jejku – ta jego dłoń na mojej nodze...

Pasują idealnie. Jestem Kopciuszką, tyle że niemającą złej macochy. Oczywiście w moim życiu brakuje też dobrej wróżki, a już na pewno nie jest mi pisana przyszłość na królewskim dworze. Pojawił się tylko piękny książę, który

właśnie podarował mi parę strasznie niepraktycznych butów.

– No dobrze, ale zwrócę je razem z ubraniami...

– Po co? Przecież nie będę ich nosił. Źle bym wyglądał... Nie mój styl – uśmiecha się Reid. – Proszę, zatrzymaj je.

– Ale...

– Nie.

– No, ale...

– Nie!

– Dzień dobry, Luis. – Lekko zarumieniona, pozdrawiam kierowcę Reida, którego pamiętam ze swojej jedynej przejażdżki tą limuzyną, z wieczora, kiedy wybraliśmy się na kolację. Niektórym dziewczynom zawstydzająca defilada zdarza się, gdy wracają do domu nad ranem przez uśpione osiedle. Mnie czeka cały taki dzień. Luis odpowiada ciepłym uśmiechem i przytyka palce do daszka czapki szofera.

Reid wsuwa się na siedzenie obok mnie. Oczy zasłonił lustrzanymi okularami. Nasze złożone na kanapie palce dzieli tylko kilka cali, ale chłopak nie przysuwa dłoni bliżej. Jeśli nie liczyć przeniesienia mnie do łazienki, trzymania za rękę po drodze do kuchni i gestu pocieszenia, gdy opowiadałam o Deb, od rana mnie nie dotknął.

Kiedy jedziemy w stronę uniwersytetu, wracają do mnie kolejne urywki zeszłej nocy. Nie pamiętam co prawda faceta, z którym – podobno – chciałam wyjść, ale przypominam sobie chwilę, gdy Reid objął mnie ramieniem i jego słowa: „John, możecie wziąć hummera?”

Ten sam chłopak – John? zaprowadził mnie do taksówki i pomógł wsiąść.

– Czyli to ty jesteś tą Dori? – spytał, zaglądając do środka, po czym, nie zamykając drzwi, usiadł i zwrócił się do kierowcy. – Słuchaj, facet, który z nią pojedzie, zaraz się pojawi. Ważne, żeby trzymać się z dala od paparazzi, dobra?

Przymknęłam oczy, w pełni odczuwając skutki ostatniego drinka, zwielokrotnione alkoholową mocą czterech wcześniejszych. Czterech albo pięciu. Rozpaczliwie przytrzymałam się siedzenia, lecz wciąż jechałam rozpędzoną karuzelą, z której za nic nie byłam w stanie wsiąść. Przez szczeliny powiek przedarły mi się jakieś błyski, jakby odległe błyskawice. Moment później doleciał mnie głos Reida.

– Dzięki, stary.

Siedzenie zafalowało. Zajął miejsce przyjaciela. Trzasnęły drzwi. Podał taksówkarzowi adres, objął mnie ramieniem, a ja wtuliłam się w jego stabilną pierś. Zacisnęłam oczy, a świat wirował i wirował. Potem nie pamiętam już nic, aż do rana.

Piszę SMS-a do Kayli. Daję jej znać, że muszę dostać się do akademika. Od wczorajszej nocy przysłały mi z Aimee dziesiątki wiadomości. Moje nagłe zniknięcie mocno je przeraziło. Bały się, że spotkało mnie coś złego. Okazuje się, że kiedy sygnalizowałam Aimee, iż wychodzę, pomyślała, że chwałę jej taniec. Coś mi mówi, że musimy popracować nad pijackim językiem migowym. Tyle że już nigdy w życiu nie chciałabym przeżyć czegoś takiego jak wczoraj.

Samochód zatrzymuje się przed budynkiem. Dziewczyny siedzą już na schodkach. Nie widząc wnętrza, nie spodziewają się, że to ja. Nie przerywają rozmowy i rzucają tylko kilka ukradkowych spojrzeń, by się przekonać, kto zajechał taką limuzyną.

– Dziękuję – zwracam się do Reida. Zdjął właśnie okulary. – Pod jakim adresem odesłać ubrania?

– Na pewno cię nie namówię, żebyś je zatrzymała?

Kręcę przecząco głową.

Uśmiecha się kącikiem ust.

– Wpisałem ci swój numer do telefonu. Zadzwoń albo napisz. Coś wymyślimy.

Nim Luis otwiera drzwi, Reid bierze mnie za rękę i gładzi wrażliwe miejsce między kciukiem a palcem wskazującym.

– Będiesz na siebie uważać? – pyta, zakładając z powrotem okulary.

Potakuję skinieniem. Czuję się jak naiwniaczka, skończona idiotka. Wciąż nieco skacowana wysiadam i podchodzę do oszołomionych przyjaciółek, ubrana w markowe ciuchy, bez bielizny, z przepoconym wczorajszym zestawem, wciśniętym do siatki ze sklepu z drogim obuwem.

– Przepraszam, czy ty właśnie wysiadłaś z samochodu znanego aktora? – pyta Kayla, wpatrując się w odjeżdżającego mercedesa.

– Hola, to klapki z Coacha?! – zachłystuje się Aimee, po czym sięga do mojej koszuli i znajduje metkę. – O Boże! Versace!

Rozdział 39

Reid

Czas na ruch z jej strony. Chociaż znacznie lepiej się czuję, kiedy piłeczka trafia na moją stronę kortu. Przyzwyczailem się do kontrolowania swoich męsko-damskich znajomości – bez względu na to, czy trwają godzinę czy kilka tygodni. Kiedy wynik jest z góry wiadomy i taka relacja nie ma dla mnie znaczenia, przychodzi mi to bez trudu. Ale z Dori jest przecież zupełnie inaczej. Minęły już cztery dni. W normalnych okolicznościach wkurzyłoby mnie, że je liczę, a jeszcze bardziej, że mi zależy.

W przypadku tej dziewczyny jednak nie ma mowy o normalnych okolicznościach. Sama wymyśliła, że zwróci mi te ubrania, więc powinienem teraz zaczekać, aż się do mnie odezwie. Z drugiej strony, mógłbym ją uprzedzić. W końcu mam jej numer. Wiem też, gdzie mieszka.

Cholera, zaczynam się zachowywać jak rasowy psychofan.

– Wcześniej wstałeś. – Dzięki specyficznej modulacji głosu, tata potrafi sprawić, że teoretyczne pochwały brzmią oskarżycielsko i podejrzliwie. To prawdziwy dar.

Zdaję sobie sprawę, że uwaga była zarazem przynętą i nie zamierzam połknąć haczyka. Nawet się nie odwracam, po prostu obieram dalej pomarańczę. Odrywam od mięszu kawałki gładkiej skórki i wrzucam je do zlewu.

– Za godzinę mam spotkanie z George'em. Będziemy rozmawiać o nowych scenariuszach. – Wkładam cząstkę owocu do ust. Opieram się pokusie, by zlizać z palców krople soku. W obecności ojca staram się nie ulegać żadnym impulsom, nie chcę mu pokazywać, że cokolwiek sprawia mi przyjemność. Nagle uświadamiam sobie, że sam nie wiem, dlaczego tak jest.

– Mhm... – mruczy, najbardziej obojętnym tonem świata. Kątem oka zauważam, że z ciasno zmarszczonymi brwiami wpatruje się w pusty kubek, który trzyma w lewej dłoni. W prawej trzyma dzbanek z kawą. Wygląda, jakby zapomniał, jak się nalewa. Nie patrzy na mnie, a ja rozważam w duchu, czy po prostu wyjść, czy zaczekać na jakąś sensowną wypowiedź. Postanawiam, że odliczę najpierw do pięciu.

– Pojawiło się coś ciekawego? – pyta, gdy dochodzę do trzech.

Zgarniam łupiny pomarańczy do odpływu i włączam niszczarkę odpadków. Cytrusowy zapach kręci mnie w nosie i cieszę się nim niemal tak samo jak

warkotem silniczka, który pozwala mi nie odpowiedzieć od razu.

– Ze dwa scenariusze. Jeden ma szansę na pozytywne oceny krytyków, mówi się nawet o Oskarze. Drugi to typowy film akcji. Niezbyt mądry, ale za to więcej by zarobił.

– Mhm... – powtarza ojciec. Dziwna sprawa. Zwykle w takich momentach wygłasza uszczypliwe komentarze dotyczące mojej pracy. Szczególnie gdy mowa o pieniądzach, ten człowiek zachowuje się nie jak mój własny tata, a ktoś obcy. Chwilę potem wyciąga z teczki gruby plik papierów. Nie pamięta już o moich przyszłych filmach. Odkłada na bok wielki spinacz i zaczyna wertować dokumenty. Zaznacza coś na środku strony.

Tata jest ekspertem od umów. Jego wprawnemu oku nie umknie żaden kruczek, choćby został ukryty wśród tysiąca niepozornych paragrafów. Właśnie dlatego klienci płacą mu – jak to ujmuje John – „od pyty kasy”. Szkoda, że nie przykłada aż takiej uwagi do emocjonalnej strony życia. Właśnie dlatego wszystko, co robimy ja i mama, zaskakuje go niczym grom z jasnego nieba. Niespodziewanie przemyka mi przez myśl pytanie, którego zwykle staram się unikać: do jakiego stopnia jestem do niego podobny? Od pewnego czasu staję się coraz lepszy w unikaniu więzi uczuciowych. W sumie to dość zabawne – moja własna reakcja obronna sprawiła, że nabrałem właśnie takich cech, przed którymi próbowałem się bronić.

Porzucam ojca na pastwę jego obsesji – pracy – i ruszam do swojego pokoju. W połowie drogi podejmuję decyzję. Jeżeli Dori nie odezwie się do wieczora, sam do niej zadzwonię.

W trakcie spotkania z George'em przychodzi SMS.

Dori: Ubrania wróciły z pralni. Pod jaki adres je wysłać?

Ja: Odbiorę je, kiedy spotkamy się jutro na obiedzie.

Dori: Jutro będę u siostry.

Ja: Przez cały dzień?

Ja: Spoko. Więc dziś wieczorem.

Upływa kilka minut, w trakcie których mój menedżer z miną świętego powtarza nazwisko reżysera jednego z proponowanych mi filmów. Raz, dwa, trzy razy, a ja wciąż go nie słyszę

– Reid, daj mi znać, kiedy oderwiesz się od tych lasek i zaczniesz wreszcie słuchać – beznamiętny ton nie pozwala mu ukryć irytacji. Zbyt dobrze go znam.

Dori: Więc kolacja dzisiaj?

Ja: Ha ha! Tak. Kolacja dzisiaj.

– Słucham – zapewniam George'a. Odliczam sekundy do kolejnego SMS-a. Raz po raz włączam ruchem kciuka telefon, muszę wiedzieć, czy się nie rozładował. Wreszcie pojawia się odpowiedź.

Dori: Ok.

Ja: Przyjadę po ciebie o 19.

– Jakoś nie jestem przekonany – rzuca George, wciąż tym suchym jak przypalony tost tonem.

Poświęcam mu niemal całą swoją uwagę. Niemal – bo w duchu układam już plan na dzisiejszy wieczór.

Dori

I znów stoję wpatrzona w swoją szafę. Przygryzam kciuk i zastanawiam się, jaki strój powinna założyć dziewczyna zwracająca celebrycie pożyczone ubranie.

Na dół schodzę w dzinsach i białej koszulowej bluzce z rękawami trzy czwarte długości. Kiedy ostatnim razem pojawiłam się w niej w szkole, Aimee powiedziała: „Jezu, Dori, wyglądasz zupełnie jak moja mama”. Komentarz zaakcentowała pełnym politowania uśmiechem. Nie zostawiła miejsca na wątpliwości – to nie był komplement. Tyle że to samo, co w tej bluzce nie podoba się Aimee, podoba się mnie. Biję od niej wyraźny przekaz: „Nie staram się nikogo kusić”. A już na pewno nie tak, jak zwykle kuszą osiemnastki.

Mama jest w szpitalu. Pracuje dziś na drugą zmianę. Tata z kolei większość popołudnia spędził w swoim gabinecie. Ostatnio boję się tam zaglądać. Zbyt często zastaję go zapatrzonego w okno lub – co gorsza – w jakiś nieokreślony punkt, w coś co widzi wyłącznie on. Kiedy wyrywam go z otępienia, przygląda się mi – przez sekundę lub dwie – jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu.

– Cześć, tato – staję w drzwiach.

Zerka na mnie ponad oprawkami okularów i ogarnia mnie ulga. Nie podnosi dłoni znad klawiatury. Dobry znak. Naprawdę pracował. Od kilku tygodni pisanie kazań sprawia mu coraz więcej trudu. Zawsze dobrotliwie marudził, że niełatwo jest usłyszeć głos Boga. Gdy byłam mała, wychodził na korytarz i na pół surowym tonem tłumaczył, że za nic go nie usłyszysz, jeśli wciąż będę ćwiczyć w swoim pokoju fikołki. Nie pomagało mu też, kiedy dokazywałam w łóżku z Esther i mój śmiech mieszał się z jej radosnym szczekaniem. Obawiam się, że teraz komunikację z Najwyższym zakłóca mu problem zupełnie innej natury.

– Wychodzę. Nie wrócę zbyt późno.

Tata kiwa głową i wraca spojrzeniem do ekranu.

– Pozdrów ode mnie Kaylę i Aimee.

Nie od razu wyprowadzam go z błędu, lecz po krótkiej chwili karcę się w duchu. Nie ma żadnego powodu, bym ukrywała prawdę.

– Nie będę miała okazji. Umówiłam się z Reidem.

– Z Reidem Alexandrem? – Podnosi na mnie wzrok i marszczy czoło. Nie

wygląda na zagniewanego. Jest po prostu zdziwiony.

Rzadko rozmawiam z kimkolwiek o Reidzie, ale kiedy już o nim wspomnę, zawsze słyszę w odpowiedzi jego pełne nazwisko. Jakby nie mógł być po prostu Reidem. Jakby był kimś ważniejszym i wzbudzał większą sensację niż zwykły Reid ze szkoły.

– Nie znam innego Reida, tato.

– Dlaczego umówiłaś się akurat z nim? – pyta, lekko pochylając głowę.

Ojciec, naturalnie, nie ma pojęcia, że spotkałam się z nim w weekend. Nawet Aimee i Kayli wmówiłam, że wyszłam z klubu z nieznajomym – za co mnie okrutnie zbesztali, po czym zaczęły wypytywać o szczegóły dotyczące bluzki od Versace, kłapek z Coacha i mercedesa z szoferem i przyciemnianymi szybami.

Przez moment rozpaczliwie zastanawiam się nad odpowiedzią.

– Wydaje mi się, że... Wiesz, Reid chciałby wziąć udział w jakiejś akcji dobroczynnej i chce się mnie poradzić – to brzmi chyba dość prawdopodobnie. – Sam wiesz, jacy są ci bogacze.

– Niezupełnie – odpowiada tata.

Ktoś dzwoni do drzwi i Esther w jednej chwili pędzi na swój posterunek w przedpokoju. Szczeka.

– Ja w sumie też nie. – Śmieję się nerwowo i odwracam. W mojej wypełnionej poczuciem winy głowie pojawiają się obrazy oszalałej rezydencji, pokojówek w mundurkach i koszmarne drogich kłapek oraz złożonych w kostkę, modnych ciuchów, które czekają teraz w mojej torbie Mary Poppins.

Ostatni raz widziałam Reida na progu swojego domu jeszcze przed trzecią podróżą do Quito. Deb miała się niebawem zaręczyć, a ja planowałam rozpocząć studia. I sądziłam, że nie spotkam się z nim już nigdy w życiu.

Ma na sobie dzinsy i koszulę w odcieniu ciemnych śliwek, jakie lubię zjadać z dodatkiem soli. Ten zwyczaj przejęłam od Deb, jeszcze w dzieciństwie, gdy naśladowałam ją we wszystkim. Rękawy podwinął do łokci. Koszula jest wyprasowana, ale nie włożył jej w spodnie. Ciemnoniebieskie oczy Reida omiatają mnie i zaraz potem zerkają na Esther, która zaczyna ostrzegawczo powarkiwać.

– Esther! – syczę niezbyt surowo i gładzę ją po łebku. Znamy się zbyt długo i jesteśmy sobie zbyt bliskie, bym mogła mieć jej za złe, że próbuje mnie chronić.

Reid kuca przed Esther, spogląda jej w ślepią i podsuwa grzbiet dłoni pod psi nos. Esther ogląda się na mnie. Szuka zapewnienia, że nieznajomy nie stanowi zagrożenia. Kładę mu więc dłoń na ramieniu.

– Nie bój się, Esther. On mnie nie skrzywdzi.

Suczka delikatnie obwąchuje rękę chłopaka, po czym z wyniosłą miną zadziera pysk i podejrzliwie mu się przygląda. Jednocześnie moja podświadomość uwalnia mgliste wspomnienie z jego domu – Reid niesie mnie po schodach i szepcze coś, czego mój mózg nie potrafi w tej chwili odtworzyć.

Podnosi wzrok i spotykamy się oczami. Jestem pewna, że mam dziwną minę; Reid przywykł do dwóch rodzajów damskich spojrzeń: tęsknych u innych dziewczyn i moich poirytowanych. Odwracam się i zdejmuję torbę z wieszaka.

– Rany, potężny ten twój bagaż – zauważa. – Wybieramy się na szaber? A może będziemy przewozić czyjeś zwłoki?

Trącam go łokciem w bok (do jasnej Anielki! zdążyłam już zapomnieć, że on wszędzie jest taki twardy), drapię Esther za uchem, zapewniam ojca, że niebawem wrócę, i ruszam przodem do samochodu.

Nasza obiadowa kolacja składa się z kanapek, które zamówiliśmy w ciasnej knajpce na uboczu. Grube plastry pieczonej wołowiny, zapiekana bułka i zestaw wymyślnych dodatków. Całość zawijają w szary papier i odsyłają człowieka precz, bo wewnątrz wyklucza siedzenie czy choćby stanie. Po drugiej stronie ulicy znajdujemy stosunkowo osłoniętą przed oczyma ciekawskich ławkę i rozmawiamy o jego pracy w Vancouver i o moich odsuniętych w czasie studiach. Najedzeni przechadzamy się wśród sklepów, gdzie zwykła para skarpetek kosztuje tyle, ile dostają przeważnie za cały miesiąc.

– Oho! – mruczy w pewnej chwili Reid. Patrzę w ślad za jego spojrzeniem i widzę niezbyt dyskretnie ukrytego za skrzynką pocztową faceta, mierzącego w nas długą ręką obiektywem aparatu. – Nie zwracaj na niego uwagi. W pojedynkę zwykle się nie zbliżają. – Bierze mnie pod rękę, udaje, że zaciekało go coś na wystawie, po czym sięga po telefon i dzwoni do Luisa, który dwie minuty później odbiera nas ze skrzyżowania.

Zdjęcia ukazują się w niedzielę i natychmiast zaczynają się spekulacje. Na żadnej z fotografii nie dzieje się nic, co wzbudziłoby zainteresowanie zdrowego na umyśle człowieka, ale zaczynam powoli rozumieć, w jaki sposób działają tabloidy. Najważniejszy jest skandal. Dłoń na moim łokciu zostaje wyrwana z kontekstu, podobnie jak moja nachylona ku niemu sylwetka – śmiałam się z jakiegoś żartu, gdy jedliśmy kanapki. Wychodzi na to, że paparazzi obserwował nas na długo przedtem, zanim go wypatrzyliśmy.

Wkrótce komuś udaje się powiązać dziewczynę, z którą Reid Alexander spędził wtorkowy wieczór, z dziewczyną z Habitatu, która latem spadła mu na głowę. Zdobycie mojego nazwiska okazało się bardzo proste, podobnie jak bez trudu „zebrano dane” na temat czasu trwania i intensywności naszego skrywanego romansu. Bo oczywiście, musi to być romans.

Zasypują mnie SMS-y od Kayli i Aimee, a także od innych osób – część ledwo kojarzę, niektórych wręcz nie znam. Reporterzy i fotografowie obozują przed moim domem, nie odstępują mnie na krok.

Reid dzwoni z przeprosinami, ale ja całą sprawę bagatelizuję.

– Przeżyję. Tym razem przynajmniej nie wyszłam na niezdare.
Wybucho śmiechem.

– W takim razie, może chciałabyś wyskoczyć dokądś w weekend? Może pójdziemy na jakiś klasyczny film? Wydaje mi się, że gdzieś grają *Zmarłych*. Widziałas?

– Johna Hustona? Uwielbiam! – Nie dodaję, że ta adaptacja niesamowitego opowiadania Jamesa Joyce’a jest również jednym z ulubionych filmów Nicka.

– Naprawdę? Ja też – w głosie Reida słysząc uśmiech.

– Nie chcemy, żebyś się z nim dłużej spotykała.

Wpatruję się w twarze rodziców. Siedzimy przy małym stoliku w kuchni, mama naprzeciwko, tata trochę z boku. Czekają na moją reakcję. Wszyscy jesteśmy wyczerpani – rzuciliśmy się w wir pracy i działań charytatywnych, by nie mieć ani chwili wolnego czasu na myślenie o Deb lub zastanawianie się, dlaczego Bóg pozostawił ją przy życiu, lecz odebrał jej osobowość.

– Nie rozumiem – odpowiadam po chwili. – Przecież nic się nie stało. I nic się nie stanie. Spotkaliśmy się po prostu i rozmawialiśmy. Myślę, że jesteśmy przyjaciółmi.

Tata wbija wzrok we własne dłonie, złożone na blacie jak do modlitwy. Albo jakby o coś mnie prosił.

– Nie potrafimy temu chłopcu zaufać. To nieodpowiednia znajomość dla ciebie. Na pewno sama rozumiesz, że nie rozwinie się w stosowny sposób. A póki mieszkasz tutaj...

Zapiera mi dech w piersiach.

– Tato, ty tak na serio? Dopóki mieszkam pod twoim dachem? Mamo...?

– Dori, skoro ta historia jest ci tak obojętna, jak twierdzisz, nie widzę powodu, żeby kruszyć kopie...

Argumentuje rzeczowo i logicznie, do czego jestem przyzwyczajona, lecz mówi ściśniętym głosem, co jest już niecodzienne. Ten ton nie pasuje do kobiety, która kochała mnie przez całe życie.

Słyszę w uszach szum krwi, policzki oblewa mi gorący rumieniec. Dotąd rodzice zachowywali się niemądrze tak rzadko, że w zasadzie pamiętam każdą z tych chwil. Niemądrze było kazać dziewięcioletniej dziewczynce codziennie czyścić zęby nicią dentystyczną. Niemądrze było zmuszać jedenastolatkę do stosowania kremu przeciwsłonecznego z filtrem 45. Niezbyt rozsądnie postąpili, zabraniając mi w wieku trzynastu lat oglądania filmów, w których choćby hipotetycznie mogły się pojawić erotyczne sceny bądź wulgaryzmy. Zastanawiam się, czy nadejdzie kiedyś moment, gdy przypomnę sobie dzisiejszą rozmowę i uznam, że mimo wszystko mieli rację. Że to ja zachowałam się nieracjonalnie.

– Nie pamiętam, bym coś takiego powiedziała – odzywam się.

– Dori... – podejmuje tata i otwieram usta, by zaprotestować, ale obojgu nam przerywa mama.

– Koniec dyskusji. – Zdecydowanym ruchem odsuwa się z krzesłem od stołu i wstaje. Mebel głośno szura o podłogę. – Przystaniesz się z nim spotykać. Ten chłopak nie należy do naszego świata.

– Czyli do jakiego? – spoglądam na nią z niedowierzaniem.

Mama odwraca się i wychodzi bez słowa, po drodze przywołując skinieniem ojca. I proszę, już myślałam, że moje życie nie może się stać bardziej dziwaczne.

Rozdział 40

Reid

Kolejny jej SMS zastaje mnie u Johna: „Musimy porozmawiać”.

Nie podoba mi się to. Odpisuję, że za moment oddzwonię, sięgam do lodówki po piwo i wychodzę na balkon. Z tej wysokości zalane światłami centrum miasta sprawia wrażenie jakby je udekorowano świątecznymi lampkami. Żałuję, że nie ma przy mnie Dori. Widok jest fantastyczny, a twarzą w twarz łatwiej mi rozmawiać. Jestem bardziej przekonujący i lepiej odczytuję emocje drugiej osoby.

Ta dziewczyna bezustannie mnie zaskakuje.

– Co się dzieje? – pytam przez telefon.

Odpowiada cichym westchnieniem. „Cholera”, przemyka mi przez myśl i zaczynam się zastanawiać, czy naprawdę tak łatwo się poddam.

– Aż wstyd o tym mówić... – przyznaje Dori i wzdycha raz jeszcze. Zbiera się na odwagę. Czuję się mocno niepewnie, ale silę się na cierpliwość, co nigdy nie przychodzi mi bez problemu. Kurde, przecież nie naciskałem na nią, kiedy się spotkaliśmy. Gdy odwozłem ją do domu, nawet nie spróbowałem jej pocałować. Może jednak spłoszyła ją ta afera ze zdjęciami? – Rodzice zabronili mi się z tobą widywać.

– Zaraz, czyli nie będziesz mogła jutro wyskoczyć? – Zaplanowaliśmy, że obejrzymy *Umarłych* w świeżo odnowionym, historycznym kinie, do którego często chadzałem z rodzicami, zanim mama zaczęła pić. To właśnie kinowa klasyka, filmy, które oglądałem w dzieciństwie, pchnęła mnie na ścieżkę aktorstwa.

– Nie, nie tylko jutro. W ogóle.

Odkąd skończyłem czternasty rok życia, robię wyłącznie to, na co mam ochotę. Ignoruję wszystkie zakazy, które nie wydają mi się sensowne, i każdego, kto staje mi na drodze. Rozumiem, że istnieją granice, jakich nie powinienem przekraczać itd., itp., ale mam przecież dziewiętnaście lat i trzymam właśnie w ręku butelkę piwa. Myśl o tym, że rodzice mogliby decydować, z kim mogę lub nie mogę się przyjaźnić, już pięć lat temu wydałaby mi się po prostu niedorzeczna. Tym bardziej teraz.

– Masz chyba osiemnaście lat? Czy może się mylę?

– Mam – odpowiada i znowu słyszę westchnienie. Nie jestem pewien, czy Dori ma dosyć mnie, tej nowej sytuacji, czy jeszcze czegoś innego.

– Przecież to totalnie bez sensu! – rzucam tonem nadąsanego dziecka.

– Wiem i przepraszam cię. – Przy ostatnim słowie głos więźnie jej w gardle. Mocno zaciskam dłoń na balustradzie.

Oboje milkniemy, ale mój umysł pracuje na pełnych obrotach. Wiem, że muszę znaleźć jakieś wyjście z tego labiryntu. I to natychmiast.

– Mam pomysł. Możesz powiedzieć, że umawiasz się z kimś innym. – Dla mnie to przyszcz, ale dobrze wiem, co ona sądzi o kłamstwie. – Nie masz nawet pojęcia, jak często robią to nastolatki w filmach.

Dziewczyna nie odzywa się jeszcze przez chwilę. Mam nadzieję, że się po prostu zastanawia.

– A czy niektóre z nich nie kończą potem tragicznie?

– Jasne, ale grałem już w co najmniej kilkunastu takich produkcjach i wiem jak unikać najczęściej popełnianych błędów.

W słuchawce rozlega się śmiech; przebiega mnie ciepły dreszcz.

– Nie jestem przekonana. A paparazzi?

Przeklęte fotopstryki.

– Czyli nadal za tobą łążą?

– Chyba zaczęłam ich nudzić. Dwa dni temu, kiedy rozwoziłam jedzenie z Meals-on-Wheels, jeździli za mną po całym Los Angeles. Niestety dla nich przez całe pięć godzin nie spotkałam się z żadnym celebrytą.

Wyobrażam sobie tę sytuację i parskam śmiechem.

– Ale nawet jeśli przestali się interesować mną – dodaje Dori – to ciebie przecież nie odstąpią na krok.

Przychodzi mi do głowy kolejny pomysł. Przedstawiam go jej i widzę w duchu, jak w zamyśleniu przygryza dolną wargę. Kiedy nabieram już pewności, że usłyszę „nie”, Dori Cantrell zaskakuje mnie po raz kolejny.

Odbieram już po pierwszym dzwonku.

– Jestem na miejscu – mówi bez wcześniejszego przekonania.

– Super. W tej chwili naciskam pilota od bramy – rzucam pospiesznie, nie pozwalając, by jej zwątpienie przerodziło się w rezygnację.

– Okej. Otwiera się... – odpowiada, teraz już po prostu spanikowana. – Reid, może jednak...

O nie, nawet o tym nie myśl.

– Wjeżdżaj do środka i zaparkuj jak najdalej z prawej strony. Zaraz po ciebie przyjdę.

Oto mój genialny pomysł: jeżeli nie spotkamy się na mieście, paparazzi nie zrobią nam wspólnego zdjęcia. Niestety, mój szczywany plan nie przewiduje następnych punktów, więc będzie skuteczny, jedynie dopóki nie znudzimy się tym, co można robić u mnie w domu. I tak, staram się nie myśleć o tym, czym zająłbym ją najchętniej.

– Hej! – witam się. Honda Dori ma co najmniej dziesięć lat. Drzwiczki

głośno skrzypią i zauważam, że dziewczyna krzywi na ten dźwięk usta. Rozgląda się bez słowa po przestronnym garażu, w którym spokojnie zmieściłby się cały jej dom. Wyobrażam sobie, jak to miejsce może wyglądać z jej perspektywy. Nie przeczę, to przyjemność robić na kims wrażenie, ale między imponowaniem a onieśmianiem jest spora różnica.

Biorę ją za rękę i zamykam samochód.

– Ręczna skrzynia? Fiu, fiu, nieźle! – Wszystkie dziewczyny, które znałem, jeździły z automatami. A Dori opanowała znacznie trudniejszy mechanizm. Niewiarygodnie kręcące... Hola, chłopcze, wstrzymaj konie, uspokajam samego siebie w myślach.

Dori cofa dłoń, zarzuca torbę na ramię i zaplata kosmyk włosów za ucho.

– Tak, tata z jakiegoś powodu kocha go nad życie, a to nasz wspólny samochód. W sumie nie miałam wyboru – tłumaczy, przyglądając się rezydencji moich rodziców.

Z dłońmi w kieszeniach zapraszam ją dalej i ruszamy do drzwi. Sytuacja przypomina odwrotność naszego pierwszego spotkania, kiedy moje nachalne spojrzenia dały jej do zrozumienia, że jestem skończonym dupkiem. Ciekawe, czy wchodząc wtedy do domu Diegów, miała nadzieję, że ucieknę, czy raczej martwiła się, że za nią nie pójdę. Bo właśnie tym martwię się w tej chwili. Naprawdę nie chcę, żeby zrezygnowała ze wspólnego wieczoru, i nie uśmiecha mi się, żeby wsiadła z powrotem do samochodu i ruszyła długim podjazdem do bramy.

Immaculada, jak prosiłem, zostawiła kolację w piekarniku. Tak, przyznaję, samodzielnie nie gotuję, choć jestem zaskakująco dobry w nakrywaniu do stołu. Jemy w kuchni, opowiadam jej o propozycjach, które ostatnio rozważam. Zdjęcia do obu filmów zaczynają się jesienią, więc nie dam rady wystąpić w jednym i drugim. Wciąż jednak nie potrafię się zdecydować, który scenariusz odrzucić.

– Odłóżmy na moment na bok sprawę wartości artystycznej – proponuje Dori. – Zresztą, wcale nie jestem przekonana, czy to dla ciebie aż tak ważne. – Odsuwamy puste talerze na środek stołu i dziewczyna podciąga nogi na krzesło. Jedno kolano wystaje nad blat. Przygląda mi się ciekawie z bliska. Pochyla się i podpira na łokciu. – Kiedy opowiadasz o pierwszej propozycji, w twoich oczach pojawia się błysk. Jakbyś chciał w tym filmie zagrać, nawet gdyby mieli ci nie zapłacić.

Chryste, czasami czuję się przy niej jak otwarta książka.

– Ale zapłacą. I to dużo. – Wstaję, by zaparzyć kawę.

– I dręczą cię z tego powodu wyrzuty sumienia? Wolałbyś być głodującym geniuszem? – Droczy się ze mną, to jasne. Staje obok i wkłada naczynia do zlewu. Idę o zakład, że jeśli jej nie powstrzymam, zabierze się zaraz do zmywania.

Odbieram jej talerze i odstawiam na blat.

– Widzisz, ludzie w mojej branży uwielbiają sławę. Mamy to we krwi.

Właśnie dlatego wychodzimy na scenę, dlatego stajemy przed kamerami. Łakniemy podziwu, aprobaty. I chcemy być najlepsi. A właśnie Oskar najbardziej dobitnie w całym filmowym świecie mówi: „Jesteś najlepszy”.

Naciskam guzik i rozlega się warkot wbudowanego w ekspres młynka. Zmielone nasiona trafiają do stożkowego filtra i zalewa je gorąca woda. Opieram się o blat, Dori robi to samo.

– Okej – podejmuje. – Wyobraź sobie, że dostałeś tę statuetkę. Stoi na twoim kominku. Fachowcy i koledzy docenili twój talent, krytycy rozplývają się w zachwytach. Ale wiesz też, że od tego momentu będą bez przerwy namawiać, do grania w filmach tego samego gatunku. Jak się z tym czujesz?

– Nuda – odpowiadam, zaskakując sam siebie. Dori uśmiecha się do mnie w identyczny sposób jak tata, kiedy po raz pierwszy samodzielnie zawiązałem sznurówki. Początkowo próbowała mnie tego nauczyć mama, ale tata wymyślił specjalną metodę: opowiedział, że sznurówka to króliczek, który musi obieć dokoła swoją norkę, a potem do niej wskoczyć. On także pokazał mi, jak jeść pałeczkami, jak myć zęby i jak dzielić pod kreską. A jakiś czas potem straciliśmy ze sobą kontakt. Chyba wtedy, gdy po raz pierwszy wyrzucili mamę z odwyku.

– Reid? – Dori patrzy na mnie z ukosa, jej czoło przecina delikatna zmarszczka.

– Przepraszam. – Otrząsam się ze wspomnień i zaczynam nalewać kawę. – Chodź, obejrzymy jakiś film. Ty wybierasz.

– Może któryś z twoich?

– Jezu, nie. Nie cierpię oglądać siebie na ekranie.

Oczywiście mam wszystkie filmy, w których zagrałem, ale puszczam je wyłącznie w samotności. Traktuję je jak lekkoatleta, oglądający nagrania z zawodów, by sprawdzić, jakie błędy popełnił na bieżni. I podobnie jak sportowcy, niektóre z występów uważam za genialne, a o innych najchętniej bym zapomniał.

– Naprawdę? Wydawało mi się, że aktorzy tak tylko kokietują, a w rzeczywistości, widząc swoje role, myślą sobie: „Och, jaki jestem cudowny”.

– Masz mnie – chichoczę. Rzeczywiście, to również część prawdy. Mrużę oczy, uśmiecham się lekko i unoszę brew niczym czarny charakter ze starych kryminałów. – Tyle że ja naprawdę jestem diabelsko cudowny – dodaję, naśladowując akcent przedwojennych gwiazdorów, za co nagradza mnie jej śmiech i widok różowiejącego delikatnie – i niespodziewanie – ucha. Hmm.

Dori

Boże przenajświętszy, kiedy przeszywa mnie tym swoim spojrzeniem i odzywa się z łobuzerskim akcentem, wygląda – jak powiedziałaaby Aimee – jak grzech wcielony.

Otwierają się drzwi do „sali multimedialnej” – są naprzeciwko wejścia do jego sypialni. To jedyne dwa pomieszczenia w tej części domu. Opada mi szczęka, dosłownie, nie zdołałam jej opanować.

– Jasny gwint, masz tu własne kino! – rzucam, wchodząc do sali z czterema rzędami kinowych foteli, zamontowanych na lekko pochyłej podłodze. Reid schodzi do pierwszego rzędu – zamiast fotelików stoi tam coś w rodzaju długiej sofy – i sięga po pilot. Za naciśnięciem przycisku spod sufitu w drugim końcu pomieszczenia zjeżdża ekran. Przyglądam się temu wszystkiemu z szeroko otwartymi oczyma.

– Wiesz – zwraca się do mnie – kręcenie filmów to moja praca. Kiedy je oglądam, czuję się czasami, jakbym odrabiał lekcje – tłumaczy, opadając na kanapę. Przypominam sobie o zamknięciu ust, podchodzę i siadam obok niego. Wybieramy z menu odtwarzacza jeden z nominowanych niedawno do Oscara filmów, którego żadne z nas nie miało okazji obejrzeć.

– Mocno przygnębiający – odzywa się Reid godzinę później, w trakcie rozwlekłej sceny bez dialogów.

– Krytycy pisali, że jest bardzo naturalistyczny, bezkompromisowy i w ostatecznym rozrachunku pokrzepiający – przypominam, chociaż chłopak ma rację. Film faktycznie jest przygnębiający. Trzeba się było zdecydować na romantyczną komedię. Albo coś animowanego.

– Tak? Więc mam nadzieję, że coś krzepiącego wydarzy się już zaraz, bo inaczej ta szklanka poleci prosto w ekran – mruczy Reid.

– To by była lekka przesada, nie sądzisz? – Ledwie zdążyłam to powiedzieć, dziecko głównego bohatera przegrywa walkę z rakiem i umiera.

Reid zerka na mnie i oskarżycielsko celuje w ekran wyciągniętym palcem.

– Widzisz?

– No, widzę – przyznaję i wznoszę oczy ku niebu. – Śmierć siedmiolatka jest raczej mało krzepiąca.

Nasze twarze dzieli tylko kilka cali. Siedzimy wygodnie rozwaleni na miękkiej kanapie, z nogami na wielkim skórzanym podnóżku.

– Mam propozycję... – podejmuje Reid.

Wstrzymuję oddech. Czekam na ciąg dalszy, szczęśliwa, że mogę bez skrupowania przyglądać mu się z tak niewielkiej odległości, ostrożna, lecz niemal zahipnotyzowana. – Wydaje mi się, że wybrałaś się do tego klubu, bo miałaś ochotę na odrobinę szaleństwa. A ratując cię z łap tego kretyna, odebrałem ci szansę na... hmm... realizację celu.

Nie wiem, czego się spodziewałam, lecz z pewnością nie tego. O jakim celu

on mówi? Filmowi bohaterowie zaczynają przenikliwie wrzeszczeć, ale nie zwracamy już na nich uwagi. Wpatruję się w swoją dłoń, leżącą najwyżej dwa cale od jego ręki.

– Mam nadzieję, że nie myślisz, że jestem za to na ciebie zła? – pytam półgłosem.

Opuszki palców Reida muskają grzbiet mojej dłoni. Coś ściska mnie w gardle, mam wrażenie, że płuca przestały mi pracować.

– Chodzi o to, że – ciągnie – skoro tak bardzo brakuje ci szaleństwa, to może mogłabyś zaszaleć we względnie bezpiecznym towarzystwie – kończy i spogląda w ekran. Jego ręka nie odrywa się od mojej.

W ciągu następnej godziny wygłasza jeszcze kilka uwag na temat filmu, słucha moich opinii, ale dalszych ruchów nie wykonuje, wciąż po prostu trzyma dłoń na mojej.

Wsiadam do samochodu. Lekko przygarbiony Reid stoi w białej koszulce z rękoma wciśniętymi w kieszenie dżinsów. Rześkie powietrze pachnie deszczem, jest stanowczo zbyt chłodno na T-shirty i bose stopy. Gdy wrzucam wsteczny, podnosi rękę, a ja zawracam na trzy tak sprawnie, że tata pękłby z dumy. Widzę w lusterku jak Reid wraca biegiem do domu. Nie domagał się pocałunku, nawet nie spróbował, a ja w tej chwili nie jestem w stanie myśleć o niczym innym. Przypomina mi się wniosek, który po raz pierwszy przyszedł mi do głowy kilka miesięcy temu: Reid Alexander jest diabłem. Tyle że dzisiaj o wiele lepiej rozumiem anioły, które postanowiły za jego przykładem uciec z nieba.

– Cześć, kochanie! – mama wita się z Deb. Przygryzam wargę i odwracam się, żeby wymienić stojące na szafce zwiędłe róże na pęk świeżych tulipanów. Chyba nigdy nie zdołam przywyknąć do udawanej wesołości w głosie mamy. Pewnie wyćwiczyła ten ton już dawno – może właśnie w ten sposób rozmawia ze swoimi pacjentkami – a ja po prostu nic o tym nie wiedziałam.

Mogłabym odwiedzać Deb sama, ale wtedy w pokoju panowałyby cisza.

Bez pośpiechu łamię kolejne martwe kwiaty na pół i wciskam je do kosza na śmieci. Powolnymi ruchami myję wazon. W torebce mam ogrodniczy sekator, którego nie można zostawiać w ośrodku – mieszkają tu ludzie w bardzo różnym stanie psychicznym. Ucinam cal z każdej łodygi i starannie usuwam dolne, miękkie listki. Kwiaty jeden po drugim trafiają do wody. Układam je, poprawiam, aż wreszcie dopinam swego – wyglądają promiennie i wesoło. Kiedy osiągam zamierzony efekt mama kończy właśnie karmić Deb truskawkowym jogurtem. Podaje jej łyżeczką maleńkie porcje – scena zupełnie jak na naszych starych kasetach wideo, z czasów kiedy Deb była niemowlęciem.

Gdybym na to patrzyła, ugięłyby się pode mną kolana. Dlatego nie patrzę.

Myjemy Deb głowę. Wygolone przed operacją miejsca zaczynają już zarastać. Z uwagi na wygodę strzyżemy je dość krótko. Opadają loczkami wokół wciąż ładnej twarzy. Wyciągam z torebki pomadkę i nakładam ją na spierzchnięte wargi siostry. W tej samej chwili do pokoju wchodzi jej współlokatorka. Ma na sobie szlafrok, który mama kupiła Deb w zeszłym miesiącu i który jakiś czas temu zniknął. Podobnie jak skarpetki z różowym logo Nike i drewniana szczotka do włosów. Mama zaciska zęby, a kiedy wychodzimy, składa w recepcji oficjalne zażalenie. Odpowiadają, że „przyjrzą się sprawie”. Nie wierzymy im.

Niemal całą drogę powrotną jedziemy w milczeniu.

– Szkoda, że Deb nie ma pokoju tylko dla siebie – stwierdza niespodziewanie mama.

Mimo że odezwała się cicho, aż drgnęłam. Żeby opłacić pobyt córki w ośrodku, i tak musiała wziąć nadgodziny. Na jedynekę na pewno nas nie stać. Nie muszę jej o tym przypominać. Wie o tym równie dobrze jak ja. Po omacku znajduję jej dłoń i – pomiędzy zmianą biegów z czwórki na piątkę – lekko ściskam. Na szczęście wciąż istnieją sprawy, w których jesteśmy zgodne.

Rozdział 41

Reid

Święto Dziękczynienia. Siedzę z rodzicami w jadalni przy elegancko zastawionym stole i jem dostarczone przez firmę cateringową potrawy. Odliczam w duchu minuty do chwili, gdy razem z tatą będziemy mogli udawać, że jesteśmy szalenie zainteresowani transmisją meczu, który w rzeczywistości nie obchodzi nas ani trochę. Porcelana, kryształy, białe serwetki. Praktycznie nie odzywamy się do siebie. Mama popija wino – przy stole powstrzymuje się od mocniejszych trunków, choć ściskająca nóżkę kieliszka dłoń nieznacznie się trzęsie. Przez moment mam ochotę nalać jej porządnego drinka. Jej i sobie.

Pamiętam czasy, kiedy mama gotowała. Nie codziennie, ale na pewno zawsze, gdy kucharze i pokojówki mieli wolne. Przed śmiercią babci, obie w Święto Dziękczynienia wstawały jeszcze przed świtem i zaczynały się krzątać po kuchni. Gdy się budziłem, cały dom był już przesiąknięty aromatami pieczonego indyka i mnóstwa rozmaitych przypraw. Mama zakładała mi na szyję długi fartuch i przecierałem przez sitko gotowaną żurawinę z cukrem, aż zostawała tylko gładka masa. Chwaliłem się potem tacie, że sos przygotowałem zupełnie sam.

Ojciec nerwowo tupie nogą pod stołem. Jest przerażony grozą całego dnia, przed którą nie będzie mógł uciec do pracy. Zastanawia się zapewne, jak długo będzie musiał uczestniczyć w tej parodii rodzinnej uroczystości. Nie sądzę, by gdziekolwiek w świecie przy świątecznym stole panowała mniej zręczna atmosfera.

Kiedy tak siedzimy, Dori z rodzicami rozdają indyka w jadłodajni dla bezdomnych. Obiecała, że wpadnie do mnie wieczorem. Po całym dniu na nogach będzie na pewno zmęczona, ale nie zamierzam jej wypuścić zbyt wcześnie. Ta myśl natychmiast wywołuje we mnie poczucie winy i zaczynam się zastanawiać, w jaki sposób sprawić, by sama zechciała zostać dłużej.

Kiedy wreszcie przyjeżdża, przyznaje, że prawie nic dzisiaj nie zjadła. Proponuję, że odgrzeję jej to, co zostało z obiadu. Odpowiada wdzięcznym skinieniem głowy. Naprawdę musi umierać z głodu.

– Zaraz wracam. Czuj się jak u siebie w domu. – Sadzam ją na skraju łóżka. Dori przygląda mi się spod półprzymkniętych powiek. Wcale się nie dziwię, jeśli po powrocie zastanę ją śpiącą.

A jednak nie. Umościła się wygodnie i czyta, oparta o stertę poduch. Ciekawe, która z moich książek mogła ją zaciekawić. Podchodzę bliżej. O, cholera! Dori rzuca mi kpiący uśmiezek, zaznacza stronę kciukiem i pokazuje okładkę.

– Nie miałam pojęcia, że jesteś fanem – mówi, rozbawiona odkryciem. Tę powieść można znaleźć na półkach niemal wszystkich dziewczyn z naszego pokolenia. Małe dziewczynki uwielbiają bawić się figurkami bohaterów i zaczytują w stylizowanej na mangę adaptacji. Książce brakuje właściwie tylko jednego – wielbicieli wśród chłopców.

Wzruszam ramionami, odstawiam talerz na biurko i patrzę na Dori.

– Agent podesał mi scenariusz i pomyślałem, że zanim podejmę decyzję, powinienem przeczytać oryginał.

Drwiący uśmiezek znika.

– Nakręcą film? I zaproponowali ci...

Kiwam głową i wskakuję na łóżko.

– Jak sądzisz? Nadaję się do tej roli? Myślisz, że mógłbym go dobrze zagrać?

– Hmm... – Dori wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczyma.

Kręcę głową i chichoczę.

– Wiedziałem, po prostu wiedziałem. Jesteś jedną z tych dziewczyn, których najcięższym łóżkowym grzeszkiem było czytanie z latarką pod kołdrą. – Nawijam jej kosmyk włosów na ucho i mimowolnie uśmiecham się z zadowolenia. Jej uszy, jak zwykle, nie potrafią dochować tajemnicy. – Mam rację, prawda?

Dori zaciska usta i nie odpowiada. Ta dziewczyna nie ma pojęcia, jak na mnie działa. Jestem nawykły do towarzystwa lasek wyrachowanych, świadomych mocy własnej seksualności i nie wahających się z niej korzystać. Byłbym gotów przysiąc na maskę nowego porsche, że Dori jest świadoma wielu swych zalet, ale tej jednej – władzy jaką ma nade mną – nawet nie zauważa.

– Pamiętasz moją propozycję sprzed kilku dni?

Rozchyła wargi i kilka razy mruga, zaskoczona.

– Wspominałeś coś o moich celach. I o szaleństwie. Tyle że właściwie nie złożyłeś żadnej konkretnej propozycji... – Dori nerwowo przełyka ślinę i wpatruje się w okładkę.

– Hmm. Pozwól, że wyjaśnię. – Zabieram jej książkę i kładę grzbietem do góry na nocnym stoliku. Kiedy na powrót się odwracam, w spojrzeniu dziewczyny pojawia się rezerwa. Przysiadam na krawędzi materaca, przodem do niej. – Jeżeli masz ochotę na eksperymenty, wykorzystaj do nich mnie, a nie obcego faceta z baru. Nigdy nic nie wiadomo, taki typ mógłby cię porąbać na kawałki i zakopać w płytkim grobie.

Unosi brwi. Wysoko.

– Na kawałki? – pyta po chwili.

Nasze śmiechy mieszają się ze sobą i cichną, kiedy biorę Dori za rękę.

– Okej?

– Okej – przytakuje, uciekając oczami na bok.

– I fajnie. A teraz czas, żebyś coś zjadła, a ja w tym czasie pomorduję demony. – Ześlizguję się z łóżka, oddaję Dori książkę i wychodzę z talerzem do sali multimedialnej.

Dzisiaj ją pocałuję, dzisiaj wieczorem. To pewne jak w banku. Dość owijania w bawełnę, koniec z podchodami. Wracając do domu, będzie już widzieć we mnie bohatera tej popularnej książki, lecz zamiast tkwić bezpiecznie na kartach powieści, będę prawdziwy i namacalny. Będę tuż przy niej.

Dori

Dania z kuchni Reida okazują się wymyślnymi wariacjami na temat tradycyjnych świątecznych potraw. Na szczęście pachną zachęcająco, bo ja umieram z głodu. Tłumaczę sobie, że nie pora wybrzydzać i próbuję kęs czegoś, co z grubsza przypomina ziemniak.

– Mmm.

Że mruknęłam na głos, uświadamiam sobie dopiero, gdy widzę szeroki uśmiech Reida.

– Cieszę się, że komuś jednak ten posiłek sprawił choć trochę przyjemności.

Przełykam pierwszy kęs i postanawiam spróbować zielonej fasolki. I tego czegoś, co leży na niej.

– A tobie nie sprawił? – pytam i znów mruczę. Danie jest naprawdę smaczne.

Chłopak kręci głową i przysiada na oparciu sofa. Opiera łokcie na kolanach, sięga po kontroler i zaczyna grać. Klik-klik-klik-klik – grzechoczą przyciski. Nie odrywając wzroku od ekranu, uśmiecha się ponownie.

– Przyjemnie jest słuchać, jak ty jesz.

Nie mam pewności, jak to rozumieć, więc próbuję jeść jak najciszej i nie mrużyć.

Gra Reida jest wyjątkowo krwawa, ale na szczęście wyłączył dźwięk. Gdy nie słyhać tych miękkich plaśnień przy każdym zabójczym ciosie, rzeź wydaje się mniej odpychająca. A może to po prostu jedzenie uodporniło mnie na widok przemocy? Dziwne. Jeszcze dziwniejsze jest, że sama też chciałabym zagrać, choć nie mam wątpliwości, że byłabym fatalna. Może następnym razem poproszę, by mnie nauczył. W ciągu ubiegłych dwóch tygodni odwiedziłam go już sześć razy, więc zakładam, że zrobię to znowu. Nie chcę nawet myśleć o dniu, kiedy nasza znajomość dobiegnie końca.

Odstawiam pusty talerz, rozsiadam się wygodnie na miękkiej sofie i wertuję powieść. Pomiędzy podstawówką a liceum czytałam ją raz po raz. Podobnie jak

większość przyjaciółek, w głównym męskim bohaterze zakochałam się po uszy. Jest taki wrażliwy, silny i – owszem – nieco mroczny. Pamiętam dyskusje prowadzone w szkolnej stołówce. Zastanawialiśmy się z dziewczynami, który aktor byłby w tej roli najlepszy, gdyby kiedykolwiek powstał film. Doszliśmy do jednego pewnego wniosku – była przy tym masa śmiechu – że właściwie każdy aktor wypadłby lepiej niż nasi szkolni koledzy. A teraz przyjaźnię się z chłopakiem, który naprawdę może dostać tę rolę. Przyjaciółka Reida Alexandra. Jakie to surrealistyczne!

Reid pauzuje grę i odrzuca kontroler na bok.

– Chyba mam jeszcze ciasto. Zjesz kawałek?

Kiwam głową i chcę wstać, ale chłopak prosi, żebym poczekała. Wychodzi, a zaraz potem słyszę, że ktoś otwiera drzwi.

– Zapomniałeś czegoś? – pytam i zerkam przez ramię. Na progu stoi kobieta, która musi być matką Reida. Jest bardzo drobna i piękna. W ręku trzyma drinka. – O, przepraszam. – Skrępowana wstaje z sofy i uśmiecham się. – Pani Alexander? Jestem Dori.

Kobieta nie wykonuje żadnego ruchu, więc to ja podchodzę do niej. Gdy prostuje plecy, słyszę szelest jedwabnej bluzki. Ma na sobie czarne, eleganckie spodnie w kant i buty na wysokim obcasie.

– Miło mi cię poznać – odzywa się wreszcie, trochę niewyraźnie. – Nie dosłyszałam, gdzie jest Reid?

Aż dotąd miałam nadzieję, że mówiąc o alkoholizmie matki mimo wszystko przesadzał. Zbliżywszy się do niej, zauważam jednak, że oczy kobiety – w identycznym, ciemnoniebieskim odcieniu jak jej syna – są przekrwione i nieco mętne. Chociaż światło w sali jest przyćmione, jej cera wydaje się ziemista. Zbyt dobrze znam się na objawach nałogowego picia, by ich nie dostrzec. Reid nie przesadził.

– Poszedł po ciasto.

– Ach... – Kobieta ściąga brwi.

– Może się pani do nas przyłączy? Chcemy obejrzeć jakiś film. Jeszcze tylko nie zdecydowaliśmy czy *Śniadanie u Tiffany'ego*, czy *Goldfingera*.

– Ach, tak! Sean Connery. Jeden z ulubionych aktorów mojego syna. A już z pewnością jego ulubiony Bond.

– Naprawdę?

– Mhm. Zostawię was samych. – Spogląda na mnie z ukosa, wokół jej ust pojawia się cień uśmiechu. – Mówiłaś, że jesteś przyjaciółką Reida, tak? Czy dziewczyną?

– Ja... przyjaciółką.

Kobieta kiwa głową i kładzie mi dłoń na ramieniu. Ma bardzo kwaśny oddech – prawie na pewno whiskey – kolejny znaczący objaw. Zbyt znaczący.

– Wydajesz się bardzo słodka. – Pochyliła się i muszę się skupić, by oddychać przez usta. – I nie daj mu się zwieść. Tak naprawdę, on też jest bardzo słodki – dodaje, po czym odwraca się i rusza chwiejnym krokiem przez korytarz. W tej samej chwili u szczytu schodów pojawia się Reid. W ręku trzyma paterę z tonącym w bitej śmietanie ciastem i dwoma widelczykami.

– Była tu? – Krzywi się.

– Zajrzała, żeby się przywitać. Proponowałam, żeby została i obejrzała z nami film, ale chyba nie chciała się narzucać. Możliwe też, że nie lubi Bonda w wykonaniu Connery’ego. Moja mama, na przykład, jest całym sercem za Rogerem Moore’em.

Reid wpatruje się we mnie dłuższą chwilę, po czym podaje mi widelczyki i uwolnioną w ten sposób ręką przyciąga mnie do siebie.

– Naszła cię już ochota na szaleństwa?

Kiwam głową i chłopak nie czeka na dodatkowe zachęty. Muska moje wargi swoimi. Zapominam, że trzyma w dłoni to ciasto, zapominam, że sama trzymam widelczyki. Czuję tylko, jak jego usta rozchylają moje. Całuje mnie raz, drugi, trzeci. Przy każdym pocałunku cofa się o pół kroku i jednocześnie pociąga mnie za sobą. Wreszcie tracę równowagę i opieram się o jego pierś.

– Naprawdę muszę to wiedzieć. – Podtrzymuje mnie pewnym chwytem. Nasze wargi niemal się stykają, oddechy mieszają się w powietrzu. – Chcę się dowiedzieć, jak słodko będziesz smakować, kiedy zjesz już trochę tego ciasta.

Chichoczę, a Reid rzuca mi uśmiech. Bierze mnie za rękę i pociąga za sobą. Po chwili zapadamy się w miękkiej sofie. Podsuwa mi do ust kawałek ciasta, po czym odkłada talerzyk i sztućce na bok.

– Wiesz? Przed chwilą dźgnęłaś mnie widelcem – szepcze prosto w moją skórę, po czym odsuwa włosy i całuje mnie tam, gdzie ramię zbiega się z szyją. Dotyk jego ust wywołuje w moim brzuchu fale pragnienia, rozchodzące się do wszystkich, najdrobniejszych nawet zakończeń nerwowych.

– Słucham? – jęczę, gdy palce Reida gładzą moje ciało pod koszulką, rozkładają się na moich żebrach niczym wachlarze. Wciąga mnie sobie na kolana, a jego wargi suną po moim policzku w kierunku ucha, pozostawiając po sobie palącą ścieżkę.

– Ale nie bolało. Prawie nie zauważyłem – mówi cicho i tak blisko mnie. Jego słowa stają się szeptaną pieszczotą. – Miałem na głowie coś znacznie ważniejszego niż powierzchowne obrażenia. – I nagle jego usta znów wtapiają się w moje, język penetruje wnętrze ust. – Mmm... – pomrukuje. – Dori, mój Boże... – milknie i już tylko mnie całuje. Całujemy się, przerywając jedynie po to, by zjeść kęs ciasta, zupełnie jak maratończycy wzmacniający organizmy łykiem energetycznego napoju. Wreszcie nastaje pora, kiedy muszę wracać do domu. Jeszcze nigdy nie byłam aż tak odurzona pocałunkami. Gdyby Reid nie zwrócił mi

uwagi, nie zauważyłabym, która jest godzina.

Przed wyjściem zakłada bluzę z kapturem i parę vansów. Mam opuchnięte wargi i pobudzoną skórę, każdy jej centymetr, od stóp do głów. Kiedy Reid podchodzi na wyciągnięcie ręki, nie jestem w stanie się oprzeć. To działa zupełnie jak grawitacja. Gdy przyciska mnie do samochodu, zaczynam dzwonić zębami. Chłopak rozpina bluzę i zamyka w niej nas oboje. Kaptur osłania nasze twarze przed spływającą z nieba księżycową poświatą.

– Zimno ci? – pyta. Kręcę głową. Przebiegające wzdłuż kręgosłupa dreszcze nie mają nic wspólnego z temperaturą. Poza tym, mam wrażenie, że płonę. Jego wargi powracają do moich. Doznanie przestało wydawać mi się dziwne, nie jest już nowe. Wyczuwam dłonią znajomy rytm jego serca i twarde, sprężyste mięśnie jego torsu. Znajomy jest też sposób, w jaki zachęca mnie do coraz śmielszych reakcji – poznaję i spodziewam się każdego gestu, ruchu i dotyku.

Właśnie porąbał mnie na kawałki – przemyka mi przez myśl, kiedy jadę w stronę domu.

Rozdział 42

Reid

– I tak grasz jak kaleka – stwierdza John, gdy pod koniec drugiej partii wbijam do luzu ostatnią kolorową bilę. W tłumaczeniu brzmi to mniej więcej tak: nie gram jak kaleka, ale on bardzo by chciał. Przegrał już pierwszą partię i za moment czeka go kolejna porażka. – Ale, skoro dzieli nas cały stół – dodaje – a ja jestem w miarę trzeźwy i w razie potrzeby zdążę uskoczyć, mam do ciebie pytanie.

Jedyny raz, gdy zdarzyło mi się podnieść na niego rękę, poszło o Dori. Domyślałam się więc, że w ten zawyły sposób daje mi znać, iż przesłucha mnie właśnie w jej sprawie. Jest odważniejszy niż myślałam. Albo głupszy.

– Prawy narożnik – zapowiadam i pochylam się nad stołem. Kiedy uderzam John głośno kaszle i trafiam kijem w blat. Gromię go wzrokiem, na co rozkłada ręce, jakby nie miał z tym nic wspólnego. – No dobra, mów. – Ściskam kij niczym włócznię.

John przez całą wieczność dobiera kąta, po czym jednym uderzeniem wtrąca do luzu swoje dwie ostatnie bile. Na koniec trafia ósemką. Drań.

Zbieram bile i ustawiam je w trójkącie do kolejnej partii. John dopija piwo, co sprawia, że tym bardziej mnie intryguje, co zaraz usłyszę.

– Ty zaczynasz – przypomina.

– Najpierw zacznij gadać. Tylko proszę, powiedz, że to nie dotyczy mojego życia uczuciowego.

John wzdycha i naciera kij kredą. Nie zachowuje może nadmiernej ostrożności, ale wciąż trzyma się na dystans.

– Sam nie wiem. Może ty mi powiesz, czy tu chodzi o uczucia? – ostatnie słowo wymawia z naciskiem. On naprawdę nie ma pojęcia, jak często w ciągu naszej znajomości miałem ochotę strzelić go w pysk. To kolejna taka chwila.

– Zagadkowy dziś jesteś, John. Co my, w Beverly Hills 90 210 gramy? – uderzam w pierwszą bilę i pozostałe rozpraszają się po całym stole.

– Okej. Tylko bez rękoczynów, proszę. Chodzi o tę całą Dori. – John staje akurat naprzeciwko mnie, w tej chwili dzieli nas pełna długość stołu. Cwaniak.

– No i...?

– Widzisz, stary? Już zaczynasz. – Znowu rozkłada ręce.

– Co?

– Masz minę, jakbyś chciał mi przywalić, ot co. Jak mam być przyjacielem i zadawać ci trudne pytania, skoro żyję w ciągłym strachu? – Wbijają do luzu trzynastkę, po czym szykuje się do następnego strzału. Do mnie nadal się nie

zbliża.

– Jeśli nie zaczniesz mi tłumaczyć, co powinienem z nią zrobić, możesz pytać, o co tylko chcesz – zapewniam. John wtrąca kolejną swoją bilę i spogląda na mnie bez przekonania. – W granicach rozsądku – dodaje.

– Dobra. Więc... ostatnio opuściłeś kilka fajnych imprez. To już trwa jakieś kilka tygodni. Dostajesz dziwne SMS-y i zrywasz się bez uprzedzenia.

Wzruszam ramieniem.

– I co?

Spogląda na mnie badawczo.

– No właśnie... To są SMSy od niej?

Przytakuję skinieniem. Wciąż nie wiem, czy podoba mi się kierunek w jakim zmierza ta rozmowa.

– Reid. – John wywraca oczami. – Znamy się od szesnastego roku życia. Nigdy nie miałem lepszego przyjaciela. Dlatego wydaje mi się, że mam prawo powiedzieć: bracie, co z tobą? Jeszcze nigdy się nie wkurzyłeś, kiedy rozmawialiśmy o twoich laskach. A już na pewno nie rzucałeś się na mnie z łapami. – Przy trzecim uderzeniu pudłuje.

Przygotowując się do strzału, zastanawiam się, czy John nie jest przypadkiem zazdrosny. Naturalnie nie mogę go o to zapytać – i tak by zaprzeczył.

– O co ci chodzi? – Moja bila trafia do celu. Obchodzę stół i wybieram kolejną. John wbija wzrok w dziewczyny grające dwa stoły dalej. Jedna z nich pochyła się wyzywająco nad zielonym blatem, mimo że ma na sobie najbardziej skąpe szorty świata. Zerka przez ramię, sprawdza, czy na pewno podziwiamy jej kształty. Zanim John odpowiada, udaje mi się pozbyć kolejnych dwóch kul.

– Chodzi mi o... Widzisz je? – Ruchem głowy wskazuje te panny, które zaczynają przyglądać się nam bez skrępowania i zachowują się tak, jakby miały zaraz podejść.

Prostuję się.

– Tak, John. Jestem facetem, więc widzę. Ale po prostu nic mnie to nie obchodzi.

Wchodząc do baru, dziewczyny zwróciły uwagę wszystkich obecnych mężczyzn. Obracały się za nimi głowy i torsy, opadały szczęki. Typowa samcza reakcja na widok kobiet w krótkich, obcisłych, odsłaniających dekolty strojach.

– Właśnie w tym rzecz. Co jest? Nie obchodzi cię? Co to w ogóle znaczy?

– Hej! – Laski podchodzą do niego, kręcąc biodrami.

– Hej, dziewczyny. – John przywołuje na usta swój standardowy uśmiech łowcy. – Czym możemy służyć?

Skąpe Szorty ma minę stanowiącą lustrzane odbicie wyrazu twarzy Johna, lecz to mnie bierze na celownik.

– Całkiem nieźle gracie, chłopaki. Pomyślałyśmy, że czegoś się od was

nauczmy. Odwdzięczymy się, stawiając następną kolejkę.

Muszą wiedzieć kim jestem. Dziewczyny nigdy same nie płacą za drinki, to należy do obowiązków faceta. W tym barze jest pełno facetów, którzy mogliby postawić im niejednego. A one podchodzą akurat do naszego stolika i proponują kolejkę? Nie, naprawdę nic mnie nie obchodzą. Nie jestem zainteresowany.

– Wygląda na to, że się dogadamy – odpowiada John i rzuca mi spojrzenie, dobitnie mówiące: „Proszę, nie spieprz tego”. Cholera. Coś mi mówi, że jeszcze tej nocy bardzo się na mnie wkurzy.

Dori

– Jak to: rzucasz studia? Już? Zanim je zaczęłaś?

Wstrząśnięte spojrzenie Nicka wywołuje w moim żołądku kolejny ostry skurcz.

– Ostatecznej decyzji jeszcze nie podjęłam. Ale ostatnio ciągle czuję się jak po jakichś proskach. Nie myślę, rozpraszam się, nie potrafię się w ogóle skupić. W takim stanie nie mogę przecież pójść na Berkeley. Wywalą mnie raz dwa.

Zanim mam szansę zareagować, Nick wyciąga rękę i kładzie ją na mojej. Siedzimy przy stoliku w niewielkim bistro.

– Dori, Deb na pewno nie chciałaby, żebyś ze względu na nią zrezygnowała ze swoich marzeń. – Jego dłoń jest ciepła. Moja zniknęła pod nią bez śladu. Wpatruję się w jego tępo zakończone palce, w płaskie, równo przycięte paznokcie. Są tak inne od smukłych palców Reida – długich jak u pianisty, choć moje dłonie i tak wyglądają przy jego jak miniatutki.

– Wiem o tym. – Cofam rękę i strącam ze swetra nieistniejący pyłek. Mam nadzieję, że ten gest nie był zbyt ostentacyjny. To zapewne przejaw egoizmu, ale nie chciałabym stracić przyjaźni Nicka – choć nie potrzebuję od niego nic więcej. On to rozumie, chociaż pogodzenie się z nowym stanem rzeczy zabrało mu trochę czasu. Nie odrywam wzroku od jego leżącej na blacie dłoni.

– Bez niej czuję się taka pogubiona – próbuję wytłumaczyć. – Mam wrażenie, że te marzenia nie są już moje. Może tak naprawdę nigdy nie były.

Chłopak ściąga brwi i sięga po kubek z parującą zieloną herbatą.

– A o czym marzysz teraz? Co chciałabyś robić?

Przed oczyma przemyka mi twarz Reida – zupełnie jak w reklamie podprogowej – pojedyncza klatka wmontowana w długi film zupełnie innej treści. W tej chwili marzę tylko o nim, a wszystko inne to po prostu wypełniacze. Ta myśl powinna przerazić mnie na śmierć, a przecież wcale się nie boję.

– Nic – odpowiadam i zanim udaje mu się sformułować następne pytanie,

pytam o Madison, gdzie studiuje.

– No cóż – patrzy na mnie surowo – nie wszyscy tak bardzo lubią ser, jak nam wmawiano. – Kącik jego ust wędruje ku górze.

– Czyli reklamy kłamały? – pytam i też się uśmiecham.

Kiedy Nick jesienią wybrał Wisconsin jako jeden z uniwersytetów, na które chciałby wstąpić, wprowadził swoich rodziców – organicznie niezdolnych do wychwytywania sarkazmu – w bezgraniczne zdumienie, gdy stwierdził, że jednym z motywów jego decyzji był tekst z telewizyjnej akcji promocyjnej tego stanu: „najszersza gama serów w USA”. Poczucia humoru nie odziedziczył w genach.

– Zdecydowanie.

Upijam łyk latte i rzucam mu kolejny uśmiech.

– A pomijając sery? Jak tam studenckie życie?

– Sporo nauki – odpowiada po chwili namysłu.

– Musisz być zachwycony – zaczynam się droczyć.

– A żebyś wiedziała – mówi, bawiąc się torebką herbaty jak marionetką. – Dori, nie rezygnuj ze studiów. Jak mam cię przekonać? – dodaje.

Z moich ust dobywa się przeciągłe westchnienie.

– Widzisz, mam po prostu wrażenie, że wszystko jest bez sensu.

Poważne, brązowe oczy Nicka omiatają mnie badawczo.

– Z powodu Deb.

– Chyba tak. – Kiwam głową. – Ale nie do końca, nie przez to, co ją spotkało. Czuję raczej, że... że wreszcie widzę świat, jakim jest naprawdę, a nie takim, jakim go sobie wyobrażałam.

– Hmm.

Przez kilka następnych minut siedzimy w typowym dla naszej znajomości, przyjaznym milczeniu. Przyglądamy się obładowanym świątecznymi zakupami przechodniom, którzy tłoczą się w drzwiach okolicznych sklepów. Przed kilkoma dniami Reid zaciągnął mnie do siebie do domu. Powiedział, że wybierzemy się na gwiazdkowe zakupy.

– Ale jak to...? – rzuciłam, wchodząc po schodach do sali multimedialnej.

Podłączył laptop do wielkiego ekranu; jedząc kolację, poznałam nowe znaczenie sformułowania „zakupy w sieci”. Uzbrojony w podeślaną przez menadżera listę osób i adresów, przez dwie godziny wydał więcej pieniędzy niż byłam w stanie policzyć. Gdy odmówiłam przyjęcia choćby jednego prezentu, obrzucił mnie przeciągłym spojrzeniem i w końcu wziął w ramiona.

– Zatem zależy ci tylko na moim ciele?

Przygryzłam wargę i skinęłam głową. Reid mruknął głucho i całował do utraty zmysłów. Po zmroku Immaculada przyszykowała nam gorącą czekoladę w termosach, a Luis woził nas po świątecznie udekorowanym mieście.

– Jeśli to nie sekret... Co się dzieje między tobą a Reidem Alexandrem? –

odzywa się Nick, jakby czytał mi w myślach. – Nawet w L.A. nie śledzę hollywoodzkich plotek, ale dwa tygodnie temu cały kraj żył waszą randką, czy cokolwiek to tam było. Zdjęcia z tego wiekopomnego wydarzenia pojawiły się we wszystkich serwisach, od „TMZ” po „People”. Tak słyszałem.

Wczorajszej nocy, zanim wróciłam do domu, Reid poprosił, żebym coś dla niego zaśpiewała. Zagroził, że w razie odmowy załaskocze mnie na śmierć. Kiedy odparłam, że bez akompaniamentu nie potrafię – oczywiście wiedział, że kłamię – podszedł do szafy i wyciągnął gitarę.

– Ty grasz? – spytałam siedząc na skraju łóżka.

– Raczej brzdąkam. – Uśmiechnął się półgębkiem.

– Mogę cię nauczyć. – Stroję instrument. Gitara, rzecz jasna, z górnej półki, kosztowna rzecz. – W końcu ty nauczyłeś mnie masakrować faszystowskie zombie. Powinam się jakoś odwdzięczyć.

– Bardzo chętnie.

Usiadł obok, a ja zagrałam kilka prostych akordów i zaśpiewałam *Fallen* Sary McLachlan. Potem ułożyliśmy się na łóżku i patrzyliśmy sobie w oczy. Muskał palcem moje wargi, moją szyję.

– Masz taki piękny głos – pochwalił; wyczułam, że chce powiedzieć coś więcej. Nie dopytałam jednak.

Wyrwam się z rozmarzenia i wzruszam ramionami.

– Jesteśmy przyjaciółmi – odpowiadam Nickowi. Jak mogłabym mu wytłumaczyć, że odkąd nie ma przy mnie Deb, tylko Reid zna mnie naprawdę.

Gdy staje się jasne, że nie dodam ani słowa, Nick spuszcza głowę i zagląda do swojego kubka.

– Tylko, wiesz, działaj z rozwagą. On gra w trochę wyższej lidze – mówi, niespokojnie bawiąc się torebką herbaty. – Nie chcę, żebyś cierpiała. A teraz jesteś bardziej bezbronna niż zwykle.

Wiem, że ma rację, wiem, że rzucam się głową naprzód w coś, co nie może dobrze się skończyć.

– Będę ostrożna – obiecuję, nie patrząc mu w oczy. I za sprawą tych słów udaje mi się okłamać niemal wszystkich bliskich. Okłamałam już każdego z wyjątkiem Reida.

Rozdział 43

Reid

– Gdybyś otworzyła oczy, wiedziałabyś, że on już nie żyje – zauważam.

Dori gwałtownie naciska przyciski na padzie i wyświetlony na wielkim ekranie potwór zamienia się w krwawą masę.

– Ale to takie obrzydliwe!

Siedzimy w sali multimedialnej. Ja na sofie, ona po turecku, z głową między moimi kolanami. Mój bohater zdążył już zginąć, więc teraz po prostu przyglądam się, jak gra Dori. Biorąc pod uwagę, że zaczęła grać bardzo niedawno, uczy się bardzo szybko.

– Fuuu, fuuu, fuuu! – jęczy pod nosem. Tak, może jest delikatna, ale naprawdę szybko się uczy.

– On naprawdę już nie wstanie.

Dori zerka na mnie z ukosa, a kiedy się uśmiecham, wymierza zmasakrowanej ofierze kolejny cios.

– Lubię mieć pewność.

– A ja chcę mieć pewność, że kiedy Ziemię zaatakują demony z innego wymiaru, będziesz w mojej drużynie.

Nagle brzęczy moja komórka. SMS od taty: „Jeśli znajdziesz wolną chwilę, zajrzyj do gabinetu”.

Kiedy chce ze mną porozmawiać nigdy nie zaszczyca odwiedzinami mojej części domu – zawsze wysyła esemesowe wezwania. Pewnego razu, gdy byłem akurat na planie, polecił mi przyjść z jakimiś rachunkami, podobno potrzebował ich do rozliczenia podatku. Z niekłamaną satysfakcją odpisałem, że nie ma mnie w domu, ani w L.A., ani w ogóle w Kalifornii. Ojciec chełpi się swoją spostrzegawczością i zdolnością wychwytywania najdrobniejszych szczegółów, a tymczasem nie zauważył nawet, że jego jedyne dziecko wyjechało z miasta. Cóż, Ojcem Roku raczej nie zostanie.

– Zaraz wracam. Muszę pogadać z tatą.

Dori kiwa głową. Nawet na mnie nie patrzy. To wbija wzrok w rozgrywające się na ekranie sceny, to zaciska powieki – za każdym razem, gdy morduje potwora. Wygląda przy tym tak uroczo, że nie mogę się oprzeć. Pochylam się, zgarniam jej włosy z karku i liżę koniuszkiem języka widoczne pod skórą kręgi. Kąsam gładkie ciało.

– Mmm... – Dori rozluźnia ramiona, przymyka oczy. Przeze mnie jej postać zaraz zginie. – Rozpraszasz mnie, Reid. Zabijają mnie!

Chichoczę, a ona piszczy

– Nie łaskocz!

– Nie chciałem. – Odwracam jej głowę i całuję ją w usta. Dori zapomina zapauzować i wypuszcza kontroler na kolana: to takie kobiece. Sądząc po dobiegającym z głośników ryku, umiera właśnie szybką, brutalną śmiercią, lecz wcale nie wydaje się tym przejęta.

– Nie chciałeś mnie połaskotać, czy nie chciałeś, żeby mnie zabili? – Czuję na wargach jej oddech.

Odpowiadam dopiero po kolejnym pocałunku:

– Tego i tego. Ale przyznaję, chciałem cię zdekoncentrować. Musiałem sprawdzić, czy żądza krwi opuści cię choć na chwilę.

W jej spojrzeniu na ułamek sekundy pojawia się błysk. Przemija tak prędko, że ledwie zdążyłem go zauważyć.

– Misja wykonana – mruczy dziewczyna.

– Hmm. Co to była za mina?

Dori kręci głową, ma zaróżowione uszy. Otaczam ją ramionami.

– Chodzi może o to, że ważyłem się wspomnieć o... – obniżam głos – ...żądzy?

Przyprószone piegami policzki gwałtownie ciemnieją.

– Czy to właśnie do mnie czujesz? – Trzymam ją za twarz i całuję w kącik warg, nie pozwalam jej się odwrócić, ani zamknąć mi ust pocałunkiem. Jeszcze nie teraz. – Czuję się wykorzystany!

Delikatnie trącam językiem dolną wargę Dori i słyszę jej westchnienie.

– Ale wiesz, masz szczęście. Zupełnie mi to nie przeszkadza.

Znowu się całujemy. Jej głowa opada w tył i opiera się o moje udo. Dziewczyna przekręca się i wyciąga ku mnie ręce. Zapragnęła mnie i jest to osiągnięcie większe od poprzednich. Musiałem zdobyć jej zaufanie. I dopiąłem swego. A była przecież zupełnie obojętna na rzeczy ważne dla wszystkich znanych mi ludzi. Przemyka mi przez myśl gwałtowna, budząca panikę myśl – nie mam pojęcia, czym właściwie zaskarbiłem sobie jej ufność.

Dzwoni mój telefon i oboje drgamy. Dori odrywa się ode mnie i odskakuje, jakby ktoś nas nakrył. Jakbyśmy nie mieli prawa tego robić, choćby wszystko wokół waliło się i paliło.

Zerkam na wyświetlacz. Ojciec.

– Tak?

– Jesteś? Widziałem chyba przed domem samochód twojej przyjaciółki.

O nie, nie będę z nim rozmawiać o Dori.

– Już idę. To duży dom.

– Potrzebuję po prostu twojego podpisu. Dokument do sądu.

– Jasne. Daj mi sekundę. – Rozłączam się i patrzę na Dori. Wyłącza właśnie

konsolę, bezpowrotnie kończąc swoją morderczą misję przeciwko demonom, tę w której jej przeszkodziłem, czego zresztą wcale nie żałuję.

– Wiesz, że możesz zacząć poziom od początku?

– Może następnym razem – uśmiecha się. – Właściwie jakoś nie czuję już tej... hmm... żądry krwi.

Gryzę się w język i tłumię cisnącą mi się na usta lubieżną uwagę. I tak przekroczyłem już dzienny limit prowokacji wywołujących jej dreszcze i rumieńce.

– Mamy jeszcze czas na film. Zaraz wrócę. Tata chce tylko, żebym coś podpisał. – Nie podoba mi się sama myśl o tych straconych dziesięciu minutach. Powinno mnie to zaniepokoić, ale wcale tak się nie dzieje.

Kiedy wchodzę do gabinetu ojca, dostaję do ręki pióro i dokument z wielkim iksem przy kropkowanej linii, pod którą widnieje moje nazwisko.

– Kiedy to trafi do akt, wypełnisz wszystkie wstępne wymogi warunkowego zawieszenia wyroku.

Składam podpis i zastanawiam się, co to może oznaczać.

– Chodzi o moje prawo jazdy? – Mam wrażenie, że ostatni raz siedziałem za kółkiem nie sześć miesięcy, a okrągły rok temu.

Tata wzdycha, odbiera pióro i wsuwa dokument do koperty.

– Wolno ci będzie jeździć od dwudziestego, ale musisz pamiętać, że jeżeli powtórzysz taki numer, sąd weźmie pod uwagę twoją przeszłość. O ile, naturalnie, kolejny raz przeżyjesz. – Obrzuca mnie uważnym spojrzeniem. – Jestem pewien, że o tym wiesz, ale powiem tak czy inaczej. Wolałbym, żebyś w ogóle nie jeździł.

Niemal otwarcie sugeruje, że do następnego razu musi dojść, że podobnie jak matkę, powinno się mnie chronić przed zgubnymi skutkami picia alkoholu. Oburzenie chwyta mnie za gardło.

– Jeśli będę miał ochotę się napić, nie zabiorę samochodu. Dostałem już nauzkę.

Ojciec sztywnieje – jest niezadowolony, bo przyznałem, że nie zamierzam rozstać się z alkoholem, choć jednocześnie cieszy się, gdyż obiecałem, że nie usiądę po kieliszku za kierownicą. Wzdycha zrezygnowany.

– No cóż, dobre i to, skoro na nic więcej nie mogę liczyć. – Przygląda mi się jeszcze przez chwilę i kiedy zbieram się do wyjścia, dodaje. – Co to za dziewczyna?

Przychodzi mi do głowy co najmniej kilka odpowiedzi. Większość zostawiam dla siebie. Dziewczyna, która czeka teraz na górze? Ta, z którą właśnie całowałem się tak namiętnie, jakbym nie był kolesiem, który przez pięć ostatnich lat przeleciał tyle lasek, że nie pamięta właściwie żadnej?

– Która dziewczyna?

Ironiczne spojrzenie ojca stanowi lustrzane odbicie mojego. Lub vice versa.

– Ta z dziesięcioletnią hondą, która co wieczór parkuje na naszym

podjeździe przez większą część zeszłego miesiąca. – Tata nigdy nie potrafił udawać.

– Dori.

– Dori z Habitatu? – Brwi taty strzelają ku górze. – Ta z Berkeley?

Jak to, do diabła, możliwe, że on zapamiętuje te wszystkie szczegóły?

– Tak, tyle że... Nie zaczęła jeszcze studiów.

– Tak? Jak to?

W jego tonie pojawia się przewidywalna nuta pogardy. Nie mogę się oprzeć pokusie, by go zgasić. Od dawna uważa, że wszyscy moi znajomi są osobami rozwiązłymi i pozbawionymi życiowych celów. Głównym (a zarazem ulubionym) przykładem taty jest w takich chwilach John.

– Jej siostra miała wypadek, tuż przed początkiem roku akademickiego. Poważny uraz głowy. Dori odłożyła na razie studia, by pomóc rodzinie.

– To bardzo miło z jej strony – zauważa. Zbyt dobrze znam jego protekcyjny ton, by udać, że tego nie słyszę. Wkurza mnie, że podejrzewa, iż Dori zrezygnowała ze studiów z jakiegoś innego powodu

– Nie, tato, nie miło. Ona po prostu nie jest egoistką i jest lojalna. Wiesz, to akurat te cechy, których brakuje w genach Alexandrów.

Ojciec robi minę, jakbym podstępnie rąbnął go w brzuch. Nie sprawia mi to tak dużej przyjemności, jakiej się spodziewałem. Przerzuca kilka leżących na biurku dokumentów i postanawia zmienić temat.

– Domyślam się, że zamierzasz wkrótce kupić nowy samochód. Gdybyś dał mi znać, jakiej mniej więcej sumy potrzebujesz, spieniężyłbym część twoich akcji, żebyś miał czym dysponować.

– Spoko. To już wszystko?

– Tak, myślę że wszystko – odpowiada, prostuje się i układa papiery w zgrabny stosik.

Przeczesałem dłonią włosy. Żałuję, że nie mogę odwołać oskarżenia o nielojalność. John studiuje – wbrew własnej woli – zarządzanie. Dori z kolei musi okłamywać rodzinę, po to tylko by się ze mną widywać. Rodzice większości celebrytów to ludzie zimni, obojętni. Ojciec naprawdę mógłby być znacznie gorszy. Może nie jest to najbardziej gorąca synowska pochwała świata... A może i jest. Kurde, kurde...

– No to... Dzięki, że się tym wszystkim zajmujesz.

Wyraźnie oszołomiony patrzy mi w oczy.

– Proszę bardzo.

Żegnamy się skinieniami i wychodzę, nie dając sobie szansy na głębsze zastanowienie nad nowym odkryciem.

Dori

Przed chwilą z pokoju wyszła matka Reida. Odbyliśmy rozmowę, która na moment ożywiła moje ambicje i sprawiła, że znów pomyślałam o studiach. Kilka ostatnich miesięcy spędziłam odgradzając się od pracy w Habitacie swoistym, emocjonalnym murem. Nie zrezygnowałam z niej, lecz nie czuję już radości, której doznawałam w czasach, gdy wierzyłam, że moja działalność ma jakiegokolwiek znaczenie.

– Przeszkadzam? – odezwała się z progu.

Wstałam, zawstydzona faktem, że ledwie przed chwilą rozmawiałam z jej rodzonym synem o żądzy, a potem dość czynnie się jej oddaliśmy.

– Nie – odpowiadam, czując wypływający mi na policzki rumieniec. – Przecież jest pani u siebie.

– Zazwyczaj staram się nie nachodzić pokoiów Reida. – Uśmiechnęła się. – Ale szczerze mówiąc, zauważyłam, że wyszedł. Jeśli pozwolisz, chciałabym z tobą porozmawiać.

– Naturalnie – zgodziłam się, poirytowana, że strach nie pozwala mi udzielać odpowiedzi dłuższych niż kilkusyłabowe. Nie mam pojęcia, czego ta kobieta ode mnie chce.

Zajmuje miejsce na sofie, to samo, na którym kilka minut wcześniej siedział Reid. Ja również siadam i przypominam sobie ocenę, jaką wystawili mu moi rodzice. Ciekawe, czy zostanie poddana równie surowemu osądowi.

– Mam nadzieję, że się nie narzucam?

Wstrzymując oddech, kręcę głową.

– Reid już od bardzo dawna nie przyprowadził nikogo ze swoich znajomych do domu.

To nie mogła być prawda. Jego słynne podboje nie były przecież dla mnie tajemnicą. Postanowiłam jednak, że nie skomentuję. Obie mogłybyśmy się poczuć niezręcznie. Zresztą sama niechętnie myślę o jego ekscesach.

– Wspominałaś, jeśli dobrze pamiętam, że jesteście... przyjaciółmi? – dodała.

Potwierdziłam skinieniem i na ułamek sekundy uciekłam wzrokiem w bok. Gdy znów popatrzyłam jej w oczy, starałam się patrzeć spokojnie i pewnie. Unikanie ludzkich spojrzeń świadczy o nieczystym sumieniu.

– Tak, jesteśmy.

Przecież żadne z nas nie nazwało tej znajomości inaczej, ani razu. Szalejecie – odezwało się moje poczucie winy – tym właśnie dla siebie jesteście, partnerami do szaleństw. Moje rumieńce powróciły ze zdwojoną siłą.

– To dobrze. Reid potrzebuje przyjaciela. Kogoś, komu będzie na nim

szczerze zależeć. Kiedy rozbił latem samochód, odniosłam wrażenie... – Nerwowo spłotła dłonie na kolanach – ...że nie dba o własne życie, o samego siebie. A odkąd pojawiłaś się ty, mój syn dużo mniej pije i rzadziej szlaja się po klubach. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że jesteś u nas bardzo mile widziana. Wszystko bym dała, byle Reid nie powtórzył moich błędów – w tej chwili mówiła już szeptem. – Wiem, że dla mnie nie ma już nadziei, ale nie zniosłabym, gdyby i jego spotkało to samo.

– Nadzieja jest zawsze – usłyszałam własne słowa. Z całych sił starałam się nie myśleć o Deb, rodzicach i ich modlitwach. I o tym, że sama też straciłam już nadzieję.

Pokręciła głową.

– Byłam na odwyku trzy razy. Za każdym razem skończyło się porażką. Nie wytrzymam kolejnych trzech miesięcy poza domem. – W jej oczach, tak podobnych do oczu Reida, stanęły łzy. Coś ścisnęło mnie w piersi.

– A czy... próbowała pani spotkań AA? – Czy takie kobiety jak ona chadzają na sesje dla anonimowych alkoholików? Bogate kobiety, które stać na opłacenie wielomiesięcznego pobytu w luksusowej klinice? O tym świecie wciąż wiem stanowczo za mało.

Zaprzeczyła gestem.

– Och, nie. Ktoś mógłby się dowiedzieć... Nawet nie chcę o tym myśleć. Nie chciałabym przynieść rodzinie jeszcze większego wstydu.

Wpadła w pułapkę. Znalazła się nie tylko w kleszczach nałogu, lecz także własnej pozycji społecznej i kariery popularnego syna. Chwilę wcześniej stwierdziła, że nie ma dla niej nadziei, lecz nadzieja wciąż w niej żyje – zrozumiałam to, ponieważ przyjrzała się dokładnie wszystkim wyjściom ze swojej klatki. A jeśli ktoś nie szuka ucieczki, nie naciska klamek zamkniętych drzwi.

– Nie sądzę. Środowisko anonimowych alkoholików naprawdę jest anonimowe. A w przypadku drogich klinik, zdarza się przecież, że wyciekają z nich informacje o znanych pacjentach. Nie pamiętam, by w prasie pojawiły się plotki o gwiazdach biorących udział w spotkaniach AA. – Przysunęłam się do niej. – Pani Alexander, Reid na pewno nie chciałby, żeby się pani poddała. Program AA jest skuteczny, ponieważ opiera się na dobrowolnej decyzji uzależnionego, który postanawia zerwać z piciem. I robi to dzień w dzień. Co godzinę. W każdej minucie. Przecież do tego jest pani zdolna, prawda? Wytrwać z własnej woli choć minutę?

Nie odrywa ode mnie spojrzenia. Mimo że na jej twarzy widnieją wyraźne ślady wielu lat alkoholizmu, zrozumiałam, po kim Reid odziedziczył swoje piękne rysy. Wyobraziłam sobie, jak musieli wyglądać, kiedy był jeszcze mały. Szli trzymając się za ręce, spacerowali po galerii handlowej lub po parku, a jej uroda odbijała się, niczym w lustrze, w twarzy kroczącego obok chłopczyka. Umilkłyśmy na kilkadziesiąt sekund i w tej ciszy uderzyła mnie oszałamiająca fala bolesnej

tęsknoty za Deb. Miałam ochotę zapłakać nad nią, nad sobą, nad rodzicami i Bradem. Chciałam zapłakać nad matką Reida i nad nim samym. Ukochaną osobę można stracić na milion sposobów.

– I proszę! Pierwsza minuta już upłynęła – zauważyłam. – Jest pani silniejsza niż pani myśli, pani Alexander.

Zerknęła przelotnie na wiszący na ścianie zegar.

– Proszę, mów mi Lucy. Co do AA, zastanowię się. Ale na razie, o niczym mu nie mów.

Skinęłam głową.

Wyszła.

– Jestem aktorem, więc pewnie zabrzmiałoby to dziwnie, ale wcale nie mam ochoty tych filmów oglądać. – Reid odrzuca pilot na bok, ekran ciemnieje. – A poza tym – wciąga moje nogi na swoje kolana. – Przychodzi mi do głowy mnóstwo lepszych sposobów na spędzenie czasu.

– Na przykład... mnóstwo pocałunków? – Moje słowa rozpalają w jego oczach gorący płomień. Wyciąga się na szerokiej kanapie i przyciąga mnie do swego boku. Nasze ciała stykają się od kolan po piersi. W tej chwili czuję się przy nim bardziej śmiała niż kiedykolwiek. Gładzę jego twarz, odgarniam mu włosy z oczu, muskam wargi, te wargi, których pieścizot łaknę.

– Między innymi – odpowiada męskim, zmysłowym tonem.

– A jakie są te inne? – Natychmiast rumienię się ze wstydu, lecz moje, zwykle tak powściągliwe, usta ani trochę nie chcą mnie słuchać. Reid przymyka oczy i wtula twarz w moją dłoń, całuje ją, otacza mnie ramieniem.

– A to już zależy wyłącznie od ciebie. Jak zawsze. – W przyćmionym świetle, idealnym do oglądania filmów, nie widać koloru jego zacienionych długimi rzęsami oczu.

– Jak zawsze, tak? Czyli to niby ja sama napastowałam się w tej różowej szafie, co?

Uśmiecha się zawadiacko.

– Wtedy po prostu udało mi się odczytać twoje myśli.

Przyglądam mu się. Mam dziś ochotę być odważna, nierozsądna nawet. Mój drżący szept brzmi jednak zgoła inaczej.

– A teraz? Też je znasz?

– Widzę, że mamy ochotę na odrobinę szaleństwa, co? – Zabawnie porusza brwią.

Kiwam głową.

– Hmm... – pomrukuje. – Zobaczmy, co mogę w tej sprawie zrobić.

Diabelski uśmieszek pojawia się na jego ustach w tej samej chwili, w której

jego dłoń dotyka mojego krzyża. Całuje mnie. Łagodny ucisk jego warg stopniowo staje się coraz bardziej gorący, namiętny i głęboki, po czym znów staje się delikatny.

Odrywa się i siada. Mogę tylko zdusić w sobie słowa protestu, które zaraz okazują się zbędne, bo Reid podciąga mnie i sadza sobie na kolanach, twarzą w twarz. Pochylam się i całuję go. Czuję dłonie, które zakradają się pod mój cienki, luźny sweterek. Reid wprawnym ruchem rozpiną mój stanik i cofa dłonie. Teraz wędrują po moich plecach, na których zostaje ślad gęsiej skórki. Zdarzało się już, że rozpiął guziki, rozluźniał moje ubrania, aby ułatwić sobie dostęp, ale nigdy niczego ze mnie nie zdjął. Brakuje mi odwagi, żeby ściągnąć sweterek przez głowę. Zamiast tego sięgam pod spód i zsuwam z ramion ramiączka stanika. Ręce chowam z powrotem do rękawów, a biustonosz ląduje za mną, na podnóżku.

Uśmiecha się. Zapewne widział tę sztuczkę tysiące razy. Nie chcę się rozmyślić, więc przysuwam się bliżej, przywieram do niego, wplątam mu palce we włosy i całuję go tak, jak on całuje mnie po trzy lub czterodniowej rozłące – mocno, spragnionymi wargami, raz po raz pieszcząc językiem jego dolną wargę. Reid tuli mnie do siebie mocniej i jęczy, przez co nachodzi mnie ochota, by skupić zabiegi na jego szyi, tuż pod uchem. Dłonią powoli wiodę po jego torsie i niżej, po twardym brzuchu, i jeszcze niżej... Nagle chwyta mnie za przegub. Dziwnie znajomy gest, choć jestem gotowa przysiąc, że nigdy wcześniej tego nie zrobił.

– Dori... – Oddech Reida pali mi ucho. Nie wypuszczając mojego nadgarstka, opiera się o mnie czołem. Dyszy. – Potrzebuję chwili przerwy.

– Co? – Cofam się, zdezorientowana. W takich chwilach faceci dość rzadko proszą o czas dla siebie.

– Daj mi minutę, może dwie.

Musiał zauważyć w moim spojrzeniu niepokój, ponieważ ujmuje moją twarz w dłonie. Przymyka oczy i powoli, głęboko nabiera powietrza. Wreszcie patrzy na mnie tak szczerym spojrzeniem, jakiego nigdy chyba dotąd nie widziałam.

– Za bardzo cię pragnę. Muszę ochłonąć. To dlatego, że chciałbym być w tobie.

Silna fala ulgi przepełnia mnie odwagą, której nie czułam jeszcze chwilę temu – odwagą wystarczającą akurat na tyle, bym zdołała wyszeptać tych kilka krótkich, niemal niedosłyszalnych słów, słów, które mogą zmienić między nami wszystko.

– Ja też cię pragnę.

Rozdział 44

Reid

– Co? – Odchylam się i przytrzymuję ją za podbródek. – Co powiedziałaś? Nie pozwalam jej opuścić głowy, nie może odwrócić spojrzenia, więc tylko zamyka oczy.

– Powiedziałam, że cię pragnę – powtarza półgłosem.

Zapada cisza. Milknie nawet echo naszych oddechów, tak donośne jeszcze kilka chwil temu.

– Dori, ja nie chciałem powiedzieć, że nie potrafię się opanować. Nie musimy się kochać.

Odsuwam jej włosy na bok, sprawdzam odcień uszu. Są wymownie zaróżowione.

– Ja nie jestem... – odzywa się nikłym szeptem, nie otwiera oczu. – Nie jestem dziewczicą, Reid. Dlatego nie ma to znaczenia.

Taa... Chyba lepiej będzie, jeśli nie zdradzę, iż domyśliłem się tego już jakiś czas temu. Ale... „to nie ma znaczenia”? O co jej, do diabła, chodzi?

– Dla mnie ma.

Dori otwiera szeroko oczy, chwilę porusza bezgłośnie ustami.

– Ach, rozumiem – rzuca wreszcie.

Staram się domyślić, co się tu dzieje, nie chcę wykonać nawet jednego błędnego kroku. Zaczyna się wiercić – pewnie zdrętwiała jej stopa. Nagle dociera do mnie, że Dori się odsuwa. Gdy łapię ją w przegubach, już prawie stoi.

– Nie, nie rozumiesz.

Przestaje się wrywać i bierze głęboki oddech. Drżą jej wargi.

– Kłamałam na swój temat wszystkim. Tobie, rodzicom... – mówi ze szklistym od łez wzrokiem. – Jestem po prostu oszustką.

– Co? Dlatego, że nie jesteś dziewczicą? – udaje mi się wydukać. – Dori, nie wiem jak inni, ale przecież ja w życiu nie miałbym ci tego za złe. Uważasz mnie za aż takiego hipokrytę?

Marszczy czoło. Wodospad łez zalewa jej policzki. Nie chcę już dłużej rozmawiać. Chcę ją posadzić sobie z powrotem na kolana i całować, dopóki nie zapomni o wszystkim poza mną, poza nami i poza tym, czego w tej chwili pragnie.

– Ale powiedziałaś, że to ma znaczenie... – szlocha cichutko. – Dla ciebie...

– Tak, cholera jasna, ma znaczenie! – Wstaję i znów ujmuję jej twarz. – Ma dla mnie znaczenie, że nie rzucasz się na koleśki, których tak naprawdę nie chcesz. Ale zupełnie mnie nie obchodzi, czy spałaś z jednym facetem, czy z całymi

tabunami. – Krzywi się, więc przytrzymuję ją mocniej. – Dori, jesteś dobrym człowiekiem.

Próbuje odwrócić spojrzenie, lecz nie pozwalam jej na to. Zamyka oczy.

– Nie jestem.

– Oczywiście, że jesteś.

Pierś jej faluje.

– Nie czujesz się zawiedziony?

Kręcę głową.

– Co? Nie. W takich chwilach czuję się raczej niepewny. Zdarza się, że kiedy mnie tu zostawiasz i wracasz do domu, jestem sfrustrowany jak wszyscy diabli. Ale rozczarowany? W życiu!

– Nic już nie rozumiem. – Spogląda na mnie. Oczy ma zupełnie jak Bambi.

– Powiedziałem, co czuję.

Wsuwam palce w jej włosy i przyciągam bliżej. Tuli się do mnie. Ocieram z jej twarzy ostatnie łzy.

– Dori, czy ty mnie naprawdę chcesz? Czy myślisz może, że pójdzie ze mną do łóżka byłoby czymś w rodzaju spełnienia obowiązku?

Widzę, jak zwilża językiem spierzchnięte wargi. Przeciągam po nich kciukiem i czuję jej język na wrażliwym opuszku palca. Tylko niezwykle wysiłek woli pozwala mi się powstrzymać przed przyciągnięciem jej do siebie i zakończeniem całej tej rozmowy.

Wsparta o moją pierś wpatruje się we własne dłonie.

– Czy byłoby strasznie, gdybym powiedziała, że jedno i drugie?

– Strasznie? Nie. – Wypuszczam z płuc powietrze. Oczywiście nie byłoby też fajnie. – Chodź tu. – Cofam się i opadam na kanapę. Dori siada obok, przodem do mnie, z kolanami pod brodą. Stopy wsuwa pod moje udo. Leniwie głaszcze jej dłonie, opięte nogawkami dżinsów łydki, obnażone kostki. Dziewczynę przebiega dreszcz. Milczy i przygląda mi się z wyczekiwaniem.

– Słuchaj, naprawdę nie musimy rozmawiać o... – Innych facetach? Twojej intymnej przeszłości? – ...o, hmm... szczegółach twojej przeszłości. Mógłbym stwierdzić, że każdy popełnia błędy, ale to przecież nie tak, że twoja znajomość z tamtym chłopakiem, czy chłopakami, była pomyłką. – Dori wpatruje się we mnie uważnie. Jej czoło przecina zmarszczka. Wciąż nie odpowiada. – Pomyłkę popełnia ktoś, kto wsiada po pijaku do samochodu i rozwała cudzy dom. A ty po prostu uczyłaś się swojego ciała. Uczyłaś się samej siebie.

– Był jeden chłopak – przyznaje łamiącym się głosem i natychmiast czuję się jak dupek, ponieważ wiadomość wprawia mnie w prawdziwą euforię. – A potem, pewnego dnia, po prostu się skończyło. Nie wiem dlaczego. Nie mam pojęcia, co zrobiłam nie tak. Byłam taka g-głupia.

Boże, ależ z nas, facetów, świnie.

– Dori, zaufałaś mu, a on cię skrzywdził. Porzucił cię, okłamał, sprawił, że czujesz się wykorzystana, bo tobie zależało bardziej niż jemu, i właśnie to źle ulokowane zaufanie postrzegasz teraz jako wielki, poważny błąd. Ale wierz mi, to on się pomylił. On postąpił źle. Nie ty.

– Reid... – Dori wsuwa głowę pod mój podbródek. Kuli się, zupełnie jakby chciała się ukryć, zniknąć. – On... on... ja... – Jej oddech przyspiesza, rwie się i na myśl o tym, co zaraz usłyszę, ogarnia mnie śmiertelne przerażenie. Bo, na Boga, jeżeli powie, że ten koleś ją zmusił, nie będę miał wyboru. Znajdę go i zabiję.

Obejmuję ją ramionami i proszę spokojnym, cichym głosem:

– Powiedz mi.

– Nie mogę.

Głaszczę jej włosy.

– Oczywiście, że możesz. Zaufaj mi, Dori. Mnie możesz zaufać.

Wciska twarz w moją koszulkę, trzęsie się na całym ciele.

– Zaszłam z nim w ciążę... – Dygot jej ciała odbija się echem w mojej klatce piersiowej, jakbym to ja szlochał. – Tylko Deb o tym wiedziała. Nie rodzice, nie Colin. Tylko ona jedna.

O, cholera.

– Nie powiedziałaś mu?

– Był już wtedy z kimś innym. – Moja pierś tłumi jej słowa. – Nic by go to nie obeszło.

Doświadczam nagłego olśnienia: właśnie tak postąpiłem z Brooke. A przecież ona mi powiedziała. Nawet jeśli mnie z kimś zdradziła, ten związek, choć nieudany, był tylko nasz, mój i jej. A ja ją porzuciłem. Zostawiłem ją samą wobec wyboru, przed którym nie mogła uciec. Odmeldowałem się jedynie dlatego, że mogłem. Kurde, kurde. Odsuwam na moment wspomnienia, bo to, co zrobiłem Brooke, jakiś koleś zrobił Dori – i tylko ja mogę ten dług spłacić.

– Skoro nikomu nie powiedziałaś, to znaczy, że postanowiłaś... – Na moment zawieszam głos. – Nie rodzic.

Odpowiada mi kolejna fala łez. Czyli tak. Ten cały Colin ją rzucił, zrozumiała, że jest w ciąży i siostra pomogła jej rozwiązać problem. A przecież ta dziewczyna na pewno wychowała się, słuchając bez przerwy o doniosłym znaczeniu zachowania cielesnej czystości. Jej rodzice na pewno są przeciwnikami aborcji. Na domiar złego jej siostra – jedyna osoba, która pomogła jej ten ciężar udźwignąć – jest w tej chwili praktycznie w śpiączce. A ona nie może z nią porozmawiać, nie może się jej zwierzyć.

Chryste, nic dziwnego, że Dori czuje się jak człowiek, który skoczył do zbyt głębokiego basenu.

Swoją drogą, ja też mam wrażenie, że grunt usunął mi się spod nóg.

Dori

Sama nie wierzę, że to z siebie wyrzuciłam. I to przy nim. Kilkanaście minut temu czule się pieściliśmy, a zaraz potem powiedziałam, co powiedziałam. Opowiedziałam mu o Colinie i nagle dała o sobie znać ta tajemnica, od tak dawna zepchnięta głęboko w podświadomość, że byłam przekonana, iż już nigdy się nie wynurzy.

Od dnia, w którym decyzja zapadła i została zrealizowana, nie rozmawialiśmy o tym z Deb ani razu. Ona raz spróbowała wrócić do tego tematu, ale zapewniłam ją, że czuję się świetnie, że wolę o sprawie zapomnieć i myśleć tylko o przyszłości. Zresztą właśnie dlatego podjęłam taką decyzję, a nie inną. Chciałam po prostu żyć własnym życiem piętnastolatki.

Zanim ponownie pojawiłam się w szkole, przez kilka dni udawałam, że dręczy mnie grypa. A potem zacisnęłam zęby i przetrwałam ostatnie tygodnie pierwszej klasy. Colina widywałam na korytarzu codziennie – otoczonego wianuszkami kumpli, u boku nowej dziewczyny, niezmiennie uśmiechniętego i beztroskiego. Nauczyłam się płakać bezgłośnie, zamknięta w ubikacji, skulona, z sercem zbolalym do tego stopnia, że czułam się fizycznie chora. Korzystałam z każdej nadarzającej się szansy, by nie przyjść na lekcje. A kiedy musiałam, i tak nie potrafiłam się skoncentrować.

Może on nie miał pojęcia, jaką krzywdę mi wyrządził. Może rzeczywiście był po prostu zwykłym lekkomyślnym chłopakiem, który nie rozumiał, iż rozstając się ze mną w tak obcesowy sposób, uczyni mnie emocjonalną kaleką. Wtedy jednak miałam wrażenie, jakby zrobił to wszystko z premedytacją, żeby mnie zniszczyć.

Zamknęłam się w sobie. Nurzałam się w dźwiękach depresyjnej muzyki, odizolowana od innych. Byłam pusta i wyzuta ze wszystkiego, stałam się duchem, tylko od czasu do czasu nawiedzającym własne życie. Z początkiem wakacji przestałam praktycznie wychodzić z łóżka. Leżałam w ciemnym pokoju, ukryta za zaciągniętymi zasłonami. W pewnym momencie rozważałam nawet samobójstwo, lecz zupełnie nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać.

Deb skończyła właśnie pierwszy rok medycyny i wcale nie planowała spędzać lata w rodzinnym domu. A jednak wróciła i zamieszkała w swym dawnym pokoju po drugiej stronie korytarza – na jej półce w łazience pojawiły się ustawione w równiutkich szeregach kosmetyki, spod prysznicą znowu każdego ranka dobiegały fałszywe melodie popularnych piosenek. Wróciła też do przerwanych z uwagi na studia prac społecznych.

Trzeciego dnia po powrocie przysiadła na moim łóżku z kubkiem kawy

w dłoni i odgarnęła mi kilka kosmyków z policzka.

– No, dalej, leniwe stworzenie. Wstawaj. Pomożesz mi. Ktoś w końcu musi spełniać te wszystkie dobre uczynki.

Jęknęłam słabo w poduszkę. Nie ruszyłam nawet palcem. Pamiętam, że delikatnie przeczesła mi włosy palcami. Niewykluczone zresztą, że nie jest to wspomnienie z tamtego konkretnego dnia – ten czuły gest stanowił niezmienny element wypracowanej przez Deb strategii budzenia.

– Dori, kochanie, posłuchaj mnie. Może nie powinnaś dłużej trzymać tej sprawy w tajemnicy? Nie lepiej ci będzie, jeśli porozmawiasz z rodzicami?

Odwrociłam się gwałtownie.

– Jeśli się dowiedzą, urwą ci głowę.

Pokręciła głową.

– Jestem dorosłą kobietą. Mam dwadzieścia trzy lata i potrafię sobie z nimi poradzić. O ciebie się martwię. Całymi dniami nie wychodzisz z łóżka, z nikim się nie spotykasz, jesz jak wróbelek. Śpisz niemal bez przerwy, a i tak wyglądasz niczym własny cień.

To na pewno rodzice po nią zadzwonili. To oni ściągnęli ją do domu. O rozstaniu naturalnie wiedzieli. Nijak nie dało się ukryć faktu, że Colin przestał po mnie przyjeżdżać. Kiedy pytali, co się stało, reagowałam płaczem, a oni zostawiali mnie w spokoju. I bardzo się zaniepokoiłi, gdy zauważyli, że moja depresja, zamiast ustępować, dodatkowo się pogłębiła.

– Nic mi nie jest. Nie chcę o tym rozmawiać. Chcę po prostu żyć, jakby nigdy nic się nie stało.

– Okej. – Deb przygryzła wargę. – Zgoda. Pod warunkiem, że wreszcie wstaniesz. I że będziesz wstawać codziennie rano, jeść jak normalny człowiek i krócej spać. – Lekko pociągnęła nosem. – Obiecuj też, że będziesz się regularnie myć, bo słowo daję, mam wrażenie, że siedzę obok szczeniaka, który wytarzał się przed chwilą w odchodach.

Mimowolnie uśmiechnęłam się. Nie uśmiechałam się już od tak dawna, że grymas wydał mi się nienaturalny. A Deb przytknęła czoło do mojego i wyszeptwała naszą deklarację wzajemnego oddania, którą składałyśmy sobie niezliczoną ilość razy wcześniej.

– Kocham cię, moja malutka siostrzyczko.

– Jak bardzo? – zapytałam, wchodząc w rolę, i spojrzałam przez łzy na jej zamgloną twarz.

– Tak bardzo, jak wiele jest ziarenek piasku na wszystkich plażach świata – recytowała kolejne słowa niczym magiczne zaklęcie.

– A jak długo będziesz mnie kochać?

Rąbkami różowego szlafroka osuszyła łzę, która spłynęła mi na policzek.

– Na wieki wieków. Na zawsze – dokończyła półgłosem.

Reid ma na sobie biały lekarski kitel, na szyi wisi mu stetoskop. Rozmawia z Bogiem. A w każdym razie z kimś ubranym w białą, skrzącą się szatę i do złudzenia Boga przypominającym.

– Tak, proszę pana, rozumiem. Wróci na pewno. Do usłyszenia.

Słyszę trzask zamykanej klapki mojej taniej komórki i podnoszę powieki. Leżę na sofie w multimedialnej sali Reida. Świat powoli odzyskuje wyrazistość.

– Z kim rozmawiałeś?

Chłopak wrzuca telefon z powrotem do mojej torebki.

– Z twoim tatą.

– Z moim tatą? A po co? – Ściągam brwi.

Reid kuca przy kanapie, patrzymy sobie w oczy.

– Zdaje się, że przysnęliśmy. Jest bardzo późno. Usłyszałem dzwonek i odebrałem. Uznałem, że powinni wiedzieć, że jesteś bezpieczna. Obiecałem, że rano przyjedziesz do domu.

– I co on na to?

– Różne takie, wiesz, ojcowskie teksty. Chodź... – Bierze mnie za rękę. Wychodzimy na korytarz i idziemy do jego pokoju. Przez cały czas zastanawiam się nad tym, co powiedziałam mu wcześniej. Zatrzymujemy się przy łóżku; Reid obrzuca mnie spojrzeniem od stóp do głów.

– Chyba wygodniej ci będzie w moich ciuchach – zauważa. Wyjmuje z szafki parę pasiastych bokserów i niebieską koszulkę z wystrzępionym kołnierzykiem, miękką i spłowiałą po zbyt wielu praniach. Podaje mi ubrania.

– Dori, wszystko w porządku? Dobrze się czujesz? – Kładzie mi rękę na ramieniu.

Kiwam głową, naturalnie nie szczerze. Wcale nie czuję się dobrze. I nic nie jest w porządku. Powinna się czuć niezręcznie, przecież zaraz spędzę noc w łóżku Reida Alexandra. Już po raz drugi. Ale czasami zdarza mi się zapomnieć, kim on jest dla całej reszty świata.

– Hmm, przebiorę się w łazience.

Kiedy po paru minutach wracam, w sypialni panuje już półmrok, lampka pozwala mi jedynie odszukać drogę do łóżka. Zegar wskazuje trzecią jedenastą w nocy. Wsuwam się na materac i – po chwili wahania – pozwalam się objąć Reidowi. Jego dłonie gładzą moje plecy, wargi spotykają się z moimi włosami. Czuję się dokładnie tak samo, jak przedtem – rozpaczliwie potrzebuję jego bliskości i nie ma znaczenia, co może z tego wyniknąć. Może to brzmieć jak świadectwo słabej woli, ale tak nie jest. Ja tego wszystkiego chcę. Naprawdę. Tyle że po prostu wiem, iż w pewnym momencie zapragnę od niego więcej, niż będzie mi zdolny podarować. A wtedy nastąpi koniec. Ale dopóki się to nie stanie, nie

chcę już myśleć i analizować. Chcę tylko czuć.

Unoszę lekko twarz i muskam nosem jego podbródek. Reid zsuwa się nieznacznie i całuje mnie. Ostrożnie, niespiesznie.

Wzrok przyzwyczajają mi się do przyćmionego światła i kiedy na nim siadam, włosy opadają mi wokół twarzy niczym parawan. Dłonie chłopaka obejmują mnie w tali, przez koszulkę – jego koszulkę – palce snują się w tę i z powrotem po moim krzyżu, raz po raz. Czekają na moją decyzję, czekają bym je uwolniła jakimś magicznym słówkiem.

Nie do końca wiem, czego Reid się spodziewa. Wiem za to, czego sama chcę. Pochylam się więc, by to zdobyć. Przyciskam wargi do jego ust. Jego język czuję dopiero, gdy mój rozpoczął już wędrówkę po miękkiej, pełnej dolnej wardze chłopaka. Całuje mnie łagodnie, czule. Tarmoszę mu włosy, zachwycam się delikatnymi, dziecięcymi wręcz loczkami na jego karku. Reid powtarza mój gest, okręca moje włosy wokół palców, przyciąga mnie bliżej. Kiedy wsuwam dłonie pod jego koszulkę i odrysowuję palcami rzeźbę jego torsu, gładzi wypukłości moich piersi, naśladuje wszystkie moje ruchy.

– W tym świetle nie widzę twoich uszu – szepcze, zakładając mi włosy za uszy. Ciężkie, niechętne do współpracy kosmyki opadają do poprzedniej pozycji, pilnie strzegą moich policzków.

– Uszu?

– Tak. To bardzo wrażliwe stworzonko. Rumienia się nawet wtedy, gdy reszta ciała jest blada.

– Nie mam powodu się rumienić.

– Nie? – rzuca lekko speszony. Unoszę się i prostuję, dosiadam go, rozedrgana i niespokojna. Nie, nie pozwolę, by powstrzymał mnie lęk. Kołdra zsuwa mi się z pleców. – Dori? – Reid podpira się na łokciach, a moje ręce znajdują rąbek pożyczonej koszulki i błędzą po nim wzdłuż i wszerz.

– Reid? – pytam szeptem. – Masz prezerwatywy?

Milczy tylko przez chwilę.

– Tak – odpowiada niskim, seksownym głosem. – Ale...

Nie pozwalam mu dokończyć, nie pozwalam, by pokonały mnie obawy, nie pozwalam sobie na zmianę decyzji – mocno chwytam dół koszulki i ściągam ją z siebie jednym płynnym ruchem, po czym odrzucam na podłogę. Zmagając się z potrzebą zasłonięcia ciała, zmuszam ramiona, by ułożyły się swobodnie wzdłuż boków, dłonie opieram na udach.

Tracę oddech.

Rozdział 45

Reid

Tracę oddech.

Nie powiem, że nie wyobrażałem sobie seksu z Dori. Wyobrażałem sobie tę chwilę często, ale nie spodziewałem się, że sprawy zajdą tak daleko już tej nocy. Kiedy spotkałem ją w klubie, postawiłbym trzydzieści do jednego, że nie jest dziewicą. Nie miałem jednak pojęcia o jej złamanym sercu i nie wiedziałem, do czego między nami dojdzie. Jej powściągliwość od początku uważałem za część jej natury, za coś, co nosi w genach. Zakładałem więc, iż, pozwalając jej działać własnym tempem, będę musiał jeszcze trochę zaczekać.

Od ponad miesiąca spotykaliśmy się dwa lub trzy razy w tygodniu – oglądaliśmy filmy, graliśmy na konsoli, rozmawialiśmy. Nie zawsze dochodziło potem do szaleństw, aczkolwiek w miarę jak wzrastało jej zaufanie, działało się to coraz częściej. A teraz leżę podparty na łokciach, przed oczami mam jej nagie piersi i wszystko to po najdłuższym – bardzo wymagającym – okresie abstynencji od początku mojego życia erotycznego. Pragnę jej tak bardzo, że odchodzę od zmysłów. Kręci mi się w głowie, chciałbym po prostu rzucić się na nią, ułożyć pod sobą i wziąć wszystko, co może mi dać.

Spod władzy tak potężnego głodu nie wyzwoliłby mnie żaden zimny prysznic. Może tylko wypełniona kostkami lodu wanna.

Siadam, a Dori odchyła się nieznacznie do tyłu, jej pierś trąca moją, dzieli nas już tylko moja cienka, bawełniana koszulka. Dziewczyna oddycha płytko, czuję na skórze obłoczki ciepłego powietrza, pachnące cynamonową pastą do zębów. Wpatrzona we mnie, oblizuje wargi. Przyciągam ją mocno i całuję głęboko – to echo obietnicy, której moje ciało zamierza dotrzymać.

Dori wsuwa dłonie pod mój T-shirt, odrywam się od niej na tyle, by mogła go ze mnie ściągnąć. I wtedy przywierają do siebie nagie ciała. Pragnienie i żądza spychają mnie na skraj obłędu, odtrącając w cień wszelkie inne uczucia i myśli. Całujemy się przez długie, koszmarnie długie minuty, aż wreszcie zaczynam znaczyć wargami szlak w dół jej szyi, do piersi. Zaraz potem zwinnie odwracam ją na plecy i zaczynam krążyć językiem wokół jej pępka, muskając wargami maleńki kolczyk, którego istnienie odkryłem dwa tygodnie temu, w trakcie jednego z seansów szaleństwa.

– No proszę, niespodzianka. Bardzo seksowna niespodzianka – stwierdziłem wtedy i spojrzałem na jej różowiące się błyskawicznie uszy.

Dłonie Dori zaciskają się kurczowo na pościeli, a kiedy wkładam palce za

gumkę jej bokserek, unosi biodra. Pragnę jej bardziej niż kogokolwiek w życiu i jestem cholernie pewny, że ona również mnie chce.

Mój zasnuty mgłą pożądania mózg uruchamia się ponownie. Przypomina mi, że przez wiele lat seks był dla mnie jedynie doraźnym środkiem pozwalającym zapomnieć o samotności. Z nikim, od czasów Brooke, nie czułem się naprawdę blisko. Zdarzało się, iż poczucie izolacji powracało już kilka chwil później i znów w nim tonąłem. Nie ufam sobie, bo czuję tak bardzo znajome pragnienie, a Dori zasługuje na coś więcej. Nie chcę jej potraktować jak działającej na krótko działki narkotyku.

– Proszę... – szepcze, mocno ściskając moje ramiona. Odpycham od siebie skrupuły, przyszyły stanowczo nie w porę, a ja nie zrezygnuję. Dam jej to, czego potrzebuje. Bokserki zsunęły się już nisko na jej biodra i nic nie powstrzymuje mojej dłoni, która wślizguje się pod nie i gładzi delikatną skórę. Znów się całujemy, do utraty tchu, po czym zjeżdżam niżej i otwartymi ustami pieszczę jej piersi i brzuch, i jeszcze niżej, do miejsca, które odwiedziły już moje palce. Słyszę, jak się zachłystuje i dociera do mnie, że Colin nie doprowadził jej seksualnej edukacji do końca. Egoistyczny bydlak.

Cieszę się, że moja sypialnia znajduje się tak daleko od reszty domu. Dori nie potrafi utrzymać dolnej wargi między zębami, nie potrafi zachować dla siebie doznań, których jej dostarczam. Niczym zahipnotyzowany słucham, jak wykrzykuje moje imię, czuję jej palce wijące się wśród moich włosów, jej rozedrgane uda. Wkrótce, zaspokojona, robi się senna, a ja nabieram pewności, że zanim usnę, czekają mnie godziny ciężkich zmagañ.

– Reid? – odzywa się tak cicho, że w pierwszej chwili nie wiem, czy się nie przesłyszałem.

– Jestem tu... – przyciągam ją bliżej, głaszczę jej rozsypane na ramionach włosy, rozrzucam je na poduszce. – Śpij, Dori.

Nabiera powoli powietrza i wzdycha. Nie otwierając oczu, wtula się w moją pierś.

– Nie. Kolej na ciebie – mamrocze.

Palce dziewczyny, zupełnie bez ostrzeżenia, obejmują mnie i zaczynają się poruszać. Ostrożnie, lecz zdecydowanie, bez wahania. Drażni językiem mój sutek.

Nie trzeba mi wiele. W dodatku – co przyznaję ze wstydem – nie trwa to długo.

Tego właśnie od niej potrzebowałem – mimo przygniatającego ją ciężaru oczekiwań, począwszy od teologicznych po te, które narzuciła sama sobie – potrzebowałem na koniec tej jednej, bezinteresownej myśli o mnie.

Ukojony, oczarowany, zasypiam trzymając ją w ramionach.

Dori

Dzisiejsze przebudzenie przypomina poprzedni poranek w łóżku Reida tylko pod jednym względem – towarzyszą mi doznania bardzo przypominające kaca: boli mnie głowa, mam suche oczy i jestem wyczerpana. Przyczyna jest jednak zgoła odmienna – tym razem za moje samopoczucie odpowiada potok przykrych wynurzeń.

W odróżnieniu od tamtego dnia, mam na sobie jego bokserki i koszulkę – które nocą zdjęłam. Wracają do mnie niewyraźne wspomnienia. Reid podniósł mnie, założył mi koszulkę przez głowę i utulił do snu tak samo, jak robiła to Deb, gdy dręczyły mnie koszmary. Leży teraz obok i miarowo oddycha. Ma zamknięte oczy i lekko rozchylone usta. Jesteśmy ze sobą spleceni rękoma i nogami. Jedną dłoń Reida trzyma delikatnie moją, druga spoczywa na moim biodrze. Ostrożne uwolnienie się od niego zajmuje mi kilka minut.

Nie jestem w stanie jasno myśleć, a muszę przecież wracać do domu. Wczoraj wieczorem – gdy dowiedziałam się, że Reid rozmawiał z moim tatą – byłam zbyt oszołomiona, żeby zastanawiać się nad konsekwencjami, ale dzisiaj rano cena, jaką za tę noc zapłacę, jawi mi się bardzo wyraźnie. Owszem, mam już osiemnaście lat, ale nie przestałam być córką troskliwych rodziców. Wciąż jestem od nich zależna finansowo, nadal zależy mi na ich szacunku i chcę, by byli ze mnie dumni. Nawet jeśli na to nie zasługuję.

Przez całe życie byłam pewna, że wszelkie tajemnice, jakie powierzałam Deb będą bezpieczne. Wiedziałam, że nikomu ich nie zdradzi, że nie będzie mnie oceniać. I póki przy mnie była, póki miałam w niej oparcie, dopóki czułam, że gdzieś tam jest i że mnie kocha – byłam w stanie wytrzymać. Możliwe, że żyjąc w ten sposób, skonstruowałam w sobie bombę z opóźnionym zapłonem. Że bezsensowne wyrzuty sumienia powróciłyby gwałtownie, nawet gdybym nie straciła jej, swego jedyne go powiernika. Ale przecież ją straciłam. Nie odeszła do końca, ale nie ma jej już przy mnie. Rodzice wciąż błagają Stwórcę o cud, wierzą, iż Deb kiedyś wróci do życia, do własnej przyszłości, do nas. Wszystko bym oddała, byle tylko wejść pewnego dnia do jej pokoju i zobaczyć, że patrzy mi w oczy, a nie gdzieś w pustkę, jakbym była ze szkła.

Wiem jednak, że taki dzień nie nadejdzie.

Może to mój brak wiary nie pozwala na cud? Tak właśnie podszeptuje mi głos sumienia – o ile to rzeczywiście sumienie odzywa się w mej głowie. Nie wiem, czy sumienie może się mylić, czy może błędzić, ignorując oczywiste fakty. Jednak bez względu na to, czyj to głos, skąd do mnie przychodzi, jest subiektywny i nie słabnie ani przez chwilę. Tyle że za nic nie potrafi mnie przekonać.

Deb, jako jedyny człowiek na świecie, znała mnie naprawdę. Na wylot.

Teraz poznał mnie też Reid. Nie żałuję tego, co zrobiliśmy. Nie sądziłam, że kiedykolwiek jeszcze zdołam drugiemu człowiekowi zaufać. Że zdołam się zapomnieć. Że będę dotykać i pozwalać się dotykać bez cienia wstydu. Teraz wcale nie czuję się zbrukana, lecz czysta. Pozbyłam się ciężaru z duszy, a obarczyłam swoim paskudnym sekretem tego chłopca. Nie będzie go musiał dźwigać wiecznie. Kiedy zniknę, może go z siebie zrzucić. Pozbyć się. Zapomnieć. Mnie się to nigdy nie uda, a samotnie nie mogłabym nieść go już ani dnia dłużej.

Zakładam dzinsy, zaczesuję włosy do tyłu i spinam je na karku zalezioną w torebce gumką. Myję twarz i zęby. W torbie mam co prawda własną, podróżną, ale na szczoteczkę nakładam wybielającą pastę Reida. Tę, która smakuje jak on.

Gdy wychodzę z łazienki, chłopak wciąż mocno śpi. Przekręcił się na brzuch, ułożył na wygrzonym przeze mnie miejscu. Kołdra odsłania jego nagie, pięknie umięśnione ramiona, które obejmują poduszkę. Przelykając ślinę, ze zdławionym gardłem podchodzę i okrywam go szczelniej. Wzdycha i zagrzebuje się głębiej w pościel. Nie jestem w stanie powstrzymać palców, które odgarniają mu włosy z czoła. Nie wiem, jak nazywa się gra, w którą oboje gramy – kryjąc się przed fotografami, przed moimi rodzicami, przed wszystkimi. Nie mam pojęcia co to jest, co to było.

I nagle doznaję olśnienia: mogę przecież o to walczyć. O niego.

Rozważając tę myśl w głowie, wpatruję się w muszlę jego ucha, wystającą spomiędzy zmierzwionych kosmyków. Już dawno się nie strzygł – dlatego że pewnego razu wyszeptalam, iż podobają mi się u chłopców ciut dłuższe włosy. Sunę spojrzeniem ku jego rozluźnionym wargom – zarazem uległym i wymagającym. Przypominam sobie, co te usta zrobiły mi zeszłej nocy i znów zapiera mi dech w piersiach. Mogłabym wrócić do domu i poinformować rodziców, że ich kocham i szanuję, lecz mam osiemnaście lat i własne życie, że muszę dokonywać własnych, samodzielnych wyborów. Czując nagły przypływ adrenaliny wyobrażam sobie ich reakcję. Pamiętam przecież, co powiedział tata: „...a póki mieszkasz tutaj”. Ciekawe, krzyczeliby? Zrugali mnie? Wyrzucili z domu? Myśl o ich gniewie i rozczarowaniu przepelnia mnie grozą, lecz jeszcze straszniejsza wydaje mi się możliwość utraty Reida. Nie chcę go stracić, zanim otrzymam szansę dowiedzieć się, czym ta znajomość naprawdę jest.

Całuję go w czoło. Śpi tak głęboko, że nawet nie drgnął. Cichutko tylko westchnął.

Zakładam kurtkę i wsuwam liścik pod jego komórkę. „Jadę do domu zmierzyć się ze smokiem. Zadzwonię”. Przygryzam wargę i głęboko oddycham. Budzi się we mnie optymizm. Przynajmniej nie będę musiała dłużej ukrywać naszych spotkań – to mam już za sobą. A rodzice mnie przecież nie wyrzucą, prawda? Jeszcze nigdy im się nie sprzeciwiłam, nie w taki sposób. Nie mam pojęcia, co zrobią. Ale czuję się silna. Dam radę. Dam radę.

„Nie martw się. D.” – dopisuję pod spodem.

Wchodzę do domu i zastaję oboje w kuchni. Siedzą przy stole, na swoich zwykłych miejscach. Nabieram w płuca powietrza i próbuję ocenić sytuację. Mama ma na sobie szpitalny fartuch, ten błękitny z delikatnym granatowym deseniem. Mimo wczesnej pory tata również jest ubrany. Założył nawet buty. W dłoniach ściskają kubki z kawą. Zerkają na mnie i patrzą po sobie. Zdolność do porozumiewania się bez słów opanowali do perfekcji.

Sobie też nalewam kawy, chociaż jestem tak pobudzona, że kofeina wcale nie jest mi potrzebna. Przysuwam sobie krzesło i siadam. Mam nadzieję, że doszli do wniosku, że czas odpuścić, pozwolić mi decydować o własnym życiu, podejmować samodzielne wybory. Gdy dociera do mnie, że są przekonani, iż przespałam się z Reidem, zaczynają mnie palić policzki. Oczywiście, że to, co zrobiliśmy było bardzo intymne. Podobnie jak fakt, że spaliśmy ze sobą już po raz drugi. Ale to przecież nie ich sprawa i szykuję się, by po raz pierwszy w życiu zwrócić im na ten fakt uwagę. Jednocześnie, z rozkołatanym sercem, czekam, by któreś z nich wreszcie się odezwało.

Tata odchrząkuje.

– Dori, zanim powiesz nam, co myślisz, chcemy, żebyś usłyszała kilka słów od nas.

Obejmuję dłońmi ciepły kubek. Siedzę w doskonałym bezruchu, słucham.

– Po pierwsze, chcemy przeprosić. Od dnia wypadku twojej siostry bardzo cię zaniedbaliśmy. Zrozum proszę, że ani przez moment nie chcieliśmy, żebyś pomyślała, że nie jesteś dla nas ważna. Że nie... że nie kochamy cię tak bardzo, jak kochamy Deb. – Głos mu się łamie, a ja czuję w oczach piekące łzy. – Wiemy, że nie jesteś już dzieckiem, ale wciąż brakuje ci życiowego doświadczenia. Nie przestaniemy cię chronić tylko dlatego, że jesteś pełnoletnia.

Tego zupełnie się nie spodziewałam, nie jestem w stanie odpowiednio szybko zmienić nastawienia. Nie nadążam.

Oboje wpatrują się we mnie szczerymi, oddanymi spojrzeniami.

– Dori – podejmuje mama ochrypłym głosem, na pewno przepląkała całą noc. Bierze mnie za rękę. – Kochanie, to co robisz, jest niebezpieczne. Przede wszystkim dla ciebie. Wiem, dlaczego w ten sposób reagujesz na to, co spotkało Deb. Ale proszę cię, przestań. Ten chłopak jest niebezpieczny. Ten związek nie może dłużej trwać. Musisz to zrozumieć. Pamiętam, jak się czułaś po rozstaniu z Colinem. Nijak nie potrafiliśmy cię wyrwać z depresji. Byliśmy naprawdę przerażeni. Gdyby Deb nie wróciła wtedy do domu... – Szloch nie pozwala jej dokończyć. Wzmacnia uścisk na mojej dłoni. Dlatego, że Deb już nigdy nie wróci.

– Dori, ja nie mogę stracić drugiej córki. Proszę.

Strumienie łez spływają mi po twarzy. W myślach błyskawicznie przebiegam wydarzenia kilku ostatnich tygodni. Tak, zachowywałam się niebezpiecznie, a nawet autodestrukcyjnie. Poszłam do klubu, upiłam się prawie do nieprzytomności i omal nie wyszłam z nieznanym. Mogłam zostać zgwałcona lub pobita. Ktoś mógł mnie nawet zabić.

Mój związek z Reidem jest niekonkretny i kruchy. Od początku, nawet zeszłej nocy rozumiałam, że ta znajomość nie przetrwa. Pławiąc się w jego bliskości, przymknęłam oczy na nieuchronny koniec i nie zastanawiałam się, jak na tę sytuację zareaguję. Po raz pierwszy porównuję uczucia, które żywię do Reida, z tym, co czułam do Colina. Dociera do mnie, że wpadłam. Po same uszy. Zakochuję się w nim coraz bardziej i jeśli pozwolę się temu rozwinąć, nieuchronne rozstanie zniszczy mnie tak doszczętnie, że ucieczka Colina wyda mi się w porównaniu z tym błahostką.

– Przepraszam. – Zaczynam płakać i chowam twarz w dłoniach. Słyszę skrzypnięcia ich krzesel, zupełnie jak wtedy gdy rozmawialiśmy o Reidzie poprzednim razem, lecz teraz nikt nie wychodzi. Obejmują mnie, tłumaczą, że im też jest przykro. I wiem już, że zadzwonię do Reida i za wszystko mu podziękuję, za wszystko co dla mnie uczynił, bo okazał się lepszy, niż mogłam się spodziewać. A potem powiem mu „żegnaj”.

I to właśnie robię pół godziny później, siedząc samotnie w pokoju. Reid nie odzywa się przez długie pół minuty, ale słyszę jego oddech i wiem, że się nie rozłączył. Pozwalam mu przetrwać to, co przed chwilą usłyszał. Zamykam oczy, tulę do siebie Esther i modlę się, o siły do zniesienia tego, co sama zaraz usłyszę. Na pewno się wścieknie i będzie miał do tego prawo.

– Rozumiem – odpowiada wreszcie, spokojnie i cicho. – Żegnaj, Dori.

W słuchawce robi się zupełnie cicho. Płaczę, dopóki nie morzy mnie sen. Zasypiam zwinięta w kłębek na środku łóżka, mocno wtulona w psi bok, moją jedyną w tej chwili pociechę.

Rozdział 46

Reid

– Już od pewnego czasu nie widuję samochodu twojej przyjaciółki. – Mama siedzi na skraju mojego łóżka i wertuje powieść o tym fikcyjnym przystojnym ponuraku, który kojarzy mi się z Willem Darcym, moją postacią ze *School Pride*, tyle że przeniesioną w realia apokaliptycznej przyszłości. (Swoją drogą, co takiego pociąga kobiety w ponurakach? Sam jestem ponury już od trzech tygodni – od telefonu Dori – i rzeczywiście, laski lgną do mnie bardziej niż poprzednio. Może jednak nie powinienem się dziwić? Zawsze kiedy zachowywałem się jak dupek, kleiły się jak muchy do lepu.)

– Dlatego, że już u nas nie bywa. – Wcale się nie dziwię, że mama zauważyła jej nieobecność. Mama zauważa wszystko, nawet gdy z pozoru snuje się po domu zamroczona do tego stopnia, że teoretycznie powinna widzieć jedynie własne stopy. Dzisiaj jednak przygląda mi się jasnymi, przenikliwymi oczyma.

– Pokłóciliście się? – Kiedy przestała mnie odwiedzać Brooke, zadała to samo pytanie.

Wzruszam ramionami.

– Prawdę mówiąc do żadnej kłótni nie doszło. Jej rodzice nie chcieli, by się ze mną spotykała, więc dała sobie spokój. – Nie wiem, czy tak rzeczywiście wygląda prawda, ale wiele na to wskazuje. Powinienem był z góry wiedzieć, że Dori im się podporządkuje. Ciekawe, czy wywołali w niej wyrzuty sumienia tym, że spędziła ze mną noc, czy po prostu dlatego, że się ze mną widywała? A może zagrozili jej wyrzuceniem z domu? Nigdy nie rozumiałem rodziców, którzy są w stanie postawić ultimatum własnemu dziecku. Na tę myśl czuję w głębi ducha wzburzenie – przecież nawet gdyby tę groźbę zrealizowali, wynająłbym dla niej mieszkanie. Cholera, mógłbym nawet kupić je dla nas obojga.

Kurde. Mieszkanie dla nas? Już po mnie. Z powodu Dorcas Cantrell, dziewczyny, która w trwającej minutę rozmowie przez telefon dała mi do zrozumienia, że nic dla niej nie znaczę. „Jestem wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Myślę nawet, że ocaliłeś mi życie. Ale nie mogę się z tobą dłużej widywać. Za wiele się wokół mnie dzieje, a poza tym i tak nie wiem, dokąd zmierzaliśmy. Rzecz w tym, że... rodzice mnie potrzebują i muszę wrócić do własnego życia, a tobie pozwolić żyć swoim. Przepraszam”.

Umilkła i przełknęła łzy, a ja wciąż leżałem na łóżku z telefonem przy uchu. Rozpaczliwie chciałem się obudzić, chciałem, żeby powiedziała coś więcej. Żeby wszystko odwołała. Nic z tego.

Rozłączyłem się i rzuciłem komórką przez cały pokój. Gruchnęła o ścianę z taką siłą, że został na niej ślad, a ekran rozpadł się w drobny mak. A potem znalazłem przy łóżku ten jej liścik. Ten z tekstem „Nie martw się”, pod którym podpisała się skromnym „D”. Godzinę później, kiedy uspokoilem się na tyle, że byłem w stanie w miarę jasno myśleć, wyciągnąłem zmiętą karteczkę z kosza na śmieci, wygładziłem ją na biurku i przeczytałem jakieś pięćdziesiąt razy z rzędu, usilnie starając się dostrzec jakikolwiek sens w tym, co tego samego dnia napisała i co powiedziała – przecież to kompletna sprzeczność.

– Hmm... – mruczy mama i wraca do lektury.

– No, co?

Unosi brew, lecz nie odrywa oczu od książki.

– Może to ty zbyt szybko dałeś sobie spokój.

Parskam śmiechem. Jasne, gdyby to było tak proste.

Mama rzuca okiem na zegarek, zsuwa się z łóżka i podchodzi do mnie – stabilnym, pewnym krokiem. Tarmosi mi włosy.

– Muszę iść na spotkanie. Jeśli chcesz, porozmawiamy potem. – Wsuwa mi pod brodę palce ze świeżym lakierem, zadziera moją głowę do góry i uświadamiam sobie, że naprawdę ma czyste spojrzenie. Znowu próbuje zerwać z piciem. Nie pytam. Nie chcę o to pytać. Nie chcę zapeszyć.

Tłumię odżywającą w sercu nadzieję i kiwam głową.

– Dobra, mamó.

– Jeszcze jakieś życzenia, panie Alexander? – Dostarczająca moje nowe ferrari przedstawicielka salonu jest obłędnie seksowna, a jej pytanie zabrzmiało niczym godowy pomruk kocicy. Skrętnie wykorzystwała wszystkie nadarzające się okazje, żeby mnie dotknąć lub pochylić się, demonstrując mi dekolt jedwabnej bluzki z rozpiętymi trzema górnymi guzikami.

Omówiliśmy już wszystkie techniczne detale i dokładnie obejrzeliliśmy samochód, by mieć pewność, że na metalicznie stalowej karoserii nie widnieje najdrobniejsza rysa, a jasnoszara, skórzana tapicerka jest w idealnej kondycji. Nie widzę powodu, by ją dłużej zatrzymywać, chyba że miałbym ochotę wziąć ją na masce (bez dwóch zdań mógłbym – aluzje dziewczyny nie pozostawiają wiele miejsca na wątpliwości).

„Dlaczego nie, do cholery?” – słyszę w głowie głos Johna.

Dlatego nie, że myślę w inny sposób niż dawniej. Zastanawiam się, na przykład, co ona we mnie widzi, poza tym, że jestem młody, bogaty i sławny. Dla Dori wszystko to nie miało znaczenia. Nie wiem, co się dla niej liczyło. I nie wiem, co się zmieniło między dniem, kiedy się poznaliśmy – gdy nie mogła się doczekać, aż zniknę – a pocałunkiem w szafie, wieczorem przed Vancouver i Quito,

i momentem, gdy zgodziła się oszukać rodziców i spędzała ze mną kilka nocy. Co takiego umożliwiło naszą ostatnią wspólną noc?

– Dzięki, to już chyba wszystko – odpowiadam. Zawiedziona dziewczyna lekko wzdycha. Bez wątpienia rozpowie znajomym, że jestem gejem. Guzik mnie to obchodzi.

– W takim razie, hmm... zadzwonię, żeby ktoś po mnie przyjechał. – Obrzuca mnie nadąsanym wzrokiem, a ja zastanawiam się, dlaczego nie wróciła lawetą, na której przyjechało ferrari.

– Ależ to żaden problem. Ja panią podrucę. Przy okazji sprawdzimy, czy ten wózek rzeczywiście da radę przyspieszyć do setki w... ile to było? Niecałe cztery sekundy? Moje nowe maleństwo potrzebuje się rozbijać, zanim wstawię je do garażu. – Dziewczyna na moment się rozpromienia, lecz zaraz dociera do niej, że naprawdę interesuje mnie samochód i tylko samochód.

Szyby są przyciemnione tak mocno, że właściwie nie potrzebuję zakładać okularów. Do setki rozpędzam się jeszcze przed końcem ulicy, ale z przetestowaniem prędkości maksymalnej – ponad 400 kilometrów na godzinę – muszę poczekać, aż wyjadę na pustą autostradę. Po kilku minutach jedziemy już przez Santa Monica i skręcamy w Wilshire.

– Skoro rzeczywiście nie ma pan dodatkowych życzeń... – Gdy zatrzymuję się przed wystawą salonu, dziewczyna nachyla ku mnie wypchany dekolt.

Zaraz będę musiał siłą wysadzić ją z wozu, bo owszem, mam ochotę na to, co mi podsuwa jak na srebrnej tacy. „Dlaczego nie, do cholery?” – znów odzywa się głos Johna.

– Nie. Wszystko w porządku. – Kiedy człowiek dowie się wreszcie, na czym mu naprawdę zależy, wszystko pozostałe blednie. Nigdy przedtem tego nie rozumiałem. Teraz rozumiem. – Dziękuję pani, pani....

– Victoria. – Rzuca mi chłodny uśmieszek i wręcza wizytówkę.

– Właśnie, dziękuję pani Victorio.

Kiedy wsuwam jej wizytówkę do portfela, trącam ukryty wśród banknotów i paragonów karteluszek. Numer komórki Franka, z którym nie rozmawiałem od sierpnia, od ostatniego dnia pracy przy domu Diegów. Może jednak powinienem się do niego odezwać?

Dori

Do Bożego Narodzenia zostały trzy dni. Za cztery tygodnie zaczynam studia. Rozmowy z Nickiem pomogły mi dojść do wniosku, że moje rozkojarzenie wynikało z faktu, iż nie miałam na czym skupić myśli. Co więcej, Berkeley

zaczęłam traktować jako trwałą punkt zaczepienia, a nie potwornie trudne wyzwanie. Spotkałam się już z opiekunem roku, zapisałam na zajęcia i udało mi się też ślepym trafem dostać miejsce w akademiku – okazało się, że ktoś zrezygnował. I wszystko to w ciągu dwóch tygodni.

Wrzucam makaron do durszlaka. W tym samym momencie wraca mama. Była u Deb.

– Kolacja za dziesięć minut – rzucam przez ramię i zabieram się do mieszania sosu.

Nie słyszę odpowiedzi, więc odwracam się i widzę, że opadła na krzesło i siedzi z otumanionym wzrokiem. Natychmiast coś ściska mnie w żołądku. Powinnam była z nią pojechać, zamiast ukrywać się w kuchni. Podjęłam się samodzielnie przyrządzić sos, a przecież wystarczyło wyciągnąć z szafki słoik.

– Mamo? Czy coś się stało?

– Nie... – Wciąż wygląda dziwnie, ale raczej na zdumioną niż przerażoną. – Poprosili mnie o zgodę na przeniesienie Deb do innej sali.

– Co? Dlaczego?

Mama powoli kręci głową.

– Ktoś opłacił dla niej jedynekę.

– To... To świetnie. Ale kto?

Wciąż porusza głową z boku na bok.

– Sami nie wiedzą. Znają tylko nazwę firmy prawniczej, która zarządza tym funduszem. Niby mogę tam jutro zadzwonić, ale czy to nie będzie jak zagłądanie darowanemu koniowi w zęby? To przecież istny cud! – mówi i nagle zalewa się łzami. Esther opiera pysk na jej kolanie i skomle. Spanikowany tata wybiega z gabinetu.

– Może to ktoś z kościoła? – podsuwam, choć w głowie słyszę tylko jedno: Reid?

– Co ktoś z kościoła? – Ojciec staje przy krześle mamy.

Zaczynają zastanawiać się nad tym nowym cudem, a ja wracam do bulgoczącego sosu. Przykręcam gaz i mieszam. Jeśli Reid ma z tym cokolwiek wspólnego, musiał mu w tym pomóc ojciec. Jest prawnikiem, prawda? Nie będzie trudno sprawdzić.

– A jak się ta kancelaria nazywa?

– Nie wiem. – Mama wzrusza ramionami. – Z tego wszystkiego zapomniałam zapytać.

Muszę ze wstydem przyznać, że to moja pierwsza wizyta u Deb bez mamy i taty. Ale nie przyszłam zupełnie sama, jest ze mną Nick, z czego zresztą bardzo się cieszę. Wita się z moją siostrą i zostaje na chwilę, żeby się upewnić, czy sobie

poradzę. Potem oświadcza, że zaczeka na zewnątrz, bo spodobała mu się recepcjonistka.

Widząc jego szelmowski uśmieszek, parskam śmiechem.

– Ma na imię Sophie – podpowiadam. – Uwielbia koty i zaczytuje się w pamiętnikach słynnych postaci historycznych.

– Koty lubi, tak? Hmm... – Nick bębni palcem w dolną wargę. – Może coś z tego będzie. – Ściska moją dłoń. – Jeśli będę potrzebny, daj znać SMS-em.

Zerkam na Deb i z powrotem na chłopaka.

– Idź podrywać Sophie. Damy sobie radę.

Odkąd przywieźliśmy siostrę do L.A, ani razu nie zostałam z nią sam na sam. Jeszcze zanim weszłam, zatrzymała mnie jedna z pielęgniarek.

– Deborah jest już po obiedzie. Potem spędziła dwie godziny na werandzie. Możecie sobie porozmawiać u niej.

Porozmawiać. Jasne.

Przechadzam się w tę i z powrotem. Porządkuję i przestawiam, aż wreszcie kończą mi się pomysły. Siadam więc w rogu, na obitym miękką tapicerką foteliku. Ten nowy pokój znajduje się na pierwszym piętrze. Wysokie dęby przyjemnie oceniają okno, a poniżej rozciąga się malowniczy teren ośrodka – ukwiecony ogród, kamienne chodniki i gładkie, wytarte od używania drewniane ławki. Pacjenci siedzą i rozmawiają z odwiedzającymi albo przechadzają się w towarzystwie pielęgniarzy, podziwiając zimowe kwiaty. Deb tkwi nieruchomo w swoim fotelu. Wpatruje się pustym wzrokiem w szybę.

W kieszeni mam kartkę z nazwą kancelarii prawniczej zarządzającej funduszem, z którego pochodzą pieniądze na tę jedynekę. Poprawa standardu jest rzeczywiście niesamowita – nie chodzi tylko o prywatność, ale też o drobne, często niemal niedostrzegalne udogodnienia. Wygodny fotel, wychodzące na południe okno, lepsza pościel i meble, wzorzysty dywanik na podłodze. Po powrocie do domu sprawdzę tę kancelarię w sieci i spróbuję ustalić tożsamość anonimowego dobroczyńcy. Na razie jednak jestem tutaj z Deb, sama wśród dzielącej nas ciszy, i tęsknię za jej uśmieszkiem i spokojem, z jakim zawsze była gotowa mnie wysłuchać.

– Hej, Deb... – odzywam się szeptem, który choć cichy, rozbija ciszę niczym hurgot potężnej fali. Ona, oczywiście, siedzi, jak siedziała. – Ładny ten twój nowy pokoik. – Za oknem widać sunące po ołowianym niebie stada chmur. Płyną leniwie, niespiesznie. W Los Angeles nigdy nie nastają mrozy, lecz zima i tak jest chłodna. – Następnym razem przywiozę ze sobą grubszy sweter i rozejrzemy się po ogrodzie – obiecuję, zastanawiając się, czy ona mnie słyszy. Może po prostu nie jest w stanie odpowiedzieć?

Chrząkam.

– Dowiem się też, kto jest twoim tajemniczym wielbicielem.

Przypominam sobie, gdy przyniosłam Bradfordowi bluszcz i pudełko z ubraniami. Coś ściska mnie w gardle, odbiera mi głos. Początkowo podejrzewałam, że to on opłacił nowe lokum siostry, ale dość szybko tę myśl odrzuciłam. Brad musi przecież spłacać potężny studencki kredyt i nie byłoby go na taką ekstrawagancję stać. Wciąż od czasu do czasu dzwoni do mamy, ale dzieje się to coraz rzadziej. Coraz bardziej pochłania go własne życie. Bo on ma własne życie.

– Wiesz? Postanowiłam jednak pójść na studia. Zaczynam w przyszłym miesiącu. – Zerkam na zegarek. – Ale mamy jeszcze dla siebie parę tygodni, a potem będę cię odwiedzać w długie weekendy i ferie.

Spędziłam z nią ledwie jedenaście minut. Naprawdę nie mam pojęcia, jak to możliwe, że mama potrafi prowadzić z nią te swoje jednostronne rozmowy przez ponad godzinę.

– Za dwa tygodnie zaczynamy pracę przy nowym projekcie Habitatu. Tym razem kierownikiem zespołu została Roberta. Dzisiaj wieczorem mam do niej zadzwonić i poznam szczegóły. O wszystkim opowiem ci następnym razem. – Wstaję i przesuwam fotel siostry tak, żeby nie raziło jej słońce. Nie wiem, co dostrzeżę za oknem ani czy jej umysł jest w ogóle w stanie przyswoić jakiegokolwiek widoki. Całuję ją w czoło, lekko ściskam wiotką dłoń. – Niedługo znów zajrzę. Kocham cię.

Naciskam przycisk, by pielęgniarki wiedziały, że wizyta dobiegła końca i wychodzę na korytarz. Łzy stają mi w oczach dopiero na klatce schodowej. Oddycham głęboko – wdech, wydech – staram się opanować. Składam też sobie w duchu gratulacje. Odwiedziłam swoją siostrę – sama! I wytrzymałam u niej całe dwanaście minut.

Rozdział 47

Reid

– No dobra, Reid. Odzywam się, bo wydzwaniasz już od jakiegoś czasu, a widzę, że obcesowe nieodbieranie nie działa na ciebie jak na normalnych ludzi. Czego chcesz?

No tak. Wiedziałem, że bez bólu się nie obędzie, ale, dobry Boże, Brooke wciąż potrafi mnie rozdrażnić równie skutecznie jak wtedy, gdy miała piętnaście lat. Wkurzona, mówi z silnym teksańskim akcentem. Stąd wiem, że chociaż stara się udawać zwykłą, chłodną irytację, nadal jest na mnie wściekła.

Mój psychoterapeuta uznałby zapewne, że to doskonały moment, by wypróbować uspokajające sztuczki, których mnie uczył, gdy opowiadałem o utarczkach z ojcem. Głębokie, powolne oddechy. Odliczanie przed każdym zdaniem do trzech lub dziesięciu. Albo i piętnastu.

– Niczego nie chcę. Po prostu muszę ci coś powiedzieć i chciałbym, żebyś mnie wysłuchała. Proszę.

Cisza. Czyżby szok? Niewykluczone, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę słowa, jakie padły w trakcie kilku naszych ostatnich rozmów.

– Słucham cię – odzywa się wreszcie Brooke, tonem z pewnością nie tak ostrym, jak by sobie życzyła.

– Chcę przeprosić...

– W kulki sobie lecisz? Co ty, program dwunastu kroków przerabiasz? Reid, cholera, od miesięcy się do mnie nie odzywasz. Głośno i wyraźnie dałeś też do zrozumienia, co o mnie myślisz. Więc teraz to wszystko, jak ładnie mówią niektórzy, o kant dupy potłuc.

Przechesuję palcami włosy, przeciągam dłonią po twarzy i – przyznaję – w pierwszym odruchu mam ochotę odpuścić. Ostatecznie niechęć, jaką żywi do mnie Brooke nie ma większego znaczenia. W aktorskim świecie mam silniejszą pozycję niż ona, więc nie muszę się obawiać, iż – na przykład – storpeduje moją karierę. Tyle, że tu nie chodzi przecież o mnie.

Biorę jeszcze jeden głęboki wdech i powoli wypuszczam powietrze z płuc. Przeproszę ją. Przeproszę, choćby się waliło i paliło.

– Brooke, źle postąpiłem. Nie powinienem był cię porzucać, kiedy zaszłaś w ciążę. Nie powinienem bez względu na to, co się wtedy między nami działo. Byłaś moją dziewczyną i powinienem był cię wspierać. W każdej twojej decyzji – Brooke milczy, więc brnę dalej. – Na swoje usprawiedliwienie mam tylko tyle, że byłem po prostu głupim dzieciakiem. Tak czy inaczej, dałem cię i bardzo cię za

to przepraszam.

Nie odpowiada. Odliczam sekundy, zastanawiając się, czy czasem się nie rozłączyła. Mijają prawie dwie minuty.

– Myślałam o tym, żeby go poszukać – odzywa się wreszcie. – Nie, żeby się wtrącać czy coś, ale chciałam sprawdzić, czy wszystko u niego w porządku. Czy... Chciałbyś może, żebym dała ci znać, jeśli się czegoś dowiem?

Zaciskam zęby i zmagam się z głęboko zakorzenionym cierpieniem. Jej zdrada wciąż boli, ęmi jak nieleczony ząb. Nie po raz pierwszy dziwię się, dlaczego Brooke zachowuje się tak, jakby miała pewność, że dziecko jest moje. Ale tego jej nie mówię. Już kiedyś powiedziałem. Zresztą, z czasem człowiek nabiera dystansu. Bo w sumie nieważne, czy to dziecko – chłopczyk – było moje, czy nie.

– Pewnie. Chciałbym.

W słuchawce rozlega się westchnienie.

– Wiem, co sobie myślisz. Ale ryzykując, że zepsuję ten moment, powtórzę coś, co już kiedyś usłyszałeś. To twój syn. Wiem o tym, bo zanim zaszłam w ciążę, nie spałam z nikim poza tobą. Więc jeśli wykluczmy samozapłodnienie, jest twój.

Zaraz, zaraz...

– Brooke, ale te wszystkie artykuły i zdjęcia, ten facet...

– Typowe łągarstwa tabloidów. Nie zdradziłam cię. Owszem, po tamtej kłótni tańczyłam z tym kolesiem w klubie. Dość... ostro. Chciałam żebyś poczuł się zazdrosny. Chciałam, żebyś przybiegł i zapewnił, że jestem twoja i nikomu mnie nie oddasz. Nie zdradziłam cię. Za nic w świecie bym cię nie zdradziła. Z nim czy z kimkolwiek innym.

Przez całą rozmowę przechadzałem się po całym pokoju. Teraz opadam ciężko na skraj łóżka i ogarnia mnie ulga, że nie zadzwoniłem do niej z samochodu. Nagły przyływ adrenaliny sprawia, że cały się trzęsę.

– Brooke, dlaczego pozwoliłaś mi myśleć...

– Wydawało mi się, że mnie kochasz. Nie sądziłam, że będę ci musiała udowadniać, że nie zrobiłam czegoś, czego nie zrobiłam! A potem okazało się, że jestem w ciąży, a ty nie... – Słyszę, jak przełyka łązy. – Nie, nie mogę o tym dłużej rozmawiać. Przeszłość to przeszłość. Jeżeli go znajdę, podeślę ci informacje. Jeśli naprawdę chcesz.

Moje myśli gnają jedna za drugą, zbyt szybko, by mogły nabrać konkretnego kształtu.

– Tak. Tak, chcę.

Brooke pociąga nosem.

– Okej, dam ci znać – mówi łagodniej. – Żegnaj, Reid – dodaje i rozłącza się, nie dając mi szans na odpowiedź.

Nie wiem, dlaczego, ale dzisiaj jej uwierzyłem. Mam syna. Nie, wróć:

miałem syna. Przez kilka minut. Teraz chłopczyk należy już do kogoś innego – i tak jest bez wątplenia dobrze. Przecież sami byliśmy wtedy dziećmi. A dzieci nie powinny wychowywać dzieci. Ile ma ten mały, cztery lata? A ja przez ten cały czas wcale o nim nie myślałem. Aż do dzisiaj. Popieprzone to.

Dori

Nad moim biurkiem wiszą korkowe tabliczki. Przypinam do nich pinezkami zdjęcia najważniejszych dla mnie osób; są tam rodzice i Deb, Kayla i Aimee, Nick. Jest też naturalnie Esther. W rogu jednej z tablic widnieją dwie grupowe fotki dzieciaków z zeszłorocznej szkółki letniej. Jedna została wykonana podczas końcowej imprezy. Otaczają mnie wyprostowane, dumne maluchy. Są uśmiechnięte i ubrane w najlepsze niedzielne stroje. Na drugiej fotografii cała ta hałastrą tłoczy się nad basenem wokół pani K. Wyglądają jak pszczoły lgnące do plastra miodu. Jonathan trzyma kobietę za jedno biodro, Keisha za drugie. Uśmiechają się do siebie szeroko. Mam też zdjęcia znajomych z Habitatu, z kościoła, z Quito oraz szkolnych kolegów i koleżanki, których być może już nigdy nie zobaczę. Na tych korkowych tablicach są wszyscy, którzy są dla mnie ważni.

Z wyjątkiem Reida.

Sprawdziłam już kancelarię zarządzającą funduszem Deb. Nie należy do jego ojca. Wymienione na stronie nazwiska prawników nie powiedziały mi zupełnie nic. Nie udało mi się znaleźć żadnego konkretnego tropu.

Przez dwa najbliższe tygodnie, dopóki nie przeniosę się do Berkeley, będę pomagać w Habitacie. Wczoraj, kiedy rozmawiałam z Robertą, dowiedziałam się, że ktoś anonimowo przekazał państwu Diego trzy nowiutkie samochody. Dostali je tego samego dnia, kiedy odebrali klucze do domu. Byłam wtedy w Quito, a po powrocie rozmawialiśmy wyłącznie na temat Deb.

– I naprawdę nie masz pojęcia, kto za tym stoi? – nacisnęłam.

– Nie. Owszem, przemknął mi przez myśl pan Alexander... ale on nie zrobiłby tego anonimowo, prawda? – za jednym zamachem zadała mi tak naprawdę dwa pytania. Podobnie jak wszyscy, także Roberta czytała o nas w Internecie i podejrzewała, że znam go lepiej, niż chcę przyznać.

– Nie wiem. – Od naszej pożegnalnej rozmowy telefonicznej minął już miesiąc. I jeśli mam co robić, czuję się dobrze. Dlatego właśnie rzucam się w wir zajęć, po to by o nim nie myśleć. Niemniej, tak samo jak w Quito, najgorsze okazują się noce – leżę wpatrzona w ciemność i wspominam wszystko, co zaczynałam w nim kochać. Od zjadliwych komentarzy po sposób, w jaki mnie

dotykał.

– Tym razem pomoże nam aż kilkoro celebrytów – Roberta zmienia temat. – Uznałam więc, że będziesz idealną osobą do tego projektu. Wiesz, masz spore doświadczenie... – W pierwszej chwili chciałam zapytać, jakie konkretnie doświadczenie ma na myśli, ale rozmyśliłam się. – Znowu możemy mieć kłopoty z mediami – dodała i prawdę mówiąc, odniosłam wrażenie, że cieszy się na tę myśl i stłumiłam parsknięcie. Roberta wśród gwiazd. – Pamiętasz, jak ci paparazzi zaglądali nam przez płot i filmowali z dachów? Obłęd!

Pokręciłam głową. Dobrze, że powiedziała mi o tym przez telefon. Nie zobaczyła mojej rozbawionej miny.

– Co to za celebryci?

– Aktorzy. Z jakiegoś filmu, który niedługo wchodzi na ekrany – odparła niejasno. – Tego typu akcje bardzo nam pomagają. Na przykład, kiedy mieliśmy bohaterów tej opery mydlanej. Datki starczyły nam na kilka następnych miesięcy.

– Ale jak się ten film nazywa?

– Hmm, wyleciało mi z głowy... – Dziwne. Roberta zawsze wie o swoich współpracownikach dosłownie wszystko. Zaraz potem zaczęła opowiadać o szczegółach projektu, a ja nie dopytywałam.

W tej chwili wpatruję się w ekran laptopa. Czytam e-mail od Any Diaz, dyrektorki misji w Quito. Pisałam jej o wypadku Deb i o tym, że odłożyłam studia o cały semestr. Pytałam też, czy latem przyda się jej moja pomoc.

Dori,

Sama nie rozumiem, dlaczego jeszcze ci o tym nie napisałam. Kilka miesięcy temu otrzymaliśmy darowiznę z anonimowego źródła. Bardzo dużo pieniędzy. Dzięki nim, po raz pierwszy od dziesięciu lat, zdołaliśmy wyjść z długów. A potem, tuż przed świętami, skontaktowała się z nami pewna kancelaria prawnicza z Los Angeles. Okazało się, że ktoś założył na naszą rzecz fundusz powierniczy. Teraz możemy nie tylko prowadzić zwykłe zajęcia, ale też wyremontować kilka szkół i wesprzeć program ochrony zdrowia. Żałuję tylko, że nie wiem, komu powinnam dziękować!

Ana.

Klikam „odpowiedz” i pytam o nazwę kancelarii. Odpowiedź przychodzi po kilku minutach. Ta sama firma, która zarządza funduszem Deb. Ana dołączyła też nazwisko prawnika, z którym się kontaktowała. Chad Roberts. Nie mam pojęcia, co to za jeden, ale nie spocznę, póki się tego nie dowiem.

– Cholewcia! – rzucam po chwili pod nosem, wpatrzona w wyniki wyszukiwania. Na świecie żyje wielu Chadów Robertsów, ale żaden nie jest bezpośrednio powiązany z Reidem Alexandrem. Nie mam teraz czasu, by sprawdzić dokładniej. Za dwadzieścia minut muszę się stawić na nowym placu budowy. Tym razem remontujemy dwa obciążone hipoteką budynki. Najwyraźniej

z pomocą całej bandy celebrytów.
O radości.

Rozdział 48

Reid

Dori stoi tyłem do mnie. Pokój jest tak bardzo podobny do tego, który kiedyś malowaliśmy, że mam wrażenie, jakbym cofnął się w czasie. Nuci pod nosem i przegląda jakąś instrukcję. Ubrana jest w te same co zwykle szorty, robocze buty i spłowiałą koszulkę. Spięte w kucyk włosy spływają jej między barkami. Na rozpostartej na środku podłogi płachcie czekają kubły z farbą i malarskie przybory.

Mógłbym tę sytuację uznać za *déjà vu*, gdyby nie jedno – dzisiaj wiem, jak miękkie w dotyku są jej włosy; wiem, jak wyglądają, gdy opadają luźno na jej ramiona i moją poduszkę. Znam też jej zapach – aromat czegoś słodkiego i jadalnego, o czym powiedziałem jej szeptem kilka miesięcy temu, gdy chciałem, by oszalała z pożądania. Dzisiaj znam już jej silne ramiona, znam miękkie piersi. Znam też dotyk małego serduszka, które nosi przypięte do kolczyka w pępku. Znam linię jej talii, gładkość biodra, smak warg. Wiem, jak to jest, kiedy przestaje nad sobą panować i kiedy pełna ufności pozwala sprawić sobie przyjemność.

Niemniej w tej dziewczynie kryje się o wiele, wiele więcej, a moje fizyczne pożądanie stanowi jedynie zewnętrzny objaw tego, co wyczuwam w niej głębiej. Znam jej cierpliwość, jej dobroć oraz wrodzone pragnienie, by zostawić świat lepszym, niż go zastała. Odczułem na sobie jej siłę, a także zdolność wybaczenia i dostrzegania dobra w innych ludziach. Cała jej osobowość chwilami wręcz mnie przytłacza, a fakt, że mogłem ją spotkać tylko po to, by zaraz utracić, przeraża mnie jak wszyscy diabli.

Wyczuła moją obecność. Podnosi głowę znad instrukcji i powoli się odwraca. Jej oczy odnajdują moje i gwałtownie się rozszerzają. W spojrzeniu Dori pojawia się niedowierzanie. Moje serce próbuje wyskoczyć z piersi, rwie się ku niej.

– Siema, kierowniczo – witam się. Stoimy jakieś trzy metry od siebie. Chciałbym wiedzieć, czy Dori też czuje między nami tak silne przyciąganie jak ja. To prawie jak grawitacja. Z tej odległości jej oczy wydają się zupełnie czarne. Wpatruję się w jej usta, jej uszy, jej dłonie wciąż trzymające instrukcję. Trzęsą się jej palce. To ja wywołałem to drżenie, tyle że jestem w tej chwili zbyt mądry, by przypisywać temu jakiegokolwiek znaczenie.

– Reid? – kiedy wypowiada moje imię, omal nie rozpadam się na kawałki. Ogarnia mnie nierozsądna ochota, by złapać ją w ramiona, zarzucić sobie na plecy i znaleźć jakąś zaciszną jaskinię, w której mógłbym ją posiąść. Zaciskam pięści, a Dori to zauważa.

– Podobno potrzebujesz malarza z doświadczeniem. – Opuszczam lekko głowę i patrzę jej prosto w oczy. – Myślę, że się nadam – podchodzę bliżej i widzę, że dziewczyna wstrzymuje oddech. – Ale musisz wiedzieć, że nie wierzę już w półśrodki. Nie zrezygnuję ze zlecenia do samego końca, dopóki kierowniczką nie będzie stuprocentowo zadowolona.

Dolna warga Dori zaczyna dygotać. Wciąga ją do ust i lekko przygryza.

– A co potem? – pyta. – No, kiedy zlecenie zostanie już wykonane?

Powoli, ostrożnie muskam palcami jej podbródek. Dori rozchyła usta, wciąż oddycha z trudem, podnosi ku mnie spojrzenie.

– Wtedy trzeba zacząć od początku. W przypadku takich zleceń nie ma mowy o końcu.

Dziewczyna spuszcza wzrok i cofa się. Opuszczam rękę.

– M-możesz się zająć tym pokojem, ja pomaluję sąsiedni.

– Jak sobie kierowniczką życzy – mówię. Dori kiwa głową i niemal biegiem wychodzi z pokoju. Gdy znika, wypuszczam z płuc zbyt długo wstrzymywane powietrze.

Wynik po pierwszej rundzie. Remis? Nie wiem. Ona mnie wykończy.

Do napisania artykułu o mojej działalności dobroczynnej redakcja „People” wyznaczyła reportera i aż dwóch fotografów. Fani uwielbiają oglądać celebrytów jako szczodrych i hojnych (a przy tym cholernie przystojnych) ludzi. Nie myślą o tym, że swoje chwalebne zajęcia musimy przerywać na czas przygotowywania odpowiedniego oświetlenia czy po to, by można nam było zrobić makijaż lub wykonać kilka ujęć na żywo, z myślą o publikacji w internetowych serwisach. Zaletą sytuacji jest mniejsza liczebność kręcących się w okolicy paparazzi. Autoryzowani fotoreporterzy – dopuszczeni bardzo blisko – bez trudu przebijają swoimi zdjęciami fotki pstrykane z oddali, nawet te wykonane przy użyciu najnowocześniejszych obiektywów.

Tuż przed przerwą obiadową – kiedy zostaję sam i zastanawiam się właśnie, czy zajrzy do mnie Dori – w drzwiach wyrasta Chelsea, moja filmowa partnerka.

– Hej, przystojniaku – rzuca, krocząc przez pokój w białych szortach i czerwonej bluzce na ramiączkach. Luźno upięte włosy spływają wspaniałymi falami wokół jej idealnej twarzy. – Proszę, proszę! Nieźle ci idzie! – Wykonuje na środku zwinny piruet i podziwia efekty mojej pracy.

– No, no. Widzę, że ta ładniutka buzia i twarde mięśnie to tylko przykrywka, pod którą skrywa się prawdziwy fachowiec. Kto by pomyślał?

– Właśnie, kto? – odpowiadam i odruchowo pozuję kamerzyście, który wszedł w ślad za dziewczyną. Instynktownie wiem, który profil pokazać, umiem też odpowiednio sztucznie i szeroko się uśmiechnąć. Naturalnie przez cały czas

patrzę tylko na Chelsea, jakbyśmy byli zupełnie sami. Na potrzeby kilku krótkich ujęć udaję, że nakładam na ścianę miętowozieloną farbę, mimo że pierwszą warstwę zdążyłem już położyć – przedtem oczywiście ścianę wyrównałem i zagruntowałem. Ani na podłodze, ani na suficie nie została nawet jedna zielona plamka.

Kiedy się odwracam, w wejściu do pokoju pojawia się Dori – zupełnie jakbym sprowadził ją jakimś magicznym zaklęciem. Rozgląda się, patrzy na kamerzystę, dostrzega afektowaną pozę Chelsea, która unosi właśnie zamoczony w farbie pędzel do mojego nosa. Łapię ją za przegub i odsuwam pędzel, lecz Dori odwraca się na pięcie i znika. Wołam za nią, ale nie wraca.

Chelsea oczywiście wszystko zauważyła. Wpatruje się we mnie uważnie swoimi wielkimi, zielonymi oczami.

– Czyżby to była ta słynna Dori? – pyta, a ja podnoszę oczy ku niebu. Zaraz potem marszczę czoło.

– Zaraz, zaraz... Skąd wiesz...? Chad! Jasna cholera, Chelsea. Co się stało z tajemniczą adwokacką?

– O niczym mi nie mówił! Przysięgam! – Chelsea podnosi dłoń do góry i udaje, że składa drugą na Biblii, jak w sądzie. – Wiesz, po prostu czasem zostawia na biurku różne dokumenty... – Bierze mnie za ramię i gorączkowo szepcze. – Reid, proszę nie mów mu o tym. Boże, miałabym naprawdę przerąbane. Słowo daję, z nikim o tym nie rozmawiałam, a Chad nie zdradził cię nawet słówkiem.

Wzdycham i bacznie się jej przyglądam. Chelsea należy do dziewczyn, które chłoną plotki jak gąbka. Uwielbia je, ale faktycznie sama ich nie rozgłasza, chyba że są już powszechnie znane.

– No dobrze. Ale nie wtrącaj się, proszę.

Zaciska usta, przeciąga po nich palcami i wyrzuca przez ramię niewidzialny kluczyk. Potakuje skinieniem.

– Okej, plotkaro. Chodź, poszukamy twojego męża i wrzucimy coś na ząb.

Dori

Za każdym razem, gdy nabieram przekonania, że Reida nie spotkam już nigdy w życiu, on nagle się pojawia. Roberta unika moich spojrzeń. Układa na biurku jakieś szpargały i przez cały czas udaje, iż po prostu zapomniała, że Reid zgłosił się do pomocy przy projekcie. Zdradzają ją dwie czerwone plamy na policzkach.

– Zresztą – ściąga brwi – byłam przekonana, że się lubicie.

W tej chwili to ja zalewam się rumieńcem, sięgającym czubków moich

zakichanych, doskonale widocznych uszu. Cóż mogę jej powiedzieć? „Rodzice zabronili nam się widywać, bo Reid jest hollywoodzkim łamaczem serc, który mnie wykorzysta i porzuci”? A może: „Powiedziałam mu, że nie możemy się dłużej spotykać, a on się z tym nie pogodził. Nie widzieliśmy się od miesiąca, więc byłam przekonana, że to już naprawdę koniec”?

Stoję tak, milcząca i rozkojarzona, a Roberta błędnie uznaje moje zdenerwowanie za oznakę niechęci.

– Wiesz, przerucę cię do innego projektu. Oni będą tutaj tylko przez tydzień. Potem wrócisz. Zaraz zadzwonię do...

– Nie, nie trzeba. Poradzę sobie.

Roberta nabrała pewności, że nie cierpię Reida, a przecież trudno o coś dalszego od prawdy. Kiedy zobaczyłam go dziś rano, miałam ochotę podbiec, zarzucić mu ramiona na szyję i nigdy już nie puścić. Chciałam mu powiedzieć, że przyjmę od niego cokolwiek zechce mi ofiarować, bez względu na to, jak długo miałyby to trwać. A potem przypomniałam sobie słowa Janis Joplin, które wiele lat temu Deb przyczepiła na kartce do swojego lustra: „Nie zdradzaj samej siebie. Poza sobą, nie masz na świecie niczego”.

I wtedy usłyszałam jego głos. „Siema, kierowniczo”. Mimo wszystkiego, co między nami zaszło, wszystkiego co sobie przez ten czas wyobrażałam, zabrzmiało to tak swobodnie i bezpretensjonalnie. A potem wrócił klasyczny Reid – flirciarski, beztrudnie uwodzicielski. Ten Reid, jakiego ujrzałam dziesięć minut temu z jego oszałamiająco piękną koleżanką. Może jednak powinnam się przenieść? Może powinnam zachować odrobinę rozsądku i wziąć nogi za pas, póki mam jeszcze szansę?

– Reid nie jest już zupełnie zielony. Proste prace może wykonywać samodzielnie. Nie musisz go nadzorować, w ogóle nie musicie się kontaktować – podejmuje Roberta.

Z najwyższym trudem powstrzymuję się i nie tłumaczę, że zrozumiała mnie na opak. Kiwam tylko głową i wychodzę do ogrodu, by poszukać czegoś do jedzenia. Nie rozglądam się za nim, nie zamierzam też zostać na zewnątrz dłużej niż to absolutnie konieczne. Wezmę po prostu talerz, nałożę sobie i wrócę.

Traf chciał, że zdecydowałam się na owocową sałatkę i mrożoną herbatę. Uszy natychmiast zalewa mi gorąca fala. Przypominam sobie pierwszy raz, gdy Reid spróbował mnie pocałować. Odepchnęłam go wtedy. Słyszę prowadzoną obok rozmowę i nagle moją uwagę przykuwa nazwisko.

– ...Chad Roberts. I mimo że tak świetnie wyglądam, wcale nie jestem aktorem. Jestem tylko mężem Chelsea.

– Tylko? – odpowiada ze śmiechem Frank. – Młody człowieku, takiego tytułu nie powinieneś lekceważyć. Dziewczyna jest ostra jak żyłeta.

– Ostra... Tak, o tym też co nieco wiem. – Śmieją się już obaj.

Świat wiruje mi przed oczami.
Chad Roberts.
Mąż Chelsea Radin.
Adwokat zarządzający funduszem Deb.

– Panie Roberts? Mogłabym panu zająć dwie minuty?

– Jasne. – Chad wydaje się sympatycznym facetem, a przy tym rzeczywiście jest bardzo przystojny. Dość długo musiałam czekać, by raczył się choć na chwilę odkleić od żony. Zauważyłam, że oboje blisko przyjaźnią się z Reidem i doszłam do wniosku, że to, co uznałam wcześniej za prawdziwy flirt, było jedynie widowiskiem na użytek dziennikarzy z „People”. A ten materiał przysłuży się zarówno Habitatowi, jak i popularności ich nowego filmu.

Zazdrość to takie nieprzyjemne, obce uczucie.

Oddaliśmy się o kilka metrów od strefy prac – Chad pomagał właśnie Frankowi przy wyburzaniu sypiącej się ogrodowej szopy.

– Może to dziwnie zabrzmiało, ale czy nie jest pan przypadkiem prawnikiem?

– Tak, jestem. – Przygląda mi się lekko skonsternowany. – Potrzebujesz porady?

To nie może być zwykły zbieg okoliczności, takie przypadki po prostu się nie zdarzają.

– Nie. Chociaż, kto wie. Hmm, a czy pracuje pan dla kancelarii „Barnes, Bancroft i Cole”?

Chad zsuwa z dłoni robocze rękawice i przyjmuje ode mnie butelkę wody.

– Owszem.

Biorę głęboki wdech. Elementy układanki wskakują na właściwe miejsca. Reid. Innego wytłumaczenia nie ma.

Adwokat pociąga długi łyk z butelki i patrzy mi w oczy.

– A jaki to ma związek z...

– O ile się nie mylę, zarządza pan pewnym funduszem. Pieniędzmi przeznaczonymi dla Debory Cantrell?

Zerka przelotnie w kierunku domu, w stronę Reida, po czym znów spogląda na mnie. Minę ma taką, jakby zdradzał czyjaś tajemnicę.

– Hmm, rzeczywiście. To prawda.

– Chciałabym się dowiedzieć, od kogo te pieniądze pochodzą.

Przełyka ślinę i marszczy czoło.

– Proszę posłuchać, panno....

– Cantrell. Dori Cantrell.

Chad otwiera szerzej oczy. Zrozumiał.

– Ach, czyli jesteś jej siostrą, tak?

Potakuję skinieniem. Prawnik zaciska usta i kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Naprawdę rozumiem twoją ciekawość, ale tej informacji, niestety, nie wolno mi ujawnić.

Rzucam okiem na dom. Reid zniknął wewnątrz, pomaga przy demontażu kuchni. Czyżby przykazał adwokatowi, żeby niczego mi nie mówił? A jeśli tak, dlaczego?

– Jak to możliwe? Przecież jestem jej siostrą. Mam prawo wiedzieć.

Patrzy na mnie ze współczuciem, a ja mam ochotę krzyknąć.

– Ja naprawdę to wszystko rozumiem. I mogę ujawnić wiele innych szczegółów. Chętnie zaproszę cię do biura. Umówimy się na przyszły tydzień i wszystko dokładnie obgadamy. Tożsamość fundatora musi jednak pozostać tajemnicą.

– Ale dlaczego? – Już wiem, że nic z niego nie wyciągnę. Moja irytacja wzrasta z każdą kolejną, spokojną odpowiedzią Chada.

– Nasz klient życzy sobie zachować anonimowość.

– Jasne, ale dlaczego?

– Obawiam się, że nie mogę na to pytanie odpowiedzieć.

Reid wychodzi przed dom, rozgląda się i zauważa nas.

– Nie może pan, czy nie chce? – pytam ze wzrokiem utkwionym w chłopaku. Nawet nie drgnął. Chad patrzy tam gdzie ja i wzdycha, ponownie zaciskając wargi – dodatkowe potwierdzenie faktu, że nie usłyszę już ani słowa więcej.

Nie wiem co to za gra. Nie wierzę też, że Reid wziął udział w tym projekcie dzięki jakiemuś pokrętnemu zrządzeniu losu. Patrzy to na swojego prawnika, to na mnie i wciąż stoi przy drzwiach. Naprawdę sądził, że nie sprawdzę kancelarii? Że nie będę chciała się dowiedzieć, kto podarował mojej siostrze tak znaczną sumę? Czuję się rozdarta. Z jednej strony jestem mu szalenie wdzięczna, z drugiej przeraża mnie myśl, że te pieniądze mogą w dowolnym momencie zniknąć. Zachowuję się więc w jedyny sposób, w jaki mogę, czując taki natłok myśli i informacji.

Odwracam się i odchodzę.

Rozdział 49

Reid

– Reid? – rzuca Dori z tym samym oszołomionym wyrazem twarzy jaki miała dziś rano, kiedy zobaczyła mnie w pokoju. Otworzyła drzwi, ale nie odsłoniła moskitiery. Nawet nie podniosła dłoni do klamki. Stojący obok niej pies wpatruje się we mnie z – przysięgam – gniewnie zmarszczonym czołem. – Co ty tu robisz?

Chciałbym się na nią złościć, wściec nawet, ale po prostu nie mogę. Jest we mnie tylko jedno uczucie, które pojawiło się rano i przez cały dzień narastało. Zupełnie jakbym składał się już tylko z kilku szeptanych słów, które zaraz rozwieją się niczym dym i znikną porwane podmuchem wiatru.

– Chciałem zapytać, jak ty to robisz. W jaki sposób, czując to co czujesz, bo nie wmówisz mi, że jest inaczej, potrafisz tak po prostu odwrócić się i odejść? – mówię, czując jak złość ustępuje.

– Skąd możesz wiedzieć, co ja czuję? – odpowiada, lecz i ona nie umie wzbudzić w sobie gniewu. W jej tonie słychać kapitulację i skupiam się wyłącznie na tej nucie. Mam wrażenie, że coś próbuje przebić się od wewnątrz przez zbroję jej słów.

– Dori, odsłoń tę moskitierę.

Nieznacznie kręci głową.

– Jesteś sama? – pytam, na co odpowiada twierdzącym skinieniem. – Otwórz – powtarzam.

Unosi dłoń do klamki, lecz zamiera.

– Ty to zrobiłeś, prawda? Opłaciłeś pokój dla Deb, jedynekę?

Kiwam głową.

– Dlaczego?

Żeby nie osunąć się na kolana, chwytam dłońmi o futrynę. Stoję i patrzę jej w oczy, świadomy, że nadeszła właśnie rozstrzygająca chwila, że jeśli nie skorzystam z tej szansy, kolejnej już nie dostanę. Dori jest silna i uparta. Jeżeli nie zdołam jej nakłonić, żeby przyznała się do własnych uczuć, po prostu ją stracę.

– Dori, otwórz. Proszę cię. Jeśli mnie wpuścisz, wszystko ci wytłumaczę.

Dziewczyna sięga do zamka, przekręca kluczyk, który przy tym zgrzyta, lecz wciąż nie otwiera. Sam sięgam do klamki, popycham moskitierę, wchodzę i, nie odrywając od niej spojrzenia, zamykam pchnięciem obie pary drzwi. Przekręcam klucz w zamku.

– Chodź no tu. – Wyciągam ku Dori ramiona i dziewczyna podchodzi

chwiejnym krokiem. Opiera na mojej piersi drobne dłonie. Dosłownie trzyma mnie na dystans.

– Dlaczego? Dlaczego? – pyta, a ja czuję w głowie zamęt. Czyżby z powodu tych pieniędzy poczuła się zagrożona? Jak to możliwe?

– Dlaczego to zrobiłem? Dlatego że cię kocham. Nie ma innego powodu. Naprawdę jestem aż tak nieskomplikowany.

Jasna cholera. Powiedziałem, że ją kocham. Nie ma odwrotu. Tych słów nie da się odwołać. Ale przecież właśnie o to chodzi – niczego nie chcę już odwoływać.

Szklą się jej oczy, drżą wargi.

– Jak to, kochasz? A co będzie, kiedy się odkochasz? Co wtedy? I co się stanie z moją siostrą?

Biorę ją za ramiona, zsuwam dłonie niżej i ujmuję ją za łokcie, które poddają się mojemu pragnieniu.

– Wydaje mi się, że miłość to takie uczucie, które samo wiele wyjaśnia. I nie zamierzam przestać cię kochać. Poza tym, nic tu nie zależy od moich uczuć. Chad zorganizował ten fundusz tak, że nie da się go zlikwidować do końca jej życia. Nie jest w żaden sposób uzależniony od mojej miłości, jeśli to cię niepokoi, ani od tego, co sama zrobisz.

Dori wybuchła płaczem, łzy powoli spływają jej po policzkach.

– Ja się wszystkim niepokoję. Jak możesz mnie kochać? Przecież jestem... zupełnie nikim.

– Jak mógłbym cię nie kochać? – rzucam z naciskiem. – Jeszcze nikt w życiu nie wywarł na mnie tak silnego wpływu. Kiedy w zeszłym miesiącu powiedziałas mi „żegnaj”, próbowałem pozwolić ci odejść. Powtarzałem sobie, że skoro tego właśnie chcesz, tak właśnie będzie dla ciebie najlepiej, że... dobrze ci tak. Ale nie masz racji, Dori. Może nie rozumiesz tego jeszcze w tej chwili, ale jestem dla ciebie dobry. A wiem o tym stąd, że nigdy dotąd nie byłem dobry dla nikogo – mówiąc, walczę ze sobą, by nie chwycić jej mocniej, by wciąż dotykać jej swobodnie, by zachować nad sobą panowanie. – Prawie straciłaś siostrę, zmagając się z kryzysem wiary, z emocjami, które większość ludzi powaliłby na kolana. A ty zdołałaś przetrwać. Kiedy potrzebowali cię rodzice, stanęłaś na wysokości zadania. Ale fakt, że jesteś silna i wytrzymała, wcale nie znaczy, że nie potrzebujesz kogoś, kto może ci pomóc, kto mógłby cię wesprzeć. – Mocniej ściskam jej łokcie. – Tamtej nocy... w klubie... potrzebowałaś mnie.

Widzę, jak z trudem przęłyka ślinę.

– Tak, potrzebowałam cię. Ale nie mogę przecież być taką bezradną, wiecznie uzależnioną od innych dziewczyną...

– Nie jesteś bezradna. Szczerze mówiąc, nigdy jeszcze nie spotkałem tak irytująco samodzielnej dziewczyny...

– Irytująco? O czym ty mówisz? – Wymyka się mim dłoniom, cofa o krok i ciasno oplata ramionami.

– Drażni mnie, że nie pozwalasz sobie poczuć, że jestem ci potrzebny – własne słowa rozbrzmiewają mi w uszach echem niczym krzyk. – Oboje potrafimy opierać się cudzej kontroli, staramy się również nie brać odpowiedzialności za innych, których wolimy nie potrzebować. I jesteśmy w tym dobrzy. Latem wmówiłem sobie, że poradzę sobie z tym, co do ciebie czuję. Nie dlatego, że uznałem, że to bez znaczenia, ale dlatego, że zawsze żyłem w ten sposób. Nie zastanawiałem się nad swoimi związkami. Cholera, ja nawet nigdy nie byłem w prawdziwym związku. Dopiero gdy zobaczyłem cię w tym klubie, pojąłem, że nie poradziłem sobie z własnym uczuciem. Wciąż czułem to samo co trzy miesiące wcześniej – obniżam głos i podchodzę do niej, zmniejszając dzielący nas dystans. – Zmieniłem się. Nasza znajomość mnie zmieniła. Nie chodzi o to, że stałem się przez ciebie kimś innym, ale po prostu pokazałaś mi drogę, której nigdy przedtem nie uważałem za wartą zainteresowania. A teraz wszedłem na nią z własnej woli. I tak, raz po raz zadawałem sobie pytanie: czy naprawdę tak łatwo jest stać się lepszym człowiekiem? Czy wystarczy jedna pieprzona decyzja?

Dori się krzywi, a ja wplątam palce w jej dłoń.

– Masz rację, będę uważać na słowa. Naprawdę niczego nie trywializuję. – Dziewczyna podnosi na mnie spojrzenie. Patrzy szeroko otwartymi, wilgotnymi oczami. – Świetnie wiem, co mówię. Jeśli będzie trzeba zaczekać, zaczekam. Zrobię wszystko. Ale chcę cię i nadal będę cię pragnąć. Muszę cię też ostrzec, Dori, naprawdę nie przewiduję końca. Stawiam wszystko na jedną kartę. I tym razem już bez żadnych zastrzeżeń.

Otworzyłem przed nią swe serce, złożyłem je w ofierze. Powiedziałem wszystko i nie mam dodatkowych argumentów. Wpatrujemy się w siebie. W przedpokoju jest tak cicho, że słyszę drapanie psich pazurów na drewnianej podłodze. Esther podchodzi do dużej owalnej poduchy, układa się na niej z westchnieniem i łypie na nas leniwie. Czuję nasze splecione dłonie i czuję też nadzieję, bo Dori wciąż mnie nie odpycha.

Wspina się na palce i przyciska wargi do mojego podbródka, sunie nimi wzdłuż szczęki. Wypuszczam jej ręce i podtrzymuję ją, obejmuję, a ona zarzuca mi dłonie na szyję i wsuwa palce w moje włosy.

– Reid... – szepcze, świdrując mnie tymi swoimi ciemnymi oczyma. – Ja też ciebie chcę.

Chwytam ją za pośladki i podrzucam. Dori obejmuje mnie nogami w pasie i stapiamy się ustami. Jęczę prosto między jej wargi, słyszę jej westchnienie.

Podchodzę do schodów, wkładając tęsknotę i pragnienie w długie, zapierający dech w piersiach pocałunek. Nie mogę się nią nasycić. Wciąż nie mam dosyć.

– Dokąd? – pytam, gdy docieramy na piętro. Dori wskazuje mi drogę, a ja

idę dalej. Słyszc tylko nasze pomruki i zdecydowane kroki na tym wiekowym parkiecie. Wargi bez przerwy tańczą zgodnym rytmem.

Wpadamy do jej pokoju – błękitne jak morze ściany i ławica pływających pod sufitem rybek. Wszystko do siebie pasuje, nic nie wydaje się nie na miejscu. Kopnięciem zamykam za nami drzwi, podchodzę do łóżka i układam ją na nim. Nie ma czasu na myślenie, wahania czy rozterki. Dori szarpie moją koszulę i całuje mnie bardziej namiętnie niż kiedykolwiek wcześniej. Wpadamy w szal, zupełnie jakby od naszego ostatniego dotyku upłynęły długie lata. Guziki wyskakują przez dziurki, ubrania się rozciągają, suwaki rozpinają – wszystko zajmuje kilka krótkich sekund, kiedy między pocałunkami nabieramy powietrza. W tej chwili chcę tylko wielbić ją swoimi oczami, dłońmi i ustami.

Dori przeciąga mi paznokciami po grzbiecie, wygina się i przywiera do mnie, wstrzymując mój oddech. Zaczyna protestować, kiedy unoszę głowę, ale po chwili zamiera jak zahipnotyzowana, gdy moje palce suną nad, wokół, pod i w głąb. Zaraz potem, wytyczonym przez nie szlakiem, ruszają moje wargi i język. Całuję skórę na jej brzuchu, trącam kolczyk w pępku i nagradza mnie wygłodniały jęk.

– Proszę... – szepcze Dori i kiedy dociera do mnie znaczenie tego słowa, przez myśl przebiega mi „ożkurwamać”. Zachowuję jednak resztki zdrowego rozsądku i nie mówię tego na głos.

– Dori, być może rzeczywiście przyszedłem tutaj w jasno określonym celu, ale naprawdę nie planowałem... Nie sądziłem, że... – Składam czoło na jej żebrach. – Nie mam prezerwatywy – przyznaję na koniec.

– Są w mojej torbie – szepcze tak cicho, że ledwie ją słyszę. Zaskoczony podnoszę wzrok i widzę zaróżowione wstydliwie uszy. Leży przy mnie ubrana tylko w bawełniane majteczki i wstydzi się, że nosi w torebce prezerwatywy?

– Tak? – mruczę i sięgam po zawieszoną na łóżku wielką torbę.

– Aimee i Kayla. W zeszłym tygodniu rozdawali je u nich w akademiku. Zrobiły zapas na cały rok i uparły się, że też muszą wziąć.

Wsuwam dłoń do torby i szperam wśród rozmaitych drobiazgów. Wreszcie rozpoznaję dotykiem kwadratowe paczuszki. Słyszę szelest folii. Uśmiecham się szeroko i unoszę brew.

– Masz ich tu chyba kilkanaście – mówię, rozrzucając prezerwatywy na nocnym stoliku. Rumieniec Dori ogarnia całe policzki i rozlewa się na szyję. Całuję ją, czując pod palcami szaleńcze bicie jej serca. – Obiecuję, że nie zmarnujemy ani jednej – dodaję niskim, drapieźnym głosem. Dziewczyna drży pod moim dotykiem.

Zdejmuję z nas resztę ubrań, przez cały czas całując ją i pieszcząc, powoli i głęboko, aż wreszcie nie mogę się już dłużej powstrzymać. Przetaczam się na plecy, wciągam Dori na siebie i mówię jej, że tym razem to ona dowodzi.

Dori

– Chyba powinienem teraz zapytać, o której wracają twoi rodzice – mruczy mi do ucha. Nie wierzę, że po tym co zrobiliśmy, wciąż potrafi mnie zawstydzić. A jednak chowam twarz w jego szyi. Najwyraźniej moje poczucie przyzwoitości przetrwało. – Bo wiesz, jeszcze kiedyś ich do siebie przekonam. Ale nie chcę zaczynać od wielkiego minusa, a tak by się skończyło, gdyby nas nakryli. Przy trzecim czy czwartym razie.

Reid leży na boku, podparty na łokciu i kreśli palcem wzory na mojej skórze. Kiedy zaczynaliśmy, pokój zalewały jasne, złociste promienie słońca. Teraz są już czerwonawe, przytłumione. Zachód. Drapież odrastające na jego podbródku twarde włoski i widzę jak przemyka oczy.

– Trzeci czy czwarty? Nigdy nie masz dosyć? – pytam szeptem.

Z jego piersi dobywa się cichy pomruk. Całuje mnie.

– Nie. Coś mi mówi, że muszę cię mieć na stałe, żeby w ogóle pomyśleć, iż mógłbym się nasycić. – Muska mój brzuch, delikatnie jak piórkiem, po czym znów sunie dłonią ku górze.

– Rodzice wyjechali na romantyczny weekend. Wracają dopiero w niedzielę. Palce Reida zamierają na wysokości mojego mostka. Unosi pytająco brew.

– Proszę, powiedz, że mnie nie podpuszczasz.

Kręcę głową na poduszce. Reid całuje mnie, mocno i głęboko.

– Mógłbym zostać na noc? Nie złamię żadnych zasad?

Mój palec przebiega po jego nosie i brwi. Chłopak wtula twarz w moją dłoń i zamyka powieki.

– Nie wiem. Im by się to nie spodobało, a to ich dom. Oczywiście tego, co robimy teraz, też by raczej nie pochwalili.

Kiwa głową i otwiera oczy.

– Dostosuję się do wszystkich twoich zasad, ale pod jednym warunkiem.

Słyszac to marszczę brwi i zaczynam gorączkowo roztrząsać w myślach setki możliwości. Reid to zauważa i wznosi oczy do nieba.

– Pod warunkiem, że już nigdy nie każesz mi odejść. Nie każ mi już nigdy odchodzić. Proszę.

– Jesteś pewien? – pytam. Wciąż mu nie dowierzam. Ta nieufność jest nie fair wobec niego i zastanawiam się, czy Reid zrozumie, że moja utrata wiary spowodowała większe szkody, niż sama myślałam. Podminowała moją zdolność do ufania ludziom i niczym tornado zrujnowała pewność siebie. Odbudowa wartości, ich całkowita rekonstrukcja zajmie mi przynajmniej kilka miesięcy, może nawet

całe lata. I nie będzie to czas łatwy. Ani przyjemny.

– W życiu nie byłem tak pewien – odpowiada ze śmiertelnie poważną miną, która znika już po chwili, ponieważ burczy mi w brzuchu, tak głośno, jakbym nie jadła od paru dni. – Jestem też pewien, że trzeba cię nakarmić – dodaje z uśmiechem. – Pojedźmy na miasto.

– Na miasto? Tam gdzie mogą nas zobaczyć ludzie?

– Lepiej się przyzwyczajaj. Jesteś teraz dziewczyną Reida Alexandra – śmieje się, widząc wyraz mojej twarzy. – No przestań, to chyba nie jest aż tak straszne? – Siada na mnie okrakiem i nakrywa nas oboje kołdrą. – Dobra, zamówimy coś do domu. Pozwolę ci utrzymać mnie w tajemnicy jeszcze przez jeden dzień. Ale jeśli potrwa to dłużej, pomyślę, że się mnie wstydzisz.

Nietypowa, bezradna nuta w jego głosie mówi mi, że chyba nie do końca żartuje.

– Nie chcę być dziewczyną Reida Alexandra – mówię i uśmiech chłopaka gaśnie.

Biorę jego twarz w dłonie, widzę w jego spojrzeniu tak wzruszające pragnienie, że w oczach stają mi łzy.

– Chcę być twoją dziewczyną. O ile zostaniesz tym, kim jesteś teraz, przy mnie. Tego człowieka nigdy nie będę się wstydzić.

– Jesteś pewna? – powtarza moje wcześniejsze pytanie, wpatrzony we mnie ciemnoniebieskimi oczyma.

– Nigdy w życiu niczego nie byłam tak pewna jak teraz.

